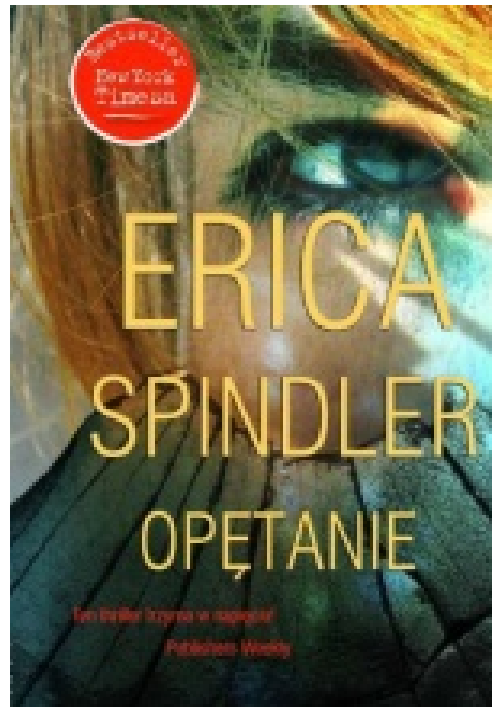


Erica Spindler

Opełanie



Podziękowania

Pomysł napisania Opętania przyszedł mi do głowy po przeczytaniu reportażu o artystce zajmującej się restauracją witraży i jej heroicznym wysiłkach, by ocalić nowoorleańskie witraże zniszczone podczas huraganu Katrina. Artystka ta, Cindy Courage z firmy Attenhofers Stained Glass, była tak uprzejma, że pozwoliła mi obejrzeć swoją pracowni. Podzieliła się ze mną osobistymi doświadczeniami ze swojej pracy, opowiadając mi o niej i pokazując dokumentację. Próbowła „nauczyć” mnie skomplikowanego procesu twórczego, zapoznać z historią i terminologią tej dziedziny i nawet pożyczyła mi książki fachowe, których na próżno szukałabym w księgarniach. Ponadto jej przeżycia związane z huraganem Katrina natchnęły mnie do stworzenia postaci Miry Gallier, głównej bohaterki Opętania. Dziękuję, Cindy!

Ludzie mieszkający w Nowym Orleanie i na terenach położonych nad Zatoką Meksykańską ponieśli straty wskutek huraganu, ale życie niektórych z nich, takich jak Mira Gallier, naznaczył szczególny tragizm. Opisując kataklizm i jego skutki najdokładniej jak to możliwe, chcę oddać hołd najciężej doświadczonym przez los. Dziękuję wszystkim tym, którzy byli gotowi ożywić ten koszmar w mojej obecności, a także tym, którzy umożliwili mi nawiązanie niezbędnych kontaktów. Są to: Eva Gaspard, Beth Wolfarth, Linda Weissert, Andi i Patrick Cougevanowie oraz Karelis Korte.

Żaden thriller nie może powstać bez wiedzy na temat funkcjonowania świata stróżów prawa. Dziękuję policji nowoorleańskiej i jej funkcjonariuszowi Garry'emu Flotowi za odpowiedzi na moje liczne pytania.

Bardzo dziękuję mojej byłej asystentce Evelyn Marshall za pomoc, wsparcie i wnikliwość (a także za wysłuchiwanie od czasu do czasu moich tyrad). Będzie mi jej brakować.

Kończącą wzmiankę poświęcam wszystkim podejrzanym z klucza. agentowi Evanowi Marshallowi,

redaktorze Jen Weis oraz całemu personelowi St Martins Press, załodze Hoffman/Miller Advertising, mojemu Bogu za błogosławieństwa oraz mojej rodzinie i przyjaciołom za całą ich miłość.

Rozdział 1

**Nowy Orlean, Luizjana
wtorek, 9 sierpnia 2011 roku
godz. 1.48**

Długo był sam. Wśród żywych, lecz nie jako jeden z nich.

Aż do teraz.

Maria po niego wróciła. Spędzili razem tyle lat, lecz rozdzieliła ich wola jego ojca i cały ten pochrzaniony, wybrakowany świat.

To jednak należało do przeszłości. Znów miał Marię na wyciągnięcie ręki i wiedział, że tym razem nie pozwolą się rozdzielić.

Zaczął się.

Szedł po schodach do sypialni babki, ostrożnie stawiając kroki, żeby jej nie zbudzić. Poświata księżycy sączyła się do środka wokół zasuniętych draperii, przecinając ciemne schody lśniącymi smugami, przypominającymi ostrze noża.

Znał te schody doskonale, mógłby po nich wchodzić z zawiązanymi oczami. Pokonywał je tysiące razy, niosąc tacę z jedzeniem lub czymś do picia dla matki, która zmarła przedwcześnie, ostatnio zaś dla babki.

Zerknął na jej uśpioną postać. Leżała z głową wspartą na poduszkach, pieczołowicie otulona kołdrą. Skrzywił się, uderzony w nozdrza przykrym zapachem. Przez ostatnie miesiące babka tak wychudła, że zostały z niej tylko skóra i kości. Była tak słaba, że ledwie mogła unieść głowę.

Niezdolna, by stawić mu opór.

Zmarszczył czoło. Dlaczego właściwie o tym pomyślał? Kochał babkę, mnóstwo jej w życiu

zawdzięczał. Po śmierci matki całkowicie poświęciła się jego wychowaniu. Przez ostatnie dwadzieścia dwa lata wspierała go i służyła mu za przewodniczkę. Wierzyła w niego. W to, kim jest, i w to, co przeznaczył mu los.

Odsunął od siebie te myśli. Zapowiedział babce, że Maria wróci. Pokłócili się. Mówiła o Marii w paskudnych słowach pełnych nienawiści, z których każde raniło go w serce.

A on musiał być niezłomny, jeśli chodzi o Marię.

Podszedł do łóżka. Nierówna plama księżycowego światła obejmowała górną część postaci babki i rozlewała się na niego. Uniósł dłonie do światła i rozcapierzył palce.

Dłonie miał splamione krwią.

Krwia baranka. Trysnęła po uderzeniu.

„Jesteś wzburzony...” Słyszając te wyraźnie wypowiedziane słowa, zamrugał oczami. Spojrzał za siebie i objął wzrokiem pusty pokój, po czym znów zerknął na śpiącą babkę.

- Kto tu jest? - spytał.

„Znasz mnie. Jestem tym, który zawsze jest z tobą”.

- Czy to ty, Ojczy? - szepnął.

„Tak, Synu. Co trapi cię dziś wieczorem? Zaczęło się. Raduj się i nie lękaj, bo poprzez Ojca Syn będzie uwielbiony!”*

* Wszystkie cytaty z Biblii pochodzą z Biblii Tysiąclecia, wydanie IV, Wydawnictwo Pallotinum (przyp. tłum.).

- Jeden z twoich świętobliwych, Ojczy. Musiałem. Zaszedł mnie tak nagle...

„Męczennik. Pozostanie w pamięci, uświęci go to, co stało się w tym dniu nowego początku”.

Te słowa Ojca dały mu niezbity pewność. Odzyskał poczucie celu i spokój.

- Tak, Ojciec. Oto wyczekiwany przez mnie dzień, który mi przepowiedziałeś. Oddaję się w twoje ręce. - Skłonił głowę. - Jestem twoim sługą, prowadź mnie.

„Zostaw już starą. Pamiętaj, tylko jedna może stać przy tobie”.

- Maria.

„Tak Jej chwila nadchodzi”.

Wysunął jedną poduszkę spod głowy babki. Targany sprzecznymi uczuciami przyglądał jej się, chłonąc obraz twarzy. Co by bez niej począć.

Ze łzami w oczach potrząsnął poduszką i wsunął ją na poprzednie miejsce, bardzo ostrożnie, żeby babki nie zbudzić.

Złożył pocałunek na jej czole.

- Dobranoc, babciu. Spij dobrze.

Rozdział 2

wtorek, 9 sierpnia godz. 8.35

Detektyw Spencer Malone, specjalista od zabójstw zmieścił swojego klasycznego wiśniowego camaro w luce między kombi koronera a furgonetką techników i gwałtownie zahamował. Kawa wylała się z kubka i ochlapała barwną, wzorzystą koszulę jego partnerowi.

- Cholera, gorące! Jak ty jeździsz, Malone? - Detektyw Tony Sciamie wytarł zmoczone miejsce lewą stroną krawata. - Chciałem ładnie wyglądać na pożegnalnym przyjęciu.

Malone zgasił silnik i przesłał koledze szeroki uśmiech.

- Nie martw się. Całkiem dobrze pasuje ci do reszty.

Tworzyli z Tonym parę współpracowników przez sześć lat. Dobrze im razem szło mimo różnicy w wieku, stylu prowadzenia dochodzeń i - na szczęście - poglądach na modę. Ich wspólna praca

odchodziła jednak do przeszłości. Tony kończył służbę.

- Nie bredź.

- Coś ty, kolego. To fakt. - Otworzywszy drzwi, Spencer zerknął na Tony ego. - Wyglądasz całkiem w porządku.

- Idź w cholerę, Malone.

Wysiedli z camaro i równocześnie trzasnęli drzwiczkami. Dwóch umundurowanych funkcjonariuszy spojrzało w ich stronę.

Katolicki kościół imienia Sióstr Miłosierdzia u zbiegu Carrollton Avenue i Fig Street niczym kłamra spinał dwie bardzo różne części miasta: Uptown i Mid-City. W miarę upływu lat zamożni mieszkańcy przenieśli się w stronę Uptown, pozostawiając świątynię klasie średniej i tym, którzy z racji nędznych zarobków mogli tylko do niej aspirować.

Mimo wszystko był to piękny zespół architektoniczny, zajmujący rozległy jak na warunki miejskie teren. Budynki wzniesione z kamienia i zaopatrzone w sklepienia beczkowe miały więcej z architektury romańskiej niż z wymyślnego stylu kreolskiego, przynoszącego sławę Nowemu Orleanowi.

- Wiele razy zastanawiałem się, jak wygląda wnętrze tego miejsca. - Powiedział Tony. - Niesamowite. Ostatni dzień w robocie i wreszcie się dowiem.

- To znak, że żyjesz jak należy.

Dotarli do granicy posesji. Spencer natychmiast rozpoznał oficera zabezpieczającego miejsce zdarzenia; w młodszych latach wraz z bratem Percym zdarzało im się zaszaleć.

Nazwisko Malone miało teraz swój wydźwięk. Trzej bracia, siostra i do tego członkowie dalszej rodziny służyli w policji, więc Spencer bardzo często natykał się na kogoś, kto był powiązany z jego najbliższymi. Zresztą niektóre z tych sytuacji chętnie wymazałby z pamięci.

- Cześć, Truskawa - powitał brata, zawdzięczającego przezwisko znamieniu na pośladku. - Co słyszać?

- Nieźle. - Percy wyciągnął przed siebie książkę wejść. - Podobno się żenisz, człowieku. Nie sądziłem, że dożyję tego dnia. To prawie koniec świata.

- Możesz mi wierzyć, synu, że Spencer jest legendą jedynie we własnym mniemaniu - odezwał się Tony. - Co tutaj mamy?

- Ofiarę w prezbiterium. Ksiądz dostał po głowie, dasz wiarę? Kto robi coś takiego?

- Po to jesteśmy żeby się tego dowiedzieć.

Dali nura pod taśmą zabezpieczającą, doszli do masywnych dwuskrzydłowych drzwi i znaleźli się w kruchcie. Panowały tu chłód i cisza. Za kolejnymi drzwiami, otwartymi, widać było nawy skąpane wielobarwnym światłem.

Malone przekroczył próg. Otwory okienne w bocznych nawach wypełniały wspaniałe witraże. Jednak to nie ich artystyczny kunszt sprawił, że detektyw głośno wciągnął powietrze. Ktoś obficie spryskał je farbą w spreju.

- Święta Mario, Matko Boża - mruknął pod nosem Tony.

Malone podzielał jego uczucia, nawet jeśli nie wyraził tego głośno. Skupił uwagę na miejscu zdarzenia. Doliczył się dwunastu witraży. Każdy z nich, wysoki i wąski, musiał mierzyć około trzech i pół na półtora metra. Przedstawiały sceny z życia Chrystusa.

Cofnął się nieco, by obejrzeć napis w pierwszym oknie po lewej stronie, potem odwrócił głowę ku następnemu i w ten sposób zatoczył wzrokiem łuk aż po ostatni witraż. Na każdym z jedenastu paneli znalazło się jedno lub dwa słowa, ukryte wśród przypadkowych kresek i kształtów. Na dwunastym sprawca wymalował schematyczną uśmiechniętą buźkę.

- Popatrz, Tony. Zostawił nam wiadomość. „I powtórnie przyjdzie w chwale sędzić żywych i

umarłych, a królestwu Jego nie będzie końca”.

- Wielkie nieba, jeden z Malone'ów! - rozległ się męski głos.

Spencer odwrócił się. Stał za nim detektyw Terry Landry, uśmiechając się szeroko.

- Witaj, Landry, co u ciebie? - spytał Spencer.

- Znakomicie. - Energicznie klepnął go po plecach i uśmiechnął się do Tony'ego. - A ty co tu robisz? Myślałem, że od dzisiaj się byczysz.

- To moje ostatnie podrygi. Poza tym nie mogłem zostawić Malone'a samego. Wydziałowi zależy na tym, żeby sprawa została szybko wyjaśniona.

Landry roześmiał się i spojrzał na Spencera.

- Kto wylosował zapałkę bez łebka?

Malone wiedział, że chodzi o jego nowego współpracownika. Znał krążącą po wydziale plotkę, dotyczącą Landry'ego.

- Bayle.

- Karin Bayle?

- Nie kto inny.

Mina Landry'ego była wymowna.

- Nie wiedziałem, że jej urlop zdrowotny dobiegł końca.

- Oficjalnie wraca jutro.

Landry chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Malone nie dopuścił go do słowa.

- Dzięki, że po nas zadzwoniłeś. Są tu wszelkie oznaki obłędu.

- Nie ja was wezwałem, tylko kapitan. - Odwrócił się do ołtarza. - Widzieliście ofiarę?

- Właśnie idziemy zobaczyć.

Landry skinął głową i razem ruszyli.

- Ciało znalazła zakonnica kilka godzin temu.

Przed ołtarzem główną nawę przecinał transept*. Ciało leżało w jego prawej części, niedaleko bocznego wyjścia. Podchodząc, Malone usiłował się odciąć od panującej krzątaniny - trzasków i błysków fleszy, żarcików zaprzyjaźnionych techników - i skupić się wyłącznie na ofierze i miejscu zdarzenia. Chciał usłyszeć, co mu powiedzą.

**Transept - nawa poprzeczna w kościele, prostopadła do osi głównej budowli, na ogół usytuowana między korpusem nawowym a prezbiterium (przyp. red.).*

Miejsca zbrodni na ogół miały historie do opowiedzenia. Trzeba było ostrożnie je do tego zachęcać. Tylko niektóre z uporem milczały. Był ciekaw, czego dowie się tutaj.

Ofiara leżała twarzą do ziemi. Głowę miała rozbitą z tyłu. Krew spływająca z rany zastygła w pierścieniu siwych włosów, otaczających sklepienie czaszki, i utworzyła ciemną plamę na dywanie. Ręce wyciągnięte do przodu mogły wskazywać na próbę amortyzowania upadku.

Malone kucnął przy ciele. Mężczyzna był stary. Jeśli sądzić po papierowej, upstrzonej plamami skórze na wierzchu dłoni, mógł mieć skończone siedemdziesiąt lat. Był w piżamie i papuciach. Lewy papuc spadł mu z nogi.

Detektyw przeniósł wzrok na boczne drzwi.

- Czemu był w piżamie? - spytał Tony.
- Mieszkał na plebanii - odparł Malone, wstając. - Pewnie wstał w środku nocy, żeby iść do łazienki, zobaczył coś lub kogoś w kościele i przyszedł sprawdzić, co się dzieje.
- Niespodziewanie natknął się na wandala.
- Tak, a potem próbował uciec. Zobacz, w jaki sposób leży. Ręce są wyciągnięte do przodu, a stopy odwrócone podeszwami do góry.

- Czym posłużył się sprawca?
- Panowie! - zawołał policjant w mundurze, stojący przy bocznych drzwiach, i przyzwał ich wyraźnym gestem. - Chyba znaleźliśmy narzędzie zbrodni.

Rozdział 3

wtorek, 9 sierpnia godz. 9.40

W każdej chwili na Mirę Gallier mogły rzucić się złe duchy. Czasem znajdowała siłę, by je odpędzić, obronić się przed ich mrocznymi, dręczącymi wizjami. Przed urąganiem i bezlitosnymi oskarżeniami. Kiedy indziej dopadały ją i wtedy pozostawało tylko gorączkowo szukać sposobu, żeby odebrać im głos i złagodzić ból.

Poprzedniego wieczoru przyszły, ale udało się jej znaleźć drogę ucieczki.

Teraz leżała na boku i beznamiętnie wpatrywała się z łóżka w niewielką rozetę, którą kiedyś przygotowywała w tajemnicy jako ślubny prezent dla przyszłego męża. Zgodnie z tradycją najwspanialszych gotyckich okien wybrała żywe kolory klejnotów. W złożonym i zawiłym projekcie połączyła malowane wizerunki postaci z różnobarwnymi plamami. Dla niej ten witraż był symbolem doskonałej miłości, łączącej ją z Jeffem, i ich nowego, wspaniałego życia we dwoje. Nie przyszło jej do głowy, że to życie szybko i w sposób brutalny zostanie przerwane.

Nie mogła znieść bólu, jaki sprawiało jej teraz przyglądanie się witrażowi, więc przekreśliła się na plecy. Miała ciężką głowę i wrażenie, jakby usta wypełniono jej watą.

Jedenaście miesięcy, trzy tygodnie i cztery dni. Wszystko to poszło w diabły przez jedną niebieską, owalną tabletkę.

Co pomyślałby o niej Jeff? Udawała, że się zastanawia, ale przecież wiedziała. Byłby nią głęboko rozczarowany.

Na pewno jednak nie bardziej niż ona sama sobą.

Zadzwonił telefon komórkowy leżący na nocnym stoliku. Chwyciła za aparat.

- Drugi krąg piekieł. Mówią udręczeni.
- To ty Miro? Tu Deni.

Telefonowała jej asystentka i zarazem przyjaciółka. Wydawała się zbita z tropu.

- A kto miałby odebrać? Mój mąż?
- To nie jest śmieszne.

Nie było. Dała w ten sposób upust złości i żalowi. Jeff nie żył, a ona znowu poszła w tango.

- Przepraszam. Miałam koszmarną noc.
- Chcesz o tym porozmawiać?

Grzmot wody. Wielka ściana wody. Czarna i zimna, brutalna i bezlitosna. Krzyk Jeffa odbijający się echem pod sklepieniem jej czaszki. Wołanie o pomoc. A jej tam nie było. Nie wiedziała, jak wyglądała jego ostatnia chwila. Czy zdążył krzyknąć, poczuć strach? Czy zdawał sobie sprawę z tego, że nadchodzi koniec?

Nigdy się tego nie dowie. Zginął przez nią.

- Nie chcę, ale bardzo ci dziękuję.

Ostatnie słowa wypowiedziała odruchowo takim tonem, jak należało, chociaż nie czuła wdzięczności.

- Znowu wzięłaś, prawda?

W głosie Deni nie było potępienia, tylko litość. Mimo to Mirze cisnęły się na usta różne usprawiedliwienia, tyle razy używane, że mogłaby znaleźć je przez sen. Budziły w niej obrzydzenie. Przecież już z tym skończyła.

- Tak.

Przez dłuższą chwilę Deni milczała.

- Rozumiem, że trzeba przełożyć twój wywiad - powiedziała w końcu.

- Jaki wywiad?

- Z Libby Gardner z Channel Twelve, lokalnej filii PBS. Na temat witrażu z Marią Magdaleną. Ona już przyszła.

Mira nagle sobie przypomniała. Pracę nad restauracją tego witrażu wybrano jako temat jednego z reportaży zaplanowanych przez stację w szóstą rocznicę huraganu Katrina.

- Cholera, zapomniałam. Przepraszam.

- Co mam jej powiedzieć?

- Może prawdę? Że twoja szefowa jest na prochach i nie radzi sobie z życiem.

- Przestań, Miro. To nieprawda.

- Nie?

- Przeżyłaś wielką stratę. Zwróciłaś się...

- Całe cholerne miasto przeżyło tę samą stratę. Życie toczy się dalej - stwierdziła szorstko. - Silni sobie radzą, słabi biorą xanax.

- Chrzaniisz. - Deni sprawiała wrażenie urażonej. - Zobaczę, czy uda mi się przełożyć...

- Nie. Zaczynij z nią rozmawiać. Wyjaśnij, w jaki sposób witraż do nas trafił, opisz, co z nim robiłyśmy, oprowadź ją po pracowni. Zanim skończysz, zdążę dojechać.

- Miro...

- Zaraz będę. Wtedy porozmawiamy.

Przygotowała sobie w kuchni filiżankę mocnej kawy, po czym poszła do łazienki. Gdy ujrzała swoje odbicie w lustrze, zmartwiła. Wyglądała okropnie. Cienie pod orzechowymi oczami, które przybrały ziemisty odcień, kontrastowały z upiornie bladą cerą. Była za chuda, rude włosy

wyglądały jak płomień na końcu zapałki.

Bawełniany podkoszulek po mężu, mający z przodu slogan kibiców, GEAUX SAINTS, używała do spania. Przeciągnęła palcami po spłowiałym nadruku. Jeff nie dożył dnia, gdy jego ukochana drużyna ligi futbolowej NFL zdobyła Super Bowl.

To twoja wina, że on nie żyje. Przekonałaś go, żeby zostać. Pamiętasz, co powiedziałaś? „Przeżyjemy przygodę, Jeff. Będziemy mieli co opowiadać dzieciom i wnukom”.

Włączyła się klimatyzacja. Uderzona strumieniem chłodnego powietrza Mira dostała gęziej skórki. Nie, powiedziała sobie, bzdurne wyrzuty sumienia. Czy nie tak twierdziła doktor Jasper, jej psychoterapeutka? Jeff miał pięćdziesiąt procent udziału w tej decyzji. Wyjechałby, gdyby się sprzeciwił. Wystarczyłoby, by powiedział, że tego chce.

Jego rodzina obciążyla ją winą. Przyjaciele z obu stron zachowali umiar w rzucaniu oskarżeń, ale widziała potępienie w ich oczach. Problem polegał na tym, że ona też się obwiniła. Cokolwiek mówiła jej psychoterapeutka i jakkolwiek wyglądały fakty.

Potoczyła wzrokiem po obrazie zniszczenia w łazience - gruntownie przekopane szuflady, kosmetyczki i torebki. Zupełnie jakby włamali się złodzieje i przewrócili jej dom do góry nogami w poszukiwaniu kosztowności.

Tymczasem zrobiła to sama. Była złodziejem. Z tych jedenastu miesięcy, trzech tygodni i czterech dni obrabowała się bezpowrotnie.

Znów odezwał się jej telefon komórkowy. Zobaczyła, że jeszcze raz woni Deni, niewątpliwie po to, aby powiedzieć, że dziennikarka już wyszła.

- Stało się coś naprawdę złego, Miro.

Mocniej przycisnęła słuchawkę do ucha.

- Chodzi o ojca Giroda... Nie żyje. Zamordowano go.

Przed oczami pojawił jej się obraz pocziwego starego księdza. Zwrócił się do niej po huraganie w sprawie zniszczonych kościelnych witraży. Zaprzyjaźniła się z duchownym podczas żmudnej pracy nad przywróceniem ich do dawnej świetności.

- O Boże! Kto mógłby... Kiedy...
- To jeszcze nie koniec. - Deni nie potrafiła powstrzymać drżenia głosu. - Ten, kto to zrobił, zdevastował witraże.

Rozdział 4

wtorek, 9 sierpnia godz. 13.00

Malone i Tony siedzieli naprzeciwko swojej przełożonej. Znana z przenikliwości kapitan Patti O'Shay w ostatnich latach wykazała również dużą odporność. Zdołała się otrząsnąć po śmierci zamordowanego męża, chaosie Katriny i zdradzie serdecznego przyjaciela.

Malone szanował kapitan O'Shay za to, co osiągnęła jako kobieta w policji, i za sposób, w jaki do tego dążyła. Szła prostą drogą, z wysoko podniesioną głową. Podziwiał jej poświęcenie i determinację, które i teraz malowały się na jej twarzy. Mógł szczerze zaprzeczyć, by jakikolwiek wpływ na szacunek, jakim darzył przełożoną, miały powiązania rodzinne, chociaż kapitan O'Shay była jego ciotką i matką chrzestną.

To nie było zwykłe wezwanie na dywanik w związku z prowadzoną sprawą. Coś się szykowało.

- Powiedzcie mi, czego się dowiedzieliście.
- Wygląda na to, że ofiara zaskoczyła wandalą lub wandalami i wtedy została zabita - zaczął Malone.
- Uderzono ją w tył głowy mosiężnym świecznikiem z ołtarza - dodał Tony - Zabezpieczyliśmy go na miejscu zdarzenia razem z dwoma pojemnikami po farbie w spreju. Tymi dowodami zajmują się

technicy.

- Sprawca zostawił nam wiadomość w postaci graffiti na witrażach: „I powtórnie przyjdzie w chwale sądzić żywych i umarłych, a królestwu Jego nie będzie końca”. Zakończył to przesłanie uśmiechniętą buźką. Niczego nie ukradziono, nie zniszczono niczego poza witrażami.

- Co to może znaczyć? - spytała kapitan O'Shay. - Włamywać się do kościoła tylko po to, żeby pomazać farbą okna?

- Ksiądz zaskoczył sprawcę, zanim ten zdążył zrobić więcej - wysunął przypuszczenie Tony. - Sprawca nie miał w planie zbrodni. Wpadł jednak w panikę i zabił.

- On zrobił coś, co było dla niego naprawdę ważne - stwierdził Malone.

Zamilkli. Fanatyk był bardziej niebezpieczny niż przestępca z bogatą kartoteką. Malone wolałby ścigać zwykłych kryminalistów niż jednego obsesjonata. Maniacka wiara w cel i przeznaczenie była groźna.

- Nie spieszmy się z wnioskami - zaproponowała kapitan O'Shay.- Na razie wygląda na to, że mamy do czynienia z wandalizmem i morderstwem spowodowanym tym, że ktoś znalazł się w niewłaściwym miejscu w nieodpowiednim czasie. - Przeniosła wzrok na Tony'ego. - Pan, detektywie, jest wolny. Może pan iść na pożegnalne przyjęcie.

Tony ani drgnął.

- Dziękuję. Jeśli pani kapitan nie ma nic przeciwko temu, zostanę z naszym spryciarzem dopóty, dopóki nie pojawi się jego nowy współpracownik.

- Niech pan zmyka, detektywie - odparła z uśmiechem O'Shay. - Nasz spryciarz dopilnuje, żeby detektyw Bayle szybko weszła w odpowiedni rytm pracy. Poza tym mnóstwo ludzi chce panu uścisnąć dłoń.

- W takim razie idę. - Tony wstał. - Radź sobie sam, mądralo.

Malone wstał i uściskał przyjaciela. Na usta cisnęły mu się szczerze wyrazy podziękowania za długoletnią współpracę. Poprzestał jednak poklepaniu Tony'ego po plecach.

- Zaraz się zobaczymy - zapowiedział. - Tylko nie zjedz całego tortu.

Gdy za detektywem zamknęły się drzwi, Spencer zwrócił się do przełożonej. Patrzyła na niego wcale nie jak zahartowany oficer policji, lecz jak jego ulubiona ciotka Patti.

- Będzie ci go brakować.

- Oczywiście. Zawsze mnie wspierał.

- Ty go też. Wzajemne zaufanie to podstawa dobrego partnerstwa.

Skrzyżował ramiona na piersi.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Na pewno chcesz wziąć Bayle pod swoje skrzydła?

- Myślałem, że to już ustalone.

- Rozmawiam z tobą jako jednocześnie twoja przełożona i ciotka, przydzielę ją do kogo innego.

Masz dużo na głowie, bo Stacy wciąż się kuruje, a trzeba przygotować ślub.

- Powiedziałem, że się zgadzam. Nie mam zwyczaju cofać danego słowa.

- Bayle załamała się pod naporem obowiązków.

- Wiem o tym. Wiem też, jak się zachowywała podczas huraganu i potem. Jak bohaterka.

- Owszem, ale nie potrafię ocenić, czy pokonała słabość. Szczerze mówiąc, ciebie też nie jestem do końca pewna.

- Podczas Katriny każdy ucierpiał i stał się ofiarą zespołu stresu pourazowego. Potem jeszcze był ten cholerny tankowiec w zatoce i kolejny sezon huraganów. Nic dziwnego, że ona pękła. - Spojrzał na swoje dłonie, a potem znów na kapitan O'Shay. - Ze mną wszystko w porządku.

- Czyżby? Stacy omal nie umarła.

Powinien był wiedzieć, że udaje na próżno. Rzeczywiście nie potrafił się uwolnić od obrazu Stacy w szpitalnym łóżku, bladej jak prześcieradło, walczącej o życie. Najwyraźniej Patti O'Shay nie dała się zwieść. Współczucie złagodziło jej rysy.

- Skoro mowa o bohaterach, to komendant policji nadał Stacy medal za odwagę.

Stacy nawet nie była na służbie. Jej siostra Jane przyjechała do miasta i razem zwiedzały French Quarter*. Stacy przypadkiem zauważyła mężczyznę porywającego dziecko i zareagowała. Dopadła tego człowieka i rzuciła na ziemię. Miał broń, postrzelił ją, kula uszkodziła prawe płuco.

* *French Quarter* - słynna *French Quarter* w Nowym Orleanie, w którym liczne domy mieszkalne i budynki użyteczności publicznej pochodzą z XVIII-XIX w, między innymi *Old Louisiana State Bank* (przyp. red.).

Lekarze nazwali to odumą otwartą. Przy każdym wdechu Stacy wciągała do płuc coraz więcej krwi, a przy każdym wydechu wypluwała z ust krwawą pianę. Groziło jej, że się udusi.

- Myślisz, że mnie to pociesza?

- Ciebie może nie, ale Stacy tak, poza tym zasłużyła na medal. Prawdopodobnie uratowała dziewczynce życie. Gdyby napastnik wciągnął małą do samochodu... Oboje wiemy, jak to się mogło skończyć.

Malone był dumny z refleksu i odwagi Stacy. Nie potrafił sobie jednak wyobrazić, co by zrobił, gdyby ją stracił.

- Wierzę w Bayle. Podtrzymuję swoją decyzję.

- Jak tylko zauważysz, że ona się gubi, to bądź przede wszystkim lojalny wobec mnie i naszego wydziału. Pamiętaj też o własnym bezpieczeństwie. Jasne?

- Całkowicie, pani kapitan.

- Dobrze. Zatem sprawa załatwiona. - Pochyliła się ku niemu. - Ojciec Girod był postacią wyjątkowo lubianą przez parafian uczęszczających do kościoła Sióstr Miłosierdzia oraz całą tamtejszą społeczność. Przez pięćdziesiąt lat stał się kimś nieodzownym. Nagonka w mediach już się zaczęła, więc presja na jak najszybsze zamknięcie śledztwa będzie olbrzymia.

Malone podzielał jej opinię. Dostrzegł oznaki jednego i drugiego. Zanim opuścił teren kościoła, dotarli tam dziennikarze wszystkich lokalnych serwisów informacyjnych. Gromadzili się również przed komendą policji, a nadinspektor Serpas wydał w tej sprawie oświadczenie.

- Jestem osobiście zainteresowana zakończeniem tej sprawy - ciągnęła kapitan O'Shay. - Znałam ojca Giroda. Dorastałam w parafii Sióstr Miłosierdzia i chodziłam tam do szkoły, aż do ósmej klasy. Ojciec Girod udzielił mi chrztu, celebrował mój ślub i służył mi pociechą po śmierci Sammy'ego. Chcę, żeby ten sukinsyn, który go zabił, został złapany, i to szybko!

- Dostaniemy go, ciociu Patti. Obiecuję.

Rozdział 5

środa, 10 sierpnia godz. 7.30

Mira obdzwoniła wszystkich znajomych w parafii Sióstr Miłosierdzia i archidiecezji, ale dowiedziała się niewiele ponad to, co opublikowano w mediach. Ojciec Girod przeszkodził wandalowi, który go zabił. Odmówiono jej dostępu do witraży, nie mogła więc ocenić rozmiaru szkód. Kościół stał się miejscem zbrodni i policja nikogo nie wpuszczała do środka. Mira usiłowała wytłumaczyć, że im prędzej zajmie się naprawą witraży, tym lepiej, ale najwyraźniej to nie było istotne.

Dla ojca Giroda byłoby to ważne. Uwielbiał witraże, a może nawet zginął z ich powodu, Mira nie zamierzała więc siedzieć z założonymi rękami. Przez pewien czas starała się skoncentrować na

innych sprawach: odłożonym wywiadzie dla PBS, nowym zleceniu na konserwację w Hammond, zapasach materiałów w pracowni.

Cierpliwość jest cnotą. Pod tym względem Mira nie uważała się za osobę szczególnie cnotliwą. Dlatego też znalazła się w miejskiej komendzie policji.

Skierowano ją do detektywa Spencera Malone'a.

- Muszę z nim porozmawiać - oznajmiła policjantce urzędującej w dyżurce. - Chodzi o sprawę ojca Giroda.

Kobieta przyglądała jej się przez chwilę, po czym skinęła głową.

- Proszę wpisać się do książki.

Podniosła słuchawkę telefonu i powiedziała:

- Przyszła pani Mira Gallier do detektywa Malone'a. Mówi, że w sprawie morderstwa Giroda.

Chwilę później Mira przekroczyła bramkę i ruszyła na drugie piętro. Ciemnowłosego mężczyznę czekał na nią przy windzie. Był bardzo przystojny, jedynym mankamentem był nos, bez wątpienia kilkakrotnie złamany. Uśmiechnął się do niej i wyciągnął rękę na powitanie.

- Detektyw Spencer Malone.

Uścisnęła mu dłoń przeświadczona, że już go kiedyś widziała.

- Mira Gallier - przedstawiła się, bez powodzenia usiłując przypomnieć sobie, gdzie wcześniej się spotkali. Minione sześć lat pamiętała jak przez mgłę.

Policjant wskazał w prawo.

- Do mnie proszę tędy. Może kawy albo...

- Dziękuję, nie będę piła kawy.

Pokój okazał się boksem wygrodzonym ściankami działowymi. Stały tam zarzucone papierami biurko, szafka i dwa krzesła.

- Proszę usiąść - zwrócił się do niej detektyw i zajął miejsce za biurkiem. Przechylił głowę i zaczął jej się przyglądać. - Chyba się znamy - powiedział.

- Odniosłam podobne wrażenie, ale nie przypominałam sobie, w jakich okolicznościach się poznaliśmy.

- Często miała pani do czynienia z przedstawicielami prawa?

Wiedziała, że chciał zażartować. Przypadkiem jednak trafił.

- Tak, w związku z Katriną. - Splotła dłonie na kolanach. - Mój mąż zaginął podczas huraganu.

- Mam nadzieję, że go pani odnalazła.

- W St Gabriel - odrzekła, mając na myśli wielką prowizoryczną kostnicę, którą uruchomiono do przechowywania ciał ofiar huraganu.

- Przykro mi.

- Mnie też.

Zerknął na nią badawczo, a potem otworzył notes.

- Podobno ma pani informacje związane z zamordowaniem ojca Giroda.

- Niezupełnie. Dyżurnej powiedziałam, że chcę z panem porozmawiać.

Odłożył długopis, wyraźnie zirytowany.

- W czym mogę pani pomóc?

- Kościół jest teraz, jak rozumiem, miejscem zbrodni. Muszę jednak dostać się do środka.

- Czy wolno spytać, po co?

- Z powodu witraży. Rekonstruowałam je po Katrinie. Wiem, że wandal dokonał zniszczeń, i chciałam się przekonać jakich.

Skinął głową i sięgnął do teczek spiętrzonych po prawej stronie biurka. Wybrał jedną, wyciągnął kilka fotografii i rozłożył je na blacie.

Wyglądało to gorzej, niż Mira się spodziewała. W kilku oknach farbą zamazano przynajmniej trzydzieści procent powierzchni. Uśmiechnięta buźka podziałała na nią niczym kropla przepelniająca czarę goryczy. Do oczu napłynęły jej łzy. Gdy podniosła wzrok, przekonała się, że detektyw bacznie ją obserwuje.

- Pani naprawdę zależy na tych witrażach.
- To trudno wyjaśnić. - Pociągnęła nosem, więc podał jej paczkę chusteczek. - Po huraganie, po tych zniszczeniach w całym mieście... Nie tylko budynki i witraże legły w gruzach, także życie wielu ludzi. Moje też. Dziwne, bo kiedy pracowałam nad witrażami, czułam się tak, jakby z każdym odzyskanym witrażem częśćka mojego życia wracała na swoje miejsce. Włożyłam w nie mnóstwo wysiłku, to była moja krwawica. - Wyjęła następną chusteczkę i otarła oczy. - Jak ktoś mógł tak je zbezczęścić!

- Czy domyśla się pani, kto mógł to zrobić?
Zamrugnęła powiekami, aby powstrzymać łzy.
- Nie.
- „I powtórnie przyjdzie w chwale sądzić żywych i umarłych, a królestwu Jego nie będzie końca”.
Mówi to pani coś?

- To fragment wyznania wiary.
- Proszę uważnie popatrzeć na te zdjęcia. Widzi pani?
Właśnie miała spytać, o co mu chodzi, gdy stało się to dla niej jasne.
- O Boże.
- Ma pani pomysł, dlaczego ten człowiek zostawił nam takie przesłanie?
- Żadnego.
- Gdzie spędziła pani wczorajszy wieczór?

- Wczorajszy wieczór? Dlaczego pan pyta?
- Prowadzę dochodzenie w sprawie morderstwa. Szczerze mówiąc, zainteresowało mnie, dlaczego tak poruszyło panią pomazanie witraży farbą, chociaż, jak mi się wydaje, śmierć człowieka nie robi na pani wrażenia.

Mira zaczerwieniła się ze złości.

- To nieprawda! Pan niczego nie rozumie!

Odchylił się na krześle.

- Proszę mi więc wytłumaczyć.

- Jestem wstrząśnięta śmiercią ojca Giroda. To był wspaniały człowiek, ale już nie mogę mu pomóc. - Pochyliła się naprzód, zaciskając dłonie w pięści. - Natomiast potrafię uratować witraże. Ksiądz bardzo je lubił. Ich odnowienie było dla niego niezwykle ważne. - Mira usiłowała zapanować nad emocjami. - Jeśli ktoś pomazał witraże sprejem, trzeba jak najszybciej usunąć zanieczyszczenia. Pod wpływem wysokiej temperatury farba mocno przywiera do powierzchni szkła, a nie wiem, czy pan zauważył, że jest sierpień. - Wstała. - Aha, byłam w domu sama. Nie mam alibi.

- Ostatnie pytanie - odezwał się Malone. - Czy zna pani kogoś, kto nienawidzi panią na tyle, aby coś takiego zrobić?

Być może ojciec Jeffa, pomyślała. Jednak to byłoby szaleństwo nawet jak na niego.

- Nie.

- Za kilka godzin będzie pani mogła wejść do kościoła.

- Dziękuję, detektywie.

Mira odwróciła się i w drzwiach ujrzała kobietę, wysoką blondynkę z półkrótkimi włosami.

- Cześć! - rzuciła blondynka.

- Pani Gallier, to jest moja współpracownica, detektyw Karin Bayle.

- Miło mi panią poznać - powiedziała Mira.

- Mnie panią również.

Mira zerknęła na detektywa Malone'a.

- Dziękuję za pomoc.

- Proszę wziąć mój bilet wizytowy - podniósł się zza biurka zatelefonować do mnie, gdyby wydarzyło się coś niepokojącego.

Rozdział 6

środa, 10 sierpnia godz. 8.00

- Dzień dobry. - Spencer powitał Bayle skinieniem dłoni. - Przyszłaś w najbardziej odpowiedniej chwili.

- Byłabym wcześniej, ale chciała ze mną porozmawiać kapitan O'Shay. Nie do końca wierzy, że odzyskałam pełną sprawność.

- A odzyskałaś?

- Oczywiście.

- To dobrze, bo mamy dużo pracy.

- Zanim jeszcze... Słuchaj, Spencer, dziękuję ci za to, że mnie wzięłeś do tej roboty.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Zresztą, potrzebuję kogoś do pary.

- Naprawdę bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało.

- Nie musisz o tym mówić.

- Ale chcę. Zawiodłam zaufanie partnera. - Pochwyciła jego spojrzenie. - Mam szczęście, że wydział mnie przyjął.

- Wróciłaś, bo jesteś dobra. Poza tym jesteś też człowiekiem.
 - Dzięki. - Roześmiała się bez przekonania. - Powiedz to wszystkim, którzy tu pracują. Dzisiaj rano mój widok raczej nie wzbudził ich zachwytu. Na pewno jeszcze o tym usłyszysz.
 - Jakoś to zniosę.
 - Cieszę się. - Wskazała kciukiem ku drzwiom, które pozostały otwarte. - Kto to?
 - Mira Gallier. Przyszła porozmawiać ze mną o tym, co stało się w kościele Sióstr Miłosierdzia. Ściślej mówiąc, chodziło jej o witraże. Restaurowała je po huraganie i teraz się o nie martwi.
 - Nie interesuje jej ujęcie mordercy ojca Giroda? Ciekawe.
 - Wyjaśniła mi, że jest wstrząśnięta zabójstwem księdza, ale nie może mu pomóc. Natomiast witrażom tak.
 - Myślisz, że jest z tym jakoś związana?
 - Nie sądzę, ale niczego nie wykluczam.
 - Wprowadź mnie w sprawę.
- Bayle usiadła naprzeciwko Malone'a, który podał jej teczkę. Słuchając, przeglądała notatki sporządzone przez niego i Tony'ego. Gdy zamilkł, stwierdziła:
- Wydaje mi się, że to nie był przypadek.
 - Jestem podobnego zdania. Przesłuchaliśmy kilka osób. Powinniśmy zarzucić sieć szerzej.
- Skinęła głową.
- Krewny z urazą. Może parafianin pełen pretensji albo jakiś uczeń. Kościół Sióstr Miłosierdzia prowadzi szkołę średnią, więc może ktoś, kto nie dostał promocji. Mógł wymyślić sobie, że odegra się, mażąc im sprejem po odnowionych witrażach...
 - ...i nie spodziewał się, że ojciec Girod złapie go na gorącym uczynku - dokończył Malone.
 - Tak, co gorsza, ksiądz go poznał.

- Spanikował i uderzył staruszką w głowę.
- Właśnie tak to sobie wyobraziłam. - Bayle się uśmiechnęła się. - Może coś wyjdzie z naszej współpracy.

Malone odwzajemnił uśmiech i podniósł się z krzesła.

- Nigdy w to nie wątpiłem. Potrafiliśmy się dogadać ze Stacy, więc i ze sobą się porozumiemy.
- A może to Stacy umiała dogadać się z nami? Jak myślisz? - Bayle również wstała.
- Jeśli tak, to marny nasz los.

Gdy przechodzili przez salę odpraw, zapadła nagła cisza. Małostkowe dupki, uznał w duchu Malone. Zupełnie jakby żaden z nich nie miał na swoim koncie grubej wpadki.

- Ej, wy tam. - Przystanął i potoczył wzrokiem dookoła. - Macie jakiś problem?

Nie sądził, by ktoś chciał mu odpowiedzieć, więc skierował się do drzwi i wyszedł.

- Nie musiałeś tego robić - zauważyła Karin.
- Za nic nie straciłbym takiej okazji.
- Nic dziwnego, że Stacy jest szczęśliwa - powiedziała lekkim tonem. - A właśnie, co u niej? Wczoraj wpadłam do was, ale nie miałyśmy okazji pogadać, bo mama powiedziała, że Stacy śpi.

- Powoli coraz lepiej.
- Wiesz, kiedy wróci do pracy?
- Lekarze jeszcze nie są zdecydowani, ale prawdopodobnie pod koniec tego miesiąca. Jeśli sama będzie miała coś do powiedzenia, to wcześniej.

- To właśnie jest Stacy, którą znam i kocham - oznajmiła Karin.

Malone też kochał Stacy. Nawet za jej upór, który czasem doprowadzał go do szału.

- Widzę, że to trudny temat - dodała. - Przepraszam, że go poruszyłam.
- Nie szkodzi. Stacy śmiertelnie mnie przestraszyła, to wszystko. - Zamilkł na chwilę. - Chyba

bym oszalał, gdybym ją stracił.

Weszli do pustej windy. Gdy drzwi się zamknęły, Bayle spojrzała Malone'owi w oczy.

- Doskonale cię rozumiem.

Rozdział 7

czwartek, 11 sierpnia godz. 9.05

Zaczęli od sekretarki parafii. Malone nieraz się przekonał, że osoba zajmująca miejsce za biurkiem sekretariatu jest najlepiej poinformowanym pracownikiem firmy. Wprawdzie nie ma wglądu w poufne protokoły ani dokumenty finansowe, ale zna ludzi, wie wszystko o ich osobowości, problemach i życiowych dramatach.

Jak na ironię losu, parafie często były terenem konfliktów. Malone tłumaczył to sobie w ten sposób, że w skupionej wokół kościoła społeczności panowały niemal rodzinne stosunki, a nikt nie potrafi zirytować bardziej niż krewni.

Vicky Gravier zajmowała pozycję na frontowej linii. Wszystko, co działo się w parafii, prędzej czy później docierało do niej.

Gdy weszli, podniosła głowę. Miała czerwone i zapuchnięte od płaczu oczy.

- Pani Gravier? Jestem detektyw Malone, a to moja koleżanka, detektyw Bayle.

Skinęła głową.

- Pamiętam pana. - Do oczu znowu napłynęły jej łzy, więc szybko wyciągnęła chusteczkę z leżącej na biurku paczuszki. - Nie mogę przestać płakać.

- Jest nam bardzo przykro z powodu pani straty.

- To strata dla wszystkich. - Głośno wydmuchała nos. - On był praktycznie święty. Wszyscy go kochali.

- Pani Gravier...
 - Mam na imię Vicky i tak mnie wszyscy nazywają, z wyjątkiem dzieci, które zwracają się do mnie „pani Vicky”.
 - Jak pani wie, staramy się ująć sprawcę, żeby postawić go przed sądem. Liczymy na pani pomoc.
 - Jak mogę się wam przydać?
 - Wczoraj powiedziała mi pani, że pracuje na stanowisku sekretarza parafii Sióstr Miłosierdzia od sześciu lat.
 - Tak. Przejęłam to miejsce po Bei, która poszła na emeryturę.
 - Zakładamy, że dzięki temu stanowisku zna pani niemal wszystkich, którzy przychodzą się modlić do kościoła Sióstr Miłosierdzia.
 - To bardzo duża parafia, ale tych, którzy przychodzą regularnie, znam z imienia i nazwiska.
 - Prawdopodobnie wie pani również o wszystkim, co się tutaj dzieje.
 - Na tym polega moja praca. Z tym że szkołą się nie zajmuję. Mają swoją „panią Vicky”.
 - Nosi to samo imię?
- Zaczerwieniła się.
- Nie, nazywa się Anna Herbert. Chciałam powiedzieć, że to ktoś, kto ma podobne obowiązki.
 - Rozumiem. Zapewne orientuje się pani w problemach parafian i zna pani przyczyny ich kłopotów. Mam rację?
 - Tak, ale nie jestem wścibska - zastrzegła się nieco zakłopotana Vicky Gravier. - Po prostu jestem na miejscu.
 - Dlatego detektyw Bayle i ja chcieliśmy panią odwiedzić. Wydaje nam się, że zbrodnia nie była przypadkowa. Uważamy, że napastnik specjalnie wybrał kościół Sióstr Miłosierdzia.

Bayle włączyła się do rozmowy.

- Jesteśmy przeświadczeni, że sprawcą mógł być człowiek, który czuł niechęć do ojca Giroda. Czy ktoś taki przychodzi pani na myśl?

- W każdej społeczności są ludzie, którzy mają zastrzeżenia do określonych poczynań i decyzji.

- Na przykład?

- Choćby do sposobu wydatkowania funduszy parafialnych. Są też skargi na skład różnych komisji i komitetów. Nawet na to, za kogo modli się ksiądz i jak długo składa wizytę w czyimś domu.

- Zacznijmy od pieniędzy. Czy ktoś protestował przeciwko finansowaniu przez parafię odnowienia witraży?

- Lwią część strat pokryło ubezpieczenie, resztę ofiarował darczyńca. Zdaje mi się, że kilku członków rady namawiało księdza, żeby przeznaczył pieniądze z ubezpieczenia na inne naprawy, ale zostali przegłosowani. Jednak doszło do niesnasek.

- Czy sądzi pani, że ktoś z nich mógł zniszczyć witraże?

- Nie chcę plotkować. To grzech, państwo na pewno to wiedzą.

- Mówienie prawdy nie jest plotkowaniem - zapewnił ją Malone. - Naturalnie, nie mogę się wypowiadać za Pana Boga, ale podzielenie się wiedzą, która może pomóc w ujęciu mordercy, nie wydaje mi się grzechem.

- Faktycznie - zgodziła się Vicky. - Szczególnie zajadli byli dwaj mężczyźni. Nawet jeden z nich opuścił parafię. Nie wyobrażam sobie, by któryś z nich mógł popełnić zbrodnię.

- Jak dawno toczył się ten spór?

- Trzy lata temu.

- Czy mogę dostać ich dane, żeby móc się skontaktować?

- Proszę poczekać.

Znalazła potrzebne informacje i wypisała nazwiska i adresy. Przesunęła kartkę po blacie.

- Paul Snyder to człowiek, który odszedł z parafii. Oto adres, którym dysponujemy.

Malone podziękował i zapytał:

- A może ostatnio doszło do zatargów ojca Giroda z wiernymi? Czy w obrębie parafii odnotowaliście nieporozumienia lub konflikty?

- Owszem - odparła po namyśle Vicky - Wieloletni parafianin nie krył urazy do ojca Giroda. Twierdził, że nie zrobił dostatecznie dużo, by pomóc jego synowi.

- Co się stało? - spytała Bayle.

- Jego syn zginął w wypadku samochodowym. Miał zaledwie dwadzieścia jeden lat. - Przeżegnała się. - To była tragedia, wszyscy głęboko ją przeżyliśmy.

- Dlaczego ten człowiek obwinił ojca Giroda?

- Tim, tak nazywał się chłopak, od lat był uzależniony od alkoholu i narkotyków. Któregoś popołudnia jego ojciec przyjechał tu, szukając księdza Giroda. Był przerażony. Twierdził, że sytuacja jest krytyczna, bo syn wziął narkotyk, po którym stał się agresywny. Ojciec Girod potrafił dotrzeć do chłopca. Emanował dobrocią i spokojem, który udzielał się każdemu, kto był w pobliżu.

- Vicky znowu miała łzy w oczach. Zamilkła i po chwili podjęła: - Nie dostał się na miejsce dostatecznie szybko. Tim zdążył zabrać z domu samochód. Jadąc, stracił panowanie nad kierownicą i uderzył w drzewo. Zginął na miejscu.

Malone wymienił spojrzenia z Bayle. Nieznacznie skinęła głową. Należało porozmawiać z ojcem Timą, i to jak najszybciej.

- Kiedy wydarzyło się to nieszczęście? - spytał Malone.

- Kilka miesięcy temu. Zaraz sprawdzę... Pogrzeb odbył się w ten sam weekend, co uroczystość

zakończenia roku szkolnego. Taki smutny zbieg okoliczności.

- Będziemy potrzebowali danych jego rodziców, także dalszych krewnych, jeśli tacy są.
- Tim był jedynym dzieckiem Earla i Joy Thibaultów - wyjaśniła Vicky i zaniepokojona spytała: - Czy to konieczne? Nadal są w żałobie, nie chciałabym dodawać im strapiień.
- Musimy z nimi porozmawiać. Obiecuję, że będziemy delikatni.

Rozdział 8

czwartek, 11 sierpnia godz. 10.10

Przed opuszczeniem kościelnego terenu Bayle i Malone odwiedzili Annę Herbert. Okazała się równie chętna do pomocy jak Vicky Gravier i podała im nazwiska kilkorga niezadowolonych rodziców a także pół tuzina uczniów, którzy mieli rozmaite kłopoty. Uznali, że ze wszystkich tych tropów najważniejszy prowadził do Earla Thibaulta.

Rodzina mieszkała przy Carrollton Avenue, niedaleko City Park. Zgodnie ze stylem panującym w tej okolicy ich dom przypominał stojący na wysokiej podmurówce bungalow, od frontu ozdobiony obszernym gankiem. Nie wyróżniał się niczym specjalnym, ale wyglądał solidnie i bez wątpienia należał do solidnych członków klasy średniej.

Niespiesznie wspięli się na schody. Rozmowa z rodzicami pozostającymi w żałobie po śmierci dziecka nie należała do łatwych. Wprawdzie Malone nie był ojcem, ale potrafił wyobrazić sobie, jak niewiarygodnie głęboki jest ból po stracie dziecka. Gdy stanęli na ganku, zerknął na Bayle.

- Ty czy ja?
- Ty.

Skinął głową i zadzwonił. W progu stanęła kobieta ubrana w ochlapane farbą szorty, bawełnianą koszulkę i drewniaki.

- Pani Joy Thibault?
- Tak, słucham.
- Detektywi Bayle i Malone z nowoorleańskiej policji. - Spencer Pokazał swoją odznakę, Karin zrobiła to samo. - Musimy zadać kilka pytań pani i jej mężowi.
Przez chwilę spoglądała na niego, to na Bayle.
- W jakiej sprawie?
- Morderstwa ojca Giroda.
- Proszę wejść. Na dworze jest zbyt gorąco.
Odsunęła się, by zrobić miejsce, po czym zamknęła drzwi. Świeży zapach farby był intensywny.
- Małe odnawianie? - zapytał z uśmiechem Malone.
- Trzeba się czymś zająć.
Gestem zaprosiła ich dalej. Weszli do dużej, jasnej kuchni.
- Proszę usiąść - odezwała się znowu. - Czy ktoś z państwa chciałby czegoś się napić? Może być woda albo mrożona herbata.
Oboje podziękowali. Pani domu nalała sobie mrożonej herbaty, po czym zagała:
- Biedny ojciec Girod. To był serdeczny pełen miłości dla ludzi człowiek. Prawdziwy duchowny. - Zamilkła, po czym dodała: - Wasza wizyta nie jest dla mnie niespodzianką.
- Dlaczego, pani Thibault?
- Szukacie kogoś, kto mógł mieć pretensje do ojca Giroda. Mój mąż bez wątpienia spełnia to kryterium.
- A pani nie?
- Nie. Dość dawno pogodziłam się z drogą, którą wybrał nasz syn. Nie pochwalałam tego i nie akceptowałam, ale musiałam mu pozwolić. - Głos zaczął jej się łamać, więc przeprosiła i sięgnęła

po chusteczkę. - To nie oznacza, że go skreśliłam czy przestałam kochać. Powierzyłam go Bogu.

- Przykro mi z powodu państwa straty.
- Dziękuję. - Przytknęła chusteczkę do nosa. - Earl nie był w stanie zrobić tego co ja. Nigdy się nie poddaje. Wciąż obciąża się winą.

- Czy mąż jest w domu?
- Tak. - Upiła łyk napoju, kostki lodu zadzwoniły o szklanekę. - Został niedawno zwolniony z firmy, w której solidnie przepracował szesnaście lat. Podziękowali mu, nie zważając na to, co przeszedł w związku z tragiczną śmiercią syna. - Pokręciła głową. - Bóg jednak ma swoje plany, prawda? A ja muszę ufać, że te plany wyjdą nam na dobre. - Roześmiała się wyraźnie zakłopotana. - Po waszych minach widzę, że uważacie, iż strata dziecka odebrała mi trzeźwość myślenia.

- Daleko nam do tego - zapewnił Malone. - Prawdę mówiąc, chciałbym móc wierzyć tak jak pani.
- Będę się za pana modlić, detektywie.
- Szukamy pani męża - przypomniał detektyw. - Chcemy zadać mu kilka pytań.
- Oczywiście. Zaraz go zawołam.

Wróciła po kilku minutach sama. Pokazała jednak, żeby szli za nią.

- Zapraszam.

Pan Thibault siedział na obrotowym krześle w pokoju, który niewątpliwie należał kiedyś do ich syna. Meble zostały tu odsunięte od ścian ku środkowi pomieszczenia. Niektóre okryto płachtami malarskimi, podobnie jak podłogę. Na ścianach widać było świeżą warstwę farby w kolorze cytrynowym.

- Pomalowała jego pokój - odezwał się Earl. - Usunęła stąd jego zapach.
- Panie Thibault, jestem detektyw Malone, a to detektyw Bayle. Policja nowoorleańska.

- Wiem, kim jesteście. Joy mi powiedziała.

- Musimy zadać panu kilka pytań.

Mężczyzna nie odpowiedział, więc Malone mówił dalej:

- Czy wie pan, że we wtorek nad ranem ktoś zniszczył witraże w kościele Sióstr Miłosierdzia? I że ten sam człowiek zamordował ojca Giroda?

- Słyszałem o tym.

- Gdzie pan był w nocy z poniedziałku na wtorek, panie Thibault?

- Tutaj.

- W domu?

- Nie - poprawił Malone'a. - Tutaj, w pokoju Timmy'ego.

- Czy mogę zobaczyć pańskie dłonie, panie Thibault?

Wyciągnął je przed siebie. Lekko drżały Farba w spreju, którą zafalowano witraże, musiała zostawić widoczne ślady pod paznokciami i przy paznokciach. Nie sposób było całkowicie jej usunąć nawet z pomocą rozpuszczalnika.

Malone przeprowadził staranne oględziny. Dłonie były czyste.

- Nie zrobiłem tego. Szkoda. Może poczułbym się lepiej.

- Wcale tak nie myślisz, Earl.

Spojrzał na żonę ze zboląłym wyrazem twarzy.

- Nie mów mi, co myślę. Przecież tego nie wiesz.

Malone zerknął na Joy; zrobiła urażoną minę.

- Podobno obciążał pan ojca Giroda winą za śmierć waszego syna - powiedział.

- Jeśli przerzuci się winę na kogoś innego, to robi się lżej na duszy.

- Dlaczego, panie Thibault?

- Bo przestaje się mieć pretensję do siebie.

Zatrzęsły mu się ramiona od bezgłośnego płaczu.

Malone popatrzył na Bayle i dyskretnie pokręcił głową. Zrozpaczony ojciec nie odczuwał złości, jedynie żal.

- Dziękujemy, panie Thibault. Bardzo przepraszamy, że pana niepokoiiliśmy.

Nie odpowiedział, a jego żona odprowadziła ich do wyjścia. Malone zwrócił się do niej, gdy dotarli do wyjściowych drzwi.

- Przykro mi, że muszę o to prosić, ale czy mogę zobaczyć pani ręce?

W milczeniu wysunęła je przed siebie. Skóra dłoni, nadgarstków i przedramion była upstrzona cytrynowymi plamkami, innych śladów jednak nie było.

- Czy państwo zgodzą się na zdjęcie odcisków linii papilarnych? Chcielibyśmy oficjalnie wyeliminować państwa z grona podejrzanych.

Pani Thibault wyglądała na zaskoczoną, ale skinęła głową.

- Naturalnie, jeśli tylko to w czymś pomoże.

Podziękował jej i oboje z Bayle poszli do samochodu. Nie rozmawiali dopóty, dopóki nie usiedli w fotelach i zapięli się pasami. Bayle uruchomiła silnik i zerknęła kątem oka na Malone'a.

- Myślicie ze Stacy o dzieciach? - spytała.

- Po tym, co się stało, skłaniam się ku rezygnacji z potomstwa.

- Świat jest kompletnie popieprzony.

- Wolę zachować trochę nadziei.

- Podobnie jak pani Thibault.

Popatrzył na Bayle, zaskoczony złością bijącą z jej głosu.

- Szczerze mówiąc, gdybym miał wybierać między jej postawą a męża, poszedłbym w jej ślady.

Ona jest górą.

- Dokąd teraz? - Bayle zmieniła temat.
- Do następnej osoby z listy.

Rozdział 9

czwartek, 11 sierpnia godz. 11.50

Mira stała wpatrzona w witraże kościoła Sióstr Miłosierdzia. Razem z Deni i jej chłopakiem Chrisem przez ostatnie trzydzieści sześć godzin przywracali witrażom ich dawny wygląd. W powietrzu unosił się zapach acetonu, którym czyścili szkło.

- Zwycięstwo - powiedziała Mira, spoglądając na stojącą obok Deni. - Czuję się, jakbym pokonała samego diabła.

Przyjaciółka uśmiechnęła się.

- Wspaniałe uczucie, prawda?
- Tak. Gdyby nie to, że z trudem się poruszam, wykonałabym dziki taniec radości.
- Masz siłę na wycieczkę do Corner Bar?

Czyszczenie witraży wyczerpało Mirę zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Pracowała w masce tlenowej, która była niewygodna, bolały ją mięśnie od nieustannie powtarzanego tego samego ruchu, plecy i stopy dotkliwie odczuły półtorej doby balansowania na drabinie, a oczy piekły od wyężdżania wzroku, aby na szkle nie została najmniejsza plamka farby.

Mimo to wiedziała, że nie zdołałaby teraz zasnąć.

- W takiej sytuacji wypicie drinka jest obowiązuje.
 - Jakże one są piękne - zachwycił się Chris. - Ojciec Girod byłby zadowolony.
- Mira uśmiechnęła się do niego.

- Wolę myśleć, że jest zadowolony.
- Deni ujęła Chrisa pod ramię.
- Chcemy się wspomóc alkoholem.
 - Podoba mi się ten pomysł. Idziemy do Corner Bar?
 - A jest tu inny?
 - Załadunek samochodu skończony - poinformował Chris. - Spakowałem wszystko z wyjątkiem naszych strojów ochronnych.
 - A więc jedźmy - powiedziała Mira.
- Chris z Deni wyszli przed nią. Została, aby nastawić alarm. Upewniła się także, że zamknęła drzwi, i spotkała się z nimi przy furgonetce. Zdjęli z siebie i schowali ochraniacze, po czym zajęli miejsca w samochodzie, Chris za kierownicą, Deni pośrodku. Bar usytuowany na rogu Willow i Dublin był typową lokalną knajpą. Stali klienci mieszkali lub pracowali o parę kroków stąd. Należała do nich również Mira, ponieważ jej pracownia mieściła się kilka przecznic dalej.
- Gdy weszli, właściciel głośno ich powitał. Odwzajemnili pozdrowienie i podeszli do baru.
- Jak się masz, Sam?
 - W porządku, interes się kręci. - Wytał kontuar. - Co was sprowadza tak późno?
 - Świętujemy zakończenie roboty - odpowiedział Chris, wspinając się na jeden z barowych stołków.
 - Oczyszciliśmy witraże w kościele Sióstr Miłosierdzia - dodała Deni.
- Sam sposepniał.
- Biedny ojciec Girod. Był bardzo przyzwoity.
 - To prawda - przyznała Mira, siadając obok Deni. - Dobrze go znałeś?
 - Od małego chodzę do kościoła Sióstr Miłosierdzia. Chrzcił moje dzieci i pochował Maggie, niech

odpoczywa w pokoju. - Sam się przeżegnał, po czym spytał: - To co zawsze?

Wszyscy troje przytaknęli, przyrządził więc koktajle dla Miry i Deni, a Chrisowi podał piwo. Oprócz napojów postawił przed nimi miseczkę precelków.

- Ojciec Girod miał swoje lata, a mimo to po Katrinie pomagał Wynosić dobytek z zalanych domów, nie zważając na upał. Nie do uwierzenia, prawda?

Zgodnie potwierdzili. Po chwili Sam oddalił się do następnego klienta. Mira uniosła szklanę.

- Za was dwoje, za to, że urobiliście sobie ręce po łokcie. Bez was nie dałabym rady.

- Masz rację - przyznała Deni. - Urodzona nadzorczyni niewolników z ciebie.

Mira się roześmiała.

- Kiedy chodzi o witraże, nie odpuszczam.

- Mnie się podobało - powiedział Chris. - Miałem poczucie, że robię coś ważnego.

- Wspaniałe, prawda?! Wiedziałaś, że ci się spodoba. - Deni uśmiechnęła się szeroko, wyraźnie zadowolona.

To ona wynalazła Chrisa. Był zatrudniony jako złota rączka w diecezji nowoorleańskiej. Poznała go, robiąc dokumentację do witraży w kościele Świętej Rity. Postanowili zacieśnić znajomość, więc zaczęli się spotykać.

- To, że byłeś z nami, Chris, naprawdę miało znaczenie - powiedziała Mira. - Dziękuję ci.

- Czy to znaczy, że jutro możemy pospać? - spytała z nadzieją Deni.

- Owszem. Jeśli chcesz, możesz wziąć cały dzień wolny.

- Taka to nie jestem, ale kilka dodatkowych godzin snu bardzo by się przydało.

Chris i Deni zaczęli rozmawiać o planach na nadchodzący weekend. Mira słuchała ich w milczeniu, sącząc koktajl. Pamiętała, że podobnie było z Jeffem. Pochłaniało ich bycie razem. Ciekawiło ją, czy jeszcze kiedykolwiek przeżyje coś podobnego.

- Wszystko w porządku, Miro?

Popatrzyła na Chrisa i uświadomiła sobie, że od pewnego czasu nie wypowiedziała ani jednego słowa. Nagle poczuła się bardzo zmęczona.

- Nie cierpię być zakałą towarzystwa, ale oczy mi się kleją. W od różnieniu od was muszę wcześniej wstać, bo z samego rana umówiłam się z doktor Jasper.

Terapeutka przeszła z nią niejedno, towarzyszyła jej w najgorszych i najbardziej mrocznych czasach, była z nią na dobre, złe i koszmarne.

- Odwieźć cię do domu? - spytał Chris. - Rano też mogę cię podrzucić.

- Nie ma mowy. Lepiej się wyśpij. Podwieź mnie teraz do firmy, dalej pojedę sama.

Przez chwilę miał taką minę, jakby chciał się sprzeciwić, ale tego nie zrobił. Wszyscy troje pożegnali się z Samem i wyszli na dwór.

Mira zauważyła człowieka skulonego na chodniku przy rogu budynku. Pomyślała, że to jeden z licznych bezdomnych. Siedział z kolanami pod brodą, i jednostajnie się kołysał.

- Biedak - powiedziała. - Może potrzebuje pomocy?

Deni chwyciła ją za ramię.

- Nie zbliżaj się za blisko. Jeśli jest niebezpieczny...

- Daj spokój. - Mira delikatnie odsunęła rękę przyjaciółki. - Co złego mi robi?

- Może czymś zarazić.

- Ona ma rację - poparł Deni Chris.

- Nie wierzę wam.

Ruszyła ku mężczyźnie. Deni została na miejscu, ale Chris wolno podążył za Mirą. Mężczyzna zdawał się nie zwracać na nią uwagi. Z bliska zobaczyła, że ma długie, ciemne, pozlepiane włosy ponieważ głowę opierał na kolanach, całkowicie zasłaniały mu twarz. Nosił wytarty mundur i

wojskowe buty, mimo że był sierpień. Mirze przyszło do głowy, że może to być weteran wojenny.

- Pan chroni owce swoje - powiedział, unosząc głowę. - Nie brak im niczego.

- To prawda - przyznała. - Ale Pan chce również, byśmy wzajemnie sobie pomagali. Jadłeś coś dziś wieczorem?

Gapił się na nią. Sięgnęła do torebki i znalazła w niej dwudziestodolarowy banknot. Wyciągnęła go przed siebie.

- Obiecuj mi, że kupisz za to coś do jedzenia.

- „U was zaś nawet włosy na głowie są wszystkie policzone. Nie bójcie się: jesteście ważniejsi niż wiele wróbli”.

- Miro - odezwał się Chris, dotykając jej łokcia. - Chodźmy.

Zignorowała go.

- Proszę, weź - powiedziała. - Potrzebujesz pomocy, więc nie odejdę dopóty, dopóki nie weźmiesz pieniędzy.

W milczeniu przyglądał jej się jeszcze przez chwilę, po czym wyciągnął rękę i chwycił banknot. Bez słowa schował go do kieszeni munduru i znów położył głowę na kolanach.

- Nawet nie powiedział „dziękuję” - szepnęła Deni, kiedy szła obok Miry do samochodu. - To było nieuprzejme.

- Nie zrobiłam tego dla podziękowań. Na jego miejscu miałabym nadzieję, że ktoś zrobi dla mnie właśnie coś takiego.

Mira uświadomiła sobie, że właściwie jest w podobnej sytuacji. Została sama ze swym bólem. Odcięła się od świata, odmówiła przyjęcia pomocy. Zerknęła jeszcze na mężczyznę: patrzył ich śladem. Wyczuwała jego tęsknotę. Chciał przynależeć, stać się częścią tego świata.

Scisnęła ją w gardle, odwróciła wzrok. Czy odczuła jego, czy swoją tęsknotę?

Rozdział 10

piątek, 12 sierpnia godz. 1.30

Krzyk Stacy sprawił, że Malone ocknął się w jednej chwili. Siedziała obok niego, drżąc na całym ciele. Natychmiast ją przygarnął. Przywarła do niego, a on zaczął ją delikatnie kołysać.

- Już dobrze - powiedział cicho. - Jestem tutaj. Nic ci nie grozi. Stopniowo uspokajała się, jej oddech stawał się równiejszy. Wciąż jednak trzymał ją w ramionach. Nie mógł inaczej. On też przeżywał koszmar, który nocami wracał do Stacy. Zamykał oczy i głęboko oddychając, próbował odzyskać spokój. Martwił się. Zdawało się, że demony coraz bardziej męczyły Stacy, a przecież powinny pomału ją opuszczać. Wysunęła się z jego objęć i podciągnęła prześcieradło pod brodę, a głowę odwróciła w bok.

- Nie rób tego - szepnął. - Nie oddalaj się ode mnie.

- Wyobrażam sobie, co myślisz. - Popatrzyła na niego oczami pełnymi łez. - Zakochałeś się w energicznej, pewnej siebie kobiecie, a teraz masz do czynienia z... babską galaretą.

Roześmiał się i przygarnął ją do siebie.

- A cóż to, do pioruna, jest babska galareta?

- Właśnie ja. Płaczliwa i strachliwa. Bojąca się własnego cienia.

- Posłuchaj. - Odwrócił lekko Stacy, by móc spojrzeć jej w oczy. - Rzeczywiście, pokochałem w tobie zawadiakę. Pokochałem również osobę, która w każdej chwili jest gotowa spieszyć ludziom na ratunek. Także tę, którą wzruszają melodramaty i każe mi sobie towarzyszyć podczas ich oglądania. Pokochałem twoją nieposzlakowaną uczciwość i obiektywizm, chęć poświęcenia się dla rodziny i prawość.

Przytknął czoło do jej czoła.

- Stacy Killian, kocham każdą cząstkę ciebie.
- Nawet tę babską galaretę?
- Nawet.

Potarła nosem nos Malone'a.

- Jestem po prostu wspaniała, prawda?

Znów się roześmiał.

- Czy wspomniałem o twoim poczuciu humoru?
- Wcale nie żartowałam.
- Mylisz się.

Pociągnął ją za sobą na łóżko i zaczął czule całować bliznę pod prawą łopatką.

- Pięknie będą wyglądała w sukni ślubnej bez ramiączek.
- Dla mnie ta blizna jest piękna. - Delikatnie przesunął po niej palcami. - Ty też powinnaś ją polubić. Pokaż ją w dniu naszego ślubu. Unieśmiertelnij ją na zdjęciach.
- Kompletnie zwariowałeś.

Oparł się na łokciu i spojrzał na nią z góry.

- Prawdopodobnie uratowałaś życie tej dziewczynce. Nie wahałaś się ani chwili. Zrozumiałaś, co widzisz, i zareagowałaś natychmiast. Dziecko żyje i mieszka z rodzicami tylko dzięki tobie. Jestem niesamowicie dumny z ciebie i z twojej blizny.

Gdy mierzyli się spojrzeniami, Malone widział, jak trudno Stacy opanować emocje.

- Ciągle myślę o tamtym dniu - wyznała. - Zastanawiam się, czy mogłam zrobić coś inaczej.
- Jak to inaczej? Uratowałaś jej życie.
- Pozwoliłam się postrzelić. Omal nie zginęłam. Musiałam go zatrzymać w tłumie ludzi... tam były rodziny z dziećmi. Gdybym wezwała posiłki...

- Ten potwór mógłby tymczasem wsadzić dziewczynkę do samochodu i ślad by po niej zagał. Znasz statystyki. Gdy dziecko znajdzie się w samochodzie, prawdopodobieństwo uratowania go gwałtownie maleje.

- Wiem. - Stacy przeszył dreszcz. - Po tym wszystkim Jane boi się nawet na minutę spuścić dzieci z oczu i budzi się po dziesięć razy w nocy, żeby do nich zajrzeć i sprawdzić, czy wszystko w porządku. Dzieci mają koszmarne sny, bo śni im się ciocia Stacy wykrwawiająca się na chodniku. Naraziłam je na taki widok.

Malone wsunął dłonie w jej włosy. Jasne miękkie pasma niezmiennie kojarzyły mu się z latem.

- Wcale tego nie zrobiłaś, kochanie. To ten cholerny drań je naraził. Ty uratowałaś dziewczynkę.

Gdy Stacy znów się odezwała, w jej tonie pobrzmiwała desperacja.

- Dlaczego ja, Spencer? Dlaczego to właśnie ja tam się znalazłam? Tylu ludzi było dookoła i tylko ja spostrzegłam, że on porywa dziewczynkę. Nawet jej rodzice nie zwrócili uwagi.

- Nie wiem. Bez wątplenia jednak jej rodzice codziennie dziękują Bogu za to, że byłaś czujna. Może w tym, że tam się znalazłaś, wcale nie chodziło o ciebie. Zastanawiałaś się nad tym?

- Jak to?

- Może chodziło o tę dziewczynkę?

Przekręciła się na bok i znów spojrzała mu w oczy.

- Dziękuję ci - szepnęła poruszona.

- Za co?

- Za to, że jesteś i mnie kochasz.

Przyciągnął ją bliżej. Tyle chciał jej powiedzieć o tym, że nie mógłby bez niej żyć i że siła tej miłości go przeraża. Nie umiał jednak tego wyrazić, więc po prostu trzymał ją blisko przy sobie.

Rozdział 11

piątek, 12 sierpnia godz. 8.35

Mira siedziała naprzeciwko doktor Jasper, czując się naładowana energią. Ledwie mogła nadążyć za swoimi myślami, opowiadając o tym, jak przez ostatnie dwie doby, razem z Chrisem i Deni, starała się uratować witraże kościoła Sióstr Miłosierdzia.

Okazało się, że terapeutka słyszała o akcie wandalizmu i morderstwie. Wiadomość wielokrotnie powtarzały wszystkie miejscowe stacje telewizyjne i radiowe. Ojciec Girod był znaną, popularną postacią. Społeczność była wstrząśnięta i oburzona, a pogrzeb duchownego miał charakter manifestacji. Nabożeństwo zostało odprawione w katedrze św. Ludwika na Jackson Square we French Quarter. Żałobnicy wypełnili świątynię do ostatniego miejsca, część z nich musiała stać na placu.

- Detektyw, z którym rozmawiałam, zauważył, że bardziej interesuje mnie skala zniszczenia witraży niż śmierć księdza - powiedziała Mira.

- Naprawdę?

- Tak. - Przesunęła dłońmi tam i z powrotem po udach, pocierając nimi o szorstką powierzchnię dzinsów. - Ojciec Girod uwielbiał te witraże. Dla niego były świętością. On chciałby, żebym tak właśnie postąpiła.

- Jesteś tego pewna?

- Tak. - Mira skinęła głową. - Na sto procent. - Na chwilę zamilkła, zaraz jednak podjęła wątek:

- Detektyw spytał mnie nawet, gdzie byłam tej nocy, kiedy to się stało, i czy uważam, że ktoś mógł to zrobić, żeby się na mnie zemścić.

- Myślisz, że to możliwe?

- Jest tylko jeden człowiek, który mnie do tego stopnia nienawidzi, nie wydaje mi się jednak, by

mógł tak nisko upaść.

- Twój były teść?

Mira przytaknęła.

- Zupełnie nie umiem sobie wyobrazić, że wielki Anton Gallier włamuje się do kościoła, sprejuje witraże i zabija księdza. Naturalnie, mógł kogoś wynająć.

Nad taką możliwością poważnie się zastanawiała. To jednak też nie pasowało jej do teścia, który wolałby sam przyłożyć rękę do aktu okrucieństwa. Pozostawić własne piętno.

- On chciałby zobaczyć moją reakcję. Przekonać się na własne oczy, jak bardzo mi dopiekł.

- I cały ten czas przetrwałaś bez leków? - spytała doktor Jasper.

- Tak.

Mira uświadomiła sobie, że odwróciła wzrok jak winowajczyni. Zbudziła się w środku nocy przytłoczona żalem, czuła, jak morze rozpaczy wciąga ją w głąb. Desperacko szukała leku, który przyniósłby jej ulgę.

Splotła dłonie na kolanach, czując, że w jednej chwili spada z piedestału bohaterki na bruk. Nie dalej jak przed tygodniem rozmawiały z doktor Jasper o zakończeniu ich cotygodniowych spotkań. Mira była na to przygotowana, obie to potwierdzały.

Spojrzała w oczy terapeutki, choć nawet teraz słyszała znajome podszepty, by minąć się z prawdą.

- Padłam w poniedziałek wieczorem, zanim doszło do tragedii.

Doktor Jasper nie była ani zaskoczona, ani rozczarowana. Znała Mirę jak nikt inny od czasów Jeffa i nie szukałaby dla niej usprawiedliwień. Nie wydałaby też potępiającego wyroku.

- Skąd wzięłaś xanax, Miro?

- Nie z ulicy, jeśli o to chodzi. I nie ukradłam przyjaciółce. - W przeszłości próbowała już obu

tych metod, uciekała się też do nachodzenia różnych lekarzy w sprawie rzekomych bólów, aby wyłudzić recepty. - Przekopałam cały dom. W końcu znalazłam zapomnianą pigułkę w torebce.

- A gdybyś nie znalazła? Co wtedy?

Mira zawahała się. Czy nawiązałaby kontakt z jednym ze sprawdzonych źródeł? Wyszłaby z domu w środku nocy sama, nie myśląc o bezpieczeństwie ani o niczym innym oprócz tego, by jak najszybciej odpłynąć? Chciałaby odpowiedzieć na to przecząco. Niestety, nie mogła, co sprawiło, że pomyślała o sobie z pogardą.

Doktor Jasper pochyliła się ku niej.

- Zmierzasz ku wyleczeniu, Miro. To jest proces, długi proces.

- Pieprzę to. Chcę być na siebie wściekła.

- Świetnie sobie radzisz. To już prawie rok.

Doktor Jasper skrzyżowała nogi, czemu towarzyszył szelest materiału. Była ucieleśnieniem elegancji i wypielegnowanego piękna. Choć do swoich trzydziestu trzech lat Mira musiałaby dołożyć jeszcze dziesięć, aby stać się rówieśniczką terapeutki, ich wygląd tego nie zdradzał.

- Jak sądzisz, co sprawiło, że padłaś?

- Sama mi powiedz. Ty się na tym znasz.

Doktor Jasper nie odpowiedziała, ale Mira wcale tego od niej nie oczekiwała. Obie doskonale wiedziały, że udzieliła tej odpowiedzi na odczepnego. Westchnęła.

- Zbudziłam się i poczułam... On tam był. Stał przy łóżku, patrzył na mnie. - Zerknęła na swoje zaciśnięte pięści, oparte na kolanach, po czym spojrzała na terapeutkę. - Przez chwilę myślałam, że może to cała reszta jest snem.

- Mów dalej.

- Wtedy cała historia wróciła.

- Dzień, w którym go straciłaś?
- Tak. I to, co działo się potem.
- I co wtedy?
- Pobiegnęłam szukać schronienia. - Przed burzą uczuć. Przed prawdą, dodała w duchu. - Dlaczego właśnie teraz, po tylu miesiącach?
- Zbliżyła się szósta rocznica huraganu. Mamy skłonność do wyróżniania traumatycznych wydarzeń, nawet jeśli jest ona podświadoma.
- Minie sześć lat, odkąd uderzenie Katriny rozbiło jej życie na kawałki.
- Nawet to ma sens, tyle że...
- Że co?
- Spojrzała terapeutce w oczy.
- Odbieram to jako kłamstwo, a nie chcę więcej przed sobą kłamać.
- Gdy doktor Jasper nie odpowiedziała, Mira poczuła, że palą ją policzki.
- Cholera, z tego nie ma żadnego pożytku, prawda? To niczego nie zmienia, a ja mam serdecznie dość...
- Czego? - spytała beznamiętnie terapeutka.
- Wszystkiego. - Mira zerwała się z miejsca. - Tęsknoty za Jeffem. Przeżywania bez końca każdej pieprzonej chwili tamtego dnia. Chcę odzyskać swoje życie. - Wyzywająco spojrzała na doktor Jasper. - Jest moje, do cholery! I chcę je mieć z powrotem!
- Weź je więc. Tylko ty możesz to zrobić.
- Ale jak to zrobić? Jeffa nie ma. Nigdy nie odzyskam ani jego, ani tego, co było nasze wspólne.
- Nie - potwierdziła terapeutka - ale możesz zbudować nowe życie.
- A nie zbudowałam? - spytała z goryczą Mira.

- Ożywianie przeszłości i stępienie bólu sprawianego przez terażniejszość nie jest nowym życiem. Chcę cię o coś zapytać. Jak bardzo trudny był dla ciebie ostatni rok?

- Nie nadążam.

- Jak trudne było to, żeby niczego nie brać? Przyjmijmy, że dziecinnie łatwe to jeden, a piekielnie trudne to dziesięć.

- Dziecinnie łatwe to nie było, ale... Cztery. W niektóre dni trzy.

- Jak myślisz, dlaczego tak się dzieje?

Mira zmarszczyła czoło. Nie zrozumiała.

- Z naszych sesji wiem - ciągnęła doktor Jasper - że w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy wiele razy przeżyłaś różne wersje tej ostatniej nocy.

- To prawda.

- Co tym razem było inne?

Witraż Marii Magdaleny. Mirze przyszło to do głowy tak szybko, że aż się zdumiała. Zmarszczyła czoło.

- Dlaczego restauracja witrażu Marii Magdaleny miałaby cokolwiek zmienić w mojej umiejętności radzenia sobie bez prochów?

- Zastąpienie jednego nałogu innym nie jest niczym niezwykłym. Badania dowodzą, że to powszechne.

Pokręciła głową.

- Witraż był dla mnie powodem, a nie protezą.

Doktor Jasper splotła dłonie na kolanach.

- Ta praca pochłaniała cię przez ostatnie miesiące. Poświęciłaś temu przedsięwzięciu każdą wolną minutę. Prosiłaś o darowizny i swoimi staraniami nawet zraziłaś do siebie bliskich ludzi. Czyż

nie?

- Tak.
- To są klasyczne symptomy uzależnienia.
- Chcesz powiedzieć, że przez ostatni rok witraż Marii Magdaleny stał się dla mnie tym, czym leki?

- To prawdopodobne. Może do załamania doprowadziło cię to, że witraż jest gotowy? Czeka na montaż, a to oznacza, że zostanie ci zabrany.

- Fantastycznie - burknęła Mira. - Wreszcie mogłam pokochać pracę i odzyskać poczucie sensu życia, a ty mówisz mi, że to niezdrowa obsesja?

- Nie powiedziałam ci, czym to jest. Wskazałam tylko, że istnieje taka możliwość. - Terapeutka przechyliła głowę. - Nie użyłam też terminu „obsesja”.

Mira spojrzała na nią groźnie.

- Nienawidzę, kiedy to robisz. Gdy obracasz moje słowa przeciwko mnie.
- I tak powinnaś reagować. - Doktor Jasper pozwoliła sobie na lekki uśmiech. - Jeśli nie czujesz się przynajmniej trochę niezręczne, to znaczy, że jestem nieskuteczna w tym, co robię. - Zerknęła na zegarek. - I to tyle, bo nasz czas się skończył.

Rozdział 12

piątek, 12 sierpnia godz. 10.00

Mira zaparkowała forda focusa na żwirowym placu za firmą. Po sesji u doktor Jasper wciąż odczuwała nerwowość i popadała na zmianę to w zniechęcenie, to w irytację. Złościło ją, że z czegoś tak wspaniałego i wyzwalającego jak akt twórczy zrobiła sposób na zapomnienie.

Wysiadła z samochodu i zatrzasnęła drzwiczki. Zaadaptowana kaplica, dziewięćdziesięcioletnia

budowla stojąca niemal przy samej River Road, kilka kilometrów od zakola Missisipi zajmowanego przez Uptown, wręcz idealnie spełniała potrzeby Miry. Wzniesiona w całości z cyprysowego drewna dzieliła się w środku na trzy pomieszczenia, z których jedno było wystarczająco duże, by służyć jako pracownia, a do tego miało liczne okna zapewniające naturalne oświetlenie. Co ważne, dawna kaplica stała na pagórku, do którego podczas kataklizmu nie dotarła woda.

Weszła do środka. Od razu uderzyły ją w nozdrza zapachy acetonu i kitu do witraży. Zaraz potem zwróciła uwagę na światło przenikające jej witraże i rozlewające się kolorowymi plamami na ścianach i podłodze. W ciągu dnia, w miarę wędrówki słońca, plamy zmieniały kształt i barwę niczym w olbrzymim kalejdoskopie.

Przez pierwsze miesiące po śmierci Jeffa pracowała wyłącznie dlatego, że zniszczenia były ogromne. Szkło jej nie pociągało, nie była w stanie dostrzec jego piękna. Poczucie celowości i spełnienia, które zwykle towarzyszyło jej w tworzeniu, ustąpiło miejsca mechanicznej rutynie.

Przeszła przez dawną kruchtę, w której mieścił się teraz jej sklep, i zajrzała do kuchenki. Wsadziła do ekspresu nabój i zaparzyła ulubioną kawę, po czym z kubkiem w ręce ruszyła do pracowni.

Przesuwne drzwi dzieliły część sklepową od roboczej. Gdy je otworzyła i znalazła się po drugiej stronie, ujrzała planowy chaos. Na niektórych z sześciu ustawionych w dwóch rzędach dużych stołów leżały rozpoczęte prace, powierzchnie innych były zajęte przez pojemniki z narzędziami, sterty czasopism, katalogi i butelki z wodą. Ściany do ostatniego skrawka oblepiono - pozornie bez ładu - szkicami, plakatami, zdjęciami, reklamami i artykułami, na których zbierała się warstwa pyłu.

Wciąż zdumiewało ją, że dzieła sztuki, wymagające niezwyklej precyzji, powstają w takim zabałaganionym otoczeniu. Popijając kawę, minęła stojaki z taflami kolorowego szkła, potem

zapasy ołowiu, cynku i miedzi, by wreszcie dotrzeć w głąb pracowni, gdzie powstawała centralna część witrażu, przedstawiająca pogrążoną w żalu Marię Magdalenę u stóp krzyża.

Pozostałe cztery części, zabezpieczone i umieszczone na stelażach, czekały na transport do ich nowego domu. Z centralną Mira nie mogła się rozstać, co potwierdzałoby tezę doktor Jasper. Stała na wprost witraża.

Artysta, inspirowany bawarskim stylem malowania na szkle, zdołał zawrzeć w swym dziele zadziwiające bogactwo szczegółów. Sama kiedyś próbowała tej skomplikowanej techniki, polegającej na nakładaniu kolejnych warstw farby emaliowej i wypalaniu w piecu. Wydawało jej się to niesłychanie żmudne.

Rzemieślnik zdołał oddać głębię bólu Marii Magdaleny po stracie kochanego człowieka. Mira rozumiała cierpienie świętej, potrafiła się w nie wczuć. Ona też straciła miłość swojego życia.

- Dzień dobry, Madziu - powiedziała cicho, gdy przysiadła na krawędzi stołu zapatrzona w zboląły wyraz twarzy świętej. - Będiesz mną rozczarowana. Znowu wzięłam. - Zamilkła, jakby czekała na odpowiedź, zaraz jednak dodała: - Zdaniem doktor Jasper wszystko przez to, że wkrótce się pożegnamy. Nie podoba mi się, że może mieć rację, chociaż przychyliłam się do jej zdania.

Usłyszała kogoś wchodzącego. Deni, uznała Mira, zerkając na zegarek. Miała nadzieję na jeszcze kilka minut samotności, lecz wcale jej nie zdziwiło, że zawsze gotowa do pracy asystentka pojawiła się tak wcześnie.

Wróciła myślami do swojej terapeutki i tego, co powiedziała o zastępczym nałogu, czyli o wyparciu jednego uzależnienia przez drugie. To jest powszechne. Czy naprawdę właśnie to zrobiła? Posłużyła się potrzebą ratowania witrażu Marii Magdaleny niczym narkotykiem? I czy teraz, gdy witraż był gotowy, czekało ją załamanie?

Chociaż buntowała się przeciwko takiej diagnozie, musiała przyznać, że jest słuszna. Przecież pojawiły się pierwsze symptomy. Zaciśnęła palce na kubku. Nie może wrócić do tej ponurej samotni. Nie może i nie wróci.

Usłyszała Deni krzątającą się w sklepie.

- Jestem tutaj, w pracowni! - zawołała.

Za jej plecami zazgrzytały przesuwne drzwi. Wstała, przywołując na twarz powitalny uśmiech.

- Miałaś, zdaje się, dłużej pospać - powiedziała, odwracając się. - Powinnam wysłać cię...

Słowa zamarły jej na wargach. Stał przed nią bezdomny, któremu dała pieniądze poprzedniego wieczoru. To, co ujrzała w jego twarzy, przyprawiło ją o ciarki. Oczy mężczyzny pałały chorobliwie.

- Widziałam pana wczoraj wieczorem - powiedziała najspokojniej, jak umiała. - Przed Corner Bar. Dałam panu dwadzieścia dolarów, pamięta pan?

Nie odpowiedział, tylko nadal się w nią wpatrywał. Odchrząknęła.

- Tu nie ma narkotyków. Nie trzymam też tutaj gotówki. Jeśli jest pan głodny, najbliższe schronisko działa na Baronne Street.

Zbliżył się o krok.

- „I Pan w końcu oczyści swój omłot, pszenicę zbierze, a plewy spali w ogniu nieugaszonym”.

- Nie chcę żadnych kłopotów. Jestem pewna, że pan również nie. Proszę wyjść. Nic się nie stało.

W czymś, co trzymał w ręce, odbiło się światło. To nóż, uświadomiła sobie i serce podeszło jej do gardła. Rozejrzała się dookoła.

Mogła uciec jedynie przez wyjście przeciwpożarowe. Zaczęła powoli przesuwać się w tamtą stronę.

- „I w końcu zbierze Pasterz swoją trzodę” - podniósł głos. - „To, co czeka fałszywych proroków, jest daleko gorsze niż wieczne potępienie”.

Zrobił następny krok i jeszcze jeden. Uniósł ramię.

Zobaczyła, że to nie nóż, tylko długi, wąski kawałek szkła. Z jej pracowni. Musiał go znaleźć, przeszukując śmieci. Po dłoni spływała mu strużka krwi. Przystanął, gdy znalazł się na wyciągnięcie ręki od Miry. Zauważyła, że między brwiami na nieudolnie wytatuowany krzyżyk.

- „Ich ciało będzie oddzielone od kości i upieczone, i dane na pożarcie złym duchom”.

Na zewnątrz rozległy się strzępki rozmowy, potem wybuch śmiechu. Tym razem na pewno była to Deni. Chyba przyszła z Chrisem.

Mężczyzna również ich usłyszał. Zmienił się na twarzy i rzucił się ku Mirze, kierując rękę ku jej szyi. Krzyknęła. Jego palce, śliskie od krwi, zacisnęły się na jej gardle. Poleciała do tyłu, na stół roboczy. Pojemnik z narzędziami przewrócił się i z hukiem spadł na podłogę.

Zanim zdążyła cokolwiek pomyśleć, a tym bardziej spróbować obrony, mężczyzna ją puścił. Biegł teraz ku wyjściu przeciwpożarowemu. Gdy otworzył zapasowe drzwi, rozdzwonił się alarm. Mira osunęła się na podłogę, nogi bowiem tak jej się trzęsły, że nie mogła ustać.

Do pracowni wbiegli Deni i Chris, który dopadł do niej pierwszy.

- Nic ci się nie stało?

- Miro! - krzyknęła Deni. - Ty krwawisz!

- Zadzwoń na policję - polecił Chris.

Mira spojrzała na bluzkę i zobaczyła smugi krwi. To on krwawił, pomyślała. Palce, które czuła na szyi, były lepkie.

- Wszystko w porządku - powiedziała, z wysiłkiem podnosząc się na nogi. - Miał kawał szkła w ręce, lecz mnie nie skaleczył. Chwycił mnie za gardło, ale...

Nagle coś zauważyła. Gwałtownie przytknęła dłoń do szyi. Jej emaliowany krzyżyk zniknął. Dostała go w prezencie od Jeffa podczas ich miodowego miesiąca w Portugalii, a teraz szaleniec

zerwał łańcuszek i uciekł.

Odebrano jej kolejną częśćkę Jeffa.

- To był ten sam człowiek, co wczoraj wieczorem. Zdarł mi z szyi krzyżyk.
- Jaki człowiek? Chyba nie ten włóczęga, któremu dałaś pieniądze?

Skinęła głową i Chris zmarszczył czoło.

- Jak on cię znalazł?
- Nie wiem. - Jeszcze raz dotknęła szyi, przejęta przytłaczającym smutkiem. - Dlaczego on to zrobił?

Chris i Deni wydawali się zasmuceni nie mniej niż ona. Dobrze rozumieli, że nie był to zwykły wisiorek.

- Może policja zdoła go odzyskać - powiedział Chris. - Jeśli zaraz do nich zadzwonimy...

Policja. Witraże.

- O mój Boże - powiedziała Mira. - Czy to możliwe?
- Co takiego? - spytała Deni.
- „I powtórnie przyjdzie w chwale sądzić żywych i umarłych, a królestwu Jego nie będzie końca”
- zdanie z witraży kościoła Sióstr Miłosierdzia. Ten włóczęga już wczoraj mówił Biblią. Dzisiaj powiedział prawie to samo, co wymazano na witrażach. A detektyw zastanawiał się, czy akt wandalizmu mógł mieć coś wspólnego ze mną.

Chris odzyskał głos pierwszy.

- Uważam, że powinniśmy zatelefonować pod dziewięćset jedenaście.
- Nie. Mam inny numer. Zaraz go znajdę.

Rozdział 13

piątek, 12 sierpnia godz. 10.50

- To dlatego mnie poznała - powiedział Malone, gdy Bayle wjechała samochodem na parking firmy Gallier Glassworks. Mieszkał ze Stacy zaledwie przecznicę dalej.

- Kto? - spytała Bayle.

- Mira Gallier. Kiedy ją przesłuchiwałem, oboje odnieśliśmy wrażenie, że się znamy ale nie wiedzieliśmy skąd. Nie tylko jesteśmy sąsiadami, ale nawet byłem ze Stacy w jej sklepie. Kupiliśmy u niej witraż.

Bayle zaparkowała wóz.

- Teraz, kiedy widzę logo Glassworks, przypominam ją sobie. Po Katrinie tę Gallier często pokazywali w wiadomościach.

- Powiedziała mi, że podczas huraganu zginął jej mąż.

Bayle wzruszyła ramionami.

- Coś mi się kojarzy.

Malone skinął głową. Telewizja pokazywała tyle różnych niezwykłych i tragicznych historii, że trudno było wszystkie zapamiętać. Wysiedli z samochodu i jednocześnie trzasnęli drzwiczkami. W milczeniu doszli do frontowego wejścia.

- Dziękuję, że pan przyszedł, detektywie Malone - powiedziała Mira Gallier, stając w progu.

Wyglądała jak osoba po ciężkim przejściu. Smugi krwi zabrudziły jej białą bluzkę, znaczyły szyję i dekolt.

- Nic się pani nie stało? - spytał.

- Nie zranił mnie.

- Chyba spotkała pani moją współpracownicę, detektyw Bayle.

Skinęła głową i odsunęła się, żeby wpuścić ich do środka. Malone przeniósł wzrok na dwoje

ludzi, których tam zobaczył, mężczyznę i kobietę. Kobieta, która zapewne niedawno skończyła dwadzieścia lat, była drobna i ciemnowłosa. Mężczyzna średniej budowy, jasnowłosa, i piwnymi oczami, wydawał się nieco starszy.

Gallier zauważyła, w którą stronę Malone kieruje spojrzenie.

- Detektywie, to moja asystentka Deni Watts, i jej chłopak Chris Johns - przedstawiła.

Skinął im głową na powitanie, po czym skupił uwagę na Mirze.

- Proszę nam opowiedzieć, co się stało.

- Przyszłam dziś rano pierwsza...

- O której godzinie?

- Około dziesiątej. - Urwała, jakby trudno jej było zebrać myśli. - Dałam Deni wolne przedpołudnie. Długo pracowałyśmy bez przerwy nad czyszczeniem witraży w kościele Sióstr Miłosierdzia.

- Jak idzie?

- Skończyłyśmy wczoraj wieczorem.

- Muszę to obejrzeć. - Malone zerknął do notatnika trzymanego w ręce, a potem znowu na Mirę Gallier. - Czyli pani zjawiała się pierwsza około dziesiątej.

- Tak. Zrobiłam sobie kawę i poszłam do pracowni.

- Gdzie to jest?

Wskazała w lewo. Przesuwne drzwi były otwarte. Bayle podeszła do nich i zajrzała do środka.

- Proszę mówić dalej.

- Zamknęłam za sobą drzwi i...

- Dlaczego?

Pytanie zadała Bayle. Mira odwróciła się do niej.

- Słucham?

- Pani była sama. Po co zamykać drzwi?

Przez chwilę przyglądała się Bayle, zanim odpowiedziała:

- Z przyzwyczajenia. Staramy się odgradzać oba pomieszczenia, resztki materiałów ze studia się roznoszą.

Malone przejął inicjatywę.

- Co stało się potem?

- Usłyszałam, że ktoś chodzi po sąsiednim pomieszczeniu. Uznałam, że to Deni, więc ją zwołałam.

- Przecież dała jej pani wolne przedpołudnie.

- Ona już taka jest. - Uśmiechnęła się z uznaniem do swojej asystentki. - Gotowa do poświęceń.

- Co dalej?

- Po wejściu nie zamknęłam drzwi na zamek. Teoretycznie mieliśmy otwarty sklep, chociaż niewielu przechodniów tu zagląda.

- Ale to nie była pani asystentka?

- Nie. To był bezdomny, któremu dałam wczoraj wieczorem dwadzieścia dolarów.

Malone zerknął na Bayle. Bacznie przyglądała się właścicielce pracowni.

- A gdzie i o której godzinie to się zdarzyło?

- Pod Corner Bar, około pierwszej w nocy. Zrobiło mi się go żal.

- To kilka przecznic stąd - stwierdził Malone. - Bezdomny prawdopodobnie przenocował na czyimś podwórku albo w szopie. Proszę dalej.

- Trzymał w ręku coś, co wzięłam za nóż.

- To nie był nóż?

Pokręciła głową.

- Odłamek stłuczonego szkła. Jeden z naszych. Ten człowiek krwawił.

- Czy to jego krew ma pani na koszuli? - włączyła się Bayle.

Mira przycisnęła dłoń do szyi.

- Tak. On... - Odchrząknęła. - On stał tam i patrzył na mnie. Wyrzucał z siebie jakieś chorobliwe androny o Jezusie i Sądzie Ostatecznym, fałszywych prorokach i ogniu piekielnym. Dlatego pana wezwałam, detektywie Malone. Wydawało mi się dziwne, że najpierw ktoś pomazał sprejem moje witraże w kościele Sióstr Miłosierdzia, a dzisiaj zdarzyło się coś takiego. To po prostu... - Nagle straciła pewność siebie. - Zastanawiałam się, czy te zdarzenia mogą mieć związek, czy ten człowiek nie zabił ojca Giroda.

- Czy wypowiedział dokładnie to zdanie, które wypisano na witrażach?

- Nie.

- Co powiedział? Czy pamięta pani dokładnie?

- Nie wydaje mi się, żebym mogła zapomnieć. „I w końcu zbierze Pasterz swoją trzodę. To, co czeka fałszywych proroków, jest daleko gorsze niż wieczne potępienie”. - Zamilkła, bo ogarnął ją nagły lęk. - Tak naprawdę przestraszył mnie jednak dalszym ciągiem - wyjaśniła po chwili. - Powiedział, że ich ciało będzie oddzielone od kości i upieczone, i dane na pożarcie złym duchom.

- Czyje kości?

- Fałszywych proroków - odrzekła. - O to przecież chodziło. On twierdził, że „fałszywych proroków” czeka najgorszy los.

Do rozmowy włączył się Chris.

- Wczoraj wieczorem ten człowiek też przemawiał biblijnym językiem. Tylko nie o Sądzie Ostatecznym. To brzmiało bardziej jak: „Wszystko w Bożych rękach, Bóg weźmie cię w opiekę”.

Malone zapisał coś w notesie.

- Słusznie pani zrobiła, dzwoniąc do mnie - orzekł. - Proszę się nie martwić ewentualnym związkami obu spraw i zostawić to nam. - Uśmiechnął się krzepiąco. - Na tym polega nasza praca. Co było dalej?

- Usłyszałam Deni i Chrisa. On widocznie też, bo nagle... rzucił się na mnie i chwycił mnie za szyję. Już myślałam...

- Czy nie ma pani nic przeciwko temu, że zajrzę do pracowni? - spytała Bayle.

- Proszę bardzo. Deni, czy możesz pokazać, gdzie...

- Ja się tym zajmę - zaofiarował się Chris i gestem zaprosił Bayle. - Tędy proszę.

Gdy oboje znikli, Malone spytał:

- Czy może pani opisać tego włóczęgę?

- Brudny, luźno wiszący, zniszczony mundur wojskowy. Wysokie buty. - Zamilkła na chwilę. - Średniego wzrostu.

- Wiek?

Zamyśliła się.

- Trudno powiedzieć o kimś takim... Na pewno nie dzieciak, ale i nie staruszek.

- Skóra, włosy?

- Rasy białej. Ciemne, długie włosy - Wykonała nerwowy gest w pobliżu twarzy. - Tylko jego oczy... - Musiała rozetrzeć ramiona, bo nagle zrobiło jej się zimno. - Pałające, jakby bił z nich żar.

- Coś jeszcze? Znaki szczególne?

- Tatuaż między brwiami. W kształcie krzyżyka.

- Krzyżyka? - powtórzył. - Między brwiami? Pewnie Kaznodzieja. To przecież jego ulubiony rejon.

- Kim jest ten człowiek?

- Fanatykiem religijnym nauczającym na ulicach. Robi to od lat. Nie był notowany za przemoc, chociaż to nie znaczy, że nie będzie. Powinna pani pojechać z nami na komendę i obejrzeć zdjęcia, żeby potwierdzić jego tożsamość.

- Czy mogę najpierw się umyć i przebrać?

- Naturalnie. - Malone zerknął na zegarek. - Ile czasu pani potrzebuje?

- Niedużo. Trzymam tu zapasowe ubrania.

- Malone! - zawołała Bayle. - Chodź coś zobaczyć.

Przeszedł do drugiego pomieszczenia, świadomy, że Gallier i jej asystentka podążają za nim.

Bayle pokazała smugę krwi na podłodze, ciągnącą się od drzwi aż do niewielkiej kałuży pośrodku pomieszczenia. Sprawca wszedł do pracowni, krwawiąc, przeszedł na środek i tam się zatrzymał.

- I tutaj. - Bayle wskazała odłamki szkła i narzędzia rozsypane na podłodze dwa metry dalej.

- W tym miejscu stałam - wyjaśniła Mira. - Kiedy mnie chwycił, upadłam na stół i wszystko z niego zrzuciłam.

Malone podszedł do rozsypanych przedmiotów i przykucnął wskazał wydłużony, trójkątny odłamek szkła umazany krwią.

- Czy właśnie ten kawałek napastnik trzymał w dłoni?

- Tak.

Spencer zerknął na Bayle.

- Z opisu pani Gallier wynika, że chodzi o Kaznodzieję. On jest znany z tego, że zaczepia ludzi.

- Tak, robi wszystko, byle zainteresować ich swoim przesłaniem - przyznała. - Przekażę informację do centrali. Nadadzą komunikat, że go poszukujemy.

- Mam to posprzątać? - spytała Deni. - A może poczekać na ekipę, która zabezpieczy ślady?

- Obawiam się, że właśnie pani patrzy na taką ekipę - odparł Malone, a zauważywszy jej

zawiedzioną minę, dodał. - Proszę się nie martwić, pani Watts. Każdy zaprzysiężony policjant jest przeszkolony w zakresie zabezpieczania dowodów.

Zabrali zakrwawiony odłamek szkła i kilka kropli krwi, te ostatnie na wypadek, gdyby okazało się, że incydent ma związek ze zbrodnią w kościele Sióstr Miłosierdzia.

Mira Gallier odprowadziła ich do drzwi.

- Czy mam obejrzeć fotografie?
- Za godzinę. Pojeździmy tymczasem po okolicy, może dopisze nam szczęście i go schwytaamy.
- Chciałabym odzyskać wisiołek. To był prezent od mojego zmarłego męża.
- Wartościowy? - spytała Bayle.
- Dla mnie bezcenny.
- Ale jaką ma wartość pieniężną?

Mira zdrętwiała.

- Czy to ważne? Nie wystarczy, że mi go skradziono i chcę go odzyskać?

Malone postanowił wkroczyć.

- Oczywiście, że wystarczy ma to jednak znaczenie dla śledztwa. Gdyby na przykład był wartościowy, sprawca mógłby chcieć go zastawić.

- Och... - Pierwszy raz, odkąd przyszli, sprawiała wrażenie osoby bliskiej łez. - Poniżej pięćdziesięciu dolarów.

Malone i Bayle pożegnali się i po chwili siedzieli w taurusie zapięci pasami. Bayle uruchomiła silnik.

- Myślisz, że ona mówi prawdę?

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Tak. A dlaczego pytasz?

- Coś mi się w niej nie podobało.
- Szczerze mówiąc, niczego takiego nie zauważyłem. Zwróciło tylko moją uwagę to, że witraże z kościoła Sióstr Miłosierdzia nazwała swoimi.
- Sądysz, że Kaznodzieja może być tym, kogo szukamy?
- Niewykluczone. Geograficznie nam pasuje. Do tego jest cała ta historia z Bożym gniewem. Kaznodzieja wygląda tymczasem bardziej podejrzanie niż pozostali przesłuchiwanym. Jedno tylko mnie niepokoi. Nie zrobił jej krzywdy.
- Jak to?
- Dlaczego ten sam człowiek, który zabił ojca Giroda, pozwolił tej kobiecie wyjść bez szwanku?
- Nie wiem. Może Gallier kłamie? - podsunęła Bayle.
- Należy się z tym liczyć. Tylko po co miałyby to robić? On zabrał jej tylko wisiołek, według niej prawie bez wartości materialnej. Z pewnością nie dość drogi, by wystąpić o ubezpieczenie. Poza tym jej wersja jest prawdopodobna. Mamy nawet zakrwawiony odłamek szkła.
- Mogła go podrzucić. Zmienić obraz miejsca zdarzenia.
- Mogła. - Spojrzał na nią zdziwiony. - Tylko jeszcze raz po co?
- Ludzie robią najdziwniejsze rzeczy, żeby ściągnąć na siebie uwagę. - Nieoczekiwanie Bayle się roześmiała się i wyjechała z parkingu. - Czekam na wskazówki, Malone. Lubię mieć pilota.
- Do usług. - W odpowiedniej chwili wskazał jej Carrollton Avenue.
- Może przejedziemy przez Riverbend? Kaznodzieja często tam przebywa. Po drodze odwiedzę Vicky w kancelarii kościoła Sióstr Miłosierdzia i sprawdzę, czy cokolwiek o nim wie.

Rozdział 14

piątek, 12 sierpnia południe

Kaznodzieja lubił stać na rogach ulic i dzielić się Słowem Bożym, a w każdym razie jego szczególną wersją pełną ognia piekielnego. Tego ranka w rejonie Riverbend nie było jednak po nim śladu. Malone i Bayle odwiedzili wszystkie miejscowe knajpy. Okazało się, że w każdej z nich znano ulicznego ewangelizatora i przepędzano go spod drzwi. Maniak wykrzykujący coś o smażeniu się w piekielnym tłuszczu odstraszał klientów.

Kaznodzieja był również znany z wskakiwania do tramwaju na Carrollton Avenue i częstowania uwieczonych pasażerów swoją wizją Sądu Ostatecznego. Motorniczy niezmiennie go usuwał, on jednak, zupełnie tym niezrażony, wsiadał do następnego tramwaju. Robił to dopóty, dopóki nie przyjechała policja.

I tu jednak nikt go nie widział.

Po powrocie Malone zastał w komendzie Mirę Gallier. Spostrzegł, że zdążyła się przebrać.

- Długo pani na mnie czeka? - spytał, podchodząc do niej.
- Nie. Przyjechałam kilka minut temu. Znalazł go pan?
- Nie miałem szczęścia, ale jeśli to rzeczywiście Kaznodzieja, pokaże się na pewno. - Gestem wskazał, by poszła za nim. - Widać, że czuje się pani lepiej.
- Przynajmniej przestałam się trząść. - Wyciągnęła przed siebie ręce. - Widzi pan? Nieruchome niczym skała.
- Szybko się pani z tym uporała. To dobrze. - Zaprowadził ją do pokoju przesłuchań. - Może przynieść pani zimny napój, kawę albo jeszcze coś innego?
- Nie, dziękuję. Jak długo to potrwa?

- Zależy od pani. Musi pani zidentyfikować tego człowieka.
- Malone zamówił wcześniej i miał już przygotowany materiał fotograficzny. Na jednej karcie znajdowały się zdjęcia sześciu podobnych mężczyzn, z których trzech mieli tatuaż na twarzach.
- Położył kartę na blacie.
- Proszę się nie spieszyć.
- Okazało się, że pani Gallier potrzebowała tylko chwilę.
- To on - powiedziała, wskazując zdjęcie.
- Jest pani pewna?
- Całkowicie. Czy to Kaznodzieja? - Gdy skinął głową, zatrzymała na zdjęciu wzrok na dłużej. - Taki typ może napędzić stracha.
- Owszem. - Malone przekrzywił głowę. - To paradoks, że ten człowiek nawołuje ludzi, aby żałowali za grzechy i dostąpili zbawienia, a sam straszy wyglądem do tego stopnia, że większość wolałaby smażyć się w piekle, niż spędzić z nim minutę w niebie.
- Nie był wcale taki straszny, kiedy dawałam mu dwadzieścia dolarów wczoraj wieczorem - zauważyła Mira. Uśmiech rozjaśnił jej twarz, złagodził ostrość rysów, wydobył piękno. - Rozumiem, że to wszystko - powiedziała, wstając.
- Tak. Wezwiemy panią, gdy go zaaresztujemy. Odprowadzę panią do windy.
- Gdy doszli do celu, wyciągnęła do niego rękę.
- Dziękuję panu, detektywie.
- Uścisnął jej dłoń.
- Nie ma za co. Już wiem, skąd mnie pani zna. Mieszkam z narzeczoną w rejonie Riverbend. Byliśmy w pani pracowni, a ona nawet kupiła mały witraż z lilią do okna od frontu.
- Ten, w którym za lilią widać słonecznik? - spytała z uśmiechem.

- Właśnie ten. - Malone przyzwał kabinę przyciśnięciem guzika.
- Pamiętam Stacy. Mam nadzieję, że u niej wszystko w porządku.
- Tak, dziękuję.
- Proszę powiedzieć, że ją pozdrawiam.
- Zrobię to. Gdyby przypadkiem zauważyła pani Kaznodzieję albo gdyby znowu pojawił się w pracowni, proszę mnie wezwać, bez względu na porę.
- Za co był do tej pory zatrzymywany?
- Za zakłócanie spokoju, stawianie oporu policji, bezprawne wtargnięcie i włamania.
- Sądzi pan, że on chciał mnie skrzywdzić? Sledził mnie, bo dałam mu pieniądze? Nie rozumiem tego. Przecież mówił pan, że on nie uciekał się do przemocy, więc skąd to szkło w ręce? I dlaczego zabrał mi krzyżyk?
- Sam chciałbym to wiedzieć, pani Gallier. Może działał pod wpływem impulsu. Uznał, że ten odłamek szkła jest piękny. Zdarł pani z szyi krzyżyk, bo mu się spodobał. Obłąkani ludzie nie myślą i nie działają racjonalnie.

Nadjechała winda. Za Mirą Gallier drzwi zamknęły się z szurgotem. Nagle Spencer przypomniał sobie, jak Bayle mówiła o ludziach robiących najdziwniejsze rzeczy tylko po to, aby zwrócić na siebie uwagę. Wtedy odniósł się do jej wypowiedzi z powątpiewaniem. Teraz przyszło mu do głowy, że może Bayle miała rację.

Wyruszył na jej poszukiwanie. Wcześniej bez skutku próbował się dodzwonić do kancelarii parafialnej kościoła Sióstr Miłosierdzia. Miał nadzieję, że Vicky Gravier porozumiała się z Bayle. Zastał ją siedzącą za biurkiem, właśnie odkładała na blat telefon. Przesłała mu szeroki uśmiech.

- Dobre wiadomości, partnerze. Kaznodzieja często kręcił się w okolicy kościoła Sióstr Miłosierdzia. Czasem pokazywał się na mszy w niedzielę rano i wzbudzał niepokój wiernych, lecz

nie dochodziło do ekscesów. Pojawiał się i znikał. Ostatnim razem jednak wywołał zamieszanie podczas nabożeństwa.

- W jaki sposób?
- Wstał podczas homilii i oznajmił, że koniec jest bliski. Prawie toczył pianę z ust i w końcu musieli go siłą wyprowadzić. Vicky mówi, obecne w kościele dzieci były przerażone. Zanim wyprowadzono go na zewnątrz, wykrzyczał to samo zdanie, które słyszała Gallier, to o ciele oddzielnym od kości i danym na pożarcie złym duchom.

- Pikantne.
- Potem zapowiedział zemstę i nazwał ojca Giroda diabłem.
- Kiedy to się zdarzyło?
- W niedzielę poprzedzającą morderstwo. Właśnie odebrałam telefon z laboratorium. Technik zdjął wyraźne odciski linii papilarnych ze świecznika...

- Możemy je porównać z odciskami Kaznodziei.
- Już poleciłam to zrobić.
- Wygląda na to, że śledztwo zmierza w dobrym kierunku.
- Też tak myślę. - Katrin Bayle, najwyraźniej zadowolona z siebie, odchyliła się na krześle. - Życie jest wspaniałe.

Dwadzieścia minut później okazało się, że optymizm policjantki był nieuzasadniony. Odciski linii papilarnych należały do dwóch różnych osób.

Rozdział 15

piątek, 12 sierpnia godz. 13

Mira wróciła do firmy w czasie, gdy opuszczali ją uczestnicy kursu sztuki witrażu dla

początkujących, prowadzonego przez Deni. Machinalnie odprowadziła wzrokiem sześć kobiet, rozmyślając o tym, co detektyw Malone powiedział na temat Kaznodziei. Jego spostrzeżenie należało do tej samej kategorii, co stwierdzenia: „Czasem dobrym ludziom zdarza się coś złego” albo „Zdarza się, że dobrzy ludzie robią coś złego”.

To Deni wpadła na pomysł prowadzenia kursów. Przygotowała program, dała ogłoszenia i została instruktorką. Chętnych było tak dużo, że Mira postanowiła przekształcić szopę za domem w ośrodek szkoleniowy. Dochodził stamtąd teraz łomot narzędzi pracującego Chrisa. Na decyzję Miry wpłynęło między innymi właśnie to, że ma pod ręką człowieka, który jest w stanie urzeczywistnić projekt.

Weszła do budynku i zawołała:

- Deni, wróciłam!

- Jestem tutaj! - Głos asystentki dobiegł z pracowni. - Chodź tu.

Okazało się, że Deni towarzyszył mężczyzna. Stali przed witrażem Marii Magdaleny.

Mira nie wierzyła własnym oczom. Oto niewątpliwie miała przed sobą Connora Scotta, najlepszego przyjaciela Jeffa.

- Connor, to naprawdę ty?

Mężczyzna odwrócił się.

- Cześć, Miro.

Z radosnym piskiem podbiegła do nieoczekiwanego gościa i uściskała go ze wszystkich sił.

- Gdzieś ty był? - spytała. - Zniknąłeś i ani słowem nie odezwałeś się do nikogo z nas.

- W Iraku, potem w Afganistanie.

Mira zauważyła zmarszczki, które otaczały niebieskie oczy. To był ten sam człowiek, co kiedyś, bez wątplenia jednak starszy o bolesne doświadczenia. Przyszło jej do głowy, że on podobnie myśli

o niej. Oboje mieli za sobą dramatyczne przeżycia.

- Nie rozumiem. Byłeś i raptem zniknąłeś. Zapadłeś się pod ziemię. Dlaczego nic nam nie powiedziałeś?

- Miałem kłopoty natury osobistej i nie wiedziałem, jak postąpić, więc uciekłem. Mogłem wstąpić do cyrku albo do piechoty morskiej. - Uśmiechnął się kącikiem ust. - Uznałem, że wojsko mnie zahartuje.

Bez wątpienia tak się stało. Connor w niczym nie przypominał rozpieszczzonego młodego człowieka, dla którego problemem był brak najdroższych biletów lub konieczność dokonania wyboru między homarem a stekiem.

- To wyjaśnia, dlaczego jesteś tak obcięty. - Wspięła się na palce i przesunęła dłonią po jego włosach. - Zrób sobie krótko z przodu, długo z tyłu, a znajdziesz się w pierwszej lidze seksownych mężczyzn.

Pocałował ją w rękę.

- Umiesz mnie rozśmieszyć. Potrafiliście to oboje.

Mira zeszywniała.

- Jego już nie ma. Wiesz o tym, prawda?

- Powinienem tutaj wtedy być. - Zamknął jej dłoń w uścisku. - Dla ciebie i dla niego. Tak bardzo mi przykro.

- Oprowadzić cię? - spytała, gdy odsunęła się i uwolniła rękę.

- Tak.

- Stara pracownia została doszczętnie zniszczona - wyjaśniła Mira.

- Kiedy usłyszałem o kanale przy Seventeenth Street, uznałem, że twoja pracownia miała niewielkie szanse. - Skrzyżował ramiona. - A jednak zostałeś w Nowym Orleanie. Dlaczego? Mogłaś

wyjechać dokądkolwiek.

- Nie potrafiłam wyjechać. Z tym miejscem łączą się wszystkie moje wspomnienia, to, co przeżyłam z Jeffem. Poza tym potrzebowały mnie witraże.

Uniósł brew, wyraźnie rozbawiony.

- Witraże?

- Cała historia miasta zapisana w witrażach legła w gruzach. Nie było cię tutaj, nie widziałeś tego.

- Oglądaliśmy zdjęcia...

- Zdjęcie nie przekazuje ogromu zniszczeń oraz ich zasięgu. Gdziekolwiek spojrzalesz, były ruiny, ciągnęły się kilometrami.

Mira podeszła do witraża Marii Magdaleny.

- Witraże to tylko drobna część tego, co uległo ruinie, ale to moja część. - Zerknęła przez ramię na Connora. - Miałam rzadkie umiejętności potrzebne do ich odrestaurowania. Jak mogłabym tego nie zrobić?

Pytanie było retoryczne, więc Connor nie odpowiedział.

- Znalazłaś dobre miejsce.

Uśmiechnęła się.

- Też tak uważam. To był czysty przypadek. Podstawowym kryterium było dla mnie odpowiednio wysokie położenie, żeby lokal nie został zalany w razie powodzi. To znacznie zawężyło zakres poszukiwań. W grę wchodziły tylko Uptown, Garden District, French Quarter, Riverbend i kilka skrawków ziemi gdzie indziej.

Wyprowadziła go na zewnątrz. Chris stał na drabinie i przybijał sklejkę do nowej ramy okapu.

- Kursy Deni zyskały taką popularność, że postanowiliśmy wyszykować na nie specjalne miejsce.

Kiedy już będzie gotowe, rozpoczniemy również kursy dla młodzieży.

Chris zerknął ku nim i pomachał im ręką.

- Chodź, poznasz mojego starego przyjaciela! - zawołała.

Zszedł z drabiny, otarł ręcznikiem twarz i kark i powoli się do nich zbliżył.

- Miło poznać - powiedział. - Uścisnąłbym panu dłoń, ale jak pan widzi, jestem niemiłosiernie upačkany.

Connor wyciągnął do niego rękę.

- Nie szkodzi. Właśnie wróciłem z Afganistanu. Trochę potu i brudu nie robi na mnie wrażenia.

Wymienili więc uścisk dłoni.

- Connor Scott.

- Chris Johns. Miło mi pana poznać.

Mira uśmiechnęła się do Chrisa, który nieustannie pozytywnie ją zaskakiwał. Jak na swoje dwadzieścia kilka lat był pewny siebie i doskonale zorganizowany. Nic dziwnego, że Deni tak bardzo go lubiła. Mira jej w tym sekundowała.

- Czekam na inspektora nadzoru, który sprawdzi instalację elektryczną - poinformował Chris.

- Przykro mi, że musisz pracować w takim upale.

- O ile pamiętam, ostatnio nie miałaś wpływu na pogodę.

- Tego żałuję. - Zaczęła się wachlować dłonią. - Mogłam jednak wybrać lepszą porę roku na remont.

- Cieszę się, że mam pracę.

- Pamiętaj, żeby dużo pić i nie odwodnić organizmu - przestrzegła go Mira.

- Tak jest, pani kapitan. - Chris zasalutował i odszedł.

- Sympatyczny facet - powiedział Connor.

- Owszem. Dopisało mi szczęście. Po Katrinie wciąż jest bardzo trudno o dobrych rzemieślników. Wrócili do pracowni i znów stanęli przed witrażem Marii Magdaleny. Deni pracowała nad rozetą z rezydencji w Uptown.

- Ponoć ten witraż to twoje oczko w głowie.
- Można tak to nazwać. W ciągu ostatniego roku pochłaniał mnóstwo mojej energii.
- Chciałbym się dowiedzieć się o tym jak najwięcej. O wszystkim innym też - stwierdził Connor, patrząc Mirze w oczy.

- Zdaje się, że mamy sporo do obgadania.

Spoważniał.

- Wytłumaczę ci wszystko, ale nie teraz. Może dzisiaj wieczorem?

- Znakomicie.

- Wciąż mieszkasz w domu przy Frenchmen Street?

- Tak.

- Ty załatwiasz wino, ja jedzenie. Wciąż nałogowo jadasz kubańskie kanapki z Fefa's?

- Ich nie ma. Za to ja nie jestem już wybredna.

Wyczarował krzywy uśmiech, który pamiętała ze starych dobrych dni.

- Najwyraźniej zamierzasz odfrunąć podczas silnego wiatru.

- Nie byłam głodna od pięciu lat.

- Przykro mi.

- Powiedz to jeszcze raz, a nici z kolacji.

- Więcej tego nie powiem. - Connor nie spuszczał wzroku z twarzy Miry. - Tak bardzo tęskniłem za tobą i... - Urwał w porę, ale niewypowiedziane słowa i tak zawisły w powietrzu.

„Za Jeffem”.

Connor i Jeff byli kolegami z ławy szkolnej i z czasów studiów. Connor wystąpił jako świadek na ślubie Jeffa. Przyjaźnili się we troje. Niejeden wieczór przesiedzieli przy kuchennym stole w ich domu, popijając wino i rozmawiając do białego rana.

Mira starannie pielęgnowała te wspomnienia.

- Naprawdę cieszę się, że wróciłeś.
- Ja też. - Odwrócił wzrok, ale zaraz ich spojrzenia znów się spotkały. - W takim razie do wieczora. O szóstej?

- Dodaj pół godziny.

Mira odprowadziła Connora do drzwi i popatrzyła, jak odjeżdża. Niemal natychmiast znalazła się przy niej Deni.

- Kto to był? - spytała.

- Przecież ci powiedziałam. Stary przyjaciel, którego nie widziałni od czasu huraganu.

- Dawny chłopak?

- Nie. Kolega Jeffa. Spędzaliśmy we troje dużo czasu.

Deni wydała się rozczarowana.

- Myślałam, że on ma na ciebie chrapkę.

- Niekoniecznie. Jesteśmy jak brat i siostra.

- Szkoda. On jest super.

- To prawda. Jest też miły.

- Może więc powinnaś dać spokój temu gadaniu o siostrze i bracie i spróbować romantycznej...

Mira nie pozwoliła jej dokończyć.

- On był przyjacielem Jeffa.

- I twoim. Czy może być lepszy kandydat, w którym warto się zakochać?

- Przestań, Deni. - Wypadło to ostrzej, niż zamierzała i asystentka wydawała się urażona. - Przepraszam. Nie jestem gotowa.

- Rozumiem. Tyle że... - Deni zawahała się, ale naciskała dalej: - Minęło prawie sześć lat, moja droga.

- Wiem, ale... - Z wysiłkiem szukała właściwych słów. - Prawda, Deni, jest taka, że nawet pięćdziesiąt lat może nie wystarczyć.

Rozdział 16

piątek, 12 sierpnia godz. 18.30

Dom przy Frenchmen Street należał do rodziny Jeffa od połowy dwudziestego wieku. Stał u zbiegu Frenchmen z Esplanade Avenue, blisko nabrzeża Missisipi, na gruncie graniczącym z French Quarter, choć jeszcze poza jej granicą.

Obszar zwany Marigny rozwinął się w pierwszej dekadzie dziewiętnastego wieku za sprawą kreolskiego bogacza noszącego takie właśnie nazwisko. Tutejsza architektura dawała świadectwo zarówno lokalnej historii, jak i swemu francuskiemu rodowodowi. Dom Miry, świetnie zachowana kreolska kamienica, miał dwa piętra, centralnie położony dziedziniec i balkony z żeliwnymi balustradami.

Jeff dostał ją w spadku po babce ze strony matki. Po jego śmierci rodzina Gallierów próbowała wyszarpać własność z rąk Miry, lecz ona na to nie pozwoliła. Nie interesowała jej astronomiczna wartość rynkowa nieruchomości, ponieważ w ogóle nie myślała o sprzedaży. To był dom jej i Jeffa, jedyny, jaki dzielili w ciągu pięciu lat małżeństwa.

Podobno częstym gościem pierwszej pani domu była Marie Laveau, słynna królowa wudu. Ponadto pierwszy właściciel brał udział w spisku uknutym przez Nicholasa Giroda, burmistrza

Nowego Orleanu i sympatyka Napoleona. Miał on doprowadzić do uwolnienia zesłanego cesarza z Elby i ofiarowania mu nieruchomości w Nowym Orleanie tam, gdzie obecnie w French Quarter znajduje się Napoleon House. Jeff twierdził, że pirat Jean Lafitte, absolutnie niezbędne ogniwo tej intrygi, spał kiedyś w gościnnej sypialni.

Connor stawiał się punktualnie o wpół do siódmej. Przyniósł kanapki i lilie.

- Pamiętam, że bardzo je lubiłaś - powiedział, wręczając kwiaty Mirze.
- Dziękuję. - Powąchała aromatyczne kielichy i głęboko odetchnęła. - Od dawna nikt nie przyniósł mi kwiatów.

- Można wejść?

- Naturalnie. - Odsunęła się na bok. - Teraz jeszcze powiedz, że torba z kanapkami jest z Mothers.

- Czy jest w Nowym Orleanie drugie miejsce, gdzie można dostać takie kanapki?

Uśmiechnęła się.

- Nie o takim smaku.

- Śniłem o nich, kiedy byłem w Iraku. Także o tym, że jestem z tobą i Jeffem.

Mira poczuła łzy w oczach.

- Zrealizowanie dwóch marzeń to i tak dobry wynik.

Ujął ją za rękę, uścisnął i cofnął dłoń.

- Dom wygląda całkiem normalnie.

- Wyszedł z huraganu bez szwanku.

Przeszli do kuchni, której francuskie okna wychodziły na zielony dziedziniec. Usiedli przy stuletnim stole, który kiedyś służył rzeźnikowi jako blat roboczy.

- Wciąż lubisz caberneta? - spytała.

Connor skinął głową i podczas gdy Mira otwierała butelkę, wyciągnął kanapki z torby. Pamiętał, gdzie leżą talerzyki, więc wziął dwa. Potem postawił na stole papierowy ręcznik. To wszystko było tak boleśnie znajome, że gdy Mira nalewała wino, musiała uważać, tak drżały jej ręce.

Connor odpakował kanapki.

- Żeby tylko był podwójny tłuszcz - powiedział.

Był podwójny tłuszcz, dużo siekanej wołowiny, a do tego majonez sałata i pomidory.

- Nie zjem tego bez noża i widelca. - Mira wstała od stołu. - Chcesz sztucce?

- Żartujesz?

Wróciwszy do stołu, spostrzegła, że Connor zdążył pochłonąć trzecią część kanapki, nie roniąc przy tym ani kropelki tłuszczu.

- Jak długo tu jesteś? - spytała Mira, nakładając na widelec porcję wołowiny z tłuszczem.

- Kilka dni.

Spojrzała na niego znacząco.

- To wyjaśnia brak manier przy stole. Wciąż jesteś na etapie chłonięcia cywilizacji?

- Owszem, i to bez szczególnego powodzenia - odparł z uśmiechem.

- Rozumiem.

- Przez pierwszą dobę spałem, a przez ostatnią nie śpię wcale.

- Jak tam było?

- Nieludzko.

Mira włożyła do ust następny kęs.

- Dlaczego zniknąłeś?

- Potrzebowałem kryjówki.

- Nie rozumiem.

Puścił jej słowa mimo uszu. Uniósł kieliszek, zakręcił nim, sprawdził bukiet i smak wina.

- Ale dobre! Oto jedna z wielu rzeczy, których mi brakowało.
- Dlaczego się ukrywałaś? Jeff był twoim najlepszym przyjacielem.
- Oboje byliście moimi najlepszymi przyjaciółmi - podkreślił Connor.
- Swoim zniknięciem z dnia na dzień złamałaś mu serce. Zresztą, mnie też.

Ujął ją za rękę i mocno uściśnął. Nie cofnęła ręki i nie zaprotestowała, chociaż uścisk sprawił jej ból.

- Obiecuję, że wszystko ci opowiem, tylko nie teraz. Zgoda? Zdawało mi się, że jestem gotowy, lecz nie. Potrzebuję więcej czasu.

Puścił jej dłoń tak samo nagle, jak wcześniej ją ujął.

- Chyba powinienem już iść....
- Nie. - Tym razem to ona chwyciła go za rękę, tyle że delikatnie. - Nie odchodź. Powiesz mi, kiedy będziesz gotowy. Ufam ci.

Zamilkli. Connor popijał wino, tymczasem Mira zajęła się kanapką. W końcu przerwała milczenie.

- Nie zjadłam czegoś takiego od wieków.
- Teraz też jeszcze nie zjadłaś.
- Chcesz trochę?
- Jasne, dawaj.

Wziął nietkniętą połowę kanapki.

- Kwiaty nie, kanapki nie. Co ty, u diabła, robiłaś?
- Trwałam.
- Cholera. - Odłożył kanapkę. - To było niedelikatne z mojej strony.
- Pomyśl, ile razy siedzieliśmy przy tym stole w podobnej sytuacji. Jedliśmy coś typowo

nowoorleańskiego i piliśmy wino...

- Dużo wina.
- Rozmawialiśmy i spieraliśmy się.
- O różne głupoty.
- Śmiechu też było co niemiara.
- Tak. - Spojrzał jej w oczy z poważną miną. - Chciałbym do tego wrócić. To, co jest teraz, wydaje mi się...

- Niezręczne - dokończyła z westchnieniem. - Nie pragnę litości ani współczucia. Zależy mi na tym, żeby przestać za nim tęsknić. - Wstała i podeszła do jednego z okien. Oparła się o futrynę i zapatrzyła w mrok. - To moja wina - powiedziała cicho i zerknęła przez ramię na Connora. - To ja powinnam była umrzeć, nie on.

- Nie mów tak.
 - Jaką część historii znasz?
 - Kawałki, od moich starych.
- A oni usłyszeli je od rodziców Jeffa.
- Dziwi mnie wobec tego, że w ogóle ze mną rozmawiasz.
 - Naprawdę uważasz, że oceniałbym cię w ten sposób? Nie żartuj, Miro.
 - Chciałam tu zostać podczas huraganu. To był mój pomysł.
 - On na to przystał.
 - Tak, a gdy już przekonałam go, żeby się nie ruszać, oboje zaczęliśmy się tym emocjonować. Prawdę mówiąc, wyobrażaliśmy sobie, że najgorsze będą wichry i deszcz oraz brak prądu. W głębi ducha chciałam, żeby to była wielka przygoda Jeffa i Miry. Byliśmy tacy naiwni, tacy głupi.
 - Jak wszyscy.

- Nieprawda. Wielu ludzi postąpiło rozsądnie i ewakuowało się. - Zwolniła zaczep okna i uniosła je. Poczwała duszne, rozgrzane powietrze. Uderzało do głowy zapachem jaśminu, bzyczeniem owadów i muzyką płynącą z Balcony Music Club, mieszczącego się przy tej samej ulicy.

- Zgromadziliśmy wszystko, co wydawało nam się potrzebne. Wodę, lód do chłodzenia szampana, baterie i latarki. Żelazną rację żywności. Odbiornik radiowy Czerwonego Krzyża.

- Czyli zrobiliście wszystko, co trzeba.

Z wyjątkiem tego, że nie wyjechaliśmy, pomyślała Mira.

- Jeff kupił pistolet.

- To do niego niepodobne.

- Piechota morska też do ciebie nie pasuje.

- Może wcale nie znaleźliśmy się tak dobrze, jak nam się zdawało.

Nie chciała, żeby tak myślał, i wyraźnie mu to powiedziała. Wzruszył ramionami.

- Mówisz więc, że Jeff miał pistolet?

- Tak. Nienawidziłam tego żelastwa, ciarki mnie przechodziły na jego widok. Jeff obawiał się, że może zdarzyć się coś nieprzewidzianego i pistolet będzie potrzebny.

Coś nieprzewidzianego rzeczywiście się zdarzyło. I to na więcej sposobów, niż sobie wyobrażali.

- Dla nas i Ginger przygotowaliśmy kryjówkę w składziku pod schodami. Przetrwaliśmy uderzenie huraganu, chociaż kilka razy wydało mi się, że już po nas. - Popatrzyła na Connora. - Nie wyrażasz sobie nawet... Wiatr tłukł w nas bez końca, godzinami. Wył i świszczął. Zupełnie jakby chciał rozszarpać dom na kawałki, jakby w każdej chwili mógł wyrwać go z ziemi razem z fundamentami. Pamiętam, że przyciskałam dłonie do uszu i zanosiałam modły, żeby to wreszcie się skończyło. Czasem wszystko cichło, w przerwach między falami, wtedy wyłaziliśmy z kryjówki i biegliliśmy do okien zobaczyć, co się dzieje. A potem wiatr uderzał znowu.

Connor wstał i podszedł od tyłu do Miry. Położył jej ręce na ramionach. Pokrzepiona tym gestem przykryła jego dłonie swoimi rękami.

- Wreszcie huragan ucichł. Dom pozostał w zasadzie nietknięty. Mieliśmy... - głos jej się załamał - mnóstwo szczęścia. Zniszczenia dookoła były dużo gorsze.

Connor jej nie przerywał, stał nieruchomo. Czekał. Rozumiał, że Mira podzieliła się z nim jedynie początkiem opowieści.

- Martwiłam się o pracownię, o witraże. Właśnie skończyłam duże zlecenie dla kościoła w Violet. Zamontowałam witraże zaledwie tydzień przed huraganem. Jeff zaofiarował się, że pojedzie do pracowni i sprawdzi, co tam się dzieje. Doszły nas słuchy, że powalone drzewa i poprzerywane linie energetyczne właściwie uniemożliwiają przemieszczanie się. Kazał mi zostać, uważał, że będę bezpieczniejsza... - Mocniej zacisnęła palce na dłoni Connora. - Bezpieczniejsza - powtórzyła - bo drogi są zasłane gruzem. Poza tym uważaliśmy, że ktoś powinien być w domu. Jeff zostawił mi pistolet.

- Czyli wsiadł do furgonetki i odjechał?

- Uznaliśmy, że już po wszystkim. Sądziliśmy, że można bezpiecznie tam dotrzeć. - Spojrzała na niego błagalnie. - Nie pozwoliłabym mu jechać, gdybym przypuszczała, że może nie wrócić.

Connor delikatnie masował jej ramiona.

- To oczywiste.

- Wierzysz mi, prawda?

- Dlaczego miałbym nie wierzyć?

To łagodnie zadane pytanie zabrzmiało w jej uszach jak wyrok skazujący. Raptownie się od niego odsunęła.

- Ponieważ jestem teraz zamożną wdową! Nie udawaj, że rodzina nie opowiedziała ci, co się

wydarzyło.

- Niczego nie udaję. Ustalmy jedno. Nie słyszałem tej historii od ciebie, a to znaczy, że nie słyszałem jej naprawdę.

Drżąc, mówiła dalej.

- Pękła ściana kanału biegnącego wzdłuż Seventeenth Street, o przecznicy od mojej pracowni. Znaleźli potem ciężarówkę Jeffa i wywnioskowali, że prawdopodobnie szedł piechotą, kiedy to się stało. Zwaliła się na niego ściana wody. To musiało się zdarzyć w jednej chwili. Nie miał szans. Nawet gdyby była droga ucieczki, toby nie zdążył.

- Kiedy się o tym dowiedziałaś?

- Minęły trzy dni, nim opadł poziom wody, a potem jeszcze tydzień, zanim można było szukać ciała. To czekanie w niepewności było straszne. Powtarzałam sobie, że nic mu się nie stało. Że ukrył się gdzieś i nie może się ze mną skontaktować.

- Jego ciała nie znaleziono, prawda?

- Znaleziono! Tyle że... - Mira z trudem panowała nad sobą. - Nikt w stu procentach nie stwierdził, że to właśnie on. Stan ciała po długim przebywaniu w wodzie...

Tego nie mogła dokończyć. Jak można wyrazić po miesiącach zgrozę, którą wzbudził raport lekarza sądowego, mówiący o ciele okaleczonym zarówno przez żywioły, jak i zwierzęta.

- A dokumentacja od stomatologa?

- Przepadła - szepnęła. - Tego po prostu nie da się odzyskać. Gabinet dentysty znikł z powierzchni ziemi, a wraz z nim cała dokumentacja.

Mira wzięła ze stołu kieliszek i dopiła wino.

- Rodzina Jeffa oskarżyła mnie o to, że go zamordowałam.

- To niedorzeczne. Wiem, że go nie zabiłaś.

- Skąd? - Wyzywajaco spojrzala mu w oczy. - Przeciez cie tu nie bylo.

- Znam cie i wiem, jak bardzo go kochalas.

Po policzkach poplynela jej lzy.

- Nikt inny... Nikt mi nie wierzy tak jak ty.

Objal ja. Wtulila twarz w jego pierś i zanosila sie placzem. Trzymal ja przy sobie dopoty, dopoki nie zabraklo jej lzez. Wtedy wysunela sie z jego ramion.

- Pięknie - powiedziala. - Zniszczylam ci koszule.

- Mam inne - pocieszyl ja. - Poza tym moja koszula to naprawde drobiazg w porownaniu z twoja twarza.

- Az tak zle?

- Wsciekly szop po ataku szalu.

Mira wyjela chusteczke, otarla oczy i policzki, po czym wydmuchala nos.

- Policja wszczela sledztwo. Rodzina Gallierow, jak wiesz, jest bardzo wplywowa. Maja powiazania siegajace nawet urzedu prokuratora generalnego.

- Do diabla! Jakie niby mieli dowody?

- Zanim Jeff odjechal tamtego dnia, udzielil mi lekcji strzelania. Uparl sie, ze musze przynajmniej wiedziec, jak sie uzywa pistoletu, w razie gdyby podczas jego nieobecności pojawili sie rabusie.

Connor skinal glowa.

- Wydaje sie to rozsadne.

Mira usiadla na krzesle.

- Z pistoletu strzelano, a na kolbie byly moje odciski palcow. Mimo to prokurator okregowy odmowil wniesienia oskarzenia. Nie ma ciała, nie ma morderstwa. Zreszta nawet gdyby lekarz

dokonał identyfikacji ze stuprocentową pewnością, nie było żadnego śladu rany postrzałowej.

- Przykro mi, że narażono cię na takie przeżycia - powiedział Connor.
- To jeszcze nie był koniec - odparła z goryczą. - Wytoczyli mi proces cywilny i oskarżyli o spowodowanie śmierci.
- To też im się nie udało.
- Owszem. W ten sposób zostałam bogatą wdową, która oddałaby wszystko za jeden dzień spędzony z mężem.
- Powinienem być cię w tym wspierać.
- Wspierasz mnie teraz. Dziękuję ci.

Później wspominali dobre czasy, rozmawiali o przyszłości, o swoich nadziejach i marzeniach.

Dopiero kiedy Connor odjechał, Mira uświadomiła sobie, że nie powiedział jej niczego o ostatnich pięciu latach ani o tym, dlaczego nagle zniknął.

Rozdział 17

sobota, 13 sierpnia godz. 2.30

- Jeff!

Mira raptownie usiadła na łóżku, ciężko dysząc. Próbowała przeniknąć wzrokiem mrok w pokoju. Ten sen był taki prawdziwy! Jeff był tutaj, stał przy łóżku i cicho do niej przemawiał.

„Moja piękna gwiazdo, jak bardzo tęskniłem za tobą”. Zaczął tak się do niej zwracać, gdy dowiedzieli się, że Mira jest nazwą ciała niebieskiego. Nikt inny tak do niej nie mówił. Dlaczego wkradł się dzisiaj do jej snów? Przecież minęły lata.

Spotkanie z Connorem; wspomnienia z dawnych czasów.

Sięgnęła do lampki nocnej. Jej palce otarły się o coś zawieszzonego na wyłączniku. Marszcząc

czoło, zaczęła badać to palcami. Delikatny łańcuszek. Tak jakby... Niemożliwe! Zapaliła światło i mimowolnie jęknęła przerażona na widok emaliowanego krzyżyka.

Metal lśnił, jakby był całkiem nowy. Sięgnęła po wisiołek, ale znieruchomiła, uprzytomniła sobie bowiem, że ktoś musiał wejść do domu, podczas gdy ona spała. Nie tylko wszedł do środka, lecz stanął przy łóżku tak blisko, że mógł jej dotknąć.

To na pewno nie był Jeff.

To Kaznodzieja. Wciąż mógł znajdować się w domu.

Z krzykiem wyskoczyła z łóżka. Chwyciła z podłogi spodenki i szybko je wciągnęła, potem włożyła klapki. Zaczęła wybierać 911 na klawiaturze telefonu komórkowego, ale zrezygnowała i sięgnęła do kieszonki w poszukiwaniu wizytówki detektywa Malone'a.

Mglisto zapisało się w jej świadomości, że odbierający mężczyzna ma zaspany głos, a mimo to, spanikowana, załała go potokiem słów.

- Detektywie, mówi Mira Gallier. Mój wisiołek! Mam go znowu!
- Powoli. Mówi pani, że wisiołek...
- Mam go. On go tutaj przyniósł. Był w moim domu, podczas gdy spałam!
- Już go nie ma?
- Nie wiem. Zbudziłam się, zobaczyłam wisiołek i... Myśli pan, że on może nadal tutaj być?
- Gdzie pani jest w tej chwili?
- W sypialni. - Nagle uświadomiła sobie, że intruz mógł się ukryć pod łóżkiem albo w szafie i nasłuchuje. Planuje następny ruch.
- Miro?
- Słucham? - szepnęła.
- Wysłałam do pani patrol. Przyjadę wkrótce.

- Niech pan się nie rozłącza!
 - Muszę na chwilę odejść od aparatu. Nie rozłączę się, obiecuję.
- Dotrzymał słowa i wkrótce usłyszała jego głos.
- Patrol jest w drodze, a ja właśnie wyjeżdżam. - Usłyszała trzask drzwiczek samochodu i hałas zapalnego silnika. - Radiowóz patrolował teren niecałe trzy przecznice dalej, więc powinna pani słyszeć syrenę.
- Ledwie zdążyła zrozumieć znaczenie tych słów, gdy rozległ się głośny charakterystyczny sygnał.
- Jadą.
 - To dobrze. Proszę zostać tu, gdzie pani jest, dopóty, dopóki policjanci nie staną pod drzwiami. Oni na pewno się przedstawią. Rozumie pani?
- Zjawili się minutę później. Podbiegła do wejścia, wciąż przyciskane telefon komórkowy do ucha. Szeroko otworzyła drzwi. Dwaj policjanci w mundurach polecili Mirze poczekać na zewnątrz domu, a sami weszli do środka. Mira stanęła na ganku i ujrzała czerwone camaro Malone'a parkujące przed jej domem.
- Poczuła, że się uspokaja.
- Kiedy znalazł się przy niej, uśmiechnął się i wskazał telefon, który wciąż miała przy uchu.
- Można wyłączyć - powiedział.
 - Okej. Do zobaczenia - powiedziała i poczuła się jak kompletna idiotka.

Rozdział 18

sobota, 13 sierpnia godz. 3.05

Podczas przeszukania domu niczego nie znaleziono. Rzeczywiście krzyżyk wisiał na lampce przy łóżku właśnie tak, jak opisała to pani Gallier. Malone podziękował policjantom z patrolu i podszedł

do Miry, drżącej mimo panującej duchoty. Wyciągnął rękę z wisiorkiem.

- Nie sądzę, żebyśmy go potrzebowali. Został wytarty.

Umieściła krzyżyk na szyi.

- Dziękuję.

- W domu nikogo obcego nie ma. Okna są zamknięte, brak śladów włamania.

Malone zwrócił uwagę, że pani Gallier trzyma krzyżyk w dłoni, mimo że ma go na szyi.

- Czy przed pójściem spać zamknęła pani drzwi na zamek?

- Tak.

- Jest pani pewna?

- Absolutnie.

- Jak więc ten człowiek dostał się do środka?

- Nie mam pojęcia.

- Proszę się dobrze zastanowić. Czy kiedy wpuszczała pani patrol, musiała pani otworzyć zamek we frontowych drzwiach?

Przesunęła dłonią po krótko obciętych włosach, ale tylko spotęgowała tym wrażenie, że właśnie wstała z łóżka. Niektóre kobiety wyglądają w takiej sytuacji pięknie, inne sprawiają dość niechlujne wrażenie. Gallier należała do tej pierwszej kategorii.

- Podbiegłam do drzwi. - Wyglądało na to, że opowiada nie tylko jemu, lecz również sobie. - Do prawego ucha przyciskałam telefon. Wyciągnęłam rękę... otworzyłam zasuwkę i pociągnęłam za drzwi. - Spojrzała mu w oczy. - Drzwi były zamknięte na zamek. Na pewno.

- Jak więc Kaznodzieja dostał się do środka?

- Sprawdził pan okna kuchenne? Te wychodzące na dziedziniec? Wieczorem jedno z nich otworzyłam.

- Sprawdźmy jeszcze raz.

Było zamknięte. Malone przesunął wzrokiem po pokoju, zwrócił uwagę na dwa kieliszki stojące na blacie przy zlewie i pustą butelkę. Wskazał naczynia.

- Kiedy została pani sama?

- Około dziesiątej.

- Czy ten człowiek mógł zostawić wisiołek?

- Nie. Człowiek, którego nazywa pan Kaznodzieją, zdarł mi ten wisiołek z szyi wczoraj rano. Skąd pan wie, że byłam w towarzystwie mężczyzny, a nie kobiety?

- Po prostu strzeliłem. - Malone jeszcze raz omiół wzrokiem kuchnię, po czym zatrzymał spojrzenie na Mirze. - Proszę pozwolić, że zadam inne pytanie, pani Gallier. Czy jest pani absolutnie pewna, że miała ten krzyżyk na szyi, kiedy rzucił się na nią Kaznodzieja?

- Tak. Nigdy go nie zdejmuję.

- Czy jest pani przekonana, że to ten sam wisiołek?

- Tak! Mąż kupił mi podczas miodowego miesiąca w Portugalii. Nigdy nie widziałam nawet podobnego. Dlaczego pan mi nie wierzy?

- Nie w tym rzecz. Muszę spojrzeć na sprawę z różnych punktów widzenia.

- Biorąc pod uwagę, że mam nie po kolei w głowie?

- To się zdarza.

- Nie jestem niespełna rozumu. Zawsze noszę ten krzyżyk. Nawet wchodzę z nim pod prysznic.

- W porządku. Będziemy szukać Kaznodziei, a kiedy go znajdziemy, przewieziemy na komendę. Zalecam pani ostrożność. Proszę włączyć system alarmowy. Dwa razy sprawdzać, czy drzwi i okna są zamknięte zarówno tutaj, jak i w pracowni. Jeśli Kaznodzieja z jakiegoś powodu wybrał panią za cel...

- Za cel? Czego?
- Tego nie wiem. Skoro dwukrotnie złożył pani wizytę, to nie można mówić o przypadku. Ma pani psa?
- Miałam sukę golden retrievera. Straciłam ją podczas huraganu.
- Zabrzączał telefon komórkowy. Spencer zerknął w dół, przypiął go bowiem do pasa. Zorientował się, że dzwoni jego brat Percy.
- Przepraszam bardzo - powiedział i przytknął aparat do ucha.
- Malone, słucham.
- Cześć, braciszku. Jesteś na miejscu zdarzenia?
- Właśnie odjeżdżam.
- To dobrze. Mam coś dla ciebie.
- Co takiego?
- Nie co, tylko kogo. Znaleźliśmy Kaznodzieję. Niestety, nie żyje.
- Gdzie?
- We French Quarter. Publiczna toaleta przy Decatur.
- Niedaleko Cafe Du Monde?
- Właśnie tam. Na razie.
- Malone rozłączył się i spojrzał na panią Gallier. Dostrzegł pytanie w jej oczach, ale postanowił je zlekceważyć.
- Muszę już iść. - Ruszył do drzwi. - Nie sądzę, żeby miała pani powody do niepokoju. W razie potrzeby proszę dzwonić do mnie albo pod dziewięćset jedenaście.

Rozdział 19

sobota, 13 sierpnia godz. 4.15

Kaznodzieja zakończył życie w męskiej toalecie. We French Quarter brakowało publicznych szaletów i zapewne dlatego wielu pijanych traktowało ulicę jak pisuar. Nieliczni wytrwali imprezowicze, wciąż jeszcze na nogach, spotykali nieszczęśników, którzy spieszyli do pracy. Jedni i drudzy przystawali, aby się pogapić na miejsce zbrodni: patrole policji z migającymi kogutami, kombi koronera i żółtą taśmę rozciągniętą w poprzek wylotu alejki.

Malone powitał pierwszego policjanta i wpisał się do książki wejść.

- Gdzie znajdę mojego brata?
- W środku przy ofierze. Musi pan włożyć ochraniacze na buty.

Malone skinął głową.

Ochraniacze podał mu jeden z członków ekipy techników. Służyły dwom celom: chroniły miejsce zdarzenia przez zatarciem śladów lub policjanta przed ewentualnym zakażeniem. Włożył je i ruszył dalej, po czym stwierdził, że tym razem w grę wchodzi druga możliwość. Dorosły człowiek ma w żyłach pięć do sześciu litrów krwi. Wyglądało na to, że właśnie tyle znalazło się wokół ciała Kaznodziei.

Fotograf koronera właśnie kończył pracę. Percy stał z boku i czekał. Malone klepnął brata po ramieniu.

- Cześć, Odbijaku.

Percy był od niego cztery lata młodszy, przystojniejszy, bardziej atletycznie zbudowany i znacznie wyższy, o włos przekraczał bowiem metr dziewięćdziesiąt. Zyskał przydomek w związku z tym, że latami trenował koszykówkę, a także dlatego, że wiązał się z porzuconymi kobietami.

Spencer utrzymywał bliskie stosunki z sześciorgiem rodzeństwa, ale jego więź z Percym była szczególna. Bardzo dobrze się rozumieli.

Brat odwrócił się ku niemu.

- Cześć, chłopie.
- Dzięki za cynk.
- Zawsze chętny do pomocy.

Malone wskazał na zwłoki skulone pod najdalszą umywalką.

- Wygląda na to, że tym razem nawracał niewłaściwego złoczyńcę.
- Zobacz liścik miłosny. Za ciałem.

Malone przeszedł w głąb pomieszczenia. Były tam wymazane krwią słowa „Dzień Sondu”.

Spencer zerknął na brata.

- Ktoś miał dwóję z ortografii.
- To nam coś mówi o sprawcy. Z pewnością nie był to konstruktor rakiet ani tym bardziej doktor nauk humanistycznych.

- Dzień sądu. O co tu chodzi? - zastanawiał się Spencer.
- O dzień, w którym spotykasz swojego Stwórcę.
- Czyli dzień, o którym Kaznodzieja opowiadał ludziom.
- Może komuś w końcu przejadły się jego kazania?

Fotograf skończył pracę i jego miejsce zajął Ray Hollister, śledczy koronera. Spencer i Percy podeszli bliżej.

- Został dźgnięty w gardło - stwierdził Hollister. - Dokładnie w tętnicę szyjną.
- To wyjaśnia, skąd tyle krwi.

Percy zerknął na brata.

- Kiepsko wyglądasz, chłopie. Jak tam Stacy?
- Fizycznie dochodzi do sił. Pod innymi względami wciąż toczy z sobą walkę.

- To chyba zrozumiałe.
- Tak sądzisz? Mam wrażenie, że jest coraz gorzej, a nie lepiej.
- Stacy jest twarda. Przejdzie przez to.

Spencer przypomniał sobie jej niepokoje. Stacy czuła, że się rozkleja. Oto ironia losu.

- Masz rację. Tak właśnie będzie.

W jego tonie zabrakło przekonania i Percy zmarszczył czoło.

- Chłopie, mówimy o kobiecie, która zgodziła się na cyrk z białą suknią i innymi ekstrawagancjami tylko dlatego, że nasza mama wpadłaby w histerię, gdybyście po prostu wyjechali i wzięli ślub po cichu. Okaż jej trochę zaufania.

- Po prostu nie mogę znieść tego, jak cierpi.

Hollister, który kucnął przy ciele, zerknął na nich przez ramię, wyraźnie poirytowany.

- Hej, Malone pierwszy i drugi. Może poświęćcie trochę uwagi tu obecnemu panu Kaznodziei? Im szybciej zrobię to, co do mnie należy, tym prędzej znowu położę się spać.

- Wierzysz w to? - spytał go Spencer. - Poza tym mamy tu z Odbijakiem małe spotkanie rodzinne.

- Każde miejsce zdarzenia służy spotkaniom rodziny Malone. To nic nowego - zauważył z uśmiechem Hollister. - Nawiasem mówiąc, Spencer, oczekuję zaproszenia. Należą mi się posiłek i alkohol, a zwłaszcza dużo alkoholu.

Percy roześmiał się i włożył gumowe rękawiczki.

- Co tu mamy?

Hollister przyjrzał się ranie.

- Wygląda tak, jakby ofiara stała przy umywalce i została zaatakowana od tyłu. Głębokie rany. Nierówne krawędzie. - Posługując się metalowym zgłębnikiem, otworzył ranę. - Wyciągnięcie

narzędzia zbrodni spowodowało tyle samo szkód, co uderzenie.

- Krew trysnęła się na całą umywalkę, na ścianę i lustro. Sprawca na pewno nie odszedł stąd czysty - uznał Percy.

Ten fakt potwierdzały krwawe odciski stóp człowieka kierującego się do wyjścia.

- Środek French Quarter, a sprawca jak gdyby nigdy nic wychodzi na ulicę. Twarda sztuka.

- Ta dzielnica ma swoje prawa. - Percy zmarszczył czoło. - Nawet nie było bardzo późno. W piątkowy wieczór musiało kręcić się dookoła sporo ludzi. Ktoś powinien coś zauważyć.

- Sprawca mógł skorzystać z okazji - wtrącił Hollister. - Wtopił się w tłum.

- Czy Kaznodzieja mógł zrobić to sam? - spytał Spencer. - Wiesz, dzień sądu. Chciał dać świadectwo...

- A w jaki sposób napisał krwią te słowa?

- Najpierw tylko lekko się zaciął, a czynu dokonał później.

Obaj spojrzeli na Hollistera.

- To wątpliwe. Przy takiej ranie ofiara musiała niemal natychmiast utracić zdolność do jakichkolwiek świadomych odruchów. Poza tym gdzie jest narzędzie zbrodni?

- Mamy też, braciszku, krwawe ślady prowadzące do wyjścia.

- Kto znalazł ciało?

- Jakiś włóczęga około czterdziestu minut temu. Wybiegł z wrzaskiem. To zwróciło uwagę barmana, który wracał do domu z pracy. I on nas wezwał.

- A ten włóczęga?

- Poszedł sobie.

- To mogą być jego odciski?

- Niczego na razie nie wykluczam - odparł Percy - Ten typ był obłąkany, a trzeba obłąkańca,

żeby coś takiego zrobić sobie samemu.

Spencer znów spojrzał na Hollistera.

- Jak myślisz, od jak dawna on nie żyje?

- Od kilku godzin. Występuje już stężenie pośmiertne, zasinienia.

oczywiste. W kostnicy zbadamy temperaturę ciała.

Malone zerknął na zegarek.

- Jest po czwartej. Czy możliwe, że ten człowiek był na Frenchmen przy Esplanade o pierwszej lub pierwszej trzydzieści?

- Trzy godziny temu? - Hollister pokręcił głową. - Niewykluczone, ale musiały się spieszyć.

- Czemu pytasz? - włączył się Percy.

Zamiast odpowiedzieć, Spencer zadał pytanie.

- Sprawdziłeś mu kieszenie?

- Mundurowy sprawdzał, czy ofiara ma jakiś dokument, ale dokładnego przeszukania nie zrobiliśmy. Co cię interesuje?

- Wisiołek z krzyżykiem. Wczoraj rano Kaznodzieja zerwał go kobiecie z szyi. Ofiara rabunku twierdzi, że wisiołek zwrócono jej dziś w nocy między pierwszą a wpół do drugiej. To było w Marigny. Szukam potwierdzenia tego faktu.

- Kiedy będę miał pewne wiadomości, zadzwonię - obiecał Percy.

Rozdział 20

sobota, 13 sierpnia godz. 8.40

- Musimy pogadać.

Malone oderwał wzrok od ekranu komputera. Bayle stała w drzwiach jego boks, trzymając w

dłoni papierowy kubek firmowy PJ's, napełniony kawą.

- O co chodzi, partnerze?
- To zabawne, że mnie tak nazywasz dziś rano. Pusty śmiech człowieka ogarnia.
- Nie rozumiem.
- Kaznodzieja nie żyje, a ty do mnie nie dzwonisz? Jedziesz na miejsce zdarzenia i mnie nie zawiadamiasz? Co z tobą, do cholery, Malone?
- Uznałem, że nie ma potrzeby budzić cię w środku nocy.

Podeszła do biurka i ze złością postawiła kubek na blacie. Pochyliła się tak, że prawie zetknęli się nosami.

- Nie jestem wydelikacaną księżniczką, która pięknieje we śnie. Pracuję z tobą w parze. To jest nasza sprawa, nie tylko twoja. Kapujesz?

Miała rację, ale frontalny atak wywołał u niego opór.

- Zapisalem w pamieci.
- I tyle? Co ty sobie myslales, do diabla?
- Nie myslalem, w porzadku? Moja wina. Przepraszam.

Opanowała się. Pierwszy raz zauważył, że jest nie tylko zła, lecz również urażona. Prawdę mówiąc, nie mógł mieć do niej pretensji. Tony'ego na pewno by wezwał.

- To więcej się nie powtórzy.
- Dziękuję.

Zdawała się tracić impet. Wzięła do ręki kubek z kawą i usiadła przed jego biurkiem.

- Domyślam się, że w sprawie Kaznodziei zadzwonił do ciebie ktoś z rodzeństwa. Kto?
- Percy.
- Wprowadź mnie w sprawę.

Opowiedział jej wszystko, zaczynając od sposobu, w jaki dokonano zbrodni, a kończąc na obietnicy Percy'ego, że odezwie się, jak tylko otrzyma raport.

- Dzień Sądu?
- Napisany przez „on”.
- Jakież teorie?
- Ktoś miał dosyć nauk Kaznodziej, wszedł za nim do szaletu i tam go zabił. Możliwe też, że Kaznodzieja załatwił się sam, aby dać świadectwo. Dość naciągana teoria, ale intrygująca.
- Miał przy sobie krzyżyk? - spytała.
- To właśnie jest ciekawe. Tej nocy Gallier odzyskała wisiołek.
- Słucham?!

Bayle znieruchomiła z kubkiem podniesionym do ust.

- Gallier zadzwoniła do mnie w nocy. Była spanikowana. Krzyżyk się znalazł, wisiał na jej lampce nocnej. Była zdania, że Kaznodzieja dostał się do domu i zostawił wisiołek.
- O! Naprawdę powinnam być ci wdzięczna za spokojny sen minionej nocy.
- Zasługuję na to.

Uśmiechnęła się i przytknęła kubek do warg.

- Nie wydajesz się szczególnie przekonany do wersji pani Gallier.
- Rzeczywiście była przerażona. Dom jednak był zamknięty na cztery spusty i nie odnaleźliśmy żadnych śladów włamania.
- W jaki sposób on tam się dostał?
- W tym rzecz. Poza tym czekam na raport lekarza sądowego i oficjalne stwierdzenie godziny śmierci przez Hollistera. Kaznodzieja u Gallier o wpół do drugiej i martwy w szalecie we French Quarter po zaledwie dwóch godzinach? - Pokręcił głową. - Dochodzę do wniosku, że jej się

wszystko pomyliło. Prawdopodobnie nie miała krzyżyka na szyi, gdy Kaznodzieja chwycił ją za gardło, bo chciał ją udusić, ale usłyszał tamtych dwoje i uciekł. Może zresztą Gallier to wszystko wymyśliła.

- Ale po co? - spytała.
- Z chorobliwej potrzeby zwrócenia na siebie uwagi. Wspominałaś o tym.
- A może odnajduje Kaznodzieję i zabija go, żeby odzyskać krzyżyk.
- To była wyjątkowo krwawa robota, Bayle. Głęboka rana i morze krwi.
- Potem dokładnie się myje, czyści wisiorek i dzwoni do ciebie, udając przerażenie.
- Po co?
- Aby wytłumaczyć odzyskanie wisiorka.

Trudno było mu wyobrazić sobie drobną kobietę z wielkimi smutnymi oczami w roli morderczyni z zimną krwią wbijającą ostrze w gardło człowieka.

- Był u niej wczoraj wieczorem jakiś mężczyzna - powiedział. - Nie sprawdziłem nazwiska, spytałem tylko, czy jej zdaniem mógł pozostawić wisiorek.

- Masz ten krzyżyk?
- Nie. Zrabowany przedmiot wrócił do właścicielki. Został też starannie wytarty.

Malone widział po minie Bayle, że nie zgadza się z jego opinią, nie powiedziała jednak ani słowa na ten temat.

Zadzwoił telefon. To był Percy.

- Kaznodzieja niczego przy sobie nie miał. Nie tylko wisiorka z krzyżykiem, także portfela, pieniędzy i dokumentów.

- Czyli scenariusz numer trzy: przypadkowy rabunek i ucieczka?
- Niewykluczone, chociaż nie umiem sobie wyobrazić, kto mógłby uznać, że warto napaść na

Kaznodzieję.

Malone podziękował bratu za informacje i odłożył słuchawkę. Ponownie zwrócił się do Bayle.

- Nie miał krzyżyka. W ogóle niczego nie miał.
- To mnie nie dziwi.
- Trzeba zapytać Gallier o nazwisko jej wczorajszego gościa.

Bayle skinęła głową.

- Zrób to. Wygląda na to, że ona darzy cię zaufaniem, albo uważa, że potrafi tobą manipulować. Uśmiechnął się.

- Postawię na zaufanie, jeśli ci to nie przeszkadza.

Mira Gallier odebrała telefon. Nie przypominała przerażonej kobiety, z którą Malone miał do czynienia minionej nocy. Po krótkiej pogawędce znał potrzebne nazwisko.

- Connor Scott - powiedział, chowając telefon. - Stary przyjaciel i weteran wojenny tuż po powrocie z Afganistanu.

Rozdział 21

sobota, 13 sierpnia godz. 9.20

Dom należał do tych, na które przewodnicy turystyczni zwracają uwagę wycieczek podczas zwiedzania Garden District. Żeliwne ogrodzenie słynęło ze związanej z nim romantycznej historii. Budynek, utrzymany w stylu neoklasycznym, zajmował miejsce w głębi narożnej parceli.

Malone zmierzył wzrokiem wspaniały ogród z wciąż żywym wiekowym dębem i uznał, że nie przypadkiem Connor Scott, długoletni przyjaciel Miry Gallier, mieszka właśnie w takim domu. Nowoorleańska śmietanka trzymała się razem. Funkcjonowały prywatne szkoły elitarne stowarzyszenia przygotowujące paradę w zapusty, ekskluzywne podmiejskie kluby i sojusze

polityczne zawierane przy butelce stuletniego koniaku. Bogaczy od biedaków dzieliła przepaść, a pilnowała jej armia ludzi o pośrednim statusie.

Takich ludzi jak on i Bayle.

Gdy minęli bramę i ruszyli ceglanym chodnikiem, Malone zauważył kamerę zamontowaną przy ścieżce na dębie, a potem drugą przy frontowych drzwiach.

Uruchomili domofon.

- Policja nowoorleańska do pana Connora Scotta.

- Proszę poczekać.

Chwilę później drzwi otworzył im mężczyzna ubrany w szorty khaki i biały bawełniany podkoszulek. Na szyi miał łańcuszek z wojskowym identyfikatorem. Uśmiechnął się do nich i na jego twarzy pojawiły się zmarszczki we wszystkich odpowiednich miejscach, tak jak u niektórych gwiazd filmu.

Malone natychmiast odczuł do niego niechęć. Jeśli zaś sądzić po minie Bayle, jej wrażenie było podobne.

- Connor Scott? - spytał.

- To ja.

Malone pokazał policyjną plakietkę.

- Detektywi Spencer Malone i Karin...

- Bayle - dokończył Scott.

Zaskoczony Malone zerknął na swoją współpracownicę.

- Znać się?

- Mamy wspólnych znajomych - odparł Connor. - Sprzed wielu lat. Jak ci się żyje, Karin?

- Dziękuję, dobrze. A tobie?

- Bardzo dobrze, dziękuję.

Pod zdawkową wymianą uprzejmości kryły się emocje. Malone nie był pewien, jakiego rodzaju, ale zamierzał to zbadać. Pytanie odłożył jednak na później.

- W czym mogę pomóc? - zwrócił się do niego Scott.

- Przyszliśmy do pana w sprawie Miry Gallier.

W jego oczach odmalował się popłoch.

- Czy z nią wszystko w porządku?

- Tak. Możemy wejść?

- Proszę bardzo. - Szerzej otworzył drzwi i odsunął się na bok.

Malone szybko omiół wzrokiem imponujący hol: marmurowe posadzki, lśniący kandelabr. Pośrodku stał antyczny stół, a na nim wazon z wielkim bukietem ciętych kwiatów.

- Ładne miejsce - powiedział.

- Należy do moich rodziców. Mieszkam tutaj na razie, póki się nie urządzę.

- Wyjeżdżał pan?

- Właśnie zakończyłem chwalebłą służbę ojczyźnie w Iraku i Afganistanie. Jestem w domu dopiero od kilku dni.

- W jakim rodzaju broni pan służył? - spytał Malone.

- W piechocie morskiej.

Scott był dostatecznie silny, aby zabić Kaznodzieję, uznał detektyw. Jako żołnierz piechoty morskiej miał za sobą szkolenie i wiedział by, jak to zrobić.

- Dziękuję panu za ten trud. Doceniamy go, bez względu na to, co sądzi opinia publiczna.

Uśmiechnął się nieznacznie.

- Ja wobec tego dziękuję za pański.

- Gdzie pan był wczoraj wieczorem, Scott? - spytała Bayle.
- Zważywszy na powód waszej wizyty, zakładam, że już wiecie. Jadłem kolację z Mirą Gallier.
- Gdzie? - zainteresował się Malone.
- W jej domu.
- Jakie stosunki was łączą?

Wyraźnie się usztywnił.

- Jesteśmy przyjaciółmi. Starymi przyjaciółmi.
- O której godzinie pan do niej przyjechał?
- O wpół do siódmej.
- A wyszedł?
- O dziesiątej, może dziesiątej trzydzieści.
- Czy jest pan pewien tej godziny?
- Tak. - Zmarszczył czoło. - Dlaczego to takie ważne?
- Musimy wyjaśnić kilka spraw, to wszystko.

Scott naturalnie wiedział, że to nieprawda, więc Malone dodał:

- W nocy doszło u pani Gallier do włamania. Zbieramy informacje.
- Włamanie? - Jego zdziwienie wydawało się szczere. - Ale jej nic nie stało?
- Nie. Co pan robił po wyjściu od pani Gallier?
- Przyjechałem tutaj. Oglądałem telewizję, potem poszedłem spać.
- Ktoś z panem był?
- Nie. - Przekrzywił głowę. - Dużo zadajecie pytań jak na zwykłe zbieranie informacji po włamaniu.
- Wie pan, jacy są policjanci.

- Prawdę mówiąc, nie.

Podziękowali mu i wrócili do samochodu. Malone zerknął na Bayle.

- Nie wspomniałaś, że go znasz, kiedy powiedziałem, kogo mamy przesłuchać.

- Nie skojarzyłam nazwiska. - Zapięła pas. - Ściśle mówiąc, spotkaliśmy się tylko raz czy dwa.

Dzień dobry, do widzenia, i to wszystko.

Spencer zapalił silnik.

- Jak go poznałaś?

- Mówiłam ci, że mieliśmy wspólnego przyjaciela.

- Nie wykręcaj się, Bayle.

- Słucham?

- Miałaś z nim romans?

- Nie. To zresztą nie twój zasrany interes.

- Kim był ten przyjaciel?

- Po co to przesłuchanie?

- Kim był przyjaciel? - powtórzył.

- Kimś, z kim się spotykałam. - Odczekała chwilę i ciężko westchnęła. - No dobrze, kimś, w kim byłam zakochana. On nie odwzajemniał tego uczucia i skończyło się marnie.

- A Scott?

- Pracował razem z nim. Zadowolony? Wolałabym go więcej nie spotkać.

Malone skinął głową i wrzucił bieg.

- Będę bardzo zobowiązana, jeśli zachowasz to dla siebie.

- Słowo. - Zerknął na nią i wyprowadził samochód na jezdnię. - Wiesz, że możesz mi ufać.

- Zaufanie jest jak wahadłowe drzwi - przypomniała mu. - Działa również w drugą stronę.

Rozdział 22

sobota, 13 sierpnia godz. 11

Następnego ranka Mira zastała przed firmą Connora. Stał przy samochodzie w cieniu dorodnego derenia, a gdy zaparkowała, ruszył w jej stronę.

- Dzień dobry - powiedziała. - Co cię sprowadza?
- Nie domyślasz się?
- Nie. - Zmarszczyła czoło. - Czy coś... - Nagle ją olśniło. - Odwiedzili cię detektywi. Wspominali, że mają taki zamiar.

- Byli u mnie.

Zatrzasnęła drzwiczki samochodu.

- Miro, musimy porozmawiać.

- Dobrze, ale wejdźmy do środka. Na dworze jest za gorąco.

Deni zawołała do nich na powitanie z pracowni:

- Jesteśmy tutaj!

Mira zerknęła na Connora.

- Muszę się przywitać. Wejdiesz ze mną?

Skinął głową i podążył za nią. Deni i Chris siedzieli na podłodze przed witrażem Marii Magdaleny. Pili piwo imbirowe i pogryzali krakersy. Słońce znajdowało się właśnie w wyjątkowo korzystnym miejscu, więc witraż jarzył się wszystkimi barwami.

- Co słychać? - spytała Mira.

- Przerwa w pracy - oznajmiła Deni. - Cześć, Connor. Zdawało mi się, że cię słyszę.

- I słusznie, bo to właśnie ja.

Chris zerknął przez ramię.

- Właśnie o tobie rozmawialiśmy, Miro.
- Naprawdę?

Deni dźgnęła go łokciem. Skrzywił się i roztarł ramię.

Mira roześmiała się i podeszła do nich.

- Wyduś to z siebie.
- Właśnie doszliśmy do wniosku, że ją przypominasz - odparła asystentka.
- Kogo?

Chris wskazał witraż.

- Obecną tu Madzię. Istnieje podobieństwo.
- Nie widzę żadnego - zaproponowała Mira.
- Mylisz się - wtrącił Connor. - Ja też je widzę. To coś jest w oczach.
- Czyżby? - Mira wpatrzyła się w witraż. - Nie wydaje mi się. Może...
- O, do licha! - przerwała jej Deni i z wrażenia aż wstała. - Twój krzyżyk, odzyskałaś go!
- Tak, wczoraj w nocy, ale...

Asystentka serdecznie ją uściskała.

- Bardzo się cieszę.
- Ja też. - Chris wstał i dość niezręcznie objął Mirę.
- Jak to się stało? - chciała wiedzieć Deni.
- Odniósł go.
- Kto? - Deni zmarszczyła czoło. - Chyba nie masz na myśli Kaznodziei?
- Właśnie jego. Zbudziłam się i krzyżyk... po prostu był. Wisiał na lampce nocnej. - Przyjaciele wlepili w nią wzrok, jakby trudno im było to zrozumieć, więc dodała: - Musiał przynieść go

Kaznodzieja, chociaż nie mam pojęcia, jak dostał się do środka. Policja też nie wie.

- Kto był w twoim domu?! - spytał wyraźnie zaniepokojony Connor.

W odpowiedzi wyręczyła ją Deni.

- Wariat, którego policja nazwała Kaznodzieją. Któregoś dnia przed południem wtargnął do pracowni, kiedy Mira była sama, i rzucił się na nią.

- Bardzo się przestraszyłam, ale na szczęście nic mi nie zrobił - dodała Mira.

- Wyglądało to groźnie. - Deni popatrzyła na Chrisa, szukając potwierdzenia. - Miał przy sobie ostre szkło, policja uważa, że prawdopodobnie wyciągnął je z naszego śmietnika. Wszędzie była krew...

- To była jego krew - szybko wyjaśniła Mira. - Zerwał mi krzyżyk z szyi i uciekł.

Connor zmarszczył czoło.

- Twierdzisz, że ten człowiek był w twoim domu wczoraj w nocy?

- Na to wygląda - odrzekła Mira. - Krzyżyk nagle się znalazł. Jak inaczej mogłoby się to stać?

- Bardzo spokojnie o tym mówisz.

- Mam za sobą gorsze przeżycia.

- W każdym razie miło słyszeć, że wszystko jest w porządku - odezwał się Chris. - Może jednak powinnaś pomyśleć o solidniejszym zamku albo innym zabezpieczeniu.

- Jestem tego samego zdania - powiedziała Deni. - Ten typ jest niespełna rozumu. Dostał się do twojego domu.

- Wystarczy, dziękuję. - Mira uniosła dłonie. - Zajmę się tym, obiecuję. Gdybyście mnie potrzebowali, jestem w kuchni.

Przesłała ostrzegawcze spojrzenie Connorowi, który najwyraźniej chciał coś powiedzieć, i ruszyła do drzwi. W kuchni skierowała się prosto do ekspresu.

- Chcesz kawy? - Pokręcił głową, więc wzięła jeden kubek. - O czym chciałeś ze mną porozmawiać?

- Trudno mi uwierzyć, że w ogóle o to pytasz. Dziś rano odwiesiło mnie dwoje detektywów. Pytali o naszą wczorajszą kolację oraz o to, jak spędziłem resztę nocy.

- Nie widzę w tym nic dziwnego. Detektyw Malone wspominał, że chciałby z tobą porozmawiać i sprawdzić, czy rzeczywiście byliśmy razem.

- Sprawdził znacznie więcej. To nie ma sensu.

- Nie rozumiem.

- Opowiedz mi ze szczegółami, co stało się tamtego ranka.

Spełniła jego prośbę, zaczynając od chwili, gdy usłyszała Kaznodzieję kręcącego się po sklepie, a kończąc na jego ucieczce.

- Przemawiał do mnie jak szaleniec. Mówił o fałszywych prorokach i wiecznym potępieniu. - Mira zadrżała na to wspomnienie. - Omal nie umarłam ze strachu.

- A wczoraj w nocy?

- Śnił mi się Jeff, stał koło łóżka. Nazwał mnie swoją gwiazdą i wtedy się zbudziłam.

- Mów dalej.

- Byłam niespokojna, więc zapaliłam światło i spostrzegłam krzyżyk. - Dotknęła go dłonią. - Początkowo nawet nie pomyślałam o tym, że ktoś dostał się do domu. Gdy to do mnie dotarło, wpadłam w przerażenie.

- I wtedy zadzwoniłaś na policję.

- Tak. Do detektywa Malone'a, który tamtego ranka zostawił mi swoją wizytówkę. Wkrótce przyjechał patrol, a po nim również detektyw. Niczego nie znaleźli i nawet nie udało im się dociec, w jaki sposób ten człowiek się włamał.

Connor podszedł do niedużego okna i wyjrzał na dwór. Mira przypuszczała, że stara się poukładać w myślach kawałki łamigłówki tak, by nadać im jakiś sens. Po chwili odwrócił się do niej.

- Pytania, które stawiał mi detektyw, nie miały sensu. Nie w świetle tego, co mi przed chwilą powiedziałaś. Oni chcieli wiedzieć, co robiłem po wyjściu z twojego domu i czy ktoś mógłby to potwierdzić. Zupełnie jakby podejrzewali mnie o jakiś niecny postępek. Mnie albo ciebie.

- Ale jaki?

- Nie wiem.

Mira przebiegła w myślach wszystkie pytania detektywa i jego reakcje na jej odpowiedzi.

- Zastanawiał się, czy czegoś nie pokręciłam w sprawie krzyżyka. Czy na pewno ktoś się włamał, czy raczej miałam go przez cały czas. - Spojrzała Connorowi w oczy. - Nic mi się nie pomyliło.

- Ja ci wierzę.

- Ale oni mi nie wierzą. Czy to chciałeś powiedzieć?

Otworzył usta, ale zamknął je, jakby nagle zmienił zdanie. Wzruszył ramionami.

- Policjanci wykonują swoją pracę, a ja się czepiam. Mnie to przecież nie powinno dziwić. Szkolono nas tak, że nie należy ufać nikomu z wyjątkiem siebie samego. I nawet wtedy... Mniejsza o to. Zapomnij o tej mojej wizycie.

Wyciągnęła rękę i splotła z nim palce.

- Przykro mi. Kiedy będziesz gotów, w każdej chwili możesz ze mną o tym porozmawiać.

Spojrzał na ich złączone dłonie i cofnął swoją.

- Wracaj do pracy. I ja powinienem być produktywny ojciec chce, żebym znowu został członkiem zarządu.

Rodzina Scotta zajmowała się między innymi bankowością. Connor zaraz po skończeniu

uniwersytetu i otrzymaniu dyplomu podjął pracę u ojca. Nie sprawiał wrażenia zainteresowanego karierą zawodową.

- A co ty chcesz robić?
- W tym problem, że nie wiem, ale na pewno nie to. Nauczyłem się, że życie jest za krótkie, żeby trwonić je na coś, czego nie lubisz.
- Chcesz pomóc przy montowaniu witrażu Marii Magdaleny? Silne męskie ręce się przydadzą.
- Jasne. Kiedy?
- W najbliższych tygodniach, dokładnej daty jeszcze nie ustaliłam. - Uśmiechnęła się. - Ostrzegam jednak, że to harówka. Zobaczysz mnie od zupełnie nieznanej strony.
- Traktuję to jako wyzwanie. Możesz na mnie liczyć.

Mira wzięła go za ramię i razem opuścili kuchnię. Gdy przechodzili przez sklep, we frontowych drzwiach ukazała się wchodząca do środka Deni. Trzymała w ręku DVD.

- Co to? - zainteresowała się Mira.
 - Właśnie wyszła Libby Gardner.
- Mira uśmiechnęła się.
- Nasz wywiad?
 - Niezupełnie. To materiał, który będzie na antenie dziś wieczorem.
 - Dziwnie wyglądasz. Coś się stało?
 - Chciała obudzić naszą czujność, zanim to zostanie nadane.

Mirze serce podeszło do gardła.

- Naszą czujność? Co tam jest?
- Wypowiedzi ojca Jeffa.

Anton Gallier obiecał, że Mira drogo zapłaci za śmierć jego syna. Kampanię przeciwko niej

rozpoczął na długo przed Katriną. Najpierw oskarżył ją o dążenie do małżeństwa dla pieniędzy, potem powtarzał, że jego syn popełnia mezalians, i odgrażał się, że go wydziedziczy, jeśli rzeczywiście dojdzie do ślubu.

Jeff nie przejmował się zachowaniem ojca. Zapewniał ją nieraz, że stary pies szczeka, lecz nie gryzie. Po śmierci męża Mira doświadczyła boleśnie, że Gallier senior ma bardzo ostre zęby.

- Libby powiedziała, że to wszystko inicjatywa Antona Galliera. - Deni spojrzała najpierw na Mirę, potem na Connora. - Wykorzystał rocznicę i swoje wpływy w stacji. Ona zobaczyła to dopiero dziś rano.

- W takim razie obejrzymy ten wywiad - powiedział Connor. - Może nie jest taki straszny.

Mira pokręciła głową.

- To nigdy się nie skończy Nie uwolnię się od Galliera.

Deni ze współczującą miną wyciągnęła do niej rękę.

- Och, Miro... moja droga...

- Minęło sześć cholernych lat. Wszystko, czego ten człowiek próbował, zawiodło. Teraz ucieka się do kampanii pomówień.

Connor wyjął płytę z rąk Deni.

- Przecież jeszcze nie wiemy, do czego się ucieka. Masz komputer.

- W biurze.

Przeszli do biura. Connor załadował płytę i przewinął kawałek materiału, nim wreszcie znalazł to, czego szukali. Był to fragment zatytułowany „W sześć lat później: zmarli, umierający i wciąż zaginieni”.

Najgorsze przewidywania Miry potwierdziły się, i to z nawiązką. Zobaczyli zrozpaczonego ojca, oplakującego stratę jedyne go syna. Pomstującego na niewydolność wymiaru sprawiedliwości.

Naginającego prawdę w taki sposób, że sam stał się ofiarą niemal na równi z synem. Nie powiedział niczego wprost i nie oskarżył Miry. Nie przytoczył żadnych faktów.

Redaktorzy zrećnie przeszli od wywiadu z Gallierem do rozmowy i Mirą. Tylko mieszkańcy odległej wyspy nie skojarzyliby związku, ale nawet oni odnaleźliby w Internecie potrzebne informacje.

Mira bez słowa wyszła z biura. Przystanęła w pracowni przed witrażem Marii Magdaleny. Spojrzała w twarz świętej.

Cierpiała tak, że najchętniej natychmiast poszukałaby ratunku w euforii wywołanej xanaksem. Mogłaby udawać, że nic złego się nie stało. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie odnowić starego kontaktu i nie kupić na czarno pigułek, byle tylko dzięki nim znaleźć zapomnienie. Byłoby przyjemnie i bezproblemowo. I kogo by to na dobrą sprawę obchodziło?

Mnie, odpowiedziała w myślach, zaciskając pięść.

A ten drań odniósłby zwycięstwo.

- Pozwiemy go - powiedział Connor, stając za nią. - Pozwiemy też stację.

- To nic nie da. On ma bardzo głębokie kieszenie i armię prawników do dyspozycji.

- Nie możemy puścić mu tego płazem.

Pomyślała o ostatnich sześciu latach, o tym, co musiała znieść i z czego zdołała się podnieść. Pokręciła głową.

- Nie „my”, Connor. To moja sprawa. Przyznaję ci rację. Nie mogę mu tego darować.

- Co robimy?

- Pójdę do niego.

- Będę ci towarzyszył - powiedział Connor.

- Muszę to zrobić sama.

- Pozwól chociaż, że cię podwiozę.
- Pozwól mu, Miro - odezwała się Deni, stając razem z Chrisem w drzwiach. - Jesteś zdenerwowana już teraz, więc po spotkaniu...
- Nie. - Wzięła torebkę, zarzuciła pasek na ramię i spojrzała Connorowi w oczy. - Doceniam twoją gotowość, ale panuję nad sytuacją. Znajdę tego drania i jasno dam mu do zrozumienia, że mnie nie złamie.

Rozdział 23

sobota, 13 sierpnia godz. 13.10

Mira zastała Antona Galliera w klubie. Odkąd pamiętała, w każde sobotnie popołudnie spotykał się z wpływowymi przyjaciółmi w Crescent City Club. Kiedyś teściowi zdarzało się wymóc na jej mężu, żeby mu towarzyszył. Wtedy wracał do domu późno, cuchnąc jak gorzelnia, przesiąknięty dymem z cygar. Nie były to jej najszcześniejsze wspomnienia.

To, że również tego dnia nie będzie mile wspominać, nie ulegało wątpliwości. Konfrontacja z Antonem nie mogła przynieść niczego dobrego, lecz Mira nie potrafiła się powstrzymać. Nie zamierzała dłużej pozwalać na to, aby traktował ją w haniebny sposób.

Wysiadła z windy na drugim piętrze. Członkami klubu byli wyłącznie mężczyźni, co znajdowało odbicie w wystroju wnętrza urządzonego mahoniowymi meblami oraz kanapami i fotelami obitymi skórą. Chociaż kobiety wpuszczano do restauracji, większość z nich unikała klubu. Mira była tam wcześniej tylko raz, kiedy przyjechała po Jeffa.

Podszedł do niej kamerdyner.

- Czym mogę służyć?
- Szukam Antona Galliera. Jestem jego synową. Muszę z nim pilnie porozmawiać.

Mężczyzna zmierzył ją wzrokiem, niewzruszony nagłym tonem. Bez wątpienia wielokrotnie znajdował się w podobnej sytuacji.

- Sprawdzę, czy to możliwe.

Pozwoliła kamerdynerowi oddalić się na kilka kroków i ruszyła za nim. Zanim się zorientował, dostrzegła teścia.

- Muszę z panem porozmawiać, Antonie Gallier! - zawołała.

W jadalni zapadła cisza. Obecni w sali zwrócili głowy w jej stronę. Kamerdyner chwycił ją za ramię, ale odtrąciła jego rękę.

- A może pan się boi, że ci ludzie przekonają się, jakim pan jest gadem.

Do kamerdynera dołączył kelner. Wzięli ją pod ramiona z dwóch stron i zaczęli wyprowadzać.

- Czekaście! - zawołał Anton, otarłszy usta serwetką. Wstał. - Puśćcie ją. Chętnie posłucham, co ma do powiedzenia. To moja była synowa, ponieważ syn nie żyje. Popatrzcie na nią, czyż nie jest urocza?

Policzki zaczęły ją palić. Wiedziała, że wygląda jak nienormalna. Anton Gallier potrafił sprawić, że czuła się jak śmieć, nawet jeśli bardzo się starała być właśnie „urocza”. Dotarła do jego stolika. Uśmiechnął się do niej dobrotliwie.

- Chcę tylko, by pan wiedział, że stanowczo mam tego dość!

- Czego, moja droga?

- Pańskiej oszczerczej kampanii. Wciąż próbuje pan mnie zdyskredytować.

Roześmiał się.

- Rozumiem, że widziała pani zapowiedź dzisiejszego programu.

- Owszem. Niewiele zabrakło, aby nazwał mnie pan morderczynią.

- Właśnie tak panią nazywam; robiłem to nieraz. Ponieważ nie mam dostatecznych dowodów,

muszę zadowolić się tym, że zamieniam pani życie w piekło. Dokładnie takie samo, w jakim żyję, odkąd zabiła mi pani syna.

- Zwrócę się do adwokata.

Uświadomiła sobie, jak absurdalnie to zabrzmiało. Dla takiego człowieka jak Anton Gallier jej groźba była po prostu żalosna.

Dumnie uniosła głowę.

- Nie złamie mnie pan.

- Jeśli rzuca mi pani wyzwanie, to je przyjmuję.

Ogarnął ją lęk. Gallier miał pieniądze, możliwości i kontakty, a w dodatku jej nienawidził. Mógł ją zniszczyć. Udało jej się nie pokazać po sobie, jak bardzo się przestraszyła. Nie pozwoliła również, by strach nią zawładnął.

Tymczasem Gallier powiedział cicho:

- Jesteś słaba. Bez prochów nie dajesz rady. Nie potrafisz zapanować nad własnym życiem. Uciekasz i chowasz się, biedulko.

- Już się nie chowam, ty draniu. I nie uciekam. Jesteś o krok od porażki.

Zrobiła krok ku wyjściu, a wtedy Anton wybuchnął głośnym śmiechem. Zmartwiała. Obróciła się na pięcie i znów stanęła z nim twarzą w twarz.

- Nie waż się ze mnie śmiać.

- A co mi zrobisz, dziewczynko? Zabijesz mnie?

- Może powinnam. Wątpię, czy ktokolwiek tęskniłby za tobą.

- To zabrzmiało jak groźba, Miro. Co powiedziałaabyś...

- Dość tego, Anton!

To był głos Connora. Podszedł do Miry szybkim krokiem i krzepiącym gestem położył jej rękę na

ramieniu.

- Zostaw ją w spokoju.
- Rycerz na białym koniu przybywa, aby ratować damę. - Anton uniósł wysoko szklaneczkę z koktajlem. - Za dzielnego rycerza.

- Zamknij się, Anton. Jesteś pijany.

Mira nie dostrzegła tego wcześniej. Teść rzeczywiście był pijany. Twarz miał nalaną, oczy mętne. Connor chwycił ją za ramię.

- Chodźmy stąd.

- Powiedziałeś jej?! - zawołał za nimi Anton. - Czy wyjawiałeś jej, dlaczego się zaciągnąłeś?

Connor zmylił krok. Przystanął i spojrzał przez ramię na Galliera.

- To nie ma nic wspólnego ani z tą sprawą, ani z tobą.

- Nie? - Zatoczył się w ich stronę. - A ja uważam, że ma. Byłeś najlepszym przyjacielem Jeffa, a mimo to cieszysz się, że nie żyje, prawda?

Przez ułamek sekundy Mirze zdawało się, że Connor da upust z trudem powstrzymanej furii. Spojrzał na nią i się pohamował.

- Chodźmy. On nie jest tego wart.

- Powiedz jej! - krzyknął za nimi Gallier. - Powiedz, dlaczego wstąpiłeś do wojska!

Gdy doszli do windy, kabina stała na miejscu, więc wystarczyło wsiąść. Mira zobaczyła jeszcze Antona, który zmierzał ku nim z grymasem wściekłości na twarzy. Drzwi się zamknęły. Na dole szybko wysiedli z windy i wyszli na Poydras Street. Mirę oślepiło słońce. Gdy jej oczy przyzwyczyły się do blasku, zobaczyła, że Connor odchodzi. Zerwała się do biegu.

- Poczekaj! - Dopadła go i chwyciła za ramię. - Dokąd idziesz?

- Jak najdalej stąd.

Był zły.

- O czym mówił Anton? Dlaczego zaciągnąłeś się do armii, Connor?

- Nie teraz, Miro.

- Dlaczego nie? - Mijali ich ludzie idący w obie strony, niektórzy przesyłali im zaintrygowane spojrzenia, większość jednak pozostawała obojętna. - Co przede mną ukrywasz? - Zacisnęła palce na jego dłoni. - Co może być aż tak straszne?

Otworzył usta, ale nie powiedział ani słowa, bo zabrzączał jej telefon komórkowy. Mira zlekceważyła sygnał.

- O czym on mówił? - nie ustępowała.

- Lepiej odbierz - poradził. - To może być coś ważnego.

- Nie tak ważnego jak nasza rozmowa. I jak ty - Mocniej zacisnęła palce na dłoni Connora. - Porozmawiaj ze mną. Co przede mną ukrywasz?

Zerknął na nią z udęconą miną. Pochylił się i cmoknął ją w czoło.

- Do widzenia. Miro.

Te słowa, gesty... Nie zniosłaby, gdyby drugi raz miała go stracić. Ruszyła za nim, ale przystanąła, gdy ponownie zabrzączał telefon. Wyciągnęła komórkę z torebki.

- Co znowu?!

- Mira? Tu Deni. Gdzie jesteś?

- Właśnie wychodzę z Crescent City Club.

Dzwonił detektyw. Pytał, kiedy wrócisz. Podobno muszą z tobą porozmawiać na temat Kaznodziei.

Rozdział 24

sobota, 13 sierpnia godz. 13.12

Malone przerwał połączenie. Miry Gallier nie było w pracowni, ale miała wrócić. Gdyby wpadł tam z Bayle teraz, mogliby wypytać pracowników. Był pewien, że Bayle będzie za tym optowała, gdy tylko usłyszy najnowszą wiadomość: technicy prawdopodobnie znaleźli narzędzie zbrodni, odłamek witraża niemal identyczny z tym, z którym Kaznodzieja rzucił się na Mirę Gallier. Malone wziął raport patologa i skierował się do boksu Bayle.

- Hej, partnerze, masz minutkę?

Spojrzała na niego, jednocześnie chowając do szuflady coś, na co właśnie patrzyła. Mrugając powiekami, powiedziała:

- Jasne.

Albo coś wpadło jej do oka, albo właśnie płakała, uznał Malone.

- Wszystko w porządku?

- Całkowicie. - Odchrząknęła. - Co masz?

- Raport patologa - odparł, kładąc przed nią dokument. - Ofiara wykrwawiła się na śmierć - dodał, gdy wyjmowała papiery z teczki.

- Gdyby morderca nie zabił, wkrótce zrobiłby to za niego organizm ofiary.

- Ostatnie stadium raka - przeczytała.

Spencer usiadł na krześle stojącym przed biurkiem.

- Ciekaw jestem, czy o tym wiedział.

- Patolog twierdzi, że bóle nie były silne.

- Wygląda mi na to, że facet odszedł do lepszego świata. W każdym razie byłoby to zgodne z jego naukami. - Bayle znów zerknęła do raportu. - Nie ma ran, które powstałyby podczas obrony. Paznokcie czyste. Ran wtórnych też nie ma. - Schowała raport do teczki. - Fakty znam, czekam na

komentarz.

Uśmiechnął się. Lubił jej styl.

- Rozmawiałem dziś rano z Percym. Niewykluczone, że znaleźli narzędzie zbrodni: odłamek kolorowego szkła. Leżał w śmietniku.

- To jesteśmy w domu - powiedziała, prostując się. - Kolorowego szkła, mówisz?

- Tak. Paskudny okaz. Piętnaście centymetrów długości, kształt marchewki, na dole uchwyt z taśmą. Taśma była brudna, szkło wytarte.

- Znajomo brzmi.

- Nawet bardzo - przyznał. - Co wiemy o krwawych odciskach stóp?

- Męska dziesiątka, but sportowy.

- Na pewno męski?

- Mógł być damski, ale wtedy wyjątkowo duży. Dziesiątka.

- Wielka stopa. Marka?

- Nike. Jutro albo pojutrze powinnam wiedzieć, jaki model.

- W świetle nowo zdobytego dowodu warto byłoby...

- Tak.

- Domyślasz się, co chciałem powiedzieć?

- Musimy się wybrać do Gallier Glassworks i powtórzyć przesłuchanie.

- Asystentka, cieśla i Gallier?

- O tym samym pomyślałam. - Wstała, a na jej twarzy pojawił się leniwy uśmiech. - Coś podobnego! Czyżbyśmy się docierali?

Zatrzymali się po drodze na szybką przekąskę, po czym pojechali do pracowni. Mira Gallier jeszcze nie wróciła, ale asystentka i cieśla byli na miejscu. Zaczęli od Deni Watts. Malone pozwolił Bayle przejąć inicjatywę.

Czy pani pamięta, jak wyglądał odłamek szkła, który Kaznodzieja znalazł w waszym śmietniku? -

Deni skinęła głową, więc Bayle zapytała:

- Czy jest coś niezwykłego w tym, że w śmietniku odłamki tej wielkości i kształtu?
- Kompletnie nic. To jest nasz materiał. Wprawdzie staramy się pracować ostrożnie i oszczędnie, ale wypadki się zdarzają.
- Wypadki?
- Zdarza się, że szkło pęka. Staramy się wykorzystywać również odpady, Mira bardzo na to naciska, ale taki kawałek - wskazała na zdjęcie, które podsunęła jej Bayle - jest dla nas bezużyteczny.

Bayle coś zapisała i podjęła przesłuchanie.

- Jakie jest prawdopodobieństwo, że do śmietnika trafią dwa identyczne odłamki szkła?
- Identyczne? To niemożliwe. Nie sposób odtworzyć kształtu, który powstał przypadkowo.
- A dwa bardzo podobne kawałki?

Asystentka skinęła głową.

- Rzadko, ale się zdarza. Kiedyś łamałam jeden kształt cztery razy.
- Co pani ma na myśli?
- Pokażę pani.

Deni zaprowadziła ich do pracowni, gdzie na stole leżał rozpoczęty witraż. Pod spodem przymocowano do stołu prostokątny szablon i rozłożono na nim kawałki kolorowego szkła tak, by

dopasować je do szablonu. Wyglądało to jak łamigłówka.

- To nie jest praca konserwatorska - wyjaśniła. - To oryginalny projekt przeznaczony do domu w śródmieściu.

Malone przekrzywił głowę. Przestrzenie między fioletowo-zielono-żółtymi liliami wypełniono nieregularnymi, klinowatymi kawałkami barwnego przezroczystego szkła.

- Ktoś lubi zapusty - powiedział, mając na myśli zarówno kolorystykę, jak i sam wzór.

- To nasz chleb powszedni. Lilie, czaple i magnolie. Zresztą właśnie od tego chce zaczynać większość moich uczniów.

Usłyszał dumę bijącą z jej głosu.

- Prowadzi pani zajęcia?

- Tak, i sama opracowałam program. Mira nie organizowała kursów, dopóki nie dołączyłam do zespołu. Od tej pory bardzo rozwinęłyśmy firmę.

- Gratulacje - powiedział.

- Dziękuję.

Uśmiechnęła się do niego, potem wybrała kawałek szkła i położyła go na wzorze. Narzędziem, wyglądającym jak nóż do cięcia papieru, nacięła szkło, ostukała nacięcie i wzdłuż niego złamała szkło.

- Tak się to robi.

- To wygląda całkiem łatwo, kiedy pani pokazuje - zauważyła Bayle.

- Chce pani spróbować?

Cofnęła się o krok.

- Nie, dziękuję. Mam dwie lewe ręce. Wyobrażam sobie, że przy tej pracy łatwo o skaleczenie.

- Owszem. Proszę popatrzeć. - Deni wyciągnęła ręce przed siebie. Rzeczywiście, widać było na

nich mnóstwo blizn i skaleczeń. - Trzeba bardzo uważać. Szybko można się nauczyć szacunku dla tworzywa.

- Gdzie pani była wczoraj wieczorem i dzisiaj wczesnym rankiem?

Popatrzyła kolejno na oboje detektywów.

- Poważnie?

- Jak najpoważniej - odrzekła Bayle.

- Niech pomyślę...

- Po napaści Kaznodziei na Mirę i rabunku krzyżyka. To było niedawno.

- Rzeczywiście. - Przeszła z nogi na nogę. - Chyba poszłam do kina.

- Chyba czy na pewno?

- Na pewno.

- Na jaki film?

Zawahała się.

- Z Tomem Cruise'em, zapomniałam tytułu. - Roześmiała się nerwowo. - Nie mam pamięci do nazw.

- Dobry film? - spytała Bayle.

- Może być, lecz nie jestem wielką fanką kina.

- Poszła pani sama?

- Z siostrą. Ona za tym przepada.

- Który to był seans?

- O siódmej.

- A potem?

Miała taką minę, jakby zrobiło jej się niedobrze.

- Poszłam na drinka. W Daiquiris and Creams on Vets.
 - Lubię koktajle - powiedziała Bayle. - Najbardziej White Russians.
 - Ja jestem zwolenniczką Pina Colada. Właśnie to piłam wczoraj wieczorem. Posiedziałyśmy tam trochę, posłuchałyśmy muzyki. Odwiozłam Cyndi około jedenastej.
 - Potrzebujemy jej imię, nazwisko i numer telefonu.
 - Nie rozumiem po co.
 - Musimy potwierdzić, że pani z nią była - wtrącił się Malone.
 - Ale po co? - Deni lekko podniosła głos. - Nie zrobiłam niczego złego!
 - W to nie wątpię - przyznał uspokajającym tonem. - Po prostu taka jest procedura.
 - Tak postępujemy w przypadku śledztwa dotyczącego morderstwa - dodała Bayle.
 - Morderstwa? - powtórzyła spłoszona Deni.
 - Kaznodzieja nie żyje. Zamordowano go wkrótce po tym, jak krzyżyk trafił z powrotem do Miry.
 - Boże! Muszę usiąść. - Klapnęła na podłogę.
- Malone wymienił spojrzenie z Bayle i kucnął przed Deni.
- Czy wszystko w porządku, pani Watts?
 - Tak - szepnęła.
 - Wydaje się pani mocno poruszona.
 - Bo to takie... straszne. Nigdy nie spotkałam człowieka, którego... zamordowano.
 - Nie wydaje mi się, żeby pani go spotkała.
 - Słucham?
 - Zeznała pani, że usłyszała krzyk Miry Gallier i wbiegła do pracowni, ale Kaznodziei już tam nie było.
 - Owszem.

- Czyli nie spotkała pani człowieka, którego zamordowano.

Wprawili ją w zmieszanie.

- Może go nie spotkałam, ale nasze ścieżki się skrzyżowały.

Malone zerknął na Bayle.

- Masz jeszcze pytania?

- Nie. Moim zdaniem wystarczy.

Popatrzył znowu na młodą kobietę i uśmiechnął się.

- Dziękujemy. Bardzo nam pani pomogła. Aha, jak ma na imię pani chłopak?

- Chris.

Malone skinął głową, jakby właśnie sobie to przypomniał.

- On tu był wczoraj, prawda?

Skinęła głową.

- Tak, ale nie widział więcej niż ja.

- Na pewno ma pani rację. Skoro jednak czekamy na Mirę, możemy i z nim porozmawiać.

- On jest teraz na dworze? - włączyła się Bayle.

Deni wstała.

- Tak. Zaprowadzę was do niego.

Malone wyciągnął do niej rękę.

- Proszę się o nas nie martwić. Ma pani robotę, dostatecznie długo pani przeszkadzaliśmy. Poza tym znamy drogę.

Sprawiała takie wrażenie, jakby chciała zaprotestować, ale wystarczyło, by popatrzyła na Bayle, i zamknęła usta.

Wyszli z pracowni bocznymi drzwiami i w tej samej chwili włożyli okulary przeciwsłoneczne.

Kiedy znaleźli się dostatecznie daleko od pracowni, Malone powiedział:

- Jak udało ci się tak szybko sprowadzić ją do parteru?
- Popatrzyłam na nią tak, by wiedziała, że z nami nie ma żartów.

Zachichotał.

- Kto by pomyślał, że z nas dwojga to ja będę dobrym policjantem?

- Mam w sobie coś z jędzy, mój drogi - odparła z uśmiechem Bayle. Zaraz jednak spoważniała. - Nawiasem mówiąc, wydaje mi się to trochę dziwne. Ona albo coś ukrywa, albo kłamie. A jej reakcja na wiadomość o śmierci Kaznodziei wydawała się melodramatyczna.

- Zgadzam się. Poza tym wyraźnie nie chciała, żebyśmy porozmawiali z jej chłopakiem. Ciekawe dlaczego.

- Sprawdźmy, czy uda nam się to odkryć.

Chris stał na drabinie i malował. Przystanęli obok i zadarli głowy.

- Cześć. Możemy chwilę porozmawiać?
- Jasne. I tak planowałem przerwę.

Zszedł na dół i otworzył turystyczną lodówkę. Wyciągnął z niej czterolitrowy dzbanek z wodą i przytknął go do ust.

- Ile takich wypija pan w ciągu dnia?
- Sporo. Mira często mi przypomina, żebym się nie odwodnił.
- Cenna rada. Jak długo pan dla niej pracuje?
- Od sześciu tygodni. - Pociągnął z dzbanka kolejny duży łyk i odstawił go z powrotem do lodówki. - Jeszcze takiej przyjemnej szefowej nie miałem. Wyrozumiała. Delikatna. Dbą o ludzi.

Malone zapisał coś w notesie.

- A Deni? Jak długo jesteście parą?

Zastanowił się chwilę.

- Spotykamy się od czterech czy pięciu miesięcy. No tak, chyba już można nazwać nas parą.
- Jak się poznaliście?

Chris parsknął śmiechem.

- W kościele. W każdym razie tak zwykła mówić moja matka.
- A było inaczej?

- Nie. - Chwycił leżący z tyłu w furgonetce ręcznik i otarł twarz. - Pracowałem tam na zlecenie archidiecezji, a ona przyszła wycenić witraże.

- Pan jest wierzący i praktykujący?

Chłopak wydawał się zaskoczony.

- Trochę przypadkiem, ale tak. Co człowiekowi zostaje, jeśli nie wierzy? Zwłaszcza po Katrinie. Pan rozumie, co mam na myśli.

- Oczywiście - odparł Malone, zerkając do notatek, po czym przeniósł wzrok na Chrisa. - Czy wczoraj rano, kiedy pani Gallier została zaatakowana, widział pan choćby przez chwilę napastnika?

- Kaznodzieję? - Pokręcił głową. - Deni i ja właśnie wchodziliśmy do firmy, kiedy Mira krzyknęła.
- Widział pan kiedyś podobnego człowieka w pobliżu?
- W pobliżu? Widziałem tego człowieka przedwczoraj w okolicy Corner Bar. - Urwał, jakby się zamyślił, po czym dodał: - Zwykle spotykam podobne typy we French Quarter i przed stadionem Saints, ale szczególnie im się nie przyglądam. Wie pan, można mieć mocną wiarę, a mimo to nie spieszyć się do rozmów z takimi ludźmi.

Malone doceniał szczerą cieśli.

- A tak przy okazji, Chris, gdzie pan był wczoraj wieczorem?
- O której?

- Między wpół do jedenastej a piątą rano.

Roześmiał się.

- W łóżku. O wpół do dziesiątej zwykle śpię jak zabity, czasem nawet wcześniej.

- To bardzo wcześnie jak na młodego mężczyznę.

- Niech pan spróbuje popracować cały dzień w takim upale. To wysysa z człowieka energię.

- Czy Deni była z panem?

- Nie, po wyjściu stąd wybraliśmy się coś przekąsić i potem każde poszło własną drogą.

- Wie pan, gdzie była Deni wczoraj wieczorem?

- Musi pan ją o to zapytać. Powinienem wracać do pracy.

Malone usłyszał trzask drzwiczek samochodu. Gallier, pomyślał. Chciał ją zagarnąć dla siebie, nim asystentka rozpuści język.

- Oczywiście. Dziękuję za pomoc.

Zanim doszli do drzwi pracowni, Gallier już tam była. Wyglądała na całkiem rozbitą.

- Przykro mi, że tak długo jechałam, ale był wypadek na I-10.

Malone zapisał w pamięci, żeby to sprawdzić.

- Nic nie szkodzi. Czekając, porozmawialiśmy z Deni i Chrisem.

- O Kaznodziei. Słyszałam od Deni. Powiedziała mi, że został zamordowany. To prawda?

- Tak. Wczoraj późnym wieczorem albo dzisiaj wczesnym rankiem. Popatrzyła po nich z niepewną miną.

- Wtedy odzyskałam mój krzyżyk.

- Właśnie.

Przycisnęła dłoń do wiszącego na szyi krzyżyka.

- Ale jak to możli... To znaczy... Pan powiedział, że kiedy?

- Mniej więcej w tym czasie, gdy zwrócono pani wisiorek. Czy wie pani coś na ten temat?
- Mira Gallier nie od razu zrozumiała sens pytania. Malone zauważył nawet, kiedy to się stało. Jej oczy otworzyły się szerzej, twarz pobladła.
- Nie. Jak mógł pan pomyśleć... Dlaczego pan...
- Podeszła do stołka przy najbliższym stole roboczym i ciężko na nim usiadła.
- Sprawiała wrażenie wstrząśniętej. Bayle powiedziałaaby, że niejeden sprawca ciężkiego przestępstwa wydaje się niewinnym barankiem albo - jak w tym przypadku - owieczką.
- Co się stało? - spytała po chwili Mira, patrząc mu w oczy - Jak... Gdzie...
- Zdawało się, że słowa nie chcą przejść jej przez gardło.
- Jak? Poderżnięto mu gardło. Gdzie? We French Quarter - odpowiedziała rzeczowym tonem Bayle.
- Na miejscu zbrodni znaleźliśmy coś ciekawego - dodał Malone. - Odłamek szkła niemal identyczny z tym, jakim Kaznodzieja panią zaatakował.
- Nawet kolor był ten sam - uzupełniła Bayle.
- I właśnie dlatego z panią rozmawiamy.
- Gallier popatrzyła na nich, wyraźnie starając się dociec, do czego zmierzają te wszystkie pytania.
- Czy to... Czy to było narzędzie zbrodni?
- Tego nie wolno nam powiedzieć.
- Widział, że przyjęła tę odpowiedź tak jak powinna: jako potwierdzenie.
- Czy słowa „Dzień Sądu” cokolwiek pani mówią?
- Dzień Sądu? - powtórzyła. - Poza tym, że jest to przepowiedziany w Biblii dzień, kiedy Chrystus będzie... Kiedy Chrystus będzie sędził żywych i umarłych? Dlaczego pan mnie o to pyta?
- Te dwa słowa były wypisane krwią przy ciele Kaznodziei - wyjaśniła Bayle. - Mogły nawiązywać

do ulicznych kazań ofiary.

- Mogły też dotyczyć ojca Giroda i witraży w kościele Sióstr Miłosierdzia - szepnęła Mira.
- Otóż to.

Rozdział 25

poniedziałek, 15 sierpnia godz. 19.30

Stał w drzwiach i patrzył na babkę pogrążoną w głębokim śnie. Ostatnio straciła mnóstwo sił. Prawie się nie ruszała. Była chuda jak patyk, a mimo to nie mógł namówić jej do jedzenia. Dzień po dniu odnosił nietkniętą tacę z posiłkiem i piciem.

Potrzebował rady. Zawsze zwracał się właśnie do niej. To na nią liczył i na niej polegał. Ona nie może umrzeć, pomyślał spanikowany. Potrzebował jej. Potrzebował jej mądrości.

Zapukał do drzwi sypialni i wetknął głowę do środka.

- Babciu, obudziłaś się?

Nie odpowiedziała i nawet nie drgnęła. Ostrożnie podszedł do łóżka, potem opadł na kolana.

- Jestem strapiony, babciu. Nie wiem, co robić. Potrzebuję twojej pomocy.

Wciąż spała. Łzy cisnęły mu się do oczu, mimo że się tego wstydził. Jak mógł przychodzić do niej ze swoimi sprawami, skoro była bardzo chora?

Był słaby, musiał to przyznać.

Zwiesił głowę, ale mówił dalej.

- Tak wiele jest zła na świecie, babciu. Tak wiele. Ono mnie przytłacza.

„To następstwo Upadku”.

Nie powiedziała tego babka. Uświadomiwszy to sobie, podniósł głowę.

- Kto tu jest?

„Znasz mnie. I wiesz, co trzeba zrobić”.

- Nie!

„Po to się narodziłeś, Synu. Zło musi zostać zniszczone”.

- Poradź mi, Ojczy! Czuję się taki zagubiony Taki samotny.

„Czy przypominasz sobie kuszenie przez diabła na pustyni?”

Skinął głową.

„A kiedy diabeł powiedział: Rzuć się w dół z tej góry, a twój Ojciec aniołom swoim rozkaże o tobie, aby cię strzegły”. Pamiętasz to?

- Poznałem jego oszustwo, bo jest napisane: „Nie będziesz wystawiał na próbę Pana, Boga swego”.

„A kiedy obiecał ci cały świat, jeśli upadniesz i oddasz mu pokłon?”

- Odpowiedziałem kłamcy prawdą: „Panu, Bogu swojemu, będziesz oddawał pokłon i Jemu samemu służyć będziesz”.

„A czy nie jest również napisane, że odstąpił od ciebie, by poczekać na bardziej sprzyjający czas?”

Bardziej sprzyjający czas, pomyślał. Oczywiście. Uświadomił sobie, że ten czas właśnie nadszedł.

- Zły jest wielkim kłamcą i wiele postaci przybiera. Przekręca twoje Święte Słowo, by użyć go przeciwko nam.

„Tak. Uważaj. Przeciwnik wasz, diabeł, jak lew ryczący krąży, szukając, kogo pożreć”.

- Piotr, ustęp piąty, werset ósmy - Łzy wdzięczności i dziękczynienia popłynęły mu po policzkach.

- Jestem posłusznym synem i wiernym sługą Twoim. W najświętsze imię Twoje wypłoszę z kryjóWKi węża i zniszczę go.

Rozdział 26

poniedziałek, 15 sierpnia godz. 21.05

Mira krążyła niespokojnie, jej nerwy zdawały się wibrować, jakby przesadziła z piciem mocnej kawy albo energetyzujących napojów. Biła się z myślami. Connor miał rację, uznała. Policjanci zastanawiali się, czy nie zabił Kaznodziei. Brali również pod uwagę możliwość, że ona go do tego namówiła, żeby odzyskać krzyżyk, po czym wymyśliła historię z włamaniem, aby mieć alibi.

To kompletnie bez sensu!

„I powtórnie przyjdzie w chwale sądzić żywych i umarłych”. A na podłodze wypisano krwią „Dzień Sądu”.

Wyciągnęła z tylnej kieszeni telefon i zaczęła oglądać zrobione przez siebie zdjęcia pomazanych witraży. Pomyślała o swoim teściu i jego zawołanych oskarżeniach. Nie chciała być sama, gdy nachodziły ją takie myśli. Nie wtedy, kiedy poddawała się lękowi.

Kilka godzin temu zatelefonowała do Connora i zostawiła mu wiadomość.

Nie oddzwonił.

„Powiedziałaś jej, Connor? Czy wyjawiałeś jej, dlaczego zaciągałeś się do wojska?” Co ukrywa przed nią Connor? I czy teraz ukrywa się przed nią? Do kogo jeszcze mogła się zwrócić? Do Deni? Do doktor Jasper?

Uświadomiła sobie, że nikt w jej życiu nie pozostał. Rodzice zmarli. Z jedyną siostrą nigdy nie była blisko, a po śmierci Jeffa przestała się do niej odzywać. Tak samo postąpiła z przyjaciółmi. Zamknęła się na świat. Kontakty z innymi ludźmi ograniczyła do minimum, istniały tylko jej witraże, żałoba i pigułki.

Dość tego, powiedziała sobie w duchu. Connor wrócił. Mógł mieć swoje sekrety, ona też ukrywała swoje. To było bez znaczenia, skoro go potrzebowała.

Chwyciła ze stolika telefon i wybrała numer Connora. Po sygnale zaczęła mówić:

- Halo, tu Mira. Gdzie jesteś, Connor?... Nie, nie odpowiadaj. Chcę tylko, abyś wiedział, że nie musisz się przede mną tłumaczyć. Cieszę się, że wróciłeś do mojego życia. Potrzebuję cię. Pewnie myślisz, że całkiem postradałam rozum. Może tak się stało, ale wiem po prostu...

- Jestem przed twoim domem.

Potrzebowała dłuższej chwili, aby zrozumieć znaczenie tych słów. Gdy to się stało, podbiegła do drzwi i szeroko je otworzyła. Znieruchomiała zaskoczona.

Connor nie był sam. Obok niego stała falująca kula złocistego futra z merdającym ogonem i - co odkryła zaraz potem - wilgotnym nosem.

Mira wydała piskliwy okrzyk.

- Jejku, a to kto?!

- Nola - odpowiedział. - Nola, powiedz „cześć”.

Mira roześmiała się i kucnęła przed suką, która polizała ją w policzek.

- Zdaje się, że właśnie to zrobiła.

- Najwyraźniej jest dobrym sędzią charakterów.

Mira znów się roześmiała i podrapała sukę za uszami.

- Jest słodka.

- Miałem nadzieję, że będziesz tak uważać. - Pochylił się i pogłaskał Nolę. - Ma dwa lata. Jest mieszańcem golden retrievera. Wziąłem ją ze schroniska.

- Dlaczego ktoś pozbył się takiego uroczonego psiaka?

- Są ludzie, którzy biorą zwierzę do domu, a potem przekonują się, że nie potrafią sprostać wyzwaniu.

- Trochę tak jak u niektórych z dziećmi. - Mira przesunęła dłonią po jedwabistym grzbiecie Noli.

- Przypomina mi Ginger.
- Mnie też - przyznał. - Możemy wejść? Wiem, że jest późno.
- O ile nie przeszkadza ci, że jestem w legginsach.

Roześmiał się.

- Na lotnisku widziałem nastolatki w podobnych - odparł, wchodząc do środka.
- Chcesz coś do picia?
- Nie, dzięki.
- A twoja przyjaciółka?
- Też nie wygląda na zainteresowaną.

Gdy szli w głąb domu, Nola obwąchiwała każdy kąt. Do kuchni przylegała dawna spiżarnia, której okna wychodziły na dziedzińiec. Jeff uznał ją za miejsce Miry i pozwolił jej w całości zdecydować o wystroju. Wybrała jaskrawe, bardzo kobiece tkaniny i minimalistyczne, lekkie meble, nadając pomieszczeniu charakter pokoju wypoczynkowego. Mira usiadła z podkurczonymi nogami na końcu kwiecistej sofy. Nola odczekała, aż Connor wybierze sobie krzesło i dopiero wtedy zdecydowała, na co ma ochotę. Położyła się przy sofie.

Mira pochyliła się, by poklepać sukę.

- Zdaje się, że ona rzeczywiście jest dobrym sędzią charakterów.
- Miła jesteś. - Connor spojrzał na Nolę, udając zagniewanego. - Zdrajczyni.

Mira uśmiechnęła się.

- Dziękuję, że przyszedłeś.
- Nie ma za co. Co się dzieje?
- Miałeś rację. Detektywi zjawili się w firmie, aby przesłuchać mnie, Deni i Chrisa.
- Pytali o Kaznodzieję?

- On nie żyje, zamordowano go tej samej nocy, kiedy znalazł się mój krzyżyk.
 - To dlatego detektywi tak dziwnie się wobec mnie zachowywali.
 - Ciekawiło ich, czy ja mam z tym wszystkim coś wspólnego, prawda?
 - Ty albo ja. Właśnie w ten sposób to zinterpretowałem.
 - Nawet Deni i Chrisa pytali, gdzie byli tamtej nocy. - Pochyliła się i pogłaskała Nolę, bo bliskość zwierzęcia wydawała się krzepiąca. - To niewiarygodne.
 - Czyżby?
- Spojrzała na niego zaskoczona.
- Chyba nie mówisz tego poważnie.
- Connor pochylił się, opierając łokcie na kolanach.
- Popatrz na tę sprawę z ich punktu widzenia. Tego człowieka zabito w ciągu doby od kradzieży twojego krzyżyka, najpierw jednak zdążył go zwrócić.
 - Oczywiście, przecież mam wisiołek na szyi.
 - To bardzo dziwne. Jeszcze większe wątpliwości budzi to, że w domu nie odnaleziono śladów włamania. Wszystkie drzwi i okna były zamknięte. Tymczasem ty twierdzisz, że Kaznodzieja włamał się, zwrócił krzyżyk i wyszedł, nie zabierając niczego ani nie próbując cię niepokoić.
- To rzeczywiście brzmi, jakby było mocno naciągane, uznała Mira. A jednak tak właśnie było.
- Ja ci wierzę, ponieważ cię znam.
 - Co powinnam zrobić?
 - Nic. Nie popełniłaś żadnego zabronionego czynu. Oni szukają na ślepo. Zresztą powinni to robić. Tego ranka, kiedy zadzwonili do ciebie, pytając o moje nazwisko i numer, wiedzieli, że Kaznodzieja nie żyje, ale nie powiedzieli o tym ani tobie, ani mnie. Za to zadawali mnóstwo pytań: dokąd poszedłem, czy ktoś mnie widział. Próbowali sprowokować jedno z nas po to, żeby złapać

nas na kłamstwie. A ten telefon? O co chodziło?

Przez moment Mira nie mogła sobie uprzytomnić, w czym rzecz. Zorientowała się, że uszedł z niej cały niepokój. Wystarczyła obecność Connora. Czy mogła mu to wyjawić? Chciała, zarazem jednak czuła się zakłopotana, jakby decydowała się na zbyt osobiste zwierzenie. Ku swemu zaskoczeniu powiedziała:

- Byłam przytłoczona wydarzeniami i przesadnie zareagowałam. Miałam na głowie policję, teścia i całą resztę... Po prostu musiałam i kimś porozmawiać.

- Cieszę się, że mogłem pomóc. - Connor zerknął na zegarek. - Zanim odjadę, coś ci przyniosę. Mam to w samochodzie. Zaraz wrócę.

Chciała wstać, ale ją powstrzymał.

- Siedź spokojnie. Znam drogę.

Mira skinęła głową i poklepała się po nodze. Nola podniosła się i położyła jej łeb na kolanach, by odebrać porcję pieszczot. Minęło kilka minut, w końcu Mira zaczęła się niepokoić.

- Co on tam tak długo robi? Może powinniśmy sprawdzić?

Nola pomachała ogonem, więc Mira podniosła się z sofy. Chwilę później, gdy stanęła w drzwiach i wyrzała na podjazd, przekonała się, że samochód Connora znikł. W spiżarni rozległo się ćwierkanie jej telefonu komórkowego. Pobiegnęła odebrać, domyślając się już, co zaszło.

- Gdzie jesteś, do diabła? - spytała. - To nie jest śmieszne.

- Nola jest dla ciebie. W pudełku na podjeździe zostawiłem miskę, torbę z karmą i smycz.

- Co takiego?!

- Kupiłem ją dla ciebie. Na miejsce Ginger.

Mira zmartwiła. Zalała ją fala gorąca wywołana złością.

- Nie miałeś prawa, Connor.

- Jesteśmy starymi przyjaciółmi. Czy to nie wystarczy?

- Nie. Nie chcę psa.

Nola zaczęła bębnić ogonem o ziemię. Mira zerknęła i przekonała się, że suka siedzi i wpatruje się w nią wielkimi oczami.

- Owszem, chcesz. Kiedy zobaczyłem cię w jej towarzystwie... Poznałem, że to naprawdę ty.

Poczuła się urażona.

- Pięknie, Connor. Znakomicie.

- Przepraszam. - Zniżył głos. - Potrzebujesz jej, Miro. Wczoraj w nocy ktoś włamał się do twojego domu. Był w twojej sypialni, mógł cię zabić.

- Ale nic mi nie jest, a on nie żyje. Już po wszystkim.

- Na pewno?

- Dlaczego miałoby być inaczej?

- Zwracam ci uwagę, że policja coś podejrzewa. Coś im się nie zgadza.

- Co takiego?

- Może chronologia?

- Chronologia?

- Tak. Powiedzmy, że Kaznodzieja nie mógł się do ciebie włamać i podrzucić ci krzyżyka. - Urwał. Usłyszała odgłosy ruchu ulicznego. - Nie mógł, bo już nie żył.

Mira potrzebowała dłuższej chwili, by w pełni zrozumieć, co sugeruje Connor. Gdy wreszcie pojęła, zrobiło jej się zimno. Obok jej łóżka stał morderca.

„Moja piękna gwiazdo, jak bardzo tęskniłem za tobą”. Odchrząknęła.

- Czy celowo próbujesz mnie przestraszyć?

- Tak.

- Żebyś wzięła psa?

- Żebyś uważała.

Nola zaskamlała i Mira na nią spojrziała.

- Jest nauczona czystości - powiedział.

- Nie o to chodzi.

- Przecież nie oddasz jej z powrotem do schroniska, prawda? Wiesz, co się tam dzieje.

- To nie fair.

- Kochałaś Ginger. Ona była twoja, Miro. Nie Jeffa.

Poczuła łzy w oczach.

- Tak, była moja, ale ją straciłam.

- Nie bój się kochać.

- Nie boję się, do diabła! Masz zaraz przywlec tutaj swoje dupsko z powrotem, Connor!

- Nie da się tego zrobić.

- Wyrzucę ją. Wszystko może się zdarzyć.

- Masz rację.

Za dobrze ją znał. To ją doprowadzało do furii.

- Zobaczmy się jutro, Connor. Zastanów się, czy nie wolisz wrócić do wojska, bo to nie będzie miłe spotkanie.

Rozdział 27

wtorek, 16 sierpnia godz. 2.20

Mira usiadła wyprostowana na łóżku. Z mocno bijącym sercem włączyła lampkę nocną. Nola, pomyślała. Pozostawiona na dworze suka szczekała. Dzięki, Connor. Bez Panny Ujadalskiej

mogłabym przynajmniej spokojnie przespać całą noc.

Odchyliła pościel i wstała z łóżka. Wiedziała, że jeśli nie uciszy Noli, zdziwaczała sąsiadka, Louise Latrobe wezwie policję. Pod bosymi stopami poczuła chłodną podłogę. Z nadzieją, że uda jej się pozostać przynajmniej częściowo w sennym oszołomieniu, nie zadała sobie trudu zapalenia następných świateł. Wyszła do holu i znieruchomiła.

Jeff. W powietrzu wyraźnie unosił się aromat jego mydła i balsamu po goleniu. Zamknęła oczy i wciągnęła ten zapach w nozdrza, ogarnięta falą wspomnień. Jeff wychodzi spod prysznicą, a łazienkę wypełnia kłęb wonnej pary. Siedzą przytuleni przed telewizorem, ona trąca go nosem w szyję, ciesząc się jego zapachem.

Uświadomiła sobie, że był tutaj. Wreszcie w domu. Ostatnie lata to tylko zły sen.

Wyraźny trzask, jakby zamykano drzwi, wyrwał Mirę z zadumy. Rzeczywistość uderzyła ją z siłą tarana.

Szczekanie Noli.

Zapach balsamu po goleniu.

Trzaśnięcie drzwi.

Nie była sama.

Z krzykiem pobiegła do kuchni i do drzwi na dziedziniec. Zwolniła kroku, gdy uświadomiła sobie, że Nola ucichła. Jak dawno? Czyżby niebezpieczeństwo minęło? A może ktoś ją uciszył? Nie! Zerwała się do biegu.

- Nola! - zawołała. - Do domu!

Suka odpowiedziała na jej wołanie. Rozległo się drapanie przy kuchennych drzwiach. Mira z ulgą sięgnęła do drzwi, przez chwilę mocowała się z zamkiem i wreszcie otworzyła je na oścież. Suka wpadła do środka, omal jej nie przewracając. Była w znakomitym humorze.

Mira chciałyby móc powiedzieć to samo o sobie.

Drżąc, przykłęła na podłodze i objęła Nolę za szyję. Nocny intruz, kimkolwiek był, poszedł. Suce nic się nie stało, zadowolona machała ogonem. Mira głęboko odetchnęła. Wszystko w porządku.

Pokrzepiona wtuliła twarz w jedwabistą sierść. Nola zdawała się rozumieć potrzeby swojej pani, bo choć zazwyczaj nie mogła ustać w miejscu, teraz siedziała nieruchomo, pozwalając na uściski. Mira wznosiła w duchu dziękczynną modlitwę za Nolę. Za jej głośnie szczekanie. Za Connora, który podstępem zmusił ją do wzięcia suki.

Znowu ktoś wszedł do domu.

Starła się panować nad przerażeniem, skupić przede wszystkim na uldze, jaką dało jej przeświadczenie, że jest cała i zdrowa. Czuła się tak po raz pierwszy od czasu Katriny. Poprzednio nieustannie towarzyszyły jej wyrzuty sumienia. Doktor Jasper powiedziała, że to poczucie winy człowieka, któremu udało się przeżyć. Dręczyło wielu ludzi, którzy przetrwali. A ona miała przecież więcej powodów niż większość z nich.

Teraz cieszyła się, że żyje. Wdzięczność wypełniała ją od czubka głowy po palce u stóp. Taki stan przeżyła ostatnio przed huraganem. Roześmiała się, rozkoszując się tym upajającym poczuciem.

Musiała podziękować Connorowi. Wstała, wzięła telefon i wystuka numer. Odebrał natychmiast, nie wydawał się ani trochę senny.

- Tu Mira.

- Wszystko w porządku?

- Tak. Nie... To znaczy może nie, ale tak.

- Nie bardzo rozumiem. - Ziewnął. - Zbudziłaś się właśnie czy co?

Zgadł i ta myśl ją rozbawiła. Wiedziała, że słucha jej jak pomyłonej, ale mało ją to obchodziło.

- Dziękuję za Nolę. Tyle tylko chciałam powiedzieć.
- Usłyszała szelest w słuchawce, jakby Connor usiadł w pościeli.
- Cieszę się, że was coś łączy.
 - To się zdarza u tych, którzy otarli się o śmierć.
 - Gadasz jak stuknięta. Piłaś?
 - Nic a nic. Po prostu cieszę się życiem.
- Roześmiał się.
- Pewnie nie wiesz, która godzina, prawda?
 - Nie.
 - Trzecia nad ranem.
 - Do licha! Bardzo przepraszam, Connor. Już daję ci spokój.
 - I tak niewiele śpiam. Może lepiej opowiedz mi, skąd się wzięło to nocne przeżycie grożące śmiercią i cementujące więź z psem.
 - Ktoś wszedł do domu dziś w nocy. Zbudziło mnie szczekanie Noli...
 - Do twojego domu? - przerwał jej.
 - Tak.
 - Czy jesteś pewna?
 - Tak, ale nie dlatego dzwonię.
 - A powinnaś właśnie dlatego. Cholera jasna, Miro, czy ty całkiem postradałaś zmysły?
- Bańka euforii pękła. Wrócił strach.
- O mój Boże... ktoś znowu dostał się do mojego domu.
 - Już jadę.
 - Nie musisz. Jestem...

- Przyjadę. Jak się nazywa ten detektyw?
- Malone.
- Zadzwoń do niego. Będę u ciebie za chwilę.

Rozdział 28

wtorek, 16 sierpnia godz. 3.10

Po piętnastu latach służby Malone wciąż nie przyzwyczyił się do telefonów w środku nocy. Znosił widok krwi i pokiereszowanych ciał ofiar. Akceptował, że niektórzy odnosili się z lekceważeniem do ludzkiego życia i to, że ludzie traktowali patologiczne zachowania jako coś normalnego. Nauczył się nie przejmować brakiem zaufania, dyskryminacją i głupotą. Osiągnął to wszystko bez wspomaganie się alkoholem i prochami.

Nadal jednak nie znosił, kiedy przeszkadzano mu w spaniu.

Bayle zatrzymała wóz tuż za jego samochodem. Chciała być obecna na wszystkich etapach śledztwa bez względu na godzinę, więc jej to zapewnił. Wysiadła z auta i podeszła do Malone'a. Wyglądała tak, jakby i ona potrzebowała snu.

- Co jest, do cholery? - spytała.
- Podobno ktoś znowu włamał się do domu.
- Ale mamy szczęście.

Widząc jej minę, Malone doszedł do wniosku, że w środku nocy Bayle nie tryska dobrym humorem.

Gdy zbliżyli się do domu, usłyszeli szczekanie psa. Mira Gallier otworzyła drzwi, zanim zadzwonili. Trzymała za obrożę dużego golden retrievera.

- Dziękuję, że pan przyszedł, detektywie Malone.

Witam, pani Gallier. Pamięta pani moją współpracownicę, detektyw Bayle?

- Oczywiście. Proszę wejść.

- Widzę, że skorzystała pani z mojej rady i postarała się o psa. Malone przykucnął i podrapał zwierzę za uszami. - Jak ma na imię?

- Nola. Tyle że to nie dzięki pańskiej radzie. Connor...

Mężczyzna nadszedł z wnętrza domu, niosąc dwa kubki kawy. Aromatyczny napar niewątpliwie został sporządzony z ziaren wysokiej jakości.

- Cześć, detektywi - powiedział.

- Pan Scott.

- Mówcie do mnie „Connor”. - Podał jeden z kubków Mirze. - Kawa dla kogoś z was?

Oboje podziękowali i zwrócili się do pani domu. Bayle odezwała się pierwsza.

- Opowiadała nam pani o tym, jak stała się właścicielką Noli...

- Słyszac swoje imię, suka podeszła do policjantki, która pogłaskała ją po głowie.

- Connor mnie wmanewrował, musiałam ją wziąć.

- Wmanewrował? - powtórzył Malone. - Ciekawy dobór słowa. Jak to się robi?

Scott wyręczył Mirę w odpowiedzi.

- Pani Gallier opowiedziała mi o typie, który napadł ją w firmie, a potem włamał się do jej domu.

W tej sytuacji nie wydawało się rozsądne ani bezpieczne, żeby mieszkała sama. Przywiozłem więc Nolę i namówiłem Mirę, żeby ją zatrzymała przynajmniej na jedną noc.

- Słusznie pan postąpił - pochwaliła go Bayle.

Upił łyk kawy.

- Na to wyszło.

Malone przyglądał mu się przez chwilę badawczo, po czym znów zwrócił się do pani Gallier.

- Proszę nam dokładnie opowiedzieć, co zaszło.
- Nola zbudziła mnie szczekaniem.
- Która była godzina? - spytała Bayle.
- Nie wiem, nie spojrzałam na zegarek. Pewnie około wpół trzeciej. Przygotowałam Noli miejsce do spania na dziedzińcu.
- A gdzie jest pani sypialnia?
Wskazała w głąb korytarza.
- Korzystam z pokoju na dole. Tak jest wygodniej.
- Suka szczekała dostatecznie głośno, by panią zbudzić?
- Tak. Zupełnie oszalała. - Roztarła ramiona, jakby było jej zimno. - Najpierw myślałam, że to jakieś psie sprawy, i martwiłam się, iż zbudzi panią Latrobe.
- Kogo?
- Moją sąsiadkę z prawej strony. Potrafi być bardzo uciążliwa, wstałam więc, żeby przywołać Nolę do porządku. Kiedy jednak weszłam do holu...
Urwała, a Malone zmarszczył czoło.
- Co się wtedy stało?
- Zabrzmi to głupio, ale poczułam zapach męskiego balsamu po goleniu.
Scott zrobił gniewną minę.
- Mnie tego nie powiedziałaś.
- Nie? - Splotła dłonie. - Widocznie zapomniałam.
- A co potem?
- Usłyszałam trzask zamykanych drzwi. Wtedy zrozumiałam...
Nie dokończyła, a przy tym wydawała się mocno zakłopotana. Malone znów musiał ją zachęcić.

- Co pani zrozumiała?

Nieznacznie uniosła podbródek.

- Że ten zapach nie był wytworem mojej wyobraźni.

- Dlaczego miałyby pani coś takiego pomyśleć? - spytała Bayle.

Gallier odwróciła głowę, zaraz jednak spojrzała na detektywów z wyzywającą miną.

- Zapachu, który wyczułam, używał mój mąż.

Rozdział 29

wtorek, 16 sierpnia godz. 4.05

Mira zamknęła drzwi za detektywami. Przytrzymała klamkę chwilę dłużej niż potrzeba, zdając sobie sprawę z tego, że stoi za nią Connor. Policja znowu niczego nie znalazła. Żadnych śladów włamania. Drzwi i okna były pozamykane od środka. Spojrzała na Connora.

- To nie ma sensu. Wiem, co słyszałam. Czułam zapach jego balsamu po goleniu. Nie wymyśliłam tego.

- Muszę iść.

- Proszę, nie. - Chwyciła go za ramię. Wyczuła, że jest twarde niczym skała. - Zostań.

- Nie mogę tego zrobić, Miro.

- Czego? Nie rozumiem.

- Niczego. - Uwolnił się z jej uścisku. - Muszę iść.

- Jesteś zły - powiedziała. - Dlaczego?

- Dlaczego chcesz to wiedzieć?

- Bo chcę. - Wytrzymała jego spojrzenie. - Proszę, nie idź.

- Nie mogę tego zrobić - powiedział jeszcze raz i wskazał najpierw ją, a potem siebie. - Ty i ja.

Nie mogę być facetem, któremu wypłakujesz się w rękaw.

- Nie prosiłam cię, żebyś nim został.
- Nie? Przecież do mnie zadzwoniłaś, pamiętasz?

Przekrzywiła głowę.

- Chciałam podziękować ci za Nolę. Przywiozłeś mi ją, a ja cię o to wcale nie prosiłam.
- A co miałem zrobić? - Przesunął dłonią po krótko przystrzyżonych włosach. - Opowiadasz mi o włóczędze, który cię napada, a potem włamuje się do domu, i sądzisz, że będę siedział z założonymi rękami?

- Wiem. Przepraszam. Nie miałam się do kogo zwrócić. - Tym razem udało jej się ująć go za rękę, której ciepło działało krzepiąco. Wcale nie chciała jej puścić. - Proszę, nie bądź na mnie zły. I nie zostawiaj mnie samej.

Popatrzył na ich złączone dłonie, wyraźnie rozdarte, a potem przeniósł wzrok na twarz Miry.

- Jego balsam po goleniu... Minęło prawie sześć lat. Czy Jeff wciąż jest dla ciebie taki realny?
- Tak. - Z bijącym sercem spojrzała mu w oczy - A dla ciebie nie?
- Nie. On... - Connor zaklął i uwolnił rękę. - Muszę iść.

Stała w drzwiach.

- Był twoim najlepszym przyjacielem.

Zacisnął usta. Wyczuwała, że Connor ma na końcu języka coś, z czego chciałby się zwierzyć.

- O czymkolwiek teraz myślisz, powiedz to. Po prostu mi powiedz!
- Odsuń się.

Stała w miejscu coraz bardziej zła.

- Dlaczego zmieniłeś historię Noli?
- Co?

- Przed policją, okłamałeś ich.
- To powiedziałyby zbyt wiele o nas. O tobie. Nie ufam im.
- Im nie ufasz? Przecież to policjanci.
- To nic nie znaczy.
- Zmieniłeś się.
- Wojna robi takie rzeczy z człowiekiem, moja miła.

Aż się skuliła, słysząc nutę brutalności w jego głosie.

- Zaufaj mi - powiedziała cicho, wyciągając do niego rękę. - Proszę.
- Chcę ci ufać, naprawdę.
- To nie to samo.
- Wiem, ale tylko tyle mi zostało. - Ostrożnie odsunął ją od drzwi. - Do widzenia, Miro.

Powiedział to tak, jakby mieli się więcej nie zobaczyć. Nie mogła tego znieść. Nie umiała go jednak zatrzymać. Wsiadł do samochodu i wycofał go z podjazdu.

Rozdział 30

wtorek, 16 sierpnia godz. 6.40

Malone siedział za biurkiem i wpatrywał się w ekran komputera. Oczy piekły go ze zmęczenia, żołądek protestował przeciwko nadmiarowi kawy i braku pożywienia. Kilka boksów dalej Bayle robiła dokładnie to samo: prowadziła dochodzenie, korzystając z Internetu.

Wspólnie doszli do wniosku, że opowieść Gallier i obecność Scotta nie pasują do siebie. Postanowili więc podzielić siły Bayle zabrała się do sprawdzania informacji o Gallier, a Malone o Scotcie. Chciał również dowiedzieć się czegoś o pochodzeniu i znaczeniu obu napisów - „I powtórnie przyjdzie w chwale sądzić żywych i umarłych, a królestwu Jego nie będzie końca” oraz

„Dzień Sądu”.

Cytat był nie biblijny, lecz liturgiczny. Pochodził z wyznania wiary wspólnego większości Kościołów chrześcijańskich, a ściślej mówiąc, z tak zwanego symbolu nicejsko-konstatynopolityńskiego. Oba napisy nawiązywały do wiary w Boga, który przyjdzie po swoich wiernych, a wszystkich pozostałych, kimkolwiek by byli, wyśle do piekła. Morderca musiał być członkiem Kościoła, prawdopodobnie rzymskiego, jako że okolice Nowego Orleanu były w przeważającym stopniu katolickie.

Malone zapisał sobie w pamięci, żeby porozmawiać o tym z Bayle, i skupił uwagę na Scotcie. Coś go w tym facecie zastanawiało. Dostęp do dokumentów wojskowych był niesłychanie utrudniony, ale można było go uzyskać poprzez nakaz sądowy. Wyłącznie od władz wojskowych zależało, czy będą go honorować. Jakiegokolwiek zapisy dotyczące Scotta z okresu przed wojną praktycznie nie istniały. Nie był aresztowany, nie ciążyły na nim wyroki. Jeśli nawet miał jakieś wysoki w młodości, świadectwa tego znikły. Malone odbył kilka rozmów telefonicznych i złożył kilka wizyt. Niewątpliwie młody Scott sprawiał niemało trudności, ale mieściło się to w normie zachowania chłopaka z bardzo zamożnej rodziny.

Nie ożenił się, nie miał dzieci. Zdobył dyplom z wyróżnieniem na Tulane University, wcześniej chodził do szkoły w Wirginii.

- Hej, partnerze.

Malone zerknął na Bayle i uśmiechnął się.

- Znalazłaś coś, co sprawi mi wielką radość?

- Chciałabym - powiedziała, odwzajemniając uśmiech. - Jestem głodna i mam nadzieję, że ty też.

- Owszem. Chwila przerwy wydaje mi się wskazana.

- Znam miejsce, gdzie dają niesamowite krewetki.
- Narobiłaś mi apetytu. - Wstał i przeciągnął się. - Chodźmy.

Bayle usiadła za kierownicą. Miejsce okazało się dziurą w ścianie zwaną Freddie and the Red-Headed Lady. Obskurny barek w nieciekawej części miasta, za to domowe jedzenie palce lizać. Bayle wybrała krewetki, Malone tradycyjny omlet z sosem z czerwonej fasoli.

- Ej, jak znalazłaś to miejsce? - spytał, wycierając resztki tłuszczu kawałkiem maślanego herbatnika. - Myślałem, że rodzina Malone'ów zna wszystkie najlepsze spelunki w mieście.
- Pokazał mi je kiedyś mój były chłopak. Miał nosa do miejsc przy bocznych ulicach.
- Przy bocznych ulicach? Chyba w ciemnych zaułkach. - Rozejrzał się dookoła. - Z pewnością nie jest to lokal, gdzie warto się pokazać.

W jej oczach pojawił się dziwny wyraz, ale zaraz znikł.

- Przeszkadza ci to?
- Doceniam to odkrycie, naprawdę.

Oparł się wygodniej, a kelnerka dołała im kawy.

- Podać coś jeszcze? - zapytała.
- Ja dziękuję - powiedziała Bayle i popatrzyła na Malone'a.

Pokręcił głową.

- Ja też dziękuję. Było pyszne.

Kobieta wahała się chwilę, przyglądając się z uwagą towarzyszce Malone'a.

- Proszę wybaczyć, że pytam, ale czy pani to Karin Bayle?
- Tak.

Kelnerce oczy zaszczyły łzami.

- Podczas huraganu uratowała pani życie mojej kuzynce, Brittany Ann Martin. Była uwięziona w

samochodzie.

- Pamiętam.

Malone był pewien, że Bayle powiedziała prawdę, bo rysy nagle jej zmiękły.

- Jak ona się miewa? - spytała.

- Bardzo dobrze. Właśnie urodziła dziewczynkę, a ja zostałam chrzestną.

- Proszę przekazać jej ode mnie pozdrowienia i gratulacje.

- Na pewno nie zapomnę. - Kelnerka wyrwała rachunek z bloczka i wsadziła go do kieszeni. - Ja płacę.

- Nie musi pani...

- Muszę. Dziękuję, detektywie Bayle.

- A więc tak to wygląda, kiedy ktoś jest sławny - zażartował Malone, gdy kelnerka się oddaliła.

- Przestań. To mnie krępuje.

Uznał, że powiedziała to poważnie, więc jej usłuchał.

- Znalazłaś coś nowego o Gallier?

- Niewiele. Urodziła się i wychowała w Nowym Orleanie. Uczyła się w szkołach publicznych, potem w Center for Creative Arts, jeszcze dostała stypendium w Tulane's Newcomb College.

- Czyli nie pochodzi z bogatej rodziny?

- Daleko jej do tego. Rodzice nie żyją. Ojciec zmarł, kiedy była mała, matka przed Katriną.

Jedyna siostra mieszka w Knoxville.

- Konflikty z prawem?

- Zero, jeśli nie liczyć pozwów złożonych przeciwko niej po huraganie.

Trudno mu było wyobrazić sobie taką małą rodzinę, jego liczna rodzina miała mnóstwo gałęzi i odgałęzień.

- Coś jeszcze?
- Stała się bogatą kobietą dzięki śmierci męża. - Bayle wzięła do ręki kubek kawy - A ty jak? Dowiedziałeś się czegoś o Scotcie?
- Diabelnie mało. Bogata rodzina, starzy nowoorleańczycy. Po skończeniu uniwersytetu pracował w banku prowadzonym przez rodzinę. Trochę o niego popytałem. Sporo wybryków na koncie. Picie alkoholu przed osiągnięciem pełnoletności, nieostrożne prowadzenie samochodu, bójki i inne podobne. Jeszcze poszukam.
- Dziś wieczorem ci dwoje wydawali się w bardzo dobrej komitywie.
- Tak było - przyznał. - To jednak nie przestępstwo. Co myślisz?
- O Gallier?
- Skinął głową.
- Nie wiem, czy ona ukrywa fakty, kłamie, czy po prostu ma nie po kolei, ale coś z nią jest nie tak.
- Podzielał twój pogląd - przyznał - ale mnie nie podoba się Scott. Podarował jej psa akurat w ten wieczór, kiedy było u niej włamanie. No nie! - Zabębnił palcami po stole. - Już dwa razy do nas dzwoniła - ciągnął. - Za każdym razem drzwi i okna były zamknięte od wewnątrz. Nic nie zostało zabrane ani zniszczone, a Gallier wyszła z tego nietknięta. Zupełnie jakby ktoś miał klucz i zakradał się do domu, żeby zabawić się jej kosztem.
- Ale po co?
- Żeby ją zastraszyć, zdobyć nad nią kontrolę, zemścić się za jakąś winę prawdziwą lub wyobrażoną.
- Motyw?
- Miłość. Nienawiść. Zazdrość. Gniew. Wstyd. Wszystko to razem. Balsam po goleniu zmarłego

męża ostatecznie mnie przekonał.

Odchyliła się na oparcie krzesła.

- Wytłumacz, proszę.

- Postawiłem się na jej miejscu. Gdybym w ten sposób stracił Stacy, a ktoś chciałby mi dopieprzyć, załatwiłby mnie tym definitywnie.

Bayle wydeła wargi.

- To ciekawe. Na kogo stawiasz?

- Może na teścia? Nie udało mu się dostać do niej na drodze prawnej, więc próbuje innych metod. Wydaje się sensowne, że mogą mieć klucz do jej domu. Zważywszy na ich status społeczny i ekonomiczny, do takiej roboty najęliby człowieka.

- Morderstwo na Kaznodziei było częścią tego planu?

- Nie, skądże. Kaznodzieję sprzątnął jakiś zbir, który miał dosyć jego kazań.

- A co ze zniszczonymi witrażami i ojcem Girodem? Ma to związek z Gallier?

- Myślę, że nie. To jeden z tych dziwnych zbiegów okoliczności, w które zwykle nie wierzę.

- A tym razem jest inaczej? - Skrzyżowała ramiona na piersi. - Dlaczego?

- Taka możliwość wydaje mi się bardziej sensowna.

- Nie. - Bayle opuściła ramiona i pochyliła się ku niemu. - Powiem ci dlaczego. Ponieważ słodka mała istota z sarnimi oczami nie mogłaby się zaplątać w coś wyjątkowo paskudnego.

- Przyhamuj. Okaż mi trochę zaufania.

- Przykro mi, ale dla kobiety takiej jak ona mężczyźni są gotowi zrobić niejedno. Także to, czego zazwyczaj nie robią.

- Na przykład popełnić morderstwo?

- Nie wykluczaj tego.

- Na tym etapie nie wykluczam niczego. Zadowolona?
 - To woda na mój młyn.
- Zabrzącał telefon komórkowy Malone'a. Dzwonił Percy.
- Cześć braciszku. Masz dla mnie coś dobrego?
 - Zdefiniuj „dobre”.
- Cholera.
- Mniejsza o to. Kto dostał po głowie?
 - Anton Gallier.
 - Jest pokrewieństwo z...
 - Tak. To jej teść.
 - Gdzie?
 - French Quarter, na rogu Royal i St Philip.
 - Bayle i ja już jedziemy.

Rozdział 31

wtorek, 16 sierpnia godz. 9.45

Gallier został zastrzelony, gdy wychodził ze swojego mieszkania we French Quarter. Ponieważ był żonaty, zapewne traktował to mieszkanie jak własność firmy i w swej szczodrości pozwalał firmie je opłacać, sam zaś korzystał z niego wtedy, kiedy chciał się czuć swobodnie. Tak w każdym razie wyobrażał to sobie Malone.

Razem z Bayle dali nura pod taśmą policyjną i wpisali się do książki wejść. Malone potoczył wzrokiem po miejscu zdarzenia. Podobnie jak wszystkie budynki w tej dzielnicy ten również był stary. Trzy piętrowy, z żeliwnymi balkonami. Mieszkanie Antona Galliera zajmowało narożnik na

górnym piętrze, skąd można było obserwować parady urządzone w ostatki.

Fotograf koronera właśnie wypełniał swoje obowiązki, technicy cierpliwie czekali. Scena przypominała Maloneowi kadr z pierwszego Ojca chrzestnego: nieskazitelnie ubrany gangster skulony w kącie zabytkowej windy. Krew i trzewia. Masakra.

Podszedł do nich Percy, Spencer przedstawił go Bayle.

- Mój nowy partner, Karin Bayle.

Percy uśmiechnął się szeroko i wyciągnął do niej rękę.

- Moje kondolencje.

Uścisnęła mu dłoń, marszcząc czoło.

- Kondolencje? Nie...

- Z powodu wyciągnięcia najkrótszej zapalniczki.

- Mój młodszy brat ulega mylnemu przeświadczeniu, że jest zabawny - wtrącił Malone.

- Wiesz, co jest naprawdę smutne? - powiedział Percy. - Ten typ nosi garnitur na miarę za dwa tysiące dolarów. Piękny strój z włoskiej dzianiny. Nikomu to cudo się nie przyda. Nie da się doczyścić.

Jeden z techników spojrzał mu przez ramię.

- Nawet gdybyś doczyścił, to jak chciałbyś zacerować taką dziurę? Nie do zrobienia.

- Cholerna szkoda - przyznał Percy - Znalazła go przyjaciółka. On wstał, bo miał zebranie, a ona została, żeby się wyspać. Tu są wyłącznie mieszkania należące do firmy, w sumie sześć, po dwa na piętrze. Jedna winda, dwie klatki schodowe, każda po innej stronie budynku. Dostał dwie kule - ciągnął. - Strzelano z bliska, dwa razy w klatkę piersiową. Pierwszy policjant, który przybył na miejsce zdarzenia, sprawdził tożsamość ofiary. Portfel jest w marynarce, napakowany zielonymi. Ofiara ma na palcu obrączkę, a na przegubie zegarek marki Patek Philippe.

- Z pewnością nie był to rabunek - powiedziała Bayle.
 - Bardziej wygląda na gangsterską egzekucję - stwierdził Spencer, któremu znów przypomniał się film z udziałem Marlona Brando. - Jeśli sprawca wiedział, że znajdzie tu Galliera, to poczekał, aż usłyszy windę. Drzwi się otwierają, pif-paf i sprawa załatwiona. Potem odszedł, nie mając na sobie nawet kropelki krwi.
 - Sprawdźmy, czy korzystano dzisiaj z któregoś z pozostałych pięciu mieszkań. Jeśli tak, to może ktoś coś widział albo słyszał. W holu nie ma żadnej dobrej kryjówki, więc jeśli nasz scenariusz jest poprawny, sprawca mógł zostać zauważony.
 - Popytajmy pracowników sklepu spożywczego naprzeciwko. Oni wcześniej otwierają.
 - Ja od tego zacznę - zaofiarował się Percy.
- Spencer skinął głową.
- Przyjaciółka wciąż jest na miejscu?
 - Dochodzi do siebie na górze. Przydzieliłem jej posterunkowego.
 - Przesłuchałeś ją?
 - Nie. Oddaję ją tobie.

Spencer zanotował jej dane i inne ważne informacje. Razem z Bayle weszli po schodach na trzecie piętro.

Przyjaciółka Galliera siedziała na tapczanie, zaciskając dłonie na butelce wody. Wyglądała bardziej na znudzoną niż poruszoną tragiczną śmiercią kochanka, więc gdy weszli do pokoju, podniosła głowę z miną pełną nadziei.

- Pani Jessica Zurich, prawda? - spytał Spencer.
- Jazz - odpowiedziała. - Tak jak muzyka. Mam na drugie imię Ann.
- Jasne - powiedział. - Fajnie brzmi.

Była młoda. Malone szacował ją na dwadzieścia pięć, najwyżej trzydzieści lat. Ponieważ Anton Gallier zbliżał się do pięćdziesiątki, myśl o ich związku budziła niesmak Malone'a. Podejrzywał, że kochanków łączyło przede wszystkim jedno: pieniądze Galliera.

- Jestem detektyw Spencer Malone, a to moja współpracownica, detektyw Karin Bayle. Musimy zadać pani kilka pytań.

- Znakomicie. To nie zajmie dużo czasu, prawda? Jestem umówiona na lunch.

- Na pewno jest pani zdenerwowana - powiedziała cicho Bayle. - Postaramy się skończyć jak najszybciej.

Jeśli nawet młoda kobieta zauważyła sarkazm, to tego nie okazała.

- Dziękuję. Chciałabym zapalić. Czy państwo mają coś przeciwko temu? - Wyciągnęła paczkę z niedużej, jaskrawej torebki. - Anton mi na to nie pozwalał.

- Myślę, że okazałby wyrozumiałość, zważywszy na okoliczności.

Zachichotała jak nastolatka, co zabrzmiało dość niestosownie. Co jednak w tej sytuacji nie jest niestosowne? - zadał sobie w duchu pytanie Malone.

Kobieta zapaliła papierosa, zaciągnęła się i wypuściła smugę dymu. Sposób, w jaki to robiła, miał wyraźny podtekst seksualny.

Malone odchrząknął.

- Proszę mi opowiedzieć o wczorajszym wieczorze i dzisiejszym poranku.

- Anton i ja spędziliśmy tutaj noc. Przedtem wyszliśmy do miasta z przyjaciółmi.

- Co robiliście?

Przez chwilę wydawała się zmieszana, jakby spytał ją, co robili w łóżku.

- Z przyjaciółmi - wyjaśnił Malone. - Dokąd poszliście? Kto był z wami?

- Jego partnerzy w interesach i ich dziewczyny. Większość czasu spędziliśmy w restauracji Ritza,

ale wpadliśmy też do kilku klubów. Republic, Club Trzysta Sześćdziesiąt.

- O której godzinie tu wróciliście?
- Około pierwszej. Anton miał rano zebranie. Pozwolił mi tu dłużej pospać.
- To miło z jego strony.
- Zawsze taki był. - W jej głosie dał się słyszeć żal.
- Nie słyszała pani niczego? Nic pani nie zakłóciło snu?
- Nie. Przed wyjściem Anton się ze mną pożegnał i potem spałam do dziewiątej.
- Czy ktoś jeszcze nocował w którymś z mieszkań?
- Nie mam pojęcia. Nikogo nie widziałam.
- Wstała pani i...?
- Wypiłam kawę, zjadłam jabłko, zatelefonowałam do matki, potem wzięłam prysznic i się ubrałam. - Gwałtownie odetchnęła, jakby przygotowywała się na coś przykrego. - Przywołałam windę... on tam leżał.

Pierwszy raz w jej głosie pojawiła się nuta żalu.

- Musiała pani przeżyć wstrząs.
 - To było okropne. Nigdy niczego równie straszego nie...
- Mocno zacisnęła powieki. Malone podejrzewał, że próbuje w tej chwili wyrzucić sprzed oczu wyobrażenie martwego Galliera.
- Co pani zrobiła potem?
 - Wezwałam policję.
 - Czy pani go dotknęła? Sprawdzała puls? Robiła cokolwiek innego?
 - Żartuje pan? - Wstrząsnął nią dreszcz. - To byłoby ostatnie, czego bym próbowała.
 - W jaki sposób winda odjechała na parter?

- Sama uruchomiłam przycisk. Chciałam, żeby znalazła się jak najdalej ode mnie.

- To ciekawe. Dlaczego nie zbiegła pani po schodach, żeby sprawdzić pomoc?

Spojrzała na niego bez wyrazu. Nie ulegało wątpliwości, że taki pomysł nie przyszedł jej do głowy. Może nawet nie pomyślała, że w budynku są schody.

- Pan Gallier był żonaty, prawda?

Skinęła głową.

- Przez trzydzieści pięć lat albo coś koło tego. W każdym razie absurdalnie długo. - Uśmiechnęła się mimo woli. - Był żonaty dłużej, niż żyję na tym świecie. Wydawało mi się to zabawne.

Malone przekrzywił głowę. Ta kobieta sprawiała dziwne wrażenie. Nie zdziwiłoby go, gdyby dowiedział się, że z samego rana dała sobie w żyłę. Postawiłby nawet swoją miesięczną wypłatę na to, że w kolorowej torebce kryje się coś, co sprawiło, że każda schadzka była bardziej kolorowa.

Bayle jakby czytała w jego myślach, bo spytała:

- Czy wczoraj wieczorem, kiedy tu przyszliście, zażywaliście narkotyki?

W oczach młodej kobiety pojawił się wyraz popłochu.

- Dlaczego pani pyta?

- Pytanie jak pytanie. To, czy Gallier był pod wpływem jakiegoś środka, i tak zostanie odkryte podczas sekcji i ujęte w raporcie patologa.

Przerzuciła przez ramię długie, jasne włosy.

- Nie biorę narkotyków, pani detektyw. Anton od czasu do czasu coś brał, żeby mu lepiej szło. Pani rozumie.

- Wczoraj wieczorem też?

- Tak. Uprawialiśmy seks. - Zapaliła następnego papierosa. - Było mi dobrze.

- Czy żona Galliera wiedziała o pani? - spytał Malone.
- O mnie i nie tylko. Było również wiele innych. Oni zawarli umowę.
- Umowę? - spytał Malone.

Czuł, jak od Bayle wprost bije niechęć do tej kobiety. Podejrzewał, że i u niego można by wyczuć coś podobnego.

- Tak jak w wojsku - wyjaśniła z uśmiechem. - Nie pytaj, nie mów.

Można było wywnioskować z jej miny, że jest zawiedziona ich brakiem reakcji na ten dowcip. Malone uznał, że Jazz ma skłonności do narcyzmu.

- Pani w ogóle nie wydaje się tym przejęta.
- Czym?
- Morderstwem pani przyjaciela.
- Jestem załamana. - Przycisnęła dłoń do klatki piersiowej. - Absolutnie.
- Załamana? Naprawdę? - Spencer przekrzywił głowę. - Czy pani go kochała?
- Nie, ale kochałam nas.
- Nas?
- Nasze bycie razem. Dobrze się bawiliśmy, on kupował mi dużo ładnych rzeczy.

Na przykład złoty zegarek i brylantowe kolczyki, pomyślał Malone. Jedno i drugie miała w tej chwili na sobie.

- Czy wiedziała pani o jakichś jego wrogach?
- Wszyscy kochali Antona.

Malone'owi trudno było w to uwierzyć. Nie osiąga się takiej pozycji jak Anton Gallier, nie naraziwszy się ludziom.

- Chociaż - dodała - wspomniał o kłótni z synową.

Malone zerknął na Bayle, która odpowiedziała nieznacznym skinieniem głowy.

- Czy wie pani, kiedy doszło do kłótni?

Wydeła wargi.

- Dzień lub dwa dni temu w klubie. Nie zwróciłam na to szczególnej uwagi.

- Jak się nazywa ten klub?

- Crescent City Club?

- Czy przypomina sobie pani jeszcze coś, co Gallier mówił na ten temat?

- Nazwał synową białym śmieciem i naciągaczką. Naprawdę jej nie lubił. Winił ją za śmierć syna.

- Czy mogę zobaczyć pani ręce, Jazz?

Wyciągnęła je przed siebie i Spencer zaczął szukać śladów prochu. Były czyste.

- Zamierzamy przeszukać to mieszkanie. Czy możemy zajrzeć również do pani rzeczy? Jeśli tak, to potem może pani odejść.

Natychmiast wyraziła zgodę. Torebka i walizeczka nie zawierały niczego podejrzanego, a przynajmniej nie było w nich broni, więc dwie minuty później Jazz opuściła budynek, korzystając ze schodów.

Po pobieżnym oglądzie mieszkania skierowali się na dół, zostawiając dokładniejsze przeszukanie ekipie techników. Gdy dotarli na parter, ludzie koronera właśnie wyciągali z windy torbę z ciałem. Ich miejsce w windzie zajęli technicy. Zamknęły się za nimi drzwi.

Malone zerknął na Bayle.

- Po pogawędce z niezbyt miłą panią Zurich muszę przesłuchać żonę Galliera.

- To nie przelewki. - Bayle się skrzywiła. - Pomyśl tylko, że on uciekał od żony do kobiet tego typu.

Za ich plecami otworzyły się drzwi windy.

- Hej, detektywi! - zawołał technik. - Chyba powinniście tu przyjść rzucić okiem. Tak też zrobili.

Na wewnętrznej stronie drzwi sprawca napisał: „Wyrzucił siedem złych duchów”. Bayle spojrzała na Malone'a.

- Cóż to znaczy, do pioruna?

- To znaczy, że mamy bardzo poważny problem.

Rozdział 32

wtorek, 16 sierpnia godz. 10.50

Malone i Bayle wyszli z windy w chwili, gdy Percy zjawił się w holu. Spojrzał na ich miny i zapytał:

- Ej, czyżby jeszcze ktoś zginął w czasie, gdy mnie nie było?

- Sam popatrz. - Malone wskazał kciukiem w stronę szybu. - Potem porozmawiamy.

Percy wszedł do kabiny. Spencer uruchomił przycisk zamykania drzwi. Chwilę później usłyszał wiązanekę: nie jedno przekleństwo, lecz trzy.

Drzwi ponownie się otworzyły i brat wyszedł do holu.

- To mnie wkurza.

Spencer powędrował spojrzeniem między bratem a Bayle.

- Chyba możemy bezpiecznie stwierdzić na tym etapie, że mamy do czynienia z seryjnym mordercą. - Zaczął odliczać na palcach. - Ojciec Girod, Kaznodzieja, Anton Gallier. Wszystko z biblijnym nawiązaniem.

- I Mira Gallier - dodała Bayle.

Percy podrapał się w głowę.

- „Wyrzucił siedem złych duchów”. Co to, u licha, znaczy?

- Konkretnie? - spytał Spencer. - Nie wiem. A ty, Bayle?

Pokręciła głową.

- Moja matka uważała się za buddystkę. Najbliższy kontakt z religią zachodu miałam wtedy, gdy babka zaciągnęła mnie do kościoła baptystów. To musi być cytat z Biblii, prawda?

- Prawda. - Spencer zmarszczył czoło. - Bez wątpienia odnosi się to do uczynków Chrystusa, mówimy więc o Nowym Testamencie.

- Mógłbym zadzwonić do mamy - zaofiarował się Percy z głupim uśmiechem i strzelił palcami. - Ona na pewno będzie wiedziała.

- Nie ma mowy, braciszku, do tego służy Internet. Co słyhać w spożywczym? Ktoś coś widział dziś rano?

- Jakiś dzieciak dostarczył zamówienie. To wszystko.

- Co dostarczył?

- Sądzi, że coś do jedzenia. Tak to wyglądało. Tacka do kawy, biała torba.

- To ma sens - stwierdził Spencer. - Ktokolwiek zobaczy dostawcę w holu, wie, po co przyszedł.

- Piękno tego rodzaju morderstwa polega na szybkości i prostocie - orzekła Bayle.

Malone przyznał jej rację.

- Sprawca jest bardzo dobrze zorganizowany.

- Według kasjera ze spożywczego miał zajęte ręce. - Percy zmarszczył czoło w zadumie. - Jak on wobec tego wszystko załatwił?

- Napisał swoje przesłanie przed zabiciem Galliera - podsunęła Bayle.

Percy skinął głową.

- Gallier wsiada do windy, widzi napis i uznaje, że do budynku dostał się wandal.

Wrócili do kabiny i zbadali przesłanie. W odróżnieniu od tego, które znajdowało się przy ciele Kaznodziei, z pewnością nie wypisano go krwią.

- Moim zdaniem chcąc to napisać, musiał odstawić tacę. Z pistoletu mógł strzelać jedną ręką - powiedziała Bayle.

- Wygląda na marker. Czarny, z grubą końcówką. - Malone pomylił się i pociągnął nosem. Wciąż utrzymywał się wątyły zapach eteru. - Nie wodny, taki niezmywalny.

- Może go nie zabrał.

- A co z dostarczaną kawą? Po dokonaniu czynu bez wątpienia chciał szybko się ulotnić.

Malone wyszedł na zewnątrz, pozostała dwojka za nim. Tuż za rogiem stał pojemnik na śmieci. Malone zajrzał do środka. Tacka do kawy, dwa kubki i biała torba.

Bayle i Percy stanęli za nim. Percy gwizdnął.

- Oto żyła złota.

- Kubki są pełne. - Malone trącił długopisem papierową torbę. - Coś jest w środku.

- Może dostaliśmy nagrodę za cnotliwe życie - powiedział Percy - i ten dupek wrzucił tam pistolet? To byłoby urocze.

- Mnie bardziej interesuje, co jest na torbie. Na zewnątrz jest bardzo gorąco, więc dostawca nie mógł nosić rękawiczek. Powinniśmy zdobyć odciski linii papilarnych, DNA z potu albo inne ślady.

- Dam znać technikom - oznajmiła Bayle, sięgając po telefon.

- Kubki i torba są typowe, ale może zidentyfikujemy firmę po zawartości. Co z kamerami w sklepie spożywczym?

- Nie wyglądają zachęcająco - powiedział Percy. - Ta przed wejściem jest zwrócona w nieodpowiednim kierunku.

- Sprawdźmy mimo wszystko.

- Załatwione.
- A hol i winda? - podsunęła Bayle.
- Sprawdźmy, ale nie czekałbym na wyniki z zapartym tchem.

Dwóch techników wyszło z budynku. Spencer udzielił im wskazówek i wrócił do brata.

- Wezwijmy mundurowych, żeby zbadali otoczenie. Niech dowiedzą się, czy ktoś czegoś nie widział albo nie słyszał. Gallier podobno pokłócił się ostatnio ze swoją synową w Crescent City Club. Idź tam. Percy, i przesłuchaj wszystkich świadków tej kłótni. Bayle i ja przekazemy nowinę wdowie po Gallierze i posłuchamy, co nam powie. Ten, kto wróci pierwszy, przygotowuje pokój przesłuchań. Przywiozę Gallier.

Rozdział 33

wtorek, 16 sierpnia godz. 11.30

Mira siedziała naprzeciwko doktor Jasper. Tego ranka zadzwoniła do terapeutki i ubłagała ją o wizytę, mimo że nie była umówiona. Doktor Jasper poświęciła dla niej przerwę na lunch, jednak Mira nie miała pojęcia, co jej powiedzieć. Wyjawiła to, a terapeutka uniosła pieczołowicie wymodelowane brwi.

- Możemy tu siedzieć i wpatrywać się w siebie przez pełną godzinę, ale wydaje się to stratą czasu.
- Wszystko dlatego, że tyle działo się w ciągu ostatniego tygodnia. Nie wiem, od czego zacząć.
- To ciekawe. Wymień na początek kilka zdarzeń i zobacz, co z tego wyniknie.
- Napadnięto mnie w firmie. Kaznodzieja z rogu ulicy, który to zrobił, został następnej nocy zamordowany. Pojawił się znienacka mój stary przyjaciel Connor, chociaż nie było go od czasu Katriny. Ktoś włamał się dwukrotnie do mojego domu. W środku nocy wyczułam w domu zapach

balsamu do golenia, którego używał Jeff. Pokłóciłam się z moim teściem. Pierwszy raz od śmierci Jeffa poczułam się naprawdę szczęśliwa. Aha, i dostałam sukę.

Doktor Jasper wytrzeszczyła oczy, dając wyraz swojemu zdumieniu, na co Mira zareagowała śmiechem.

- Przepraszam, ale twoja mina... Wydajesz się oszołomiona.

Terapeutka również się roześmiała.

- Kiedy pacjenci mówią, że wiele się zdarzyło, zwykle mają na myśli swoje emocje, a nie wypadki rodem z filmu akcji. Sądzę więc, że powinnaś zacząć od uczuć. O nich wspomniałaś wprost tylko raz.

- Byłam szczęśliwa?

- Właśnie. Opowiedz mi o tym.

Mira położyła na kolanach splecione dłonie.

- Cieszyłam się, że żyję. Pierwszy raz od czasu huraganu byłam zadowolona, że nie zginęłam razem z Jeffem. - Zamilkła przejęta poczuciem winy i wstydem. Pokonała jednak słabość. - To wcale nie znaczy, że cieszę się ze śmierci męża, prawda? Czy nie jest normalne, że chce się żyć?

Terapeutka bez słowa podała jej chusteczki, choć Mira nie zdawała sobie sprawy z tego, że ich potrzebuje. Wzięła z paczki jedną i wydmuchała nos.

- To było cudowne uczucie. Nie wiem, czy potrafię je opisać.

- Spróbuj.

- To było tak, jakby do niedawna spowijała mnie czarna chmura. Nie... - poprawiła się - raczej całun. To tak, jakbym dotąd była martwa - wyjaśniła - i właśnie wróciła do życia.

- Jak Chrystus?

- Nie. Jak Łazarz.

Terapeutka skinęła głową.

- Jeśli dobrze pamiętam lekcje ze szkółki niedzielnej, to Jezus wskrzesił Łazarza.
- Tak. To był jeden z jego cudów.
- Kto ciebie wskrzesił?

Connor? Nola? Strach? Okoliczności? Wszystko po trochu?

- Nie jestem pewna. Może nadeszła pora?
- Owszem, ale nie ona była katalizatorem. Opowiedz mi, jak to się stało.

Zbyt niespokojna, by usiedzieć w miejscu, Mira wstała, podeszła do okna i odwróciła się do terapeutki.

Gorączkowo wyrzucając z siebie słowa, opowiedziała jej najpierw o Kaznodziei i wisiorku, potem o ponownym spotkaniu z Connorem i suce, którą przyprowadził dla jej bezpieczeństwa.

- Byłam na niego wściekła. Nie chciałam nowej suki. Nie chciałam jej pokochać. Zostawiłam ją więc na noc na dworze. Nagle zbudziło mnie jej szczekanie. Kiedy poszłam sprawdzić, co się stało, wyczułam balsam po goleniu, którego używał Jeff.

- Jesteś pewna?
- Polo Blue Ralpa Laurena. Inne dla niego nie istniały. Zatonęłam we wspomnieniach i prawie sobie wyobraziłam, że on tam jest. Jakbym właśnie zbudziła się ze złego snu.
- Co dalej?
- Usłyszałam odgłos zamykanych drzwi i zrozumiałam... że nie byłam sama. Że ktoś się włamał, tak jak poprzednio Kaznodzieja.

Doktor Jasper coś zapisała, a potem spojrzała Mirze w oczy.

- Mów dalej.
- Przeraziłam się. Pobiegałam po Nolę. Nagle ucichła i bardzo się bałam, że ją też stracę. - Mirze

załamał się głos. - Kiedy się przekonałam, że suce nic się nie stało, poczułam się tak, jakby przestawił się we mnie wyłącznik. Byłam jak nienormalna. Śmiałam się i płakałam, mimo że chwilę wcześniej umierałam z przerażenia.

- Jako terapeutka nie mogę wyciągać wniosków za ciebie, moim zadaniem jest pomóc ci w dojściu do własnych wniosków. W jaki sposób pomogłabyś mi, gdybyś była terapeutką, a ja twoim pacjentem?

- Nie rozumiem.

- Wszystko, czego potrzebujesz, jest w tej historii. Powiedzmy, że nic z tego nie zdarzyło się naprawdę. To był sen albo wytwór twojej podświadomości. Jakie jego elementy są ważne?

- Zapach balsamu po goleniu używanego przez Jeffa. I to, jak się poczułam, kiedy zwrócił moją uwagę.

- A potem?

- Trzask zamykanych drzwi, który przywołał mnie do rzeczywistości. Uświadomienie sobie, że nie byłam sama.

- Mów dalej.

- Lęk przed utratą Noli. Radość z tego, że znalazłam ją żywą i nie stała jej się krzywda.

Żywa. Nie stała jej się krzywda. Wszechogarniająca radość z tego, że żyję, pomyślała Mira.

- Twierdzisz, że niczego nie zabrano, a wszystkie drzwi i okna były solidnie zamknięte od środka.

- Sugerujesz, że nikogo tam nie było? Że to tylko wytwór mojej podświadomości? - Mira pokręciła głową. - Nola czekała.

- Na pewno?

- Tak! To mnie przecież zbudziło. Sądzę... - Urwała, podeszła do sofy i na niej usiadła. - Kiedy zauważyłam, że Nola przestała czekać? W chwili, gdy wstałam z łóżka? Gdy weszłam do sieni i

wyczułam balsam po goleniu? Czy może gdy usłyszałam trzask zamykanych drzwi? - zastanawiała się.

- Czy wiesz, że ze wszystkich zmysłowych wspomnień te związane z zapachem są najtrwalsze? Zapach lepiej niż inne bodźce może przenosić nas w miejscu lub czasie, wywołać ponowne przeżycie dawnych emocji.

Mira pokręciła głową, lecz doktor Jasper kontynuowała wywód.

- A odgłos zamykanych drzwi? Jakie mógłby mieć znaczenie poza oczywistym?

- Koniec. Odejdźcie. Rozumiem, dokąd zmierzasz, ale ja wiem, co słyszałam.

Terapeutka zerknęła do notatek.

- Według tego, co powiedziałaś, rozumiałaś, że nie jesteś sama.

- Zgadza się. Ktoś był w moim domu!

- To twoje słowa, Miro. Mają moc symboliczną.

Łzy napłynęły jej do oczu. Pokręciła głową, chcąc zaprzeczyć.

- Nie - powiedziała.

Doktor Jasper wyciągnęła ramiona nad stołem i ujęła ją za rękę.

- Drzwi były otwarte w twoim umyśle. Był też Jeff. Ożywiłaś go w swojej pamięci sensorycznej. - Zacisnęła palce. - A potem zamknęłaś drzwi. Ponieważ wiedziałaś, że nie jesteś sama. Już nie.

Łzy płynęły po policzkach Miry.

- Pobiegnęłam po Nolę.

- A kiedy pomyślałaś, że coś jej się stało, wpadłaś w panikę. Byłaś przerażona. - Terapeutka uścisnęła dłonie Miry, a potem je puściła. - Wybierasz terażniejszość. Wpuszczasz kogoś... coś... do swojego życia i chcesz żyć.

Rzeczywiście. To takie oczywiste, zgodziła się w duchu Mira.

- Co zrobiłaś potem?
- Zadzwoiłam do Connora. Chciałam podzielić się moim szczęściem z... - Ugryzła się w język.
- Uważam, że to jest znaczące, a ty nie?

Mira też tak sądziła, lecz nie była gotowa, by to przyznać. Zakończyły wspólną godzinę w milczeniu. Kiedy czas upłynął, doktor Jasper odprowadziła ją do drzwi. Na odchodnym krótko ją uściskała.

- Bądź ostrożna, Miro. Dobrze jest odzyskać emocje, ale łatwo można zostać zranionym.

Rozdział 34

wtorek, 16 sierpnia godz. 13.00

Anton Gallier żył w dostatku, podobnie jak Scott, tyle że jeszcze bardziej okazałe. Bayle zaparkowała samochód przed frontem jego wspaniałej rezydencji przy St Charles Avenue. Natychmiast przyciągnęła ona wzrok Malone'a, który wysiadł pierwszy. W Nowym Orleanie niektóre tereny mieszkalne i wzniesione tam budowle były tak wysmakowane, że godziło się tam żyć jedynie niepowtarzalnym starym rodom Nowego Orleanu.

Dom Antona Galliera należał do tej kategorii. Ani nowemu przybyszowi, ani Jankesowi nie pozwolono by stać się właścicielem podobnej rezydencji. Zmyślny człowiek mógł przyjechać do Nowego Orleanu, kupić firmę handlującą samochodami albo zawodową drużynę sportową, nawet zostać burmistrzem, ale nie mógł posiadać takiego domu ani genealogii, która to posiadanie legitymizowała. Krążyły plotki, że próbował tu nabyć rezydencję aktor Nicholas Cage, ale nikt nie chciał z nim rozmawiać.

Malone nie wątpił, że w innych miastach obowiązują podobne niepisane reguły, nie wyobrażał sobie jednak, by mogły być tak głęboko zaszczepione jak tutaj. W Nowym Orleanie klejnoty

architektury przekazywano w rodzinach z pokolenia na pokolenie albo poprzez małżeństwo. Detektyw omiół wzrokiem posiadłość. Zajmowała pół kwartału przy jednej z najpiękniejszych alej w Stanach Zjednoczonych i reprezentowała Stare Południe. Uprzywilejowaną egzystencją, w ramach której nie zdarzało się mieszanie klas, pomoc była wszechobecna, lecz niedostrzegalna, a prawdziwe życie, doświadczane przez wszystkich innych ludzi, rzadko pukało do drzwi.

Tego dnia składało wizytę.

Malone i Bayle przystanęli przy żeliwnej bramie wyposażonej w nowoczesny domofon wideo.

- Detektywi policji nowoorleańskiej do pani Gallier.

Pokazali do kamery plakietki.

Chwilę później brama się otworzyła, mogli więc przejść obsadzoną drzewami aleją do frontowych drzwi. Powitał ich kamerdyner w liberii. Wyciągnął do nich rękę z kopertą.

- Pani Gallier prosiła, abym to przekazał i podziękował państwu za usługi.

- Co to jest? - spytał Malone.

- Doroczny datek państwa Gallier na fundusz pomocy.

Typowe. Pieniądze były remedium na wszystko. Po minie Bayle Malone zorientował się, że jej myśli biegną podobnym torem.

- Proszę powiedzieć pani Gallier, że nie przyszliśmy w sprawie datku. Sprawa jest oficjalna, w dodatku poważna.

W oczach kamerdynera pojawił się błysk.

- Chwileczkę.

Gdy odszedł, Bayle powiedziała:

- Mam wrażenie, że on tylko szuka sposobu, żeby spieprzyć jej dzień.

- Też to zauważyłaś?

- Owszem. Wierzysz w to, co widzisz? W porównaniu z tym kupiłam z drugiej ręki domek dla lalek.

Zaśmiał się cicho.

- Nie wątpię.

Pojawił się kamerdyner i dał znak, aby poszli za nim. Zaprowadził ich do pokoju wypełnionego pamiątkami zapustnych uroczystości. Nie były to tanie gadżety rzucone z platform w tłum, lecz okazy umieszczone w szklanych gablotach: korony i berła, maski zdobione klejnotami, kunsztowne zaproszenia i karnety taneczne.

Nowoorleańska elita traktowała ostatki bardzo poważnie. Uzyskanie tytułu rexa, króla karnawału, stanowiło ogromne osiągnięcie.

Młoda kobieta wybrana na jego towarzyszkę również dostępowwała wielkiego zaszczytu i nie miało znaczenia, że król najczęściej był bogatym staruchem, nadającym się bardziej na jej ojca. Rodzice szczęśliwej wybranki inwestowali w ten zaszczyt dziesiątki tysięcy dolarów. Wydawano przyjęcia, kupowano suknie, zapewniano sobie głosy. Nic z tego nie było tanie.

Charlotte Gallier była królową w 1968 roku, co zostało utrwalone na fotografii. Dowodziły tego również korona i berło.

- Detektywi Malone i Bayle, proszę pani - zaanonsował kamerdyner.

Gestem zaprosiła ich do pokoju, lecz nie podniosła głowy znad kartek, które wyglądały jak bileciki z podziękowaniami.

- Pani Gallier - zaczął Malone - przyszliśmy...

Wyciągnęła rękę, aby zamilkł.

- Chwileczkę, proszę.

Prawdziwa królowa, pomyślał Malone i postanowił dać jej te kilka chwil, a w tym czasie rozejrzeć

się po wnętrzu. Zwróciły jego uwagę fotografie Krewe of Rex* i królewskiego dworu, z których najstarsze miały przynajmniej sto lat. Podszedł do gablotek wystawowych na ścianie po lewej: były w nich specjalne zapustne monety wykonane techniką cloisonne i prawdziwe szklane koraliki.

** Krewe of Rex - organizacja założona w 1872 roku. Jeden z jej członków każdego roku był wybierany na króla karnawału podczas Mardi Gras, czyli ostatki (przyp. red.).*

- Co pan robi?
 - Słyszałem o tym - powiedział, wskazując gablotki i ich zawartość - ale nigdy nie widziałem na własne oczy.
 - Są dość rzadkie - przyznała pani Gallier. - W czym mogę pomóc, państwo posterunkowi?
 - Detektywi - poprawił ją Malone. - Obawiam się, że przynieśliśmy złą wiadomość.
- Czekała, ale nie wydawała się szczególnie zainteresowana. Malone zastanawiał się, jak kobieta zareaguje.
- Pani Gallier, dziś rano zamordowano pani męża. Bardzo mi przykro.
- Zamrugnęła powiekami trzy razy, wargi jej zadrżały.
- Ojej, to rzeczywiście zła wiadomość.
- Malone zerknął na Bayle. Była tak samo zdziwiona jak on.
- Zależy nam na znalezieniu mordercy. W tym celu musimy pani zadać kilka pytań.
 - Oczywiście. - Odchrząknęła. - Czy możecie mi powiedzieć, w jaki sposób... w jaki sposób to zrobiono?
 - Został zastrzelony. W windzie we French Quarter.
 - Rozumiem.
 - Czy wiedziała pani, że mąż utrzymuje drugie mieszkanie?

- Apartament przy Royal Street? Tak. Jest własnością firmy.

Malone wyjął notatnik z kieszeni na piersi.

- Kiedy pani ostatnio widziała męża?

- Wczoraj rano, gdy wyszedł do pracy. Wieczorem był zajęty.

- Pani Gallier, czy była pani świadoma tego, że mąż utrzymuje kochankę? - włączyła się Bayle.

- Naturalnie - odparła rzeczowo. - Nie mieliśmy przed sobą tajemnic.

- Nie martwiła się pani, że mąż ją zostawi i wystąpi o rozwód?

Spojrzała na Bayle z wyższością.

- Nigdy by mnie nie zostawił. Ja jego również nie.

- Gdzie pani była dziś rano?

- Tutaj. Jeszcze nie wyszłam z domu. Teraz będę musiała.

- Czy jest ktoś, kto mógłby to potwierdzić?

- Ktokolwiek ze służby.

- Czy możemy porozmawiać ze służbą?

- Oczywiście.

- Czy mąż miał wrogów? - spytała Bayle.

Kobieta popatrzyła na nią.

- Był bardzo bogaty i miał rozległe wpływy. Wrogów mu nie brakowało.

Odpowiedziała na to pytanie zupełnie inaczej niż Jazz, pomyślał Malone. Ciekawy był też jej brak skrępowania. Pieniądze to władza. Władza rodzi pogardę.

- Proszę pozwolić, że przeformułuję to pytanie, pani Gallier. Czy ktoś mógłby chcieć go zabić?

- Tak sądzę, pewnie nawet byli tacy, którzy robili to w wyobraźni. Ale żeby pociągnąć za spust? - Zabębniła palcami o blat biurka. - Postawiłabym pieniądze na tę małą dziwkę, z którą ożenił się

mój syn. Niedawno groziła Antonowi. Wtargnęła do klubu i zrobiła to przy świadkach. Był z nią Connor Scott. Wszyscy o tym mówią.

- Nazwała pani synową dziwką. Czy ona oszukiwała pani syna?
- Niczego o tym nie wiem.
- Czy istnieje przyczyna, dla której pani i jej mąż darzyli synową taką niechęcią?

Zbyła to pytanie machnięciem rąk.

- Syn popełnił mezalians. Ona niczego nie miała i była nikim. Witrażystka?
- Czy wierzy pani, że to ona zabiła pani syna? - spytała Bayle.
- Nie byłam tak bardzo przekonana jak Anton. Wydawali się szczęśliwi jako małżeństwo. Ale teraz, po tym... Raz jej się upiekło, więc zrobiła to ponownie. Czy nie tak postępują ci ludzie?

- Ci ludzie, proszę pani?
- Kryminaliści. Mordercy. Najpierw mój syn... - Głos zaczął jej się łamać tak, że ledwie mogła mówić. - A teraz mąż. Zostałam sama. Zupełnie sama.

Ani Malone, ani Bayle nie mieli więcej pytań do pani domu, więc za jej zgodą przesłuchali służbę. Dowiedzieli się, że mówiła prawdę - ostatnio wychodziła z domu poprzedniego wieczoru.

- Nie wydaje mi się, żeby ta kobieta miała serce - powiedziała Bayle, gdy wsiedli do taurusa.
- Albo to, albo w jej żyłach płynie woda z lodem.

Bayle włączyła samochód do ruchu.

- Wyobrażasz ją sobie w roli swojej matki?
- Moja matka jest Włoszką, i to ognistą. Ta lodowata powściągliwość... nie, za nic. - Roześmiał się. - Gdyby matka odkryła, że ojciec ma romans, chybaby go zabiła.
- Właśnie. - Bayle skierowała samochód na lewą stronę jezdni i zatrzymała się, by przepuścić tramwaj. - Ech, ci bogacze.

Czekał, żeby powiedziała coś więcej, ale tego nie zrobiła. Wziął do ręki telefon.
- Sprawdzę, gdzie jest Percy, i dam mu znać, że już jedziemy.

Rozdział 35

wtorek, 16 sierpnia godz. 15.10

Mira wyszła z firmy wcześniej, uświadomiwszy sobie, że będzie bezpieczniej dla wszystkich, jeśli wróci do domu. Cztery razy z rzędu pomyliła się przy łamaniu szkła i w dodatku rozcięła sobie palec. Nie mogła przestać myśleć o sugestiach doktor Jasper. Wracaly do niej raz po raz i odbierały jej możliwość skupienia się na czymkolwiek innym.

Czyżby rzeczywiście zamykała drzwi za przeszłością i Jeffem? Czy całe zdarzenie było tylko wytworem jej podświadomości? Szczekanie Noli, trzask drzwi i zapach balsamu po goleniu używanego przez Jeffa?

Przecież to wszystko było takie realne!

„Wybierasz terazniejszość, Miro. Wpuszczasz kogoś albo coś do swojego życia i chcesz żyć”.

Skręciła w swoją ulicę z zamętem w głowie. Przypomniała sobie zakończenie wizyty, ostrzegawcze słowa doktor Jasper. Zabrzmiały w jej uszach niczym groźba i wywołały adekwatną do tego reakcję: po plecach przeszły jej ciarki.

Dlaczego doktor Jasper miałaby jej grozić? Nie zrobiła tego. To jeszcze jeden objaw jej rozbudzonej wyobraźni.

Wyjechała zza rogu i jej oczom ukazał się dom pani Latrobe. Szczekanie Noli. Dlatego wstała z łóżka. Bała się, że suka obudzi tę sekutnicę. Zatrzymała samochód przed domem sąsiadki i wysiadła. Nie zwracając uwagi na oślepiający słoneczny blask i duchotę, podeszła do frontowych drzwi i zadzwoniła. Chwilę później pani Latrobe stanęła w progu. Ubrana w schludny kostium,

nadający sylwetce kształt klepsydry, i kapelusz wyglądała jakby zeszła ze zdjęcia w magazynie „Life” z lat pięćdziesiątych. Tyle że miała na nogach jasnoniebieskie kapcie.

- Dzień dobry Nazywam się Mira Gallier, jestem pani najbliższą sąsiadką.
- To, że mam swoje lata, nie oznacza, że miesza mi się w głowie. Wiem, kim pani jest.
- Chciałam panią przeprosić za to, że w nocy moja suka szczekała.
- Suka? - Kobieta zmarszczyła czoło. - Mam nadzieję, że trzyma ją pani przywiązaną.
- Oczywiście, pani Latrobe. Jeszcze raz przepraszam, jeśli szczekanie panią zbudziło.
- Nie, dzięki Bogu. - Zmrużyła oczy. - Przeszkadza mi jednak to ciągłe przychodzenie i wychodzenie ludzi o różnych porach dnia i nocy.

- Jeśli ma pani na myśli policję, to ktoś się do mnie włamał...
- I do tego mężczyźni! To się nie godzi. Pani biedny małżonek na pewno w grobie się przewraca.

Mira zaczerwieniła się ze złości. Miała na końcu języka ostrą ripostę, ale pomyślała o kapeluszu, rękawiczkach i kapciach tej kobiety i ugryzła się w język. Nie zyskałaby niczego, mówiąc, że to pani Latrobe powinna się wstydzić szpiegowania i wyciągania pochopnych wniosków. Nie przekonałaby też sąsiadki o swojej niewinności, nawet gdyby długo ją o niej zapewniała. Cofnęła się o krok.

- Cieszę się, że Nola pani nie zbudziła. Przepraszam za najście, pani Latrobe. Życzę miłego dnia. Odwróciła się i ruszyła do samochodu.

- Powinna pani postarać się o kaganiec! - zawołała za nią sąsiadka. Mira w milczeniu dotarła do auta i uruchomiła silnik. Wnętrze samochodu rozgrzało się jak piec. Przekręciła wyłącznik klimatyzacji do samego końca. Zimny podmuch uderzył ją w twarz.

Dlaczego pani Latrobe nie słyszała Noli? - zadała sobie w duchu pytanie Mira. Czy suka nie szczekała? A może sąsiadka zwyczajnie mocno spała i nie obudziło jej szczekanie? Czy wścibska

sąsiadka przespałaby taką jazgotliwą pobudkę? „Pobudka”. Wybrała słowo pasujące do teorii doktor Jasper, bo dla niej znaczyło ono tyle, że czas wziąć się za siebie.

Gdy parkowała na podjeździe, za jej autem stanął radiowóz. Wysiadł z niego policjant w mundurze i podszedł do taurusa.

- Czym mogę służyć? - spytała, opuściwszy szybę.
- Mira Gallier?
- Tak.
- Posterunkowy Gonzalez, policja nowoorleańska. - Pokazał jej identyfikator.
- Czym mogę służyć? - spytała ponownie Mira.
- Musi pani pojechać ze mną.
- Dokąd? - Zmarszczyła czoło. - I po co?
- Na przesłuchanie.
- Przesłuchanie? - powtórzyła. - Po co?
- Nie wiem, proszę pani.

Zawahała się.

- Powinnam wypuścić sukę na dwór. Siedzi w domu od rana.
- Przykro mi, ale dostałem rozkaz, by niezwłocznie zawieźć panią na komendę.

Mira zerknęła na dom, potem znowu na policjanta.

- Pojadę za panem samochodem.
- Polecono mi panią przywieźć.

Poczuła niemile ściskanie w dołku. Przesiadła się jednak i odetchnęła głęboko, aby się uspokoić. Oto kolejne nowe doświadczenie. Jazda na tylnym siedzeniu policyjnego wozu patrolowego. Dobrze, że nie skuto jej kajdankami.

Zanim dojechali na Perdido Street, gdzie mieściła się komenda policji, Mira była kłębkim nerwów. Eskortujący ją policjant zameldował przez radiotelefon o ich przyjeździe. Powitał ją detektyw, który wyglądem przypominał Spencera Malone'a.

- Pani Gallier? Detektyw Percy Malone.
- Rozmawiałam z innym detektywem Malone'em. Domyślam się, że to pański brat.

Uśmiechnął się.

- Ze Spencerem. To jeden z moich braci, bo mam ich czterech.
- Czterech. Ho, ho.
- To jeszcze nie wszystko. Większość z nas służy w policji.
- Dostrzegam podobieństwo rodzinne.
- Jestem od Spencera wyższy i bardziej przystojny.
- A on w czym jest lepszy od pana?
- Ma bardzo mocny prawy sierpowy.

Trochę się odprężyła i nawet zdołała przywołać na twarz namiastkę uśmiechu.

- Zabawne.
- Mnie też się tak zdaje. - Gestem zaprosił ją do wnętrza. - Proszę tędy, załatwimy to najszybciej jak to możliwe.

- Policjant nie pozwolił mi pojechać moim samochodem.
- Standardowa procedura. Proszę się nie martwić, odwieziemy panią do domu.

Przystanął i otworzył drzwi oznaczone dwójką.

- Nie ma to jak w domu - stwierdził Percy Malone.
- Po co mnie tu ściągnięto, detektywie Malone?
- Na przesłuchanie.

- W sprawie?

- Zaraz wszystko przygotuję, tak żebyśmy mogli uciąć miłą pogawędkę.

Mira poczuła ucisk w skroniach. Miała wrażenie, że doświadczenie, które ją czeka, będzie nieprzyjemne.

- Proszę usiąść. - Detektyw przeszedł w kąt pokoju i włączył zainstalowaną tam kamerę. Zapaliło się zielone światełko.

- Pani jest mężatką, pani Gallier?

- Byłam. Mąż zginął podczas huraganu.

- Przykro mi.

- A pan jest żonaty?

- Wciąż szukam. Za to Spencer niedługo powie „tak”. Miała pani huczne wesele?

Przeszedł do przeciwległego kąta i włączył drugą kamerę. Znów zapaliło się zielone światełko.

Mira potarła skronie. Szykowało się coś bardzo złego.

- Nie, wyjechaliśmy do Las Vegas.

- Myślałbym o czymś podobnym. W przeciwnym razie jest dużo zamieszania. Musiałbym włożyć smoking i wygłosić toast.

Dotarło do niej, co robi detektyw Malone.

- Pan to nagrywa?

- Dla pani bezpieczeństwa i naszego też.

- Ale nie jestem aresztowana, prawda?

- Skąd to przypuszczenie?

Zerknęła na niego z ukosa.

- Zastanówmy się razem. Policjant zjawia się pod moimi drzwiami i nalega, żebym z nim

pojechała. Nawet nie pozwala mi wypuścić psa na dwór. A teraz siedzę w ciasnym pokoiku bez okien pod czujnym okiem dwóch kamer.

- Czy ten policjant skuł panią albo poinformował o przysługujących jej prawach?
- Nie.
- Czyli nie jest pani aresztowana.

Detektyw przesłał Mirze zabójczy uśmiech, ale nie pozwoliła odwrócić swojej uwagi.

- Po co mnie tu ściągnięto?
- Na przesłuchanie. W sprawie morderstwa.
- Morderstwa - powtórzyła. - Kaznodziei?
- Nie, pani teścia, Antona Galliera.

Spojrzała na niego osłupiała. Gdy wreszcie odzyskała głos, powiedziała:

- Pan musi być w błędzie. Widziałam go nie dalej jak w sobotę.
- Został zastrzelony dzisiaj rano.
- Mój Boże.
- Przykro mi z powodu pani straty.

Spojrzała detektywowi w oczy.

- Nie lubiliśmy się z teściem, ale sądzę, że pan już to wie, detektywie.
- Gdzie pani była dzisiaj rano?

Roztarła ramiona, bo nagle przeniknął ją chłód.

- O której godzinie?
- Między szóstą a dziesiątą.
- Wstałam około szóstej, byłam z suką na długim spacerze, zjadłam śniadanie, ubrałam się i wykonałam błagalny telefon do mojej terapeutki, żeby zechciała mnie dzisiaj przyjąć.

- Zgodziła się?
- Tak. Zrezygnowała z lunchu.
- Jak ona się nazywa?
- Doktor Adele Jasper.
- Po co chciała pani się z nią spotkać, pani Gallier?
- Nie pańska sprawa.
- „Wyrzucił siedem złych duchów”.
- Słucham?

Powtórzył zdanie i zapytał:

- Czy to coś pani mówi?

Wyraz jej twarzy nieznacznie się zmienił.

- To z Biblii. Dotyczy Chrystusa, który wypędza siedem złych duchów z opętanej Marii Magdaleny.

- Jestem pod wrażeniem. Wiedziała to pani. - Uśmiechnął się. - Musiała pani spędzić немало czasu w szkółce niedzielnej.

- Tak się składa, że przez cały ubiegły rok zajmowałam się restauracją witraży w kościele katolickim Matki Bożej Nieustających Strapień. Najważniejszy w tym cyklu jest witraż przedstawiający Marię Magdalenę u stóp krzyża. W mojej pracy ogromne znaczenie ma zebranie danych.

- Nie bardzo rozumiem.

- Witraże są w większości dziełem anonimowych rzemieślników, a nie znanych z imienia i nazwiska artystów. Podejmując pracę, staram się więc dotrzeć do wszelkich możliwych informacji dotyczących danego kościoła, pochodzenia jego witraży, zdobyć zdjęcia tych witraży, jeśli istnieją.

- Czy przydaje się również znajomość Biblii?
- Tak i nie. W zasadzie to ona mnie zainteresowała.
- Ona? Ma pani na myśli Marię Magdalenę?

Mira skinęła głową i mówiła dalej.

- Chciałam dowiedzieć się jak najwięcej, więc przeczytałam na jej temat wszystko, co mogłam. - Przekrzywiła głowę. - Nigdy nie zafascynowała pana postać historyczna?

- Nie aż tak, chyba że zaliczymy mi Michaela Jordana - zażartował Percy Malone. - Co pani wie o złych duchach?

- Tylko tyle, że złe duchy popychały Marię Magdalenę do grzechu. Czemu tak to pana interesuje, detektywie?

Malone nie odpowiedział na pytanie i ciągnął przesłuchanie:

- O ile wiem, niedawno miała pani poważny zatarg z Antonem Gallierem.

Mira ze zgrozą przypomniała sobie incydent w klubie. Nie pamiętała, co dokładnie wykrzyczała teściowi w twarz, ale na pewno coś paskudnego. Coś, co mocno ją obciążało i czyniło z niej podejrzaną.

- Chciałabym porozmawiać z adwokatem.

- Oczywiście. - Uśmiechnął się nieznacznie. - Czy uważa pani, że to konieczne?

Sposób, w jaki to powiedział, obudził w niej poczucie winy. O to mu zresztą chodziło. Nie zamierzała pozwolić na to, by detektyw schwytał ją w pułapkę.

- Mam takie prawo. Dla mojego bezpieczeństwa i waszego też.

Rozdział 36

wtorek, 16 sierpnia godz. 15.50

- Nie jest głupia - zauważył Spencer, odrywając wzrok od monitora, by spojrzeć na Bayle. - Nie dała się wziąć pod włos.

- Zadzwoiła - oznajmił Percy, gdy wszedł do pokoju, w którym można było obserwować przesłuchanie, i zamknął za sobą drzwi. - Nie byłem w stanie jej przed tym powstrzymać.

Malone zwrócił się do brata i chciał coś powiedzieć, ale Bayle okazała się szybsza.

- Dziwi mnie, że czekała z tym tak długo.

- Wydawała się wstrząśnięta wiadomością o śmierci teścia - powiedział Percy.

- Kto jeszcze tu pasuje? - spytała Bayle.

- A kto nie pasuje? - Spencer przejrzał notatki. - Z większości zeznań wynika, że Anton Gallier był skończonym draniem. Powszechnie znenawidzony, budzący strach, ale szanowany.

- Szanowany?

- Za to, że był aż takim draniem. Dziwne, co? Nawet jego żona była z tego dumna. - Spencer nalał kawy do styropianowego kubka, upił łyk, skrzywił się i odstawił kubek na stół. - Co powiecie na Connora Scotta? Charlotte Gallier twierdzi, że towarzyszył Mirze w klubie i był świadkiem kłótni.

Percy przewrócił kilka stron w notatniku.

- Nie tylko świadkiem. Anton Gallier wciągnął go do pyskówki. Podobno Scott się wściekł, ale zapanował nad złością i wyszedł. Anton prowokował go, żeby powiedział Mirze prawdę na temat wstąpienia do wojska.

- Może Scott odczuł potrzebę uciszenia Galliera na stałe - podsunął Spencer. - To miałyby sens.

- Znajdźmy go i przywieźmy tutaj.

Umundurowany funkcjonariusz pojawił się w drzwiach.

- Przyjechał adwokat Gallier.

- Chcesz, żebym dalej prowadził przesłuchanie? - spytał brata Percy.

Spencer uznał, że tak będzie najlepiej, a Bayle przychyliła się do jego zdania. Dwadzieścia minut później kamery znowu pracowały. Spencer znał adwokata Miry. Lance Arnold, solidny prawnik specjalizujący się w sprawach kryminalnych, znany raczej z rozwagi niż błyskotliwości.

- Kiedy ostatni raz widziała pani Antona Galliera? - zaczął Percy.
- W sobotę około południa.
- Czy może pani opisać to spotkanie?
- Nieprzyjemne, i to bardzo.
- Dlaczego?
- Prawdę mówiąc, wszystkie spotkania z tym człowiekiem były nieprzyjemne.
- Dlaczego?
- Uważałam, że zabiłam jego syna. - Mira splotła dłonie. - Uznał więc za swoje posłannictwo zniszczyć mi życie.
- W jaki sposób?
- Och, w niejeden. Najpierw próbował oskarżyć mnie o morderstwo. Kiedy to się nie udało, wytoczył mi proces cywilny. Jego ostatnim osiągnięciem jest film dokumentalny o Katrinie i zamieszczone w nim pomówienia pod moim adresem. Użył swoich wpływów w lokalnym oddziale PBS.
- Anton Gallier był właścicielem tej stacji, prawda?
- Tak. - Potarła skroń. - O emisji uprzedziła mnie dziennikarka, która robiła materiał na mój temat. Podesłała mi płytkę z wywiadem udzielonym przez Galliera.
- Zapoznała się pani z jej zawartością?
- Tak.
- I była pani zła. Może nawet wściekła.

- Wkłada pan słowa w usta mojej klientki, detektywie - wkroczył do akcji Lance Arnold. - Lepiej, żeby pani Gallier opowiedziała o swojej reakcji.

- Jasne. - Percy uniósł dłonie. - Pani Gallier, jak pani się czuła po obejrzeniu filmu?

- Byłam załamana.

Emocje łatwo było odczytać z jej twarzy. Jest jak otwarta księga, pomyślał Spencer, patrząc w monitor.

- Zastanawiałam się, czy próby przeciwstawienia się temu człowiekowi mają sens - podjęła. - Był bogaty i wpływowy. Potem jednak... - Urwała.

- Co potem, pani Gallier?

Głęboko odetchnęła.

- Wpadłam w wielką złość.

- To zrozumiałe. - Percy skinął głową. - Od dawna panią gnębił.

- Od samego początku.

Adwokat ostrzegawczo chrząknął.

Percy udał, że tego nie słyszał, i naciskał dalej.

- Jestem przekonany, że niczego nie pragnęła pani bardziej niż raz na zawsze usunąć go ze swego życia.

- Detektywie - przerwał mu Arnold. - Nie sądzę...

Gallier położyła prawnikowi rękę na ramieniu i powiedziała:

- Owszem. Bardzo bym się cieszyła, gdybym nie miała z nim więcej nic wspólnego. Jednak nie na tyle, aby pragnąć jego śmierci.

- Naprawdę? - Percy zerknął do notatek. - Groziła mu pani.

- Właściwie nie. - Zerknęła na adwokata. - Nie miałam takiego poczucia. Oznajmiłam mu tylko,

że nie pozwolę, aby dalej mnie niszczył.

- Nie, pani Gallier. Groziła mu pani. Rozmawiałem z jego towarzyszami od stołu. Wszyscy to potwierdzili. - Percy znów zajrzał do notatek. - Ofiara powiedziała: „Co mi zrobisz, dziewczynko? Zabijesz mnie?”. A pani na to: „Może powinnam. Wątpię, czy ktokolwiek by za tobą tęsknił”.

- Byłam wściekła. Wyśmiał mnie i...

- To był krytyczny moment, detektywie - przerwał Mirze adwokat. - Ludzie często mówią wtedy takie rzeczy. Czy ma pan jeszcze konkretne pytania do mojej klientki?

- Niech mi pani opowie o swojej znajomości z Connorern Scottem.

- Z Connorem? - Wydała się zaskoczona zmianą tematu. - Jesteśmy starymi przyjaciółmi.

- Właśnie ponownie pojawił się w pani życiu, prawda?

- Tak.

Spencer zwrócił uwagę, że pani Gallier zacisnęła pięści.

- Wcześniej służył w wojsku.

- Piechota morska?

Skinęła głową.

- O ile wiem, Scott towarzyszył pani w Crescent City Club?

- Nie. Przyjechał tam za mną.

- Przyjechał za panią? To mi się wydaje dość dziwne.

- Nie ma w tym nic dziwnego. Martwił się o mnie. Wie, jaki potrafi być Anton. Potrafił być - poprawiła się.

- A jaki?

- Złośliwy.

- Złośliwy? - powtórzył Percy. - Jest mnóstwo złośliwych ludzi. Dość trudno nadążyć za pani

tokiem myślenia.

Mira poruszyła się na krześle.

- Anton Gallier był wyjątkowo złośliwy oraz okrutny. Connor wiedział, jak bardzo jestem zdenerwowana.

- A jak bardzo była pani zdenerwowana?

Znowu wkroczył adwokat.

- Myślę, że to już ustaliliśmy Proszę dalej.

- Czy pan Scott obawiał się tego, co pani może zrobić? Czy dlatego przyjechał za panią?

- Detektywie! - ostro zareagował Arnold. - To również ustaliliśmy.

Spencer uśmiechnął się, Percy bowiem kontynuował zupełnie zrażony.

- Rozumiem, że Connor i pan Gallier również się pokłócili.

- Anton go prowokował.

- Czym?

Znowu poruszyła się na krześle. Zdaniem Spencera wyglądała na mocno zakłopotaną.

- Nie wiem.

- Była tam pani, prawda?

- Tak. Anton wypił wcześniej sporo alkoholu i nie mówił zbyt jasno. Nie wiem, o co mu chodziło.

Spencer zerknął na Bayle. Siedziała, wpatrując się w monitor. Intrygowało go, czy i ona uważa, że Gallier kryje Scotta. Tylko dlaczego by to robiła?

Ponownie skupił się na przesłuchaniu.

- Według świadków pani teść sprowokował Scotta, domagając się, by wyjawiał on, dlaczego zaciągnął się do wojska - powiedział Percy. - Czy tak?

- Tak myślę - odrzekła.

- „Tak, powiedział” czy „Nie, nie powiedział”?
- Powiedział to nawet dwa razy.
- A czy pan Scott wyjawiał pani, dlaczego wstąpił do piechoty morskiej?
- W tamtej chwili?
- W tamtej albo w innej.

Zawahała się.

- Powiedział, że to sprawa osobista.
- A czy wyjaśnił, co to za sprawa?

Znów się zawahała i Spencer już znał odpowiedź.

- Tak czy nie?
- Nie.

- Co pan Scott przed panią ukrywa?

- Nic. To nie jest tak.

- Naprawdę? Dwoje starych przyjaciół takich jak wy i pani nie wie, dlaczego Scott spakował rzeczy i wstąpił do armii?

- Niektóre sprawy są bardzo osobiste, detektywie. Ja to rozumiem. Istnieje różnica między ukrywaniem czegoś a niechęcią do podzielenia się tym z innymi.

- Czyżby?

- Tak! - krzyknęła i zerwała się na równe nogi. - Pan dobrze o tym wie! Niech pan przestanie bawić się ze mną w kotka i myszkę.

- Może to nie ja się z panią bawię.

Lance Arnold chwycił swoją klientkę za ramię i posadził na krześle. Spencer dostrzegł, że pani Gallier się cała trzęsie.

- Myślę, że wystarczy - powiedział adwokat.
- Jeszcze tylko jedno, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu. Pan Gallier oskarżył pani przyjaciela Connora o to, że cieszy się ze śmierci jego syna Jeffa. Czy pani to sobie przypomina?
Skinęła głową.
- To bzdura. Jeff i Connor byli najlepszymi przyjaciółmi.
- Dlaczego, pani zdaniem, Anton Gallier to powiedział?
- Dlatego że był pijany. Zgorzkniały, wściekły i jadowity jak wąż. I dlatego że nie potrafił rozstać się z synem. Nie umiał pogodzić się z tym, że Jeff odszedł, i żyć dalej.
- A pani? Czy pani umie żyć dalej?

Rozdział 37

wtorek, 16 sierpnia godz. 19.10

Po zakończeniu przesłuchania Mira musiała zmobilizować całą swoją energię, by wstać i zmusić nogi do chodzenia. Czuła się wyczerpana i zdruzgotana. Lance Arnold zdawał się wyczuwać, jak blisko jego klientce do załamania, i trzymał ją pod łokieć. Był jej niezłomnym obrońcą zarówno w okresie, gdy Anton Gallier próbował doprowadzić do postawienia jej zarzutów w procesie karnym, jak i w czasie procesu cywilnego. Mira miała do niego pełne zaufanie.

- Jak poważne są moje obecne kłopoty? - spytała, gdy zjeżdżali windą.
 - Miała pani niezbity motyw. To oczywiste, że panią przesłuchują.
- Niezbity motyw. Kłótnia przy świadkach i groźba. Mira była zaskoczona, że nie została aresztowana.
- Nie chce mi się wierzyć, że coś takiego się dzieje. To koszmar.
- Poklepał ją po ramieniu.

- Anton Gallier miał mnóstwo wrogów. Policja znajdzie tego, kto to zrobił.

A jeśli nie? - zadała sobie w duchu pytanie Mira. Czy pozostanie w kręgu podejrzanych? Czy kiedykolwiek uda jej się odzyskać dobrą opinię?

Winda stanęła na parterze. Drzwi się rozsunęły i wyszli na zewnątrz.

- Powinniśmy porozmawiać - stwierdził Arnold.

- Zgadzam się. Tylko nie teraz, dobrze?

- Może być jutro rano. Nie sądzę, żeby groziło pani aresztowanie. Proszę dobrze wypocząć wieczorem.

- Dziękuję panu, Lance. Aż wstyd mi pytać, ale czy nie podrzuciłby mnie pan do domu?

- Miro!

Odwróciła się. Przez hol zmierzał w jej stronę Chris. Podbiegła do niego i rzuciła mu się na szyję. Przywarła do niego, a on przez chwilę trzymał ją w objęciach.

- Dziękuję - powiedziała. - Dziękuję, że przyszedłeś.

- Deni prowadzi wieczorem kurs. Chcieliśmy zyskać pewność, że u ciebie wszystko w porządku.

- Co to znaczy „w porządku”? - Zobaczyła ślady popłochu w jego oczach, więc szybko dodała: - Jestem cała i zdrowa.

Podszedł do nich Lance Arnold. Mira przedstawiła sobie mężczyznę. Gdy wymienili uścisk dłoni, adwokat zwrócił się do niej:

- Czy nadal potrzebuje pani kierowcy?

Spojrzała z nadzieją na Chrisa. Doceniała wiedzę Lance'a, ale on był jej adwokatem, a nie przyjacielem. W tym trudnym momencie potrzebowała obecności przyjaciela.

- Może ja cię podwiozę - zaofiarował się Chris. - Naprawdę chętnie to zrobię.

Kilka minut później Mira i Chris zajęli miejsca w poobijanej furgonetce marki Ford. Mira

wyjaśniła, jak dojechać do celu, i rozsiadła się wygodnie. Samochód ruszył nie bez przeszkód.

- Skąd wiedziałeś, że tam jestem? - spytała Mira.
- Oglądaliśmy telewizję, gdy podano wiadomość o zamordowaniu twojego teścia. Deni nie mogła się do ciebie dodzwonić ani na komórkę, ani na telefon stacjonarny zaczęliśmy więc wyobrażać sobie najgorsze. Na wszelki wypadek Deni zadzwoniła do kancelarii twojego adwokata. Kiedy sekretarka powiedziała jej, że trzeba go szukać w komendzie policji, nabraliśmy pewności.
- Moi zbawcy. Dziękuję, że po mnie przyjechałeś.
- To zupełnie naturalne - odrzekł, patrząc jej głęboko w oczy. Spojrzenie zdawało się komunikować coś więcej niż przyjaźń. Mira szybko odwróciła głowę.
- Deni ma szczęście.
- Nie zawsze tak sądzi.
- Naprawdę? Nie zauważyłam tego. Sprawia wrażenie szczęśliwej.
- Chodzi o moją wiarę. Widzisz ten pierścień? To świadectwo złożonego ślubu. Przysiągłem poczekać, aż będziemy małżonkami.

Mira omal nie zapytała „z czym”, ale w porę uświadomiła sobie, że chodzi o pożycie seksualne. Publicznie zaczęto mówić o pierścieniach czystości, gdy włożyli je muzycy z zespołu Jonas Brothers.

- Zaskoczyłem cię. - Nie zaprzeczyła, a Chris mówił dalej: - Dla niej to znaczy, że jej nie chcę, co nie jest prawdą. Dawno temu złożyłem ślub i nie zamierzam się teraz wycofać.
- Podziwiam twoją wierność przekonaniom. Niewielu ludzi jest do tego zdolnych.

Nie odpowiedział, a Mira zamknęła oczy. Pomruki silnika furgonetki działały na nią uspokajająco. Chris też tak na nią wpływał. Zrównoważony, skupiony, wierny zasadom mimo młodego wieku. Otworzyła oczy i spytała go o to, dlaczego trzyma się przyjętych przez siebie reguł.

- Rzeczywiście chcesz wiedzieć?
 - Inaczej nie pytałabym.
 - To nie jest budująca historia. Dorastając, widziałem dużo zła. Zadawanie śmierci było sposobem na życie. Wcześniej się tego nauczyłem.
 - Gdzie to było, Chris?
 - Na obrzeżach Gert Town, w Mid-City. Większość młodych ludzi, z którymi się kumplowałem, wstąpiła do gangów i ćpała. Żaden z nich już nie żyje.
 - Przykro mi.
 - Ja też mogłem iść ich drogą.
 - Dlaczego tego nie zrobiłeś?
 - Dorastałem bez ojca. Polegała na mnie moja rodzina.
 - Na pewno dużo młodocianych gangsterów znalazło się w podobnej sytuacji. Dlaczego tak się od nich różnisz?
 - Nie wiem. Miałem szczęście? Może dostałem łaski? To jeden z powodów, dla których złożyłem ślub czystości.
- Mira uznała, że ma to sens. Uratował życie dzięki temu, że różnił się od otaczających go ludzi.
- Uśmiechnął się do niej.
- Jak wyglądało twoje dzieciństwo?
 - Mieszkałyśmy we trzy, mama siostra i ja. Ciężko pracowałyśmy, wspomagałyśmy się nawzajem. Nie zgodziłabym się niczego w tym zmienić.
 - Mam podobne odczucia - powiedział, sprawiając wrażenie zadowolonego. - Proste, ale piękne. Katrina uczuliła mnie na coś więcej. Uświadomiłem sobie, że czas nie stoi w miejscu, i pomogła zrozumieć, jak cenny i ważny jest każdy dzień.

Łzy napłynęły jej do oczu. Chris natychmiast przybrał skruszoną minę.

- Miro, przepraszam. Nie chciałem...

- Nic się nie stało. Katrina uprzytomniła mi to samo: kruchość życia i wagę przemijania.

Zamilkli, pogrążeni we własnych myślach. W pewnym momencie Mira powiedziała:

- Frenchmen jest tuż-tuż. Skręć w lewo.

Chris to zrobił, a ona dodała:

- Mój dom jest zaraz po prawej stronie.

Gdy zatrzymał furgonetkę, Mira spostrzegła, że nad wejściem do domu pani Latrobe zapaliło się światło.

- Moja sąsiadka jest odrobinę denerwująca. Czasem odnoszę wrażenie, że wołałaby, abym zginęła razem z Jeffem. - Pożałowała tych słów natychmiast, gdy tylko padły. - To zabrzmiało okropnie. Ona jest stara i samotna, nie powinnam jej się czepiać.

Chris wyskoczył na chodnik.

- Czy to ona?

W oknie bez wątpienia tkwiła Louise Latrobe. Mira pomachała jej, ale sąsiadka nie odwzajemniła pozdrowienia. Pamiętaj, że nie musi być tak, jak ci się zdaje, pomyślała Mira. Może ona po prostu słabo widzi.

- Odprowadzę cię do drzwi.

- To nie jest konieczne.

- Jest. Dżentelmen musi mieć pewność, że dama bezpiecznie weszła do domu.

Uśmiechnęła się. Jeszcze jeden anachronizm. To był naprawdę zadziwiający młody człowiek. Gdy stanęli przed frontowymi drzwiami, usłyszała Nolę. Sapała i skamlała, stęskniona za swoją panią. Niewątpliwie chciała też załatwić swoje potrzeby.

Mira otworzyła drzwi i zwróciła się do Chrisa.

- Bardzo ci dziękuję. Nawet nie wiesz, jak dla mnie było ważne to, że przyszedłeś do komendy - Wspięła się na palce i cmoknęła go w policzek. - Podziękuj też Deni. Powiedz jej, że ją kocham i że będę w pracowni jutro rano najwcześniej, jak mi się uda.

- Jasne. Miro?

Spojrzała na niego pytająco. Wyglądał, jakby nie wiedział, co chciał powiedzieć. Po chwili dorzucił:

- Spij dobrze.

Rozdział 38

wtorek, 16 sierpnia godz. 19.40

Spencer Malone siedział naprzeciwko Connora Scotta, który sprawiał wrażenie jednocześnie czujnego i rozluźnionego, co było nie lada wyczynem. Detektyw uznał to za efekt wojskowego szkolenia.

- Zapewne zastanawia się pan, po co wezwaliśmy pana na przesłuchanie - zagaił.

- Właściwie nie. - Jego wzrok wędrował między Malone'em a Karin Bayle. - Zamordowano Antona Galliera, z którym trzy dni temu odbyłem nieprzyjemną rozmowę. Wydaje się racjonalne, że chcecie ze mną porozmawiać.

- Cieszę się, że myślimy podobnie. Jak dobrze pan znał Antona Galliera? - spytał Spencer.

- Dość dobrze.

- To znaczy?

- Byłem najlepszym przyjacielem jego syna, Jeffa, z którym chodziłem do szkoły, a potem studiowałem na uniwersytecie. Spędziłem dużo czasu w domu Jeffa, podobnie jak on w moim.

- Jaki, pana zdaniem, był Anton Gallier?
- Bystry Biznesmen z dużym doświadczeniem. Zwierzę polityczne największego kalibru.
- Czyli?
- Wiedział, jak być skutecznym, żeby osiągnąć cel.
- To znaczy, że pan go lubił?
- Nie, do diabła! Był bubkiem. Jeff też tak uważał. Nienawidził ojca.
- To mocne określenie.
- Prawdziwe.

Malone pozwolił spokojnie płynąć sekundom, czekając, aż Scott odwróci wzrok albo poruszy się na krześle. Nie doczekał się.

- Gdzie pan był dziś rano między szóstą a dziesiątą?
- Biegałem.

Malone uniósł brwi.

- Przez cały czas?
- Nie. Od około wpół do siódmej do ósmej.
- Gdzie pan biegał?
- Trasą linii tramwajowej St Charles, z mojego domu do Carrollton i z powrotem.
- Ktoś pana widział?
- Bez wątplenia tak, detektywie.

Malone starał się nie okazać rozczarowania.

- Ktoś znajomy?
- Nikogo nie rozpoznałem.
- Co robił pan od ósmej do dziesiątej?

- Wróciłem do domu. Wziąłem prysznic. Zjadłem śniadanie. Odpisałem na maile.
- Czy miał pan z kimś styczność?
- Ze służbą domową.

Malone zapisał coś w notesie, po czym spojrzał na Scotta.

- Trzy dni przed zamordowaniem Galliera doszło między wami do ostrej wymiany zdań w Crescent City Club?

- Sądzę, że może pan to tak nazwać.
- Jak pan by to nazwał?

Scott wzruszył ramionami.

- Niefortunnym zbiegiem okoliczności. Zdarza się.
- Czy kiedy zdarza się taki niefortunny zbieg okoliczności, ktoś kończy jako nieboszczyk?
- Jedno nie ma nic wspólnego z drugim. To oczywiste.
- Może nie takie oczywiste, panie Scott. - Malone zajrzał do notatek bardziej dla demonstracji niż z konieczności odświeżenia pamięci. - Proszę mi powiedzieć, po co przyszedł pan tego dnia do Crescent City Club.

Zauważył, że rozmówca nieco się usztywnił.

- Wesprzeć Mirę.
- Dlaczego uważał pan, że potrzeba jej wsparcia?
- Czemu jej pan o to nie zapytał?
- Już to zrobiliśmy. Teraz chcemy usłyszeć pańską wersję.
- Byłem u niej w pracowni, kiedy dowiedziała się, że Anton dopuścił się manipulacji w filmie dokumentalnym o huraganie tak, by postawić ją w niekorzystnym świetle. Mira postanowiła się z nim rozmówić.

- Była zła.
 - Wini pan ją o to?
 - To znaczy „tak”?
 - Tak, była zła. Powiedziała, że nie pozwoli mu się pokonać.
 - Czy pan potraktował to jako groźbę przeciwko panu Gallierowi?
 - Zdecydowanie nie. - Connor Scott pokręcił głową, jakby chciał dodać tym słowom znaczenia. - Nie chciałem, żeby stanęła z nim do konfrontacji sama.
 - Ale przyjechaliście osobno?
 - Odrzuciła moją propozycję pomocy.
 - Pan mimo wszystko za nią pojechał. Dlaczego?
 - Uważałem, że jestem jej potrzebny.
 - Łączą pana z panią Gallier szczególne stosunki, prawda?
 - Jesteśmy starymi przyjaciółmi.
 - I to wszystko?
- Malone spostrzegł, że pierwszy raz Scott uciekł spojrzeniem.
- Tak.
 - Co się stało, kiedy pan przyjechał?
 - Anton jej groził. Kazałem mu przestać.
 - Groził? Zapowiadał uszkodzenie ciała?
- Scott uśmiechnął się posepnie.
- To nie było w stylu Antona. Jego atak był bardziej zdradziecki.
 - Jak by pan to nazwał?
 - Torturą emocjonalną i psychiczną. On był w tym bardzo dobry.

- Potem Anton Gallier skierował atak przeciwko panu, czy tak?
- Był pijany.
- Nie o to pytałem. Czy zaatakował pana?
- Tak.

Malone przewrócił kilka kartek w notesie.

- Według świadków Gallier oskarżył pana o to, że „cieszy się” pan ze śmierci Jeffa. Co miał na myśli?

- Nie wiem.
- Bzdura. Wie pan.
- Niech pan to udowodni.
- Czy to prawda?
- Co?
- Czy cieszy się pan ze śmierci przyjaciela?
- Oczywiście, że nie.
- Myślę, że pan kłamie.
- Może pan myśleć, co panu się podoba.

Malone otworzył teczkę. Wyjął kartkę i przesunął ją po blacie do Scotta.

- Czego to dotyczy?
- „Wyrzucił siedem złych duchów”? Nie wiem. Zwrócił mu kartkę.
- Czy to z Biblii?
- Powiedziałem, że nie wiem.
- A to? - Przesunął po blacie dwie kolejne kartki, jednocześnie czytając na głos ich treść: - „I powtórnie przyjdzie w chwale sądzić żywych i umarłych, a królestwu Jego nie będzie końca” i

„Dzień Sondu”?

Scott uniósł brew.

- Czego to dotyczy? To dość oczywiste.
- Niech pan mnie oświeci.
- Odnosi się to do judeochrześcijańskiej wiary w niebo, piekło i Boga, który decyduje, kto dokąd idzie. - Zerknął na wydrukowane słowa. - Aha, do pańskiej wiadomości, zrobił pan błąd ortograficzny w sądzie.

- Słucham?

- Powinno być napisane przez „ą”. - Scott postukał w kartkę.

Spencer spojrział na to miejsce i udał zaskoczenie.

- Rzeczywiście. Dziękuję za zwrócenie mi uwagi. Czego Gallier domagał się od pana? Co miał pan powiedzieć jego synowej?

- Nie mam pojęcia.

- Dlaczego wstąpił pan do piechoty morskiej?

- Miałem swoje powody.

- Chciałbym wiedzieć jakie.

- To nie pańska sprawa i nie ma nic wspólnego ze śmiercią Antona Galliera.

- Nie jestem tego taki pewien. - Malone nieznacznie pochylił się ku rozmówcy. - Jest pan bardzo tajemniczy.

- Każdy ma swoje sekrety.

- Ale nie każdy zabija, żeby zachować coś w tajemnicy.

- Niektórzy to robią.

- Właśnie. Co pan by zrobił, aby zachować swoje sekrety?

Connor wytrzymał spojrzenie Malone'a.

- Nie zabiłem Antona Galliera, jeśli to pan sugeruje. Czy na tym koniec, detektywie? Czy raczej powinienem skontaktować się z adwokatem?

Malone wstał.

- Dziękuję, że poświęcił mi pan swój czas, panie Scott. - Odprowadził go do drzwi i otworzył je. - Posterunkowy Armstrong pokaże panu drogę do wyjścia.

Chwilę później Bayle stanęła przy Spencerze.

- A to zimny typ.

Malone przyznał jej rację.

- I umie czarować - dodał.

- Co nic nie znaczy facet jest bystry. Mógłby celowo posłużyć się błędem ortograficznym, żeby zabić nas z tropu.

- Istotnie, ale nie wydawał się aż tak zainteresowany. Gdyby wiadomości pochodziły od niego, wykazałby odrobinę więcej zainteresowania. Nawet może odrobinę dumy, a on ledwo na nie spojrział.

Bayle przyznała mu rację.

- Tak naprawdę ożył jeden raz, kiedy spytałeś go o Mirę Gallier.

- Co, twoim zdaniem, on teraz robi?

- Pobiegnie prosto do swojej dobrej przyjaciółki...

- ...Miry Gallier.

Rozdział 39

wtorek, 16 sierpnia godz. 22

Mira nerwowo krążyła po domu, nie będąc w stanie usiedzieć. Ojciec Jeffa został zamordowany. Pogardzała nim. Wcześniej wiele razy w skrytości ducha życzyła mu, żeby znikł. Aby poraził go piorun, potrącił autobus albo powalił zabójczy atak serca. To tylko świadczyło o tym, ile było w niej złości.

Teraz było jej przykro. Jak mogła się smucić po śmierci człowieka, który potraktował ją tak okrutnie? Który usiłował zniszczyć jej życie i dobrą opinię? - zadała sobie w duchu pytania i szybko znalazła odpowiedź: ten człowiek był ojcem Jeffa. Nie żałowała Antona Galliera, a jedynie straty jeszcze jednej części swojej przeszłości z Jeffem.

Rozległ się dzwonek, więc pobiegła do drzwi. Nola wiernie jej towarzyszyła. Mira zerknęła przez wąskie okno i ujrzała Connora. Otworzyła na oścież drzwi i rzuciła mu się w ramiona.

- Słyszałeś? Anton nie żyje! Został zmordowany dziś rano!

Mocno ją objął.

- Słyszałem.

Odchyliła głowę i spojrzała mu w twarz.

- Oni uważają, że mogłam to uczynić. Zawieźli mnie na komendę i przesłuchiwali. Byłam tam wiele godzin.

- Może wejdziemy do środka?

Mira uświadomiła sobie, że pani Latrobe prawdopodobnie jest na posterunku. Zamknęła drzwi na zamek, a gdy ponownie odwróciła się do Connora, ujrzała na jego twarzy dziwny grymas.

- Co się stało?

- Mnie też przesłuchiwali. I też mnie podejrzewają.

- To bez sensu!

- Niezupełnie. Nie z ich perspektywy. Mieliśmy z nim publiczny zatarg. Źle to wygląda.

- Wiem. Chciałabym móc sprawić, żeby to się nie wydarzyło.
- Miro?
- Tak?
- Muszę ci coś wyjawić.

Nagle zapragnęła przycisnąć rękę do uszu niczym małe dziecko. To co miała usłyszeć, wszystko zmieni. Nie wiedziała, skąd wzięła się ta pewność.

- Dobrze - powiedziała cicho. - Chyba jednak powinniśmy usiąść.
- Myślę, że to dobry pomysł. Tylko nie w kuchni.

Skinęła głową i wprowadziła go do salonu. Usiadła na kanapie, a on na krześle naprzeciwko niej. Spojrzał jej w oczy.

- Muszę powiedzieć ci, dlaczego zaciągnąłem się do wojska. Chcę, żebyś usłyszała to ode mnie.
- Jasne. Jestem gotowa.
- Wyjechałem z twojego powodu. Byłem w tobie zakochany.

Wlepiała w niego wzrok, serce biło jej mocno. Nie była pewna, czego się po nim spodziewała, ale nie tego.

- Byliśmy przyjaciółmi.
- Przeżywałem przy tobie mękę. On był moim najlepszym przyjacielem, a ja zakochałem się w jego żonie.

Connor wstał i podszedł do kominka.

- Zjadało mnie żywcem to, że byłem ciągle blisko ciebie, że pragnąłem cię dotykać, że musiałem podtrzymywać fikcję. Milion razy postarzałem sobie, że trzeba to zakończyć. Trzymać się na dystans, znaleźć sobie kogoś innego... Nie potrafiłem.

Odwrócił się i dostrzegł, że Mira jest wstrząśnięta.

- Przypomnij sobie. Jak mogłaś się tego nie domyślić?

Zaczęła szperać w pamięci. Najpierw wrócił do niej obraz ich trojga razem. Zaraz potem stanęła jej przed oczami scena, kiedy Connor wpatrywał się w nią z taką tęsknotą, że aż zrobiło jej się nieswojo.

Zbyła to jako epizod bez znaczenia. Teraz uświadomiła sobie, że Connor niekiedy celowo unikał dotykania jej. Odwracał głowę, kiedy całowała się z Jeffem. Czasem wydawał się zły, że ona i Jeff są w sobie tak bardzo zakochani. Przypomniła sobie też wieczór noworoczny, kiedy Connor ją pocałował i nie ograniczył się bynajmniej do przyjacielskiego muśnięcia jej ust.

Dlaczego wtedy się nad tym nie zastanawiała? Ponieważ nie chciała. Nie pragnęła niczego zmieniać. Czuła się szczęśliwa, a Connor cierpiał.

Popatrzyła na niego ze smutkiem.

- Przepraszam, nie wiedziałam.

- Nie chciałaś wiedzieć, a ja to uszanowałem.

Wstała i podeszła do niego.

- Mogłeś mi powiedzieć. Czasem wydobyć czegoś na jaw zmienia sytuację. Może zrozumiałbyś, że...

- Że cię nie kocham? - wpadł jej w słowo. - Jeff był moim najlepszym przyjacielem, a ja byłem szalenie zakochany w jego żonie. Co miałem zrobić? Postawić cię przed koniecznością wyboru?

Otworzyła usta, aby powiedzieć, że nie było mowy o wyborze, ale powstrzymał ją uniesieniem ręki.

- Wiem, co by się wtedy stało. Poza tym i tak nie zrobiłbym czegoś takiego Jeffowi.

- Nie musiałeś od razu wyjeżdżać. Mogliśmy to wspólnie rozwiązać.

Odwrócił się do niej plecami, sztywny ze złości.

- Jak? Podtrzymując to, co było?
- Nie. Wy dwaj moglibyście wspólnie spędzać czas. Tak samo jak wcześniej, zanim zesłam się z Jeffem.
- Nie rozumiesz, Miro. Ja wcale nie z nim chciałem spędzać czas, tylko z tobą.
Chciała go objąć, ale się nie odważyła. Skrzyżowała ramiona na piersi. Wciąż wydawało jej się, że byłoby to niestosowne.
- Ale żeby odejść bez słowa? Mniejsza o moje uczucia. Co z twoimi rodzicami? Jeff zatelefonował do nich. Nie wiedzieli, gdzie jesteś.
- Oczywiście, że wiedzieli.
- Skłamáli dla ciebie? Jeff był zrozpaczony, kiedy wyjechałeś. Obdzwoił wszystkich, z twoimi rodzicami włącznie. Nie raz, lecz wielokrotnie. Kiedy myślę o wszystkich tych telefonach, o tych sytuacjach...
- Jeff wiedział.
- Odniosła wrażenie, że się przesłyszała. Zrozumiała jednak, że tak nie było.
- To nieprawda.
- Powiedziałem mu w dniu wyjazdu.
- On nie ukryłby tego przede mną. Nie mieliśmy przed sobą tajemnic. - Zacisnęła palce na krzyżyku. - Nie okłamałby mnie.
- Wytłumaczyłem mu, dlaczego wyjeżdżam. Uważałem, że powinien znać powód mojej decyzji. Wydawało mi się to honorowe. Sam miał zdecydować, czy ci o tym powie.
- Poczuła, że cała drży.
- Dlaczego to robisz?
- Chciałaś usłyszeć prawdę.

- Prawdę, owszem - syknęła. - Jeff nie zataiłby przede mną takiej wiadomości. Nie udawałby że nie wie, dokąd i dlaczego opuściłeś Nowy Orlean.
- Jesteś tego pewna?
- Przestań!
- Może nie znałaś go tak dobrze, jak ci się zdawało?
- Wynoś się! - Mira rzuciła się do drzwi i szarpnięciem otworzyła je na oścież, trzęsąc się z wściekłości. - Zostaw mnie w spokoju!
- On nie był doskonały! - Connor chwycił Mirę za ramiona i zmusił, by na niego spojrzała. - Był tylko człowiekiem.
- Był twoim najlepszym przyjacielem! Dlaczego to robisz?
- Ponieważ wciąż cię kocham, do diabła! - Odsunął ją od siebie ze obolałą miną. - Ty jednak nadal jesteś w nim zakochana, a nawet kochasz go bardziej niż przedtem. Kanonizowałaś go na męża idealnego. Tymczasem wcale taki nie był. Nie o wszystkim ci mówił, miał swoje sekrety.
- Wciąż nie mogę uwierzyć, że to robisz. Próbujesz go zdyskredytować w moich oczach. Pozbawić mnie wszystkiego, co jeszcze mi po nim zostało.
- Nic podobnego. Za nic nie chcę cię zranić.
- Wynoś się.
- Chciałem, żebyś usłyszała prawdę ode mnie, a nie od policji albo kogoś innego.
- To dlatego tutaj jesteś. Powiedziałaś mi, bo wcześniej wyjawiałaś to policji.
- Nie. Wiem jednak, że będę musiał, i nie chciałem, abyś usłyszała to od nich.
- Właśnie to miał na myśli Anton - uświadomiła sobie - gdy zarzucił ci, że cieszyłeś się ze śmierci Jeffa. Uznałeś, że skoro jestem wolna, możesz spróbować.
- Wcale nie cieszę się z tego, że on nie żyje. I bardzo nie podoba mi się to, że kurczowo

trzymasz się wyidealizowanych wspomnień.

- Wynoś się, Connor. Nie chcę cię więcej widzieć. Nie kontaktuj się ze mną. Już nie jesteśmy przyjaciółmi.

Rozdział 40

wtorek, 16 sierpnia godz. 22.55

Sekundy mijały stawały się minutami. Mira wciąż jednak stała nieruchomo, a w głowie kołatały jej się zdania z rozmowy z Connorem. „Byłem w tobie zakochany... Wciąż cię kocham, do diabła!... Jeff wiedział... Powiedziałem mu w dniu, gdy wyjeżdżałem... Jeff też miał sekrety... Nie chcę cię więcej widzieć i nie kontaktuj się ze mną. Już nie jesteśmy przyjaciółmi”.

Przycisnęła dłoń do ust, by stłumić krzyk rozpacz. W gruncie rzeczy nie chciała stracić Connora. Nie wiedziała, w jaki sposób mogą pozostać przyjaciółmi, ale chciała tego spróbować.

Znow otworzyła drzwi. Podjazd był pusty, ulica ciemna. Connor dawno temu odjechał.

Oparła się o framugę, starając się nie rozpłakać. Mogła wybaczyć mu to, co powiedział o Jeffie. Jeśli on nie mógł przestać jej kochać, a ona nie mogła tej miłości odwzajemnić, to jak mieli utrzymywać znajomość w jakiegokolwiek postaci? Właśnie dlatego Connor wyjechał przed laty.

Z głębi domu dobiegło ją brzęczenie telefonu komórkowego. Connor, pomyślała. Dzwoni, żeby jeszcze raz o tym porozmawiać. Zacząć od nowa. Pobiegnę odebrać.

- Connor? - spytała. - Tak się cieszę...

- Cześć, dzieciaku. To ja. Trzymaj się, niedługo będę.

Głos podziałał na nią jak uderzenie pioruna. Zaparło jej dech. Zmąciły jej się myśli. To był głos Jeffa. Aparat wyslizgnął jej się z dłoni i z trzaskiem upadł na podłogę. Ostry dźwięk przebił się do jej świadomości, ze szlochom opadła na kolana, po omacku podniosła zgubę i znow przyłożyła

telefon do ucha.

- Jeff? Jeff, jestem tutaj!

Nic.

Spojrzała na wyświetlacz. Poczerniał.

Nieemożliwe, żeby aparat się rozbił. Co robić? Musiała przecież oddzwonić. Ręce trzęsły jej się tak bardzo, że dopiero przy trzeciej próbie zdołała odblokować telefon. Ożył, ale właśnie wtedy zadzwonił telefon stacjonarny. Zerwała się z podłogi i popędziła do kuchni. Przycisnęła słuchawkę do ucha.

- Jeff! - krzyknęła. - Nie rozłączaj się! Gdzie jesteś?

- Tu doktor Jasper. Czy wszystko z tobą w porządku?

To nie Jeff. Może już nigdy nie zadzwoni.

- Wszystko z tobą w porządku? - powtórzyła terapeutka, tym razem tonem, który zmuszał do odpowiedzi. - Porozmawiaj ze mną.

Zakręciło jej się w głowie. Oparła się o blat.

- Chyba zaraz zemdleję.

- Znajdź krzesło albo usiądź na podłodze. - Mira posłusznie osunęła się na podłogę. - Zrobiłaś to?

- Tak.

- Głęboko oddychaj - poleciła terapeutka. - Wdech, wydech. Jeśli nadal będziesz zamroczona, połóż się albo schowaj głowę między kolanami.

Zgodnie z sugestią terapeutki Mira położyła się na drewnianym parkiecie, ćwicząc głębokie oddechy. W głowie miała gonitwę myśli. Czy to zdarzyło się naprawdę? - zastanawiała się. Czy Jeff rzeczywiście do niej zadzwonił? Czy tylko to sobie wyobraziła?

- Miro, jesteś tam?
 - Przepraszam, co?
 - Mów do mnie. Co się dzieje? - Z głosu terapeutki przebijało zatroskanie.
 - Już dobrze - powiedziała Mira. - Po prostu... Czym mogę służyć, doktor Jasper?
 - Dotarła do mnie wiadomość o Antonie Gallierze.
 - Policja przesłuchiwała mnie w tej sprawie.
 - Przesłuchiwali cię? Dlaczego?
 - Z powodu naszej kłótni, do której doszło w sobotę w klubie. Także dlatego, że od czasu śmierci Jeffa pozostawałam z jego ojcem w specyficznych stosunkach. Zdaje się, że dla policji jestem osobą podejrzaną numer jeden.
 - Czy powiedzieli ci to?
 - Nie musieli. Wezwałam adwokata.
 - Ale nie przedstawili ci zarzutu?
 - Nie zabiłam Antona.
 - To oczywiste. Dlaczego sądziłaś, że to Jeff dzwoni?
 - Spałam - skłamała Mira. - Przysniło mi się, że Jeff próbuje się ze mną skontaktować. To było takie prawdziwe. - Urwała. - Czy mogę o coś spytać, doktor Jasper?
 - Oczywiście.
 - Skąd wiemy, że Jeff naprawdę nie żyje?
- Długie milczenie po drugiej stronie linii było wymowne. Gdy terapeutka ponownie się odezwała, jej ton był łagodny, lecz kontrolowany.
- Minęło prawie sześć lat.
 - Ale nie dysponujemy pewnym potwierdzeniem jego śmierci.

- Czy wciąż żywisz nadzieję, że on żyje?

- Nie miałam jej aż do...

Do dzisiejszego wieczoru. Do chwili, gdy usłyszałam jego głos. Nie była w stanie tego powiedzieć nawet doktor Jasper, z którą dzieliła wszystkie swoje tajemnice. Dlaczego? Z lęku, że wyda się lekarce niespełna rozumu? Czy z lęku, że nadzieja się ulotni?

- Jak bardzo szalone byłoby wierzyć w to, że on żyje?

- Ty mi to powiedz, Miro.

- Jego ciało nie zostało zidentyfikowane.

- To prawda. Jeśli on żyje, to gdzie się podziewał przez te wszystkie lata?

- Nie wiem. - Mira uściskała Nolę, która wydawała się zaniepokojona. - Może cierpi na amnezję?

- Już w chwili gdy to mówiła, wiedziała, że to mało realne. Mimo to podążyła tym tropem. - Czy są przypadki długotrwałej amnezji?

- Owszem, jest ostra amnezja wsteczna, ale wyjątkowo rzadko występuje. Zważywszy na medialny szum wokół Katriny, jestem pewna, że ktoś skontaktowałby się z władzami, gdyby pojawił się człowiek z obrażeniami, który nie pamięta własnego nazwiska.

Mira milczała, więc terapeutka rozwinęła myśl:

- Poza tym, jeśli teraz odzyskałby pamięć, to czemu nie miałby cię odwiedzić?

- A jeśli mnie odwiedzał?

- Czy tak było?

Mira wlepiła wzrok w zegar ścienny umieszczony na ścianie przy zlewie. Wskazówka minutowa właśnie skoczyła naprzód.

- Czy to źle, jeśli ma się nadzieję w sytuacji, gdy identyfikacja zwłok nie dała stuprocentowej pewności? - spytała, zamiast odpowiedzieć.

- Nie, jeśli nie przeszkadza ci to w normalnym życiu. I jeśli nie odkładasz z tego powodu nowego związku.

Nowy związek.

- Co jeszcze stało się dziś wieczorem, Miro?

Connor wyznał, że mnie kocha. Wyjawił mi, dlaczego wstąpił do piechoty morskiej. Powiedział też, że Jeff o tym wiedział i trzymał to przede mną w tajemnicy.

- Miro?

- Nie jestem gotowa, żeby o tym rozmawiać.

- Jeśli nie chcesz o tym rozmawiać, to nie będę mogła ci pomóc.

- Czy zmieniałam przeszłość? Idealizowałam małżeństwo? Zrobiłam z Jeffa świętego?

- To wszystko, jeśli występuje tylko w pewnym stopniu, jest normalne i zrozumiałe. Nadmiar zawsze szkodzi.

- Dlaczego? Co złego byłoby w wierze w absolutną doskonałość?

- To zależy od tego, o czym mówisz. Moja pierwsza myśl jest taka, że zły w takiej wierze jest fałsz. Mogę ci pomóc, ale powinnaś mi powiedzieć, co się wydarzyło.

- Przepraszam, ale muszę przez pewien czas zachować to dla siebie.

- Czy na pewno nie chcesz, abym do ciebie przyszła? Jeśli mnie potrzebujesz, to...

- Czuję się dobrze. Nie zamierzam uciekać się do niczego drastycznego, a więc również niczego brać.

- Wobec tego chcę zobaczyć cię u siebie jutro z samego rana. Przyjdę wcześniej.

- To nie jest konieczne.

- Nalegam. Miro, nie poradzisz sobie sama.

- Może mi się uda. Może powinnam spróbować.

- Zaufaj mi. - Do głosu terapeutki wkradła się panika. - Pracujemy razem od bardzo dawna. Zrobiłaś olbrzymie postępy. Obiecuj mi, że przyjdiesz jutro rano o ósmej.

- Obiecuję, że się postaram.

Mira przerwała połączenie, zanim terapeutka zdążyła się sprzeciwić. Odłożyła słuchawkę i wyjęła z kieszeni telefon komórkowy. Z mocno bijącym sercem wlepiła wzrok w wyświetlacz. Oto chwila prawdy. Jak daleko posunął się jej obłąd? Weszła do historii połączeń. Był nowy wpis: Nieznany numer. 23:03.

Rozdział 41

środa, 17 sierpnia godz. 0.10

- Deni! - krzyknęła Mira, waląc pięścią w drzwi. - To ja. Muszę z tobą porozmawiać!

Jej asystentka zajmowała połowę shotgun house* w Mid-City. W domu panowały ciemności, ale czerwony volkswagen garbus stał na podjeździe.

** Shotgun house albo carriage house (ang.) - typowy dla Nowego Orleanu, długi dom pozbawiony korytarzy, w którym wszystkie pomieszczenia są w amfiladzie (przyp. tłum.)*

- To bardzo pilne! - Znów załomotała do drzwi.

Zapaliło się światło na ganku u sąsiadów. Kiedyś Mira miała okazję spotkać właściciela drugiej połowy bliźniaka. Był rzeźnikiem w Winn-Dixie, miał dłonie wielkości bochenków chleba i bicepsy oraz klatkę piersiową, które świadczyły o jego bliskich kontaktach ze sterydami: Nie był to człowiek, którego warto obudzić o północy.

Światło zapaliło się również w mieszkaniu Deni. Trzasnęły drzwi i asystentka Miry wyjrzała na zewnątrz.

- Co się stało? Jest środek nocy.
- Wpuść mnie, proszę. Muszę z tobą porozmawiać. - Z przyległego domu dobiegł odgłos odciąganej zasuw - Szybko, zanim ten umięśniony rzeźnik położy na mnie swoje łapy. Drzwi otworzyły się szerzej i Deni wciągnęła ją do środka, po czym zamknęła drzwi.
- Jesteś blada - stwierdziła.
- I wykończona. Masz coś do picia? Jakiś alkohol?
- Białe wino albo piwo.
- Wino, dzięki.

Deni wskazała jej miejsce na kanapie.

- Siadaj, zaraz ci przyniosę.

Mira opadła na starą kanapę, świetnie nadającą się na ulubiony mebel. Z kuchni usłyszała odgłosy przyciszonej rozmowy. Deni nie była sama. Mira w ogóle nie wzięła pod uwagę takiej możliwości, kiedy postanowiła w środku nocy szukać pomocy u asystentki.

Deni weszła do pokoju, niosąc kieliszek wina. Mira wzięła go od niej ze skruszoną miną.

- Aż trudno mi uwierzyć, że wtargnęłam do twojego domu.
- Nie przejmuj się. Po to są przyjaciele.
- Głupio mi, zwłaszcza że jest Chris.
- Chrisa nie ma.
- Słyszałam przecież, że z kimś rozmawiasz.
- Z kotem. - Deni uśmiechnęła się. - Był ciekaw, dlaczego wstałam.

Jakby na sygnał Suit* wkroczył do pokoju. Deni nazwała tak kota, ponieważ szara i biała sierść układała się tak, jakby nosił szary flanelowy garnitur, a do tego białą koszulę, skarpety i rękawiczki.

**Suit (ang.) - garnitur (przyp. red.).*

Zwierzak miauknął i wskoczył na kolana Deni.

- Co się stało, Miro? Chris opowiedział mi wszystko, co wiedział, ale nie było tego wiele. Czy to naprawdę było takie straszne? O co cię pytali? Jak mogą całkiem bez sensu sądzić, że masz cokolwiek wspólnego z morderstwem Antona, nawet jeśli był draniem do kwadratu?

- Wydaje mi się, że Jeff żyje.

Deni otworzyła usta ze zdumienia.

- Czy powiedziałaś właśnie...

Mira skinęła głową.

- Tak.

- Nie mówisz poważnie.

- Jak najpoważniej. Dzwonił do mnie dziś wieczorem. - Odstawiła kieliszek na stolik i pochyliła się do asystentki. - Nie powiedziałam o tym nikomu więcej. Przypuszczałam, że nikt mi nie uwierzy. Proszę, uwierz mi.

- Spróbuję.

- Zadzwoił do mnie na telefon komórkowy, mówiąc, żebym się trzymała, że jest już niedaleko domu.

- Jak zareagowałaś?

- Wstrząśnięta, upuściłam telefon. Zaraz go podniosłam, ale przy upadku się wyłączył.

- Sprawdziłaś połączenia...

- W historii? Tak. Popatrz. - Mira wyjęła telefon i podała go przyjaciółce. - Rozmowa była o jedenastej trzy.

- Nieznany numer. To znaczy, że telefonowano z numeru, który nie figuruje w spisie. Dlaczego

miałby to robić Jeff?

- Może po prostu nie zastanawiał się nad tym.

Deni wydawała się zdezorientowana.

- Poczekaj... Dwa włamania, zapach balsamu po goleniu wyczuwalny po przebudzeniu. Myślisz, że to on?

- Sama nie bardzo wiem, co myślę, ale istnieje taka możliwość.

- Dlaczego by to robił? Gdyby żył i próbował nawiązać kontakt, to czemu nie wprost?

- Nie wiem. - Mira zasłoniła twarz dłońmi, zaraz jednak opuściła je na kolana. - To nie ma najmniejszego sensu. Miesza mi się w głowie.

Deni usiadła na kanapie obok niej. Ujęła ją za ręce.

- Masz prawo być przestraszona. Ktoś chce zrobić z ciebie wariatkę. - Zniżyła głos. - Ludzie umierają.

Mira spojrzała na przyjaciółkę, nie rozumiejąc, o co jej chodzi.

Tymczasem ona zaczęła wyliczać:

- Twój teść. Kaznodzieja. Ojciec Girod. Miałaś z nimi do czynienia. Nie wydaje ci się to niepokojące?

Mirę przebiegł zimny dreszcz. Musiała przyznać rację Deni.

- Nic dziwnego, że policja przesłuchiwała mnie, jakbym była podejrzana.

Asystentka milczała.

- A jeśli to Jeff?

- Poważnie? - Kiedy Mira skinęła głową, Deni orzekła: - Jeśli tak, to jest chorym draniem, który nie zasługuje na twoje oddanie.

- Mówisz jak Connor. Pokłóciliśmy się dziś wieczorem. Wyznał, że przed laty wyjechał, bo był we

mnie zakochany.

- Wiedziała! On nadal cię kocha, prawda?
- Tak twierdzi.

Deni zmarszczyła czoło.

- I dlatego się pokłóciliście?
- Nie. Oświadczył również, że Jeff mnie okłamywał. Że przez cały czas wiedział, dlaczego Connor opuścił Nowy Orlean i gdzie się udał.

- Ojej.

- Jak mógł powiedzieć coś takiego o Jeffie? Byli najlepszymi przyjaciółmi.

- A jeśli to prawda? Skąd wiesz, że nie?

- Znałam go. A ty?

Przez długą chwilę Deni wpatrywała się w Mirę, po czym odwróciła wzrok.

- A więc to nieprawda.

- Właśnie. Dlaczego Jeff miałby to przede mną ukrywać? Po co te sztuczki z telefonowaniem do rodziców Connora i opowiadaniem, czego się od nich dowiedział?

- Może nie wiesz wszystkiego.

Nie wie wszystkiego? Niedobrze jej się robiło od samej myśli o tym, czego mogłaby nie wiedzieć.

- A może Connor kłamie?

- Może. - Deni ziewnęła. - Słuchaj, jest późno. Zostań tutaj na noc. Porozmawiamy rano.

- Nie mogę. Nie wypuściłam Noli na dwór.

- Suka pewnie śpi. Możesz wstać z samego rana, pojechać do domu i ją wypuścić. - Deni przyjrzała się Mirze. - Boję się o ciebie.

- A jeśli Jeff spróbuje zadzwonić jeszcze raz?

- Masz komórkę przy sobie. I ja tu jestem.
- A jeśli on jest... tam? Jeśli jest w domu?
- Nie ma go, moja droga. Przykro mi, ale muszę powiedzieć to, co uważam. Zresztą, jeśli się mylę i jednak jest, to na pewno na ciebie poczeka. Ty czekałaś na niego sześć lat, on może poczekać sześć godzin.

Mirze oczy zaszyły łzami. Poczowała przytłaczające zmęczenie, przeszył ją dreszcz.

- Dobrze. Zostanę.
- Grzeczna dziewczynka. Zaraz przyniosę ci poduszkę i drugi koc.

Mira ocknęła się gwałtownie. Przekręciła się na bok, ale nie było to łatwe. Mrok był nieznajomy, podobnie jak cisza. Gdzie ona jest? U Deni, przypomniała sobie po chwili. Na wielkiej, miękkiej kanapie. Pamiętała nawet, jak kładła głowę na poduszce.

Nagle wszystko do niej wróciło. Morderstwo Antona i przesłuchanie na policji. Wyznanie Connora, że od lat ją kocha i że Jeff o wszystkim wiedział.

„Cześć, dzieciaku. To ja. Trzymaj się, niedługo będę”.

Kładąc się spać, wcisnęła telefon komórkowy pod poduszkę. Wyjęła go teraz i sprawdziła godzinę. Czwarta dwadzieścia. Nikt nie dzwonił. Starając się poruszać jak najciszej, zsunęła się z kanapy i ruszyła na poszukiwanie łazienki. Oświetlając sobie drogę telefonem komórkowym, szła przez mieszkanie. Znieruchomiała, gdy usłyszała swoje imię i przyciszoną rozmowę.

Zmarszczyła czoło. Co Deni kombinuje? I kto z nią jest? Wcześniej też zdawało jej się, że Deni z kimś rozmawia. Przypomniała sobie, że przyjaciółka zwała to na kota. Podobno mówiła do Suita.

Dlaczego Deni miałyby ją okłamywać? Coś takiego w ogóle nie przyszłoby jej do głowy. Przyjaźniły się od wielu lat. Mira polegała na niej, ufała jej bez zastrzeżeń.

Drzwi do łazienki miała po lewej. Przed nią znajdowały się zamknięte drzwi do sypialni Deni. Wyrzucając sobie w duchu, że jest niewdzięczną, wiarołomną przyjaciółką, przysunęła się bliżej. Głosy stały się wyraźniejsze. To już było coś więcej niż szmer, choć słów wciąż nie potrafiła rozróżnić. Jeden głos był męski, drugi należał do Deni.

Wydało jej się, że znowu słyszy swoje imię. Potem wyraźnie usłyszała imię Jeffa. Serce zabiło jej mocniej. Przysunęła się jeszcze o krok, by przytknąć ucho do płyty drzwi. Pod jej stopami zaskrzypiała podłoga. Głosy ucichły. Tłumiąc dłonią okrzyk zaskoczenia, Mira dała nura do łazienki i zamknęła za sobą drzwi.

Usiadła na sedesie i ukryła twarz w dłoniach. Co ona wyrabia, do diabła? Szpieguje przyjaciółkę? Kogoś, kto w środku nocy otworzył przed nią drzwi swojego domu? Czy Deni zaprosiłaby ją na noc, gdyby miała coś do ukrycia?

Trzymaj się, Miro. Weź się w garść. Rozległo się pukanie do drzwi łazienki.

- Miro - zawołała cicho Deni - czy wszystko w porządku?
- Tak - zdołała wybąkać. - Przepraszam, że cię zbudziłam.
- Nie ma sprawy. - Deni ziewnęła. - Wracam do łóżka. Do zobaczenia rano.
- Dzięki.

Gdy Mira wyszła z łazienki, znów zerknęła na drzwi sypialni asystentki. Były uchylone. Zbliżyła się do nich z sercem podchodzącym do gardła.

- Deni? - szepnęła. - Nie śpisz jeszcze?

Odpowiedziała, że nie, więc Mira wsunęła głowę do pokoju.

W wąłym świetle tarczy budzika zobaczyła, że Deni leży w łóżku sama. Zdążyła też zauważyć,

że przyjaciółka jest rozczochrana i ma na sobie starą, rozciągniętą bawełnianą koszulkę. Zupełnie nie wygląda na kobietę, którą odwiedza mężczyzna.

- Jeszcze raz przepraszam, że cię zbudziłam.
- Nie szkodzi, Miro. Cieszę się, że nic ci nie jest.
- Mogę cię o coś spytać?
- Jasne.
- Czy niedawno ktoś tutaj był? Jakiś facet?

Deni pokręciła głową.

- Nie. A dlaczego pytasz?
- Zdawało mi się... zdawało mi się, że słyszę męski głos.

Deni jeszcze raz pokręciła głową.

- Czasami gadam przez sen. Może to słyszałaś?

Kłamie, pomyślała Mira. Dlaczego?

- To możliwe - przyznała, starając się, by zabrzmiało to naturalnie. - Dobranoc.

Wracając na kanapę, Mira zastanawiała się, dlaczego przyjaciółka ją okłamała? Co próbowała zamaskować kłamstwem?

Rozdział 42

środa, 17 sierpnia godz. 5.17

Mira wymknęła się o brzasku. Zostawiła bilecik z podziękowaniem dla Deni przy ekspresie do kawy i po cichu opuściła dom. Wolała nie spotkać przyjaciółki, choć w pełni nie rozumiała dlaczego.

Z frontowego ganku omiotła wzrokiem przestrzeń między najbliższymi przecznicami, nie wiedząc,

za czym właściwie się rozgląda. Jeśli nie liczyć samotnego psa, badającego zawartość kosza na śmiecie, ulica była pusta.

Otworzyła samochód, a wsiadając, sprawdziła tylne siedzenie, tak jak nauczyła ją matka. Zapaliła silnik i ruszyła.

Było tak wcześnie, że nie działał nawet Starbucks dla kierowców, więc zadowolona się kawą w całodobowym sklepie. Popijała ją potem, prowadząc samochód, i podśpiewywała do wtóru włączonemu radiu, żeby utrzymać na wodzy niepokojące myśli.

Skręciła w swoją ulicę. Pani Latrobe zostawiła włączone światło na ganku. Zaciekało ją, jak długo staruszka czekała na jej powrót. Może zasnęła z lornetką w ręce? Nola rzeczywiście musiała wyjść. Wypuszczona z domu, smignęła na dwór, po czym spędziła dłuższy czas w przykucniętej pozycji.

- Biedaczka - mruknęła Mira, gdy Nola wróciła na ganek z wywalonym jęzorem. Podrapała sukę za uchem. - Lepiej się czujesz?

Nola w odpowiedzi pomachała ogonem i wbiegła do domu. A jeśli jest tam Jeff i na mnie czeka? - pomyślała Mira. Wyobraziła sobie ich ponowne spotkanie. Ten radosny scenariusz odgrywała w przeszłości setki razy. Może nawet tysiące. Teraz jednak, o dziwo, miała w umyśle pustkę, jeśli nie liczyć uwagi Deni z poprzedniego wieczoru: „Jest chorym draniem, który nie zasługuje na twoje oddanie”.

Prawda tego stwierdzenia wprawiła ją w zakłopotanie. Szumiało jej w głowie, a puls miała szybszy niż zwykle. Jakby wyczuwając wahanie swojej pani, Nola zaszczekała, przekrzywiając głowę. Mira weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi. Trzask zasuwki zdawał się odbijać echem w panującej wokół ciszy. Zrobiła krok w głąb domu, potem następny i tak dalej, aż w końcu stanęła przy schodach. Zerknęła ku piętru.

Czy on tam jest?

- Jeff? - zawołała. Odchrząknęła i spróbowała jeszcze raz: - Jeff! Jestem w domu.

Odpowiedziało jej milczenie. Zawołała znowu, głośniej. Wciąż nic.

Zacząła wspinać się na schody. Dłoń ślizgała się na poręczy, kręciło jej się w głowie. Dobrze jednak na podest i skierowała się do sypialni pana domu. Były zamknięte. Zmyliła krok. Zawsze zostawiała je otwarte.

„Ludzie umierają... Nie jestem policjantką... Miałaś do czynienia z tymi ludźmi... Boję się o ciebie”.

Wyciągnęła rękę i przekręciła gałkę. Drzwi powoli się uchyliły. Pusto. Nic nie zakłócało porządku. Odetchnęła, czując się jak idiotka. Promienie słońca padały na posłane łóżko. Coś błysnęło w ich świetle na podłodze. Przeszła bliżej i podniosła przedmiot. Dziesięciocentówka. Obróciła ją w palcach. Monetę wybito w 2005 roku. W roku, gdy szalała Katrina.

Mira przesunęła wzrok. Pościel na łóżku wydawała się lekko poruszona, jakby ktoś na niej leżał. Poduszka nosiła ślad głowy. On tu był, uznała. Leżał na łóżku. Czekał na nią. Chwyciła poduszkę i przycisnęła ją do twarzy. Wciągnęła w nozdrza znajomy zapach balsamu po goleniu, używanego przez Jeffa.

„Chory drań, który nie zasługuje na twoje oddanie”.

Zmroziło ją. Upuściła poduszkę i cofnęła się ku drzwiom. Nagle usłyszała, że na dole ktoś woła ją po imieniu. Podskoczyła w miejscu i odwróciła się. Jeff! Naprawdę żyje!

- Jesteś w domu? Tu Connor!

Przycisnęła dłoń do klatki piersiowej. Serce biło jej tak mocno, jakby w każdej chwili mogło się wyrwać. Starając się oddychać powoli, żeby je nieco uspokoić, wyszła z sypialni i stanęła u szczytu schodów.

- Jestem tutaj - powiedziała.

Spojrzał w górę.

- Hej.

- Hej. Co tu robisz?

- Po wczorajszym wieczorze czuję niedosyt. Powinniśmy porozmawiać.

Mira spojrzała na uchylone skrzydło drzwi, potem z powrotem na Connora.

- Dzwoniłeś?

- Drzwi były otwarte.

- Co masz na myśli? Niezamknięte na zamek?

- Nie, otwarte.

- Przecież je zamknęłam. Pamiętam, jak to robiłam.

- Były otwarte, Miro. Nie wiem, co jeszcze mogę ci powiedzieć. Może nie zamknęły się dokładnie i otworzył je wiatr.

Miała w pamięci ich trzask. Poza tym nie było wiatru. Czyżby traciła rozum?

A może to wszyscy dookoła popadali w obłąd?

- Powinieneś już iść.

Nie ruszył się.

- Możesz wierzyć, w co chcesz - powiedział. - Chcesz zbudować ołtarz Jeffowi? Buduj, nie mnie cię od tego odwodzić. Wczoraj wieczorem powiedziałem ci prawdę, ale jeśli sobie życzysz, cofnę te wszystkie słowa. Skoro nie mogę mieć twojej miłości, godzę się na przyjaźń.

Mira poczuwała coś bardzo dziwnego: ulgę przemieszana z tęsknotą. Zapragnęła objąć Connora i znaleźć się w jego ramionach. Jeff był w jej zasięgu, bliżej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich sześciu lat, a jednak zastanawiała się, jaki okazałby się pocałunek Connora. I to nie pierwszy raz,

uprzytomniła sobie. Kiedyś Connor pocałował ją, życząc szczęśliwego nowego roku. Natychmiast uciekła do męża, bo jej reakcja na pocałunek daleka była od platonicznej.

- Jeff żyje.

Wyrzuciła z siebie te słowa jako obronę przed nachodzącymi ją myślami. Przeciwno pragnieniu, by zbiec na dół i rzucić się Connorowi na szyję.

Twarz mu stężała.

- Na miłość boską, Miro! Jeśli tak bardzo chcesz, żebym sobie poszedł, to pójdę.

- Nie o to chodzi! Wczoraj wieczorem... on do mnie dzwonił. To był jego głos. Na pewno!

Connor pokręcił głową.

- Przepraszam. Bardzo mi przykro. Rozumiem teraz, że nie powinienem był...

Zbiegła do niego po schodach.

- Spałam dzisiaj u Deni. Rano wróciłam i poszłam na górę, do sypialni. W poduszce było wgniecenie. Pachniała tak jak on. Pokażę ci. - Chwyła go za rękę i pociągnęła na górę. - Widzisz?

- Podeszła do łóżka i chwyciła poduszkę. - Powąchaj, to się przekonasz.

Zawahał się, więc błagalnie powtórzyła prośbę.

Przytknął poduszkę do twarzy i odetchnąwszy jej zapachem, oddał ją Mirze.

- Pachnie płynem do zmiękczenia tkanin.

- Nie. Popatrz. - Wyciągnęła z kieszeni telefon, wybrała historię połączeń i pokazała mu. - O tu, dwudziesta trzecia trzy. Zadzwoił.

Connor popatrzył na wyświetlacz.

- Zostawił wiadomość?

- Nie, odebrałam połączenie.

- Co powiedział?

- Że niedługo będzie. Wiesz, że czasem nazywał mnie dzieciakiem? Tak właśnie powiedział: „Cześć, dzieciaku”.

Connor jej nie wierzył, widziała to po jego minie. Zwrócił się do niej i przytknął dłoń do jej policzka. Przykryła jego dłoń swoją ręką i poczuła, że palce lekko mu drżą.

- Tak bardzo chcesz, żeby on żył, Miro?

- To nie dlatego - odszepnęła. - Słowo ci daję.

Przesunął dłoń na tył jej głowy i wsunął palce we włosy.

- Nie mogę rywalizować z duchem ani z ideałem. Jestem tylko człowiekiem z krwi i kości.

Pochylił się i zawładnął jej ustami. Odpowiedziała z pasją, przywierając do Connora całym ciałem. Nagle ją puścił, a ona zatoczyła się do tyłu, nie dlatego, że została popchnięta, lecz dlatego, że miała takie poczucie, jakby jej życie znowu się rozsypywało.

- Z krwi i kości - powtórzył. - Jeśli uznasz, że tego chcesz, wiesz, gdzie mnie znaleźć.

- Poczekaj! - zawołała za nim. - Powiedziałeś, zdaje się, że możemy być przyjaciółmi.

Przystanął i spojrzał na nią.

- Możemy - potwierdził - ale nie tego pragnę. Mam poczucie, że ty też nie.

Rozdział 43

środa, 17 sierpnia godz. 8.05

Mira знаła jak własną kieszeń drogę z Frenchmen Street do siedziby swojej firmy. Przejeżdżała tę trasę w kwadrans i wiele razy pokonywała ją niemal odruchowo tak zmęczona, że nie pamiętała ani jednego szczegółu przejazdu. Tego dnia zorientowała się nagle, że jedzie zupełnie inaczej niż zwykle. Skręca w boczne uliczki, robi zygzaki, a w pewnym momencie nawet zatacza kółko.

Po wyjściu Connora długo stała wpatrzona w zamknięte drzwi, rozmyślając o swojej reakcji na

pocałunek. Przypominała sobie jego słowa: „Nie mogę rywalizować z duchem ani z ideałem... Jestem tylko człowiekiem z krwi i kości”. Poszła wziąć prysznic z nadzieją, że rozjaśni jej się w głowie i że strumień wody spłucze z niej doznanie, które pojawiało się w obecności Connora. To ożywienie, jakiego nie doznawała od bardzo dawna, właściwe dla istoty obdarzonej seksualnością. Chciała też zmyć z siebie poczucie winy. Czuła się bowiem tak, jakby oszukiwała męża. Jak można oszukiwać męża, który nie żyje? A może jednak żyje?

Kot wyskoczył na jezdnię i Mira z całej siły nacisnęła na hamulec. Samochód zarzucił i stanął, a ona spojrzała w prawo na rząd schludnych kreolskich domków stojących wzdłuż ulicy. Jeden natychmiast rzucił jej się w oczy: jasnoniebieski z białymi framugami i lekko pochylonym gankiem, ocienionym przez mirt.

W oknie wisiał witraż. Lilia i słonecznik. Pochodził z jej pracowni. Sprzedała go detektywowi Malone'owi i jego narzeczonej Stacy. Może detektyw Malone mógłby jej pomóc? Gdyby jej uwierzył, to kto lepiej niż on umiałby znaleźć Jeffa? Jeffa albo człowieka, który robi z niej wariatkę.

Z tyłu dobiegł ją ryk klaksonu. Zerknęła ze skruszoną miną we wsteczne lusterko, przeprosiła kierowcę uniesieniem dłoni i zjechała do krawężnika. Jeszcze raz spojrzała na domek. Pomysł był szalony, ale przynajmniej dawał jakąś możliwość, a tych nie miała zbyt wiele.

Nie zastanawiając się dłużej, wyłączyła silnik, wysiadła i podeszła do drzwi. Poznała kobietę, która je otworzyła. Blondynka o zapadających w pamięć rysach. Trochę jak Angelina Jolie z mniejszymi ustami i bardziej wydatnym nosem.

Mira uśmiechnęła się.

- Stacy?

Kobieta przybrała nieufny wyraz twarzy. Przesunęła ramię za plecy.

- W czym mogę pomóc?

- Jestem pani sąsiadką. Mira Gallier. - Wskazała witraż. - Kupiła go pani u mnie. Kobieta jakby trochę się odprężyła. Uśmiechnęła się.

- Pamiętam. W czym mogę pomóc?

- Szukam Spencera... detektywa Malone'a.

- Przykro mi, ale tu go nie ma.

- Rozumiem. - Mira cofnęła się o krok. - Trudno. Przepraszam, że niepokoiłam.

- To nie problem. - Ponownie przesłała jej uśmiech. - Czy mogę przekazać mu wiadomość?

- Proszę się tym nie przejmować. To głupota. Nawet nie powinnam była tutaj przystawać. - Mira zaczęła się wycofywać.

- Proszę zaczekać! - zawołała za nią Stacy. - Czy pani ma jakiś kłopot?

- Można by tak powiedzieć.

- Dam pani jego namiary. Na pewno oddzwoni.

- Dziękuję, mam je. Po prostu przejeżdżałam obok i nagle pomyślałam, że detektyw Malone mógłby mi pomóc. - Pokręciła głową. - Nieważne. Jeszcze raz przepraszam za najście.

- Nic się nie stało. - Stacy wyszła na ganek. - Pani rzeczywiście wygląda na wzburzoną, Miro. Może ja pani pomogę. Przecież jestem policjantką.

- Zapomniałam o tym. Jak to się stało, że jest pani w domu, a nie w pracy?

- Sześć tygodni temu mnie postrzelono. Powoli zdrowieję.

- Zachowałam się niegrzecznie. Przepraszam, sama nie wiem, co się ze mną dzieje.

- Nie ma sprawy - Wskazała jej krzeselko, jedno z dwóch stojących na ganku. - Jeszcze nie jest za gorąco. Możemy tu usiąść i porozmawiać.

Mira nie wahała się dłużej. Z trudnego do wyjaśnienia powodu obecność Stacy działała na nią uspokajająco.

Policjantka usiadła bliżej drzwi.

- Ciągnie mi się te sześć tygodni, Miro. Prawdę mówiąc, jako niespokojny duch dostaję w domu świra. Na szczęście w końcu miesiąca wracam do pracy, jeśli tylko lekarz mi na to pozwoli. To powinno wypaść w poniedziałek dwudziestego dziewiątego. Niesamowite, prawda?

Szósta rocznica Katriny.

- Nie przechodzą pani ciarki?

Stacy roześmiała się.

- Ciarki? Dlaczego?

- Że to zły znak czy coś takiego.

- Dzień jak każdy inny - Przez chwilę panowało milczenie. - Spencer niedawno wspominał o pani.

- Naprawdę?

- Mówił, że ktoś włamał się do pracowni.

„Ich ciało będzie oddzielone od kości i upieczone, i dane na pożarcie złym duchom”. Mira zadrżała na to wspomnienie.

- Niejaki Kaznodzieja. Od tego czasu tyle się wydarzyło, że mam wrażenie, jakby minął cały wiek.

- Został zamordowany, prawda?

- Tak. Podobnie jak ojciec Girod i Anton Gallier, mój teść. Jestem całkiem rozstrojona. Nie wiem, w co i komu wierzyć.

- Proszę mi opowiedzieć, co się dzieje.

- Oprócz morderstw... - Spojrzała na swoje dłonie i wtedy uświadomiła sobie, że nie wiadomo kiedy zacisnęła je w pięści. Rozprostowała palce. - Zastanawiam się... Mój mąż zginął podczas

huraganu, ale...

Nie mogła się zmusić, żeby powiedzieć to głośno.

- Ale co, Miro? - delikatnie nalegała Stacy - Może mi pani powiedzieć.
- Zastanawiam się, czy on mimo wszystko nie przeżył.
- Dlaczego?
- Wydaje mi się, że bywa w naszym domu. Wyczuwam zapach jego balsamu po goleniu, widziałam wgłębienie na poduszce, a poza tym... on do mnie zadzwonił i zapowiedział, że niedługo będzie w domu.

Stacy nie skomentowała tego i Mira ciągnęła:

- Wiem, że to brzmi jak bełkot szaleńca. To jest kompletnie niemożliwe, ale... takie prawdziwe. Nie wiem, co robić. Czy pani sądzi, że tracę rozum?

- Mogę pani coś opowiedzieć? Sześć lat temu moją siostrę Jane prześladował psychopata, człowiek z jej przeszłości. Przewrócił całe jej życie do góry nogami. Omal nie umarła.

- Co się stało? Chcę zapytać, w jaki sposób...
- W jaki sposób go pokonała? - Mira skinęła głową, a Stacy mówiła dalej: - Trzeba odrzucić wszystko, co wydaje ci się, że wiesz. Zacząć od zera. Czysta kartka. Tak robią dobrzy policjanci.

- Jak to?

- Czasem sprawy są proste. Wszystko do siebie pasuje zgodnie z oczekiwaniami. Niekiedy to, co wiemy i traktujemy jako pewnik, prowadzi nas w zupełnie niewłaściwym kierunku. Wtedy trzeba zapomnieć o tym wszystkim, czego się dowiedzieliśmy. Inaczej nie wywiążemy się ze swojego zadania.

To wydawało się sensowne. Mira lekko się uśmiechnęła.

- Pani jest dobrą policjantką, prawda?

- Lubię tak myśleć. - Stacy wstała. - Kiedy ostatnio pani coś jadła?
- Mira nie pamiętała i szczerze się do tego przyznała.
- Może przyniosę dla nas po muffince i po szklance mrożonej herbaty?
- Byłabym wdzięczna. - Przycisnęła dłoń do brzucha, w którym nagle jej zaburczało. - Jestem bardzo głodna.
- Znakomicie. Zaraz wrócę.

Mira spostrzegła, że Stacy nosi pistolet, wsunięty za pasek na wysokości krzyża. Wlepiała wzrok w tę broń i serce podeszło jej do gardła. Co jej się roi, do diabła? Czyżby naprawdę oszalała? Stacy jest policjantką, ona podejrzana, a mimo to wylewa przed nią żale. Prawdopodobnie właśnie dzwoni do Spencera Malone'a. Mira zerwała się na równe nogi i zbiegła ze schodków ganku. Wskoczyła do samochodu i uruchomiła silnik. Kątem oka zobaczyła Stacy, która spoglądała za nią z ganku, trzymając w dłoniach dwie szklanki.

Rozdział 44

środa, 17 sierpnia godz. 8.35

Spencer objął wzrokiem zebranych przy stole. Obok niego siedziała Bayle, dalej jego brat Percy i kolega pracujący z nim w parze. Byli obecni również komendant okręgu, kapitan O'Shay, Richards, szef wydziału kontaktów ze społeczeństwem, i Krohn, zastępca komendanta.

Na ścianach i tablicach umieszczono fotografie trzech ofiar, wraz opisem szczegółów wszystkich morderstw. Głos zabrał Richards.

- Kaznodzieja nikogo nie obchodzi, nie jest nawet w kręgu zainteresowania mediów...
- I dobrze - wtrącił się Krohn. - Nadinspektor i ja życzymy sobie, żeby właśnie tak było. Najbardziej nie chcielibyśmy, aby opinia publiczna miała świadomość, że istnieje związek między

trzema ofiarami.

- Ale... - ciągnął Richards - dwa pozostałe morderstwa wywołały hałas. Ofiarą pierwszego był popularny ksiądz, ojciec Girod, ostatniego Anton Gallier. Media mają używanie i rozgrzewają opinię publiczną do czerwoności.

Kapitan O'Shay skierowała spojrzenie na Spencera.

- Co pan zrobił do tej pory?

- Mam dwoje mocnych podejrzanych: była synową Galliera, Mirę, i jej przyjaciela Connora Scotta.

- Scott jest dosyć zagadkowy - włączyła się Bayle. - Natomiast Mira Gallier ma związek z trzema ofiarami. W przypadku dwóch miała motyw, w tym bardzo wyraźny, jeśli chodzi o Antona Galliera.

- To znaczy? - spytała kapitan O'Shay.

- Nie znosiła go z całego serca. Anton Gallier próbował doprowadzić do oskarżenia jej o śmierć jego syna. Gdy to zawiodło, pozwał ją w procesie cywilnym.

- Najwyraźniej kilka dni przed morderstwem Anton Gallier zaaranżował kolejny atak na swoją była synową - dodał Malone. - Mira pokłóciła się z nim na oczach wielu osób w Crescent City Club.

- Scott był tam razem z nią - ciągnęła Bayle. - Anton Gallier napadł również na niego. Według świadków, widać było, że Scott jest bardzo zły. Ci dwoje mogli zaplanować to razem. Podejrzewam, że łączy ich więź uczuciowa.

- Co z przestępstwami biblijnymi? - spytał Krohn. - Mogą w czymś pomóc?

- Nie bardzo - odparł Malone. - Pierwsze dwa są wśród chrześcijan powszechnie. Wszyscy przesłuchiwanie je znali. Trzecie, pozostawione przy ciele Galliera, wydaje się mniej rozpowszechnione.

- Jedynie Mira Gallier wiedziała, że dotyczy ono Chrystusa wypędzającego złe duchy z Marii

Magdaleny - podjęła z zapalem Bayle.

- Jedynie Mira Gallier przyznała się, że to wie - poprawił ją Malone.

Kapitan O'Shay spojrzała na niego.

- A co pan o tym sądzi? Czy ona i Scott zrobili to razem?

- Jest to możliwe, aczkolwiek stawiałbym raczej na Scotta. Trudno mi uwierzyć w taki zbieg okoliczności, że facet wraca do domu z wojny i natychmiast zaczyna się ta cała historia. Miry Gallier nie widzę w roli morderczyni. Szósty zmysł mi się nie włącza.

- W odróżnieniu od innych - wtrąciła cicho Bayle.

Spojrzał na nią spod przymrużonych powiek.

- A cóż to miało znaczyć, do diabła?

- Trudno ci dostrzec sprawcę w uroczej, drobnej wdówce.

- To kompletny nonsens - odparł rozwścieczony samą sugestią, zwłaszcza że padła ona w obecności jego przełożonych. - Skądkolwiek wzięłaś...

Przerwał im Krohn.

- Razem rozpracowujecie tę sprawę i każde z was ma swoją działkę. Chcę wiedzieć... - przewrócił kilka stron w leżącym na stole bieżącym wydaniu „Times-Picayune”- skąd prasa ma coś takiego.

Na pierwszej stronie widniał wytłuszczony nagłówek: „Morderca dnia Sądu Ostatecznego?”.

Spencer wyciągnął przed siebie dłonie.

- Na pewno nie od moich ludzi, jasne?!

Zerknął na Percy'ego i Bayle, ale żadne z nich ani drgnęło. Spencer zwrócił się ponownie do zastępcy komendanta.

- Źródłem mogą być sanitariusze, technicy albo nawet ktoś z podejrzanych.

Krohn pochylił się naprzód.

- Te zbrodnie są bez wątplenia powiązane. Czy mamy do czynienia z seryjnym mordercą?
- Nie w tradycyjnym znaczeniu tego terminu - powiedziała kapitan O'Shay - Czyny prawdziwych seryjnych morderców są rodzajem powtarzanego wielokrotnie rytuału. Tego tutaj nie odnotowujemy.

- To prawda - przyznał Spencer. - A jeśli założyć, że sprawca nie odprawia rytuału, tylko opowiada historię? Jeśli do tej pory mamy tylko prolog?

Krohn poczerwieniał na twarzy.

- Trzy ofiary mają być prologiem? Kompletnie panu odbiło, Malone?

- Proszę to wyjaśnić - zażądała kapitan O'Shay.

- Chodzi mi o sztafaż biblijny Dzień Sądu, wypędzanie złych duchów... Może to być zasłona dymna dla całkiem zdrowego na umyśle, metodycznego zabójcy, który chce nas zmylić. Niewykluczone jednak, że sprawca to maniak religijny, który uważa, że to on został posłany, aby dokonać sądu.

- Mordując ludzi - dodał Percy. - Taka święta wojna na skalę jednego człowieka.

- Nie podoba mi się ten pomysł. - Zastępca komendanta Krohn spojrział na kapitan O'Shay. - Nie chcemy kolejnej ofiary. Czy to jasne?

- Oczywiście, sir.

Spencer i Percy wymienili spojrzenia. Dowództwo zachowywało się tak, jakby detektywi chcieli, aby były następne ofiary, by nie wspomnieć o przyjemności, jaką mieli, gdy przy tej okazji nadinspektor dobierał im się do tyłków.

Kapitan zwróciła się do Spencera i Bayle.

- Co mamy z twardych dowodów?

Bayle zaczęła meldować:

- Wyjęliśmy kulę z ciała Galliera. Kaliber.45 Sprawdziliśmy pocisk w krajowej sieci balistycznej. Wynik negatywny.

- W miejscu zdarzenia, gdzie zginął Gallier, zdjęliśmy trochę odcisków linii papilarnych - dodał Percy - Z kubków z kawą i papierowej torby. W lokalnej bazie danych niczego nie znaleźliśmy, sprawdzamy teraz w krajowej.

- Odciski linii papilarnych niewątpliwie łączą zabójstwa ojca Giroda i Antona Galliera - podjęła Bayle. - Odciski z obu miejsc zdarzeń są identyczne.

Spencer skinął głową.

- Dodatkowo znaleźliśmy trzy restauracje we French Quarter, które używają tego samego zestawu kubka, wieczka, tacy i torby do dań na wynos. Sprzedają one również to samo pieczywo, dostarczane przed jednego dostawcę, Bakers Dozen. Przesłuchaliśmy właściciela piekarni i odwiedzamy wszystkie trzy restauracje ze zdjęciami Miry Gallier i Connora Scotta.

Spencer poczuł wibrację komórki przyczepionej do pasa. Zerknął na wyświetlacz, ujrzał numer Stacy, więc przeprosił i wstał od stołu.

- Wszystko w porządku? - spytał natychmiast, gdy znalazł się na korytarzu.
- Ze mną tak. Właśnie była u mnie Mira Gallier. Szukała ciebie.
- Po jaką cholere?
- Była mocno zdenerwowana. Zachowywała się dziwnie, na przykład nie pamiętała, kiedy ostatnio jadła.
- Jak się tego dowiedziałaś?
- Zaprosiłam ją na śniadanie.
- Do diabła, Stacy. Ona jest podejrzaną w sprawie o morderstwo.

- Właśnie dlatego ją zaprosiłam. I dlatego przez cały czas miałam przy sobie mojego przyjaciela, pana Glocka.

Stacy była doświadczoną policjantką, która znała reguły gry. Mimo to Spencer skłamałby, gdyby nie przyznał, że wstrząsnęła nim myśl o kobiecie podejrzanej o morderstwo, pojawiającej się na progu jego domu.

- Powiedziała coś, co może się przydać? - spytał.

- Wyznała, że nie wie, w co i komu wierzyć. Wspomniała także o trzech ofiarach, ojcu Girodzie, jej teściu i Kaznodziei.

- To wszystko?

- Nie, jest jeszcze jedno. Ona uważa, że odwiedza ją jej zmarły mąż. Twierdzi, że był u niej ostatniej nocy.

- Innymi słowy, nadaje się do czubków.

- Albo jest tego bliska.

- Poszła już?

- Tak. Uciekła, kiedy poszłam po herbatę i muffinki.

Wyciągnąwszy od Stacy obietnicę, że natychmiast zadzwoni, gdyby Mira Gallier pojawiła się ponownie, Spencer rozłączył się i wrócił do stołu.

- Wszystko w porządku? - spytała kapitan O'Shay.

- Dzwoniła Stacy. Mira Gallier szukała mnie w domu.

Nikt się nie odezwał. Zapadło milczenie. Wszyscy obecni działali w służbie prawa, część miała współmałżonków, niektórzy także dzieci. Sprawca odkrywający miejsce zamieszkania policjanta, by pojawić się tam i dokonać zemsty na bliskich, był najgorszym z ich koszmarów.

- Przerąbane, braciszku - odezwał się w końcu Percy.

- Czy Stacy czuła się zagrożona? - spytała kapitan O'Shay.
- Wręcz przeciwnie, zaprosiła ją na śniadanie. - Salę wypełnił wybuch śmiechu. Gdy ucichł, Spencer dodał: - Według Stacy, Gallier zachowywała się bardzo dziwnie. Powiedziała, że nie wie, w co ani komu wierzyć. Wspomniała wszystkie trzy ofiary. Uważa też, że odwiedza ją jej zmarły mąż.

Znów rozległ się śmiech.

- W jaki sposób znalazła pański dom?
- Siedziba jej firmy mieści się w pobliżu. Byliśmy tam kiedyś ze Stacy i kupiliśmy witraż, który potem powiesiliśmy w oknie. Gallier i ja skojarzyliśmy te fakty, kiedy przesłuchiwałem ją po napaści Kaznodziei.

Kapitan O'Shay skinęła głową zadumana.

- Czy ty z nią rozmawiałeś, kiedy sprowadziliśmy ją tu na przesłuchanie?
- Nie, Percy. Ja przesłuchiwałem Scotta.
- To dobrze. Ona uważa cię za sąsiada, przyjaciela. Właśnie dlatego „wpadła”. Musisz podtrzymać jej zaufanie. Niech złym gliną będzie Percy albo Bayle. Ty jesteś tam, żeby jej „pomóc”. Jeśli jest szansa, że cokolwiek wyzna, to właśnie tobie.

- Rozumiem - powiedział. - Jaki ma być nasz następny krok?
- Złóż jej wizytę, Malone. Bądź przyjacielski. Powiedz jej, że bardzo ci się to nie podoba, ale twoja pani kapitan kazała ci zawieźć ją do komendy na przesłuchanie. I że jeśli miałoby to jej pomóc, możesz poprosić, abyś to właśnie ty je prowadził. Moim zdaniem, jeśli ona cokolwiek wie, to albo ci powie, albo pomoże ci odkryć.

- A ja, pani kapitan? - spytała Bayle.
- Pani z Percym macie obserwować to przesłuchanie.

Odprawa dobiegała końca. Gdy wszyscy się rozchodzili, Spencer trącił Bayle w ramię.

- Możemy chwilę pogadać?
- Jasne.

Weszła z powrotem do sali odpraw.

- Co jest? - spytała.
- Właśnie to chcę wiedzieć.
- Nie rozumiem.
- Ten tekst o Mirze Gallier.
- O czym ty mówisz?
- Nie udawaj, Bayle. Zakwestionowałaś trzeźwość mojego sądu, sugerując, że wpływa na mnie wygląd Miry Gallier. Nie zrobiłem niczego, co dawałoby ci podstawy do takiej opinii.

Otworzyła usta, jakby chciała zaprotestować, ale szybko je zamknęła.

- Masz rację - powiedziała sztywno. - Lapnęłam to bez sensu.

To go nie zadowoliło. Nie tym razem.

- Na czym polega twój problem, Bayle? Chodzi o mnie? O mężczyzn w ogóle? A może masz coś do pani Gallier?

Odwróciła głowę, ale zaraz znów na niego spojrzała.

- Nie mam problemu z tobą ani z nikim innym. Po prostu wykonuję swoją pracę.
- Nieprawda.

Nie odpowiedziała, a Spencer pokiwał głową.

- We współpracy chodzi o uczciwość i zaufanie. Muszę mieć pewność, że mogę liczyć na twoje wsparcie bez względu na sytuację. A po tym numerze, który dzisiaj wywinęłaś, straciłem trochę pewności.

- Czy to o wsparciu znaczy również, że mam trzymać buzię na kłódkę, kiedy pieprzysz robotę?
Bo ja nie z tych.

Pochylił się ku niej, starając się opanować złość.

- Nie to dzisiaj zrobiłaś i doskonale o tym wiesz.

- Masz rację. - Westchnęła. - Widziałam dużo takich zagrań w służbie, ale nie powinnam cię stawiać w jednym szeregu z tamtymi. To się nie powtórzy.

Wyminęła go i wyszła na korytarz. Gdy oddalała się, Malone rozmyślał, w jaki sposób namówić Tony'ego Sciamę'a do przemyślenia decyzji o emeryturze.

Rozdział 45

środa, 17 sierpnia godz. 9.20

Mira weszła do siedziby firmy. Garbus Deni i furgonetka Chrisa stały na parking, więc wydała powitalny okrzyk. Asystentka pojawiła się na progu pracowni.

- Gdzieś ty była? - spytała z wypiekami na twarzy. - Jestem już prawie chora ze zmartwienia!

Mira położyła torebkę za ladą w sklepie i skierowała się do pracowni.

- Wszystko w porządku.

- Przyjechałaś w środku nocy gadałaś jak pomyłona...

- Wcale nie jak pomyłona.

- Właśnie tak. Powiedziałaś mi, że Jeff żyje i że telefonował do ciebie...

- Bo tak było. To był jego głos. Jestem pewna, Deni.

- Rano budzę się, a ciebie nie ma!

- Zostawiłam ci liścik.

- Nie przyszłaś rano na umówioną wizytę do doktor Jasper.

- Doktor Jasper?
- Miałaś być u niej o ósmej. Dzwoniła tutaj i pytała o ciebie. Cholera. Całkiem o tym zapomniałam, pomyślała Mira.
- Zatelefonuję do niej.
- Miałaś też zadzwonić dziś rano do Lance'a - ciągnęła Deni, wchodząc za Mirą do pracowni. Widząc zaś jej nieprzytomne spojrzenie, dodała: - Do Lance'a Arnolda, twojego adwokata.
- Niech to diabli, o tym też zapomniałam. Zaraz się tym zajmę.
- Mira stanęła przed witrażem Marii Magdaleny, Deni podeszła do niej.
- Kilka razy próbowałam się do ciebie dodzwonić. Ani razu nie odebrałaś.
- Zostawiłam telefon w domu.
- Deni pokręciła głową z niedowierzaniem.
- Ludzie są mordowani, twój zmarły mąż być może cię odwiedza, jesteś podejrzaną w sprawie o zabójstwo i tak po prostu zostawiasz telefon w domu?
- Gdy Mira nie odpowiedziała, poirytowana Deni ciągnęła tyradę:
- Nadal musimy ustalić datę montażu witraży. Dzwoniła siostra Sarah Elisabeth i chciała wiedzieć, kiedy przyjedziemy.
- Jeszcze trochę. Nie jestem gotowa.
- Witraż jest skończony. Nie możesz tego bez końca odwlekać.
- Nie jestem gotowa - powtórzyła Mira, zerkając przez ramię na Deni. - Powinnam być wtedy w najlepszej możliwej formie. Wszystko musi się układać... W tej chwili nie myślę jasno. Mogę popełnić błąd. Nie będę ryzykować. - Odwróciła głowę, zaraz jednak znów spojrzała na przyjaciółkę. - Muszę cię o coś spytać i mam nadzieję, że nie będziesz zła. Wiem, że nie byłaś sama minionej nocy. Kiedy poszłam do łazienki, słyszałam, jak do kogoś mówisz. Słyszałam też

głos mężczyzny. Dlaczego mnie okłamałaś?

- Nie zrobiłam tego - odparła asystentka, kręcąc głową, a oczy miała jak spodki. - Może słyszałaś telewizor.

- To nie był telewizor. Padło moje imię i mojego męża.

- Złotko, nie wiem, o czym mówisz.

Co ukrywała Deni? Mira podeszła do niej i mocno ścisnęła jej dłonie.

- Możesz powiedzieć mi wszystko. Jesteśmy przyjaciółkami. Liczę na ciebie. Wierzę, że pomożesz mi prowadzić firmę, ale przede wszystkim, że okażesz mi zaufanie i wsparcie. - Głos jej się załamał, więc odchrząknęła. - Naprawdę cię potrzebuję - ciągnęła. - Nie sądzę, żebym była w stanie poradzić sobie bez ciebie, cokolwiek stoi mi na drodze.

Deni mocno ją uściskała, w jej oczy zabłyśły łzy.

- Dziękuję. Jest coś, co ci muszę powiedzieć...

- Hej, wy dwie. - Chris wszedł bocznymi drzwiami. - Co tu się dzieje?

- Towarzystwo wzajemnej adoracji - odparła Deni, puszczając Mirę.

- Zapomniałem dziś wziąć lodówkę turystyczną. Czy masz coś przeciwko temu, Miro, jeśli będę brał wodę z lodówki w firmie?

- Bierz, ile chcesz. Jestem ci głęboko wdzięczna, że wczoraj przyjechałeś po mnie na policję. Mam u ciebie dług wdzięczności.

- Po to są przyjaciele. - Ruszył do kuchni. - Ktoś stąd czegoś potrzebuje?

- Kawy? - powiedziała Mira.

- Zaraz zaparzę - ofiarowała się Deni, dołączając do Chrisa.

Mira odprowadziła ich wzrokiem. Co Deni chciała jej powiedzieć? Że nie była sama? A może zupełnie co innego? Najwyraźniej nie chciała, żeby Chris usłyszał jej słowa. Dlaczego? Byli ze sobą

już dość długo, co mogła trzymać przed nim w tajemnicy?

Mira skupiła uwagę na witrażu Marii Magdaleny. Detektyw pytał ją, czy wie, do czego odnosi się cytat „Wyrzucił siedem złych duchów”. Po co mu to było? Przesłuchiwał ją w sprawie morderstwa Antona. Musiało mieć to jakiś związek z tą zbrodnią. Ale jaki?

Mira przekrzywiła głowę, by dokładniej przyjrzeć się przejętej żalobą twarzy świętej. O dziwo, nie czuła już z nią tej samej więzi, co przedtem. Zupełnie jakby więź została przez coś lub kogoś zerwana.

Przyjaciele wrócili i Deni podała jej kawę.

- Czy któreś z was zna historię Marii Magdaleny?
 - Ja - powiedział Chris. - Była prostytutką, a Jezus ją ocalił. Tak czy jakoś podobnie.
 - Rzeczywiście ją ocalił, wyrzucając z niej złe duchy, dokładnie siedem. - Mira spojrzała Chrisowi w oczy. - Nie była prostytutką. To nigdzie w Biblii nie jest napisane. To wymyślono we wczesnym okresie istnienia Kościoła. - Popijała kawę i głośno rozmyślała: - Detektyw pytał mnie o wyrzucanie siedmiu złych duchów. Interesował się, czy wiem, co to znaczy.
 - Dlaczego?
 - Tego nie powiedział. Nie sądzicie jednak, że to dziwne? Detektyw pytał mnie o to, a tymczasem wizerunek Marii Magdaleny znajduje się w mojej pracowni. Tylko pomyślcie. Trzy morderstwa mają ze mną związek i Maria Magdalena też.
 - Może powinnam zatelefonować do doktor Jasper - zaproponowała Deni, sięgając po telefon.
- Chris chwycił ją za ramię.
- Nic jej nie jest. Pozwól jej mówić.
 - On ma rację - powiedziała Mira. - Nic mi nie jest. Po prostu przetwarzam informacje. Próbuję rozpracować kilka szczegółów, może wyciągnąć jakiś wniosek.

Chociaż Deni nie wydawała się tym uszczęśliwiona, skinęła głową i Mira podjęła wywód.

- Przez wielki ludzie wierzyli w kłamstwo o Marii Magdalenie tylko dlatego, że ktoś je wymyślił. Jest bardziej prawdopodobne, że była Marią, siostrą Marty i Łazarza.

- Tą Marią, która osuszyła stopy Jezusa swoimi włosami? - spytał Chris.

- Tak. Była mu całkowicie oddana. Niektórzy snują domysły o ich małżeństwie.

- Jak w tej książce Kod Leonarda Da Vinci?

- Właśnie. Dowodzonego tego na długo przed Danem Brownem. Weźcie pierwszy opisany cud Jezusa na weselu w Kanie. Wydaje się sensowne, że opisano w tej historii właśnie wesele. Czy inaczej matka Jezusa przyszłaby do niego z prośbą, aby dał gościom wina? Dostarczenie jadła i napitków obciążało gospodarza. W tym wypadku gospodarzem był oblubieniec.

- I wywiązał się z obowiązku - powiedział Chris. - Przemienił wodę w wino.

- Tak. - Mira znów spojrzała na dwoje przyjaciół. - Gdybym była opętana przez złe duchy i ktoś przybył, aby mnie od nich uwolnić, z pewnością byłabym mu wdzięczna. A wy nie?

- Ja chyba tak - przyznała Deni.

- Mieć złe duchy w głowie - powiedziała pod nosem, bardziej do siebie niż do nich. - Czy to znaczy tyle, co być szalonym? Czy w czasach Jezusa chorobę umysłową, taką jak schizofrenia, uważano za opętanie przez złe duchy? Czy prawdą jest coś odwrotnego?

- Coś odwrotnego?

- Czy to, co nazywamy dziś chorobą umysłową, jest w istocie opętaniem przez złe duchy?

- Teraz naprawdę mnie przerażasz - powiedziała Deni.

- Tylko sobie wyobraźcie. Maria Magdalena musi oglądać śmierć swojego ukochanego. To jest treścią tego witrażu.

- Wciąż nie rozumiem - mruknęła Deni.

- Powiedzieli mi, że Jeff nie żyje, a to może nie być prawdą. Jeff zapewniał mnie, że nie wie, dokąd pojechał Connor, a teraz dowiaduję się, że to mogło być kłamstwo. Wierzymy w najróżniejsze rzeczy tylko dlatego, że ludzie tak nam je przedstawiają.

Chris wstał ze stołka, podszedł do Miry i pomógł jej wstać.

- Wiele przeszłaś. - Uściskał ją. - Przykro mi. Wiem, jak bardzo to doskwiera.

Dusiły ją łzy, oparła mu głowę na piersi.

- Ja po prostu nie wiem, co jest realne.

- Możesz wierzyć we mnie i w Deni. Jesteśmy twoimi przyjaciółmi. Kochamy cię i nie pozwolimy, aby coś ci się stało.

Zabrzączał dzwonek nad drzwiami wejściowymi.

- Pójdę zobaczyć kto to - oznajmiła Deni i wyszła. Chwilę później stanęła na progu. Z jej miny wynikało, że wiadomość nie jest dobra.

Gdy Mira uświadomiła sobie tę myśl, zobaczyła złą wiadomość na własne oczy. Przybrała postać detektywa Spencera Malone'a.

Rozdział 46

środa, 17 sierpnia godz. 9.55

Na widok Miry Gallier Malone uznał, że wygląda ona na skrajnie wyczerpaną. Wskazał witraż, w który się wpatrywała.

- Co to za święta? - spytał, zatrzymując się za progiem pracowni.

- Maria Magdalena.

To w związku z tym witrażem zbierała informacje, pomyślał. Opowiadała o tym podczas przesłuchania prowadzonego przez Percy'ego. Przeszedł przez pracownię i stanął obok Miry.

- Niesamowity.
- To prawda. - Zwróciła się ku niemu. - Rozmawiałam dziś rano z pana narzeczoną.
- Wspominała mi o tym.
- Bardzo mi pomogła. Polubiłam ją.
- Przekażę jej. Mam jednak nie najlepszą wiadomość. - Zesztywniała, jakby chciała się przygotować na cios. - Moja pani kapitan domaga się, abym przywiózł panią na dalszy ciąg przesłuchania. Bardzo mi przykro z tego powodu.
- Czy nie może pan porozmawiać ze mną tutaj?
- Chciałbym, ale prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa, więc musimy mieć na wszystko podkładki i trzymać się standardowej procedury.

Dobrze, że nie musiał kłamać, bo gdy Mira Gallier w milczeniu Przyglądała się jego twarzy, odniósł wrażenie, że ona ustala, czy jest szczerzy. Na wszelki wypadek dodał więc:

- Mogę poprosić, żebym to ja panią przesłuchiwał, jeśli pani na tym zależy.
- Owszem, i dziękuję. Czy to zajmie dużo czasu?
- Nie powinno. - Uśmiechnął się. - Słowo skauta.
- Był pan skautem?
- Nie. Byłem diabłem wcielonym.

Roześmiała się, choć niezbyt szczerze.

- Powinnam zadzwonić do adwokata.
- Proszę bardzo.

Wybrała numer Lance'a Arnolda i dowiedziała się, że jest w sądzie.

Zostawiła szczegółową wiadomość i zwróciła się do Deni:

- Wróć najszybciej, jak będę mogła. Gdyby Lance zadzwonił, przekaż mu wszystko, co musi

wiedzieć.

- Mogłabym pojechać z tobą - zaproponowała Deni. - A może Chris by ci towarzyszył?

- Ktoś musi zajmować się firmą. Nic mi się nie stanie.

Asystentka chciała się sprzeciwić, co nie uszło uwagi Malone'a.

Cieśla także był gotów zaproponować. Mira uspokoiła ich i chwilę później Spencer otwierał przed nią frontowe drzwi.

- Wie pani, dokąd jedziemy?

- Jeśli tam, gdzie wczoraj, to na komendę przy Perdido Street.

- Właśnie, wobec tego pojedę za panią - powiedział, wiedząc, że pozwolenie na użycie własnego samochodu Mira potraktuje jako znak zaufania. Właśnie na tym mu zależało. Zresztą, nie wierzył, by próbowała uciekać, a nawet gdyby podjęła próbę, nie miała przy nim szans.

Zapiąwszy pas w swoim camaro, aktywował telefon i połączył się ze Stacy.

- Co robisz? - spytał, gdy odebrała połączenie.

- Umieram z nudów. A ty?

- Jadę do komendy przesłuchać Mirę Gallier. Masz ochotę wcielić się w agentkę?

- Żartujesz, prawda?

- Chcę, żebyś pojechała za Gallier, kiedy wyjdzie z przesłuchania. Prowadzi niebieskiego forda focusa. Dam ci znać, gdzie go zaparkowała.

- Co mnie interesuje?

- Dokąd jedzie, z kim rozmawia. Aha, nie jestem pewien, czy nie podchodzimy do tej sprawy od niewłaściwej strony. Gallier może grozić niebezpieczeństwo. W takiej sytuacji...

- Będę chronić swój tyłek i jej też.

- Właśnie. - Telefon zabrzączał, dając znać o innym połączeniu. - Muszę kończyć. Informuj mnie

na bieżąco.

Przełączył telefon.

- Malone, słucham.

- Cześć, braciszku. Gdzie jesteś? - rozległ się głos Percy'ego.

- Na Poydras, niedaleko Dome. Poszczęściło ci się w restauracjach?

- Nie. Jednej z kobiet w Cafe Express Scott wydawał się znajomy, ale nie zauważyła go w lokalu w poniedziałek rano. Widziałeś Bayle?

- Nie ma jej z tobą?

- Nie. Myślałem, że może coś się zmieniło.

Spencer zmarszczył czoło.

- Nic mi o tym nie wiadomo. - Zapaliło się zielone światło. Mira przejechała skrzyżowanie, Spencer za nią. - Będę w komendzie za dziesięć minut. Jeśli nie znajdziemy jej do tej pory, wypuść psy.

Brat roześmiał się i zakończył rozmowę.

Dziesięć minut później weszli z Mirą Gallier na drugie piętro komendy nowoorleańskiej policji. Malone starał się podtrzymać swobodną rozmowę. Nie chciał, by Gallier powiedziała coś istotnego, zanim włączy taśmę i widownia zajmie swoje miejsca. Zastanawiał się, czy z powodu tej taktyki nie powinny dręczyć go wyrzuty sumienia, jednak nie odczuwał żadnych. Prowadził śledztwo w sprawie trzech morderstw. Jeśli Gallier była winna, nie zasługiwała nawet na krzyknę współczucia. Jeśli niewinna, śledztwo to wykaże.

- Cześć, Malone. Szukała cię Bayle.

Odwrócił się do swoich kolegów.

- Cześć, Waldonie i Johnsonie. Powiedzcie jej, żeby się znalazła, bo zaginęła podczas akcji, a ja

rozpoczynam przesłuchanie.

- Powiedział pan Walton i Johnson? - zainteresowała się Mira, gdy przeszli kilka kroków. - Tak jak ci showmani z Radio Gawds?

- Tu jest Waldon przez „d”, ale to, że kojarzą ich z programem, im nie przeszkadza. Tyle że nie są śmieszni, wręcz przeciwnie. W dodatku nie mają poczucia humoru.

Po wejściu do pokoju przesłuchań, Malone włączył kamerę.

- Chce pani poczekać na adwokata?

Mira zajęła miejsce na krześle.

- Mniejsza o to. Zaczynamy.

- Gdyby w pewnym momencie zmieniła pani zdanie, proszę natychmiast dać mi znać. - Usiadł naprzeciwko niej. - Dlaczego pani szukała mnie w domu?

- Uznałam, że pan mi pomoże.

- W czym?

- Zaszły różne dziwaczne zdarzenia i byłam dezorientowana.

- Wyjawiała pani Stacy, że nie wie, w co i komu wierzyć. Czy to dokładne sformułowanie?

- Tak.

- Czy ma to coś wspólnego z Connorem Scottem?

Wydała się zaskoczona.

- Dlaczego pan pyta?

Uśmiechnął się.

- Proszę najpierw odpowiedzieć na pytanie.

Skinęła głową, chociaż wydawała się zakłopotana. Powtórzył pytanie:

- Czy ma to coś wspólnego z Connorem Scottem?

- Trochę tak.
- Czy może to pani wyjaśnić?
- Powiedział takie różne... - Pokręciła głową. - To nie ma z tym nic wspólnego.
- Proszę pozwolić, że ja będę to oceniał.
- Chodziło o mojego męża. To naprawdę osobiste sprawy.
- Przecież szukała pani mojej pomocy, prawda?

Skinęła głową i spojrzała mu w oczy.

- Byliśmy we troje przyjaciółmi, ale...
- On był w pani zakochany?

Zarumieniła się. Chyba jednak nie wskutek zakłopotania, lecz i niepokoju, że tak łatwo odczytać jej myśli, uznał Malone.

- On tak twierdzi.
 - Nie wierzy mu pani?
 - Wierzę. Nie spodziewałam się jednak... - Mira spojrzała na dłonie, które splotła przed sobą na stole. - Wyznał, że właśnie dlatego wstąpił do wojska.
 - Rozumiem. Jak dotąd nie ma w tym nic niepokojącego.
 - Powiedział, że Jeff przez cały czas wiedział.
 - O czym wiedział, pani Gallier?
 - Dokąd Connor pojechał i dlaczego. Tymczasem Jeff utrzymywał, że tego nie wie.
 - Co oznaczałoby, że panią okłamywał? - Spencer zrobił krótką pauzę. - Czy uczciwość jest dla pani ważna?
 - Oczywiście.
- Nagle zmienił kierunek.

- Ufa mu pani?
- Connorowi? - Zawahała się. - Ufałam, dopóki...
- Nie wyjawiał prawdy?
- Tak.
- On jest bardzo tajemniczy. Pokręciła głową.
- Nie.
- Nie ma przed panią tajemnic?
- Już nie.
- Uczciwość jest ważna, pani Gallier. Nie będę pani okłamywał: ja mu nie ufam. Sądzę, że i pani nie powinna mu ufać.

Zacisnęła wargi. Łatwo było odczytać z jej twarzy, że targają nią sprzeczne emocje.

- Dlaczego pani go chroni?
- Nie chronię.

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Wydaje mi się bardzo dziwne, że do wszystkich niespodziewanych czy, jak pani mówi, dziwacznych zdarzeń w pani życiu doszło po powrocie pana Scotta do Nowego Orleanu. Nie zastanawiało to pani? - Spencer nie czekał na odpowiedź, tylko mówił dalej: - Dziewiątego sierpnia ma miejsce akt wandalizmu w kościele Sióstr Miłosierdzia. Zostaje zamordowany ojciec Girod. Na witrażach, które pani restaurowała, pojawia się przesłanie dotyczące Sądu Ostatecznego. Dwunastego sierpnia uliczny ewangelizator wdziera się do pani pracowni i napada na panią, wykrzykując okropieństwa o końcu świata. Zdziera pani z szyi krzyżyk i ucieka. Trzynastego sierpnia krzyżyk w tajemniczy sposób do pani wraca, a Kaznodzieja zostaje zamordowany. Szesnastego sierpnia Anton Gallier ginie na skutek postrzału. Co ciekawe, staje się to po tym, jak

wezwał Connora Scotta do wyjawienia pani prawdy.

Mira pochyliła głowę. Spencer odczekał chwilę i spytał:

- Pani Gallier? - Spojrzała na niego bezradnie. - Kiedy Connor odwiedził panią pierwszy raz?
- Tego samego dnia, gdy Kaznodziej zabrał mi krzyżyk - odparła po namyśle.
- Czyli dwunastego - powiedział. - A czy wie pani, kiedy przyjechał do Nowego Orleanu?
- Powiedział, że jest w domu od kilku dni.
- Czy zdziwiłaby pani informacja, że Connor Scott pojawił się w Nowym Orleanie rankiem siódmego sierpnia?
- Siódmego - powtórzyła.
- Dwa dni przed pierwszym zabójstwem. Czy to zbieg okoliczności, że ta krwawa historia zaczęła się po powrocie pana Scotta z Afganistanu? Czy to przypadek, że pani znalazła się w centrum wydarzeń?

Mira milczała, spytał więc ponownie:

- Czy to możliwe, pani Gallier?

Zerwała się z krzesła.

- Nie wiem! Chyba możliwe! Albo...
- Albo co?
- Albo niemożliwe. Nie mam pojęcia! Dlaczego pan mi nie wierzy?
- Chcę pani uwierzyć. Naprawdę. Proszę usiąść.

Usłuchała i Malone mógł pytać dalej.

- Porozmawiajmy o tym, co dotyczy pani bezpośrednio. - Skinęła głową. - Pani uważa, że dwukrotnie ktoś włamał się do jej domu.
- Na pewno.

- Tak, tyle że dom był zamknięty a śladów włamania nie znaleźliśmy. Jak pani to wytłumaczy?
 - Nie potrafię.
 - Czy zmieniła pani zamki po huraganie?
 - Po co miałabym to robić?
 - Rozumiem, że to oznacza „nie”? - Potwierdziła. - A kod do alarmu? Zmieniła go pani?
 - Nie.
 - Czy Connor Scott jako jeden z najdawniejszych i najbardziej zaufanych przyjaciół Jeffa miał dostęp do klucza i kodu?
 - Tak.
 - Nole podarował pani Scott, prawda?
- W oczach Miry pojawiła się niepewność.
- Przecież pan to wie.
 - Założę się, że Nola nawet nie szczerknęłaby gdyby Scott przyszedł niespodziewanie.
 - Rozumiem, do czego pan zmierza, ale to nonsens.
- Malone parł naprzód.
- Wiedziałby, jakiego balsamu po goleniu używał pani mąż...
 - Niech pan przestanie!
 - Co jeszcze mógłby wiedzieć, czym byłby w stanie zakłócić pani równowagę?
- Wstała pobladła, trzęsąc się ze złości.
- Skończyliśmy czy mam poczekać na adwokata?
 - Zaraz wrócę. Muszę porozmawiać o pani zwolnieniu z moją przełożoną - oznajmił Malone i wstał.
- Dołączył do kolegów obserwujących przesłuchanie w sąsiednim pokoju. Nikt się nie odezwał ani

nawet nie zwrócił na niego uwagi. Wszyscy wpatrywali się w monitor, obserwując każdy ruch Miry Gallier.

Chodziła po pokoju. Splatała i rozplatała dłonie. Mówiła do siebie. Co pewien czas przystawała i rozcierała ramiona albo przeczesywała dłonią włosy. Nagle przystanęła i znieruchomiała. Wyraz jej twarzy się zmienił. Miejsce rozpaczliwego zmieszania zajęło zrozumienie.

- Bingo - powiedział Percy.
- Coś wymyśliła - przyznała Bayle, wyraźnie podekscytowana. - Sprawdźmy, co takiego.
- Ej, ej - pohamował ją Spencer. - Powiedziałem, że ją wypuścimy. Sprawdźmy, dokąd pojedzie i co zrobi.

- Ogon w akcji. - Percy skinął głową. - Znakomicie. Popieram brata.

Bayle wydawała się zawiedziona.

- Ale ona coś wie!
- Nie ucieknie. Poza tym, jeśli jej nie wypuścimy, poczeka tutaj na Arnolda i moje starania diabli wezmą.

- Zgoda - ustąpiła Bayle, choć nie wydawała się zadowolona. - Z zastrzeżeniem: daj jej ostatnią szansę podzielenia się tym momentem oświecenia.

Malone zgodził się i wrócił do pokoju przesłuchań. Mira siedziała z dłońmi splecionymi na kolanach.

- Jest pani wolna - powiedział z uśmiechem. - Dziękuję bardzo. Naprawdę doceniam to, co pani zrobiła.

Widział, że spieszy jej się do wyjścia. Odniósł wrażenie, że wcześniejsza desperacja zamieniła się w determinację.

- Czy jeszcze coś chciałaby pani...

Pokręciła głową.

- Nie.

- Na pewno nie? W śledztwie najdrobniejszy szczegół jest istotny.

- Zgadzam się - powiedziała. - Dam więc panu znać, jeśli przyjdzie mi do coś głowy.

- Czy czuje się pani na siłach prowadzić samochód? - spytał. - Może panią podrzucić? Każę dyżurnemu podstawić pani wóz.

Pokręciła głową i razem weszli do windy. Malone wybrał przycisk parteru.

- Odprowadzę panią do auta - oznajmił, gdy funkcjonariusz podjechał fordem focusem Miry.

Nie rozmawiali. Malone zauważył Stacy, czatującą kilka rzędów dalej w srebrnej toyocie camry Mira zajęła miejsce kierowcy. Malone pochylił się, by spojrzeć jej w oczy.

- Gdyby czegoś pani potrzebowała, proszę dzwonić o każdej porze. Może mi pani zaufać.

Przez chwilę mierzyła się z nim spojrzeniami, potem skinęła głową.

- Dziękuję.

Spencer skierował się do budynku komendy, uważając, by nie spojrzeć w stronę Stacy. Mimo to zorientował się, kiedy srebrna toyota zajęła miejsce za wozem Gallier. Miał pełne zaufanie do umiejętności Stacy; wiedział, że potrafi przewidzieć niebezpieczeństwo i odpowiednio zareagować.

Prawdę mówiąc, nie był pewien, czy podchodzą do sprawy z właściwego punktu widzenia. Skupili się na Mirze Gallier i Scotcie, zakładając, że są winni. A jeśli ta teza jest błędna? Jeśli mają do czynienia z szaleńcem, który uważa się za najwyższego sędziego? Jaką rolę wyznaczył on Mirze Gallier? Nie podobała mu się odpowiedź, która się nasuwała. Wrócił do sali odpraw. Czekala tam na niego Bayle.

- Udało ci się - powiedziała z uśmiechem. - Zdobyłeś jej zaufanie. - Klepnęła go po ramieniu. - Dobra robota, partnerze.

- Nie jestem tego pewien.
 - Czemu nie? - Zrównała się z nim krokiem. - Teraz to jest praktycznie automat. Zero myślenia.
 - Zero myślenia - powtórzył. - Naprawdę tak uważasz? Czy w ogóle brałaś pod uwagę, że ona może nie być sprawcą, lecz ofiarą?
 - Do diabła, nie! - Pokręciła głową. - Ten, kto ma wygląd winnego, zwykle jest winny, Malone. Spotykamy się z tym na co dzień, rok po roku.
- Miała rację. Mimo to instynkt prowadził go w innym kierunku. Posiedział to Bayle. Wzruszyła ramionami.
- Może masz rację, ale nie sądzę.
 - Nigdy się nie mylisz?
- Uśmiechnęła się szeroko.
- Oczywiście, że nie. A ty?
 - Nigdy - Odwzajemnił jej uśmiech. - Niech zwycięży najlepszy - dodał i zaczął się oddalać.
 - Pieprzysz głupoty, Malone! - zawołała za nim.
- Przystanął i zerknął przez ramię.
- Nie ja jeden. Zobaczymy się później. Czuj się tak, jakbyś już przegrała.

Rozdział 47

środa, 17 sierpnia godz. 12.10

Mira wiedziała, co robić. Zwróciła jej na to uwagę Stacy Killian. Wszystko kwestionować. Zacząć od tego, o czym wiadomo, że jest prawdą. Przedstawić to sobie tak, jakby nie musiało być prawdziwe. Tylko czego lub kogo potem szukać? - zadała sobie w duchu pytanie. Szybko znalazła odpowiedź: kogoś, kto mógłby chcieć jej krzywdy. Zerknęła na zegar na desce rozdzielczej i

stwierdziła, że Deni właśnie kończy spotkanie z kursantami. Wystukała numer asystentki.

- Gdzie jesteś? - odezwała się Deni. - Wszystko dobrze?
- Tak. Jadę do domu.
- Nie wpadniesz?
- Nie. Muszę pewne rzeczy przemyśleć, uporządkować kilka spraw.
- Mogłabym ci pomóc. Sądzę, że nie powinnaś być sama. Boję się o ciebie.
- Muszę to zrobić sama. Wszystko będzie dobrze. - Mira zamilkła na chwilę, po czym dodała: -

Bardzo ci dziękuję. Cieszę się, że jesteś moją przyjaciółką.

Mogła jednak nią nie być.

Mira pokręciła głową, zaskoczona tą myślą. Dlaczego Deni chciała jej krzywdy?

- Jak przebiegło przesłuchanie?
- Zadali mi mnóstwo pytań, głównie o Connora.
- O Connora? - zdziwiła się. - Czy sądzą, że zabił tych wszystkich ludzi?
- Nie powiedzieli tego wprost, ale na to wygląda.
- Co teraz?
- Czysta kartka.
- Nie rozumiem. Co to znaczy?
- Muszę kończyć. Wpadnę później.
- Poczekaj! Zadzwoń do doktor Jasper?
- Jeszcze nie. Odezwała się znowu?
- Nie, ale... Zdawało mi się, że widziałam, jak przejeżdża pod firmą.
- Doktor Jasper? Naprawdę?
- Wnosiłam szkło do śmietnika. Najpierw sądziłam, że skręci na nasz podjazd, ale samochód

pojechał prosto.

- Jesteś pewna?
- Niemal w stu procentach. Czy ona jeździ takim pięknym srebrzystoniebieskim jaguarem?
- Tak.
- Doktor Jasper nie była sama. Siedział obok niej mężczyzna.

Mira czekała, co teraz nastąpi. Była ciekawa, czy po wszystkim, co zaszło, można ją zaskoczyć.

- Miro - ciągnęła Deni. - On wyglądał jak Jeff.

Jak Jeff? Mężczyzna z doktor Jasper? Nagle otrzeźwiły ją ryk klaksonów i zgrzyt hamulców. Upuściła telefon. Uświadomiła sobie, że wjechała na skrzyżowanie na czerwonym świetle. Mogła zabić siebie albo kogoś innego.

Opuściła niebezpieczne miejsce i zaparkowała przy krawężniku. Oparła głowę na kierownicy i kilka razy głęboko odetchnęła. Uczucie paniki minęło, przypomniała sobie o Deni. Podniosła telefon z podłogi.

- Deni, jesteś tam? - zdołała z siebie wydusić.
- Co się stało? - rozległ się głos asystentki.
- Nie zauważyłam czerwonego światła i o mało nie spowodowałam wypadku.
- To moja wina. Nie powinnam była ci tego mówić. Może poniosła mnie wyobraźnia. Może ten mężczyzna wyglądał podobnie, a po tym, co powiedziałaś mi wczoraj w nocy... Zresztą, byłam przy naszym budynku, a ona jechała ulicą... - Deni urwała.

Mira usiłowała się skupić. Dlaczego doktor Jasper przejeżdżała obok jej firmy? I kto mógł z nią być? Nie Jeff, rzecz jasna. Wszystko podawaj w wątpliwość. Nikomu nie ufaj.

- Nie powinnam była cię niepokoić. Ona pewnie martwi się o ciebie i przejechała tędy, żeby sprawdzić, czy twój samochód stoi na parkingu - odezwała się Deni. - Poza tym jest dużo

wysokich, ciemnowłosych...

- Nie przejmuj się tym - przerwała jej z wymuszonym spokojem Mira. - Zadzwoń do niej zaraz po powrocie do domu.

Ostrożnie włączyła samochód do ruchu. Wprawdzie zdołała skupić uwagę na drodze, ale jej myśli błądziły. Po co doktor Jasper miałaby tamtędy przejeżdżać? Mogła przecież ponownie zadzwonić. Przypomniała sobie poprzedni wieczór. Doktor Jasper zatelefonowała chwilę po tym, jak Mira odebrała wiadomość od Jeffa. Zbieg okoliczności? A może wynik starannego planowania?

Doktor Jasper lepiej niż ktokolwiek znała jej najtajniejsze myśli, największe nadzieje i lęki. Wiedziała o najintymniejszych szczegółach jej małżeńskiego pożycia. Jednak nie znała Jeffa. Wspomniałaby przecież, gdyby było inaczej. Czy jednak na pewno? Mira pokręciła głową. To niedorzeczne. Dlaczego doktor Jasper by ją zastraszała? Co by przez to zyskała?

Mocniej zacisnęła dłonie na kierownicy. Trafiła do doktor Jasper z czyjegoś polecenia. Czyjego? Przypomniała sobie, że był to ktoś, kto znał Jeffa. Skierowała samochód w swoją ulicę. Światło na ganku pani Latrobe wciąż się paliło. Mira raptownie przycisnęła pedał hamulca i zatrzymała samochód pośrodku ulicy, przed domem staruszki. Jeszcze raz spojrzała na zapaloną lampę. Racją istnienia Louise Latrobe było szpiegowanie sąsiadów. Mira odniosła wrażenie, że jest obiektem szczególnego zainteresowania. Na co ta kobieta narzekała, kiedy ostatnio rozmawiały? Skarżyła się na przychodzenie i wychodzenie ludzi różnych porach dnia i nocy z domu Miry. Znała Jeffa.

Mira postawiła samochód przy krawężniku, wyskoczyła z niego i wbiegła na obszerny ganek domu Louise Latrobe. Zadzwoiła i stanęła w oczekiwaniu, gorączkowo zastanawiając się, co powiedzieć. Trzeba subtelnie, pomyślała. Zacznie po sąsiedzku, że zaniepokoiło ją światło pozostawione na ganku. Potem przejdzie do tego, co sąsiadka nazwała „ciągłym przychodzeniem i wychodzeniem ludzi”. Zdziwiła się, że nie wpadła na ten pomysł wcześniej.

Zadzwoiła jeszcze raz, a potem głośno zapukała.

- Pani Latrobe? Louise? Tu Mira Gallier.

Starsza pani nadal nie zareagowała. Rzadko opuszczała dom. W piątki po południu wybierała się do salonu piękności na mycie głowy i układanie włosów, czasem wychodziła do lekarza. Nawet artykuły spożywcze dostarczano jej do domu. Czy to możliwe, że zachorowała? A może miała wypadek? Czy mogła trafić do szpitala? To wyjaśniałoby, dlaczego w dzień pali się światło. Nie byłoby to zaskakujące, zważywszy na wiek pani Latrobe.

Mira zerknęła przez matowe szkło wąskiego okna przy drzwiach. Lampa w salonie również była zapalona. Nie wydawało się jednak, by coś było nie na miejscu.

- Pani Latrobe! - zawołała jeszcze raz i ze zniecierpliwienia zabębniła pięścią w drzwi. - Tu Mira Gallier. Proszę otworzyć, muszę z panią pomówić!

Ponieważ nadal nie doczekała się odpowiedzi, zbiegła ze schodków i obeszała dom. Zapukała od tyłu, ale wynik pozostał bez zmian. Czując się jak złodziej, poruszyła gałką. Zamknięte. Wróciła na ulicę. Było piekielnie gorąco, a do tego nieznośnie parno, jak to zwykle w sierpniu w Nowym Orleanie. Pot zbierał jej się nad górną wargą i spływał stróżką po plecach. Bawełniana bluzka kleiła się do ciała.

Pani Latrobe nie ma w domu, powiedziała sobie Mira, ponownie wspinając się po schodkach na ganek. Należało spróbować szczęścia później i wtedy ją wypytać. Tak postąpiłby racjonalnie myślący człowiek. Tyle że Mira działała pod wpływem emocji i była u kresu wytrzymałości. Ktoś ją zadreślał. Istniała duża szansa, że Louise Latrobe wie, kto jest za to odpowiedzialny, może nawet potrafiłaby go zidentyfikować.

Mira zerknęła przez ramię i sięgnęła do gałki. Drzwi stanęły otworem.

Pani Latrobe nie ufała nikomu. Nie zostawiłaby w ciągu dnia zapalonego światła, a tym bardziej

otwartych drzwi. Coś musiało się stać.

- Louise! - zawołała, wchodząc do sieni. - To ja, Mira Gallier. Chcę sprawdzić, czy wszystko u pani w porządku.

W domu panowała cisza, jeśli nie liczyć tykania masywnego, wysokiego zegara, stojącego pod przeciwległą ścianą. W mieszkaniu było ciepło, wyczuwało się też kwaśny zapaszek. Mira z odrazą zmarszczyła nos. Skierowała się do salonu, gdzie widziała zapaloną lampę. Okno pokoju wychodziło na dom Miry. Przy nim stało duże krzesło z szerokim oparciem, na stoliku obok leżała lornetka.

- Louise? - zawołała jeszcze raz Mira.

Nic nie wydawało się naruszać porządku. Przesunęła wzrok niżej, ku podłodze. Zatrzymała go na niewielkiej, bladej dłoni wystającej zza krzesła.

Zmartwiła.

- Pani Latrobe - szepnęła. - Niech pani coś powie, proszę.

Louise Latrobe leżała na plecach przed krzesłem, a jej twarz zastygła w upiornej masce pośmiertnej. Na jej czole widniała cyfra 4, wypisana tym samym pomarańczowym kolorem, który pokrywał wargi staruszki.

Mira stała nieruchomo, przejęta trwogą. Chciała uciec, ale nie mogła się ruszyć. Zegar wybił godzinę. To ją wyrwało z odrętwienia. Pognęła ku wyjściu, krzycząc wniebogłosy. Frontowe drzwi były otwarte. Mira przemknęła przez nie, wyskoczyła na ganek i wpadła prosto na Stacy Killian.

Rozdział 48

środa, 17 sierpnia godz. 13.03

- Pomocy! - zawołała Mira. - Moja sąsiadka! Chyba nie żyje!

Stacy chwyciła ją za ramiona.

- Spokojnie. Niech pani na mnie spojrzy. Proszę skupić wzrok i głęboko odetchnąć.

Mira machinalnie wykonywała polecenia Stacy, patrzyła jej w oczy i głęboko oddychała. Początkowo nogi trzęsły jej się tak bardzo, że upadłaby, gdyby policjantka jej nie podtrzymała. Stopniowo jednak odzyskiwała równowagę i zawroty głowy ustępowały.

- Już dobrze - powiedziała w końcu Stacy, opuszczając ramiona. - Proszę mi powiedzieć, co się stało.

- Pani Latrobe... Louise... Przyszłam z nią porozmawiać. Nie odpowiedziała na dzwonek... weszłam i... tam leżała.

- Gdzie?

Zadrżała na to wspomnienie.

- Na podłodze w salonie.

- Dotykała jej pani?

Pokręciła głową.

- Dotykała pani czegokolwiek?

- Nie.

- To dobrze. Muszę teraz wejść na chwilę do środka, zaraz wrócę. Pani zostanie tutaj. Da pani radę?

Mira skinęła głową, choć zaczęła szczerkać zębami. Stacy znikła we wnętrzu domu. Mira z całej siły zacisnęła powieki z nadzieją, że pozbędzie się w ten sposób obrazu śmiertelnego grymasu staruszki i ohydnej pomarańczowej czwórki na jej czole. Kto mógł coś takiego zrobić?

Stacy wróciła. Rozmawiała przez komórkę.

- Jestem na miejscu zdarzenia. Tak, jest ze mną. Jasne. Ja też cię kocham.

Detektyw Malone. Mira uświadomiła sobie, że wpadła w poważne tarapaty.

- O Boże!

Stacy schowała telefon.

- Co się stało?

- Ja tego nie zrobiłam.

- Nikt tak nie twierdzi.

- Ale detektyw Malone... przesłuchiwał mnie w sprawie innych morderstw... a teraz... - Ukryła twarz w dłoniach. - Co będzie ze mną?

Stacy stanęła tuż przed nią.

- Spencer już jedzie. Jest po pani stronie, podobnie jak ja. Niech pani wszystko nam opowie, to pomożemy.

Mira opuściła ramiona.

- Naprawdę sądzi pani, że jesteście w stanie?

- Słowo daję. - Stacy wyjęła z kieszeni nieduży notatnik i długopis. - Jakie stosunki łączyły panią z Louise Latrobe?

- Byłyśmy sąsiadkami.

- Czy żyłyście w przyjaznych stosunkach?

- Nieszczególnie, ale nigdy się nie pokłóciłyśmy. Nie tak naprawdę.

- Nie tak naprawdę?

Mira roztarła ramiona.

- Była wścibska. Większość czasu spędzała na podglądaniu sąsiadów, zwłaszcza mnie. Czasem robiła jakieś uwagi albo zgłaszała pretensje.

Słyszając trzask samochodowych drzwiczek, Mira zerknęła w stronę ulicy. Detektyw Malone

zmierzał ku nim chodnikiem. Chwilę później rozległy się syreny. Przyjechały ambulans i dwa wozy policyjne.

- Miro, proszę na mnie popatrzeć - powiedziała Stacy. - Oni zajmą się swoją robotą, a pani ze mną porozmawia. Pogadamy jak dwie przyjaciółki, które razem poszły na lunch.

Skinęła głową. Bardzo chciałyby, żeby tak właśnie było.

- Ostatnio przytrafiają mi się dziwne zdarzenia. Miałam nadzieję, że pani Latrobe będzie mogła mi pomóc.

- Nie bardzo za panią nadążam. Czy można prosić o wyjaśnienie?

- Wczoraj przyszedłam do pani Latrobe spytać, czy słyszała szczekanie Noli, i przeprosić, gdyby rzeczywiście ją zbudziła. Ona powiedziała, że nie słyszała, ale zrobiła uwagę na temat przychodzenia i wychodzenia ludzi o różnych porach dnia i nocy. Myślałam, że chodzi jej o policję i...

- O te sytuacje, kiedy telefonowała pani do Spencera?

- Do detektywa Malone'a, tak. Odwiedzał mnie też wieczorem Connor. Nie prosiłam więc o wyjaśnienie. Ona była dość nieprzyjemna.

- Kiedy rozmawialiśmy dziś rano, wspomniała pani, że zastanawia się, czy mąż żyje. Skąd ten pomysł?

Detektyw Malone stanął obok nich. Mira zerknęła na niego i przeniosła wzrok na Stacy.

- Zadzwoił do mnie wczoraj wieczorem. To na pewno był jego głos. Poinformował, że niedługo będzie w domu.

- Czy powiedział coś jeszcze?

- Nie. Upuściłam telefon i rozmowa się przerwała.

- Co pani zrobiła potem?

- Nie zadzwonił drugi raz, a ja byłam mocno przestraszona. Pojechałam więc do przyjaciółki i przenocowałam u niej.

Stacy spojrzała na nią zdziwiona.

- Nie poczekała pani na niego w domu, tak na wszelki wypadek?

- To nie ma sensu, prawda? - Mira przytknęła dłoń do czoła. - Moja terapeutka zadzwoniła...

- Jak się nazywa?

- Doktor Adele Jasper. Zadzwoniła bezpośrednio po mojej rozmowie z Jeffem, ale na telefon stacjonarny.

- Czy powiadomiła ją pani, co się stało?

- Niezupełnie.

- Dlaczego nie?

Mira odwróciła wzrok, czuła się jak kompletna idiotka.

- Po prostu... nie mogłam. Wiedziałam, co sobie pomyśli.

- Co takiego?

- Że miesza mi się w głowie. Musiałam porozmawiać z kimś, kto mógłby mi uwierzyć. Pojechałam więc do Deni. Przekonała mnie, abym została u niej na noc. Miałam przy sobie telefon komórkowy. Zresztą, gdyby to naprawdę był Jeff, czy nie zatelefonowałby ponownie?

- Wydaje się to przekonujące - powiedziała Stacy - Dlaczego pani nie oddzwoniła?

- Nie mogłam. Numeru nie było w spisie. Komórka go nie zarejestrowała.

- A co wydarzyło się dziś rano, zanim przyjechała pani do mnie?

- Wróciłam do domu o bardzo wczesnej porze. Z powodu Noli i jeszcze dlatego... no, zastanawiałam się, czy on może tutaj być.

- Ale go nie było?

Pokręciła głową.

- Wyglądało jednak tak, jakby był. Zostało wgłębienie na poduszce, jakby opierał na niej głowę. Poduszka pachniała tak jak on. - Mira spojrzała na swoje splecione dłonie, a potem znowu na detektywów. - Dlatego tutaj przyszłam. Pamiętałam, co Louise powiedziała o ludziach, którzy do mnie przychodzą. Poza tym paliło się światło na ganku. - Przed oczami stanął jej obraz Connora. Wspomniała jego pocałunek i doznanie, jakie u niej wywołał. Tym z policją nie zamierzała się dzielić. - Ona знаła Jeffa. Gdyby żył, poznałaby go na pewno. Wydawało mi się też, że potrafiłaby opisać, kogo widziała i kiedy.

- Słusznie. A co ze światłem?

- Było zapalone w ciągu dnia. Louise nigdy go tak nie zostawiała. Kiedyś zrobiła Jeffowi i mnie wykład na temat tego, jak wiele zużywamy elektryczności.

Mira dostrzegła, że wargi Stacy nieznacznie się unoszą.

- Dlaczego więc weszła pani do jej domu?

- Pukałam i wołałam. Od frontu i od tyłu, a potem po prostu sprawdziłam klamki. - Głos jej zadrżał. - Żałuję, że weszłam. Ona tak okropnie wyglądała. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek była w stanie wyrzucić to z pamięci.

- Stopniowo będzie coraz lepiej, Miro. Może mi pani wierzyć. - Stacy uściśnęła jej dłonie. - Kiedy ostatnio widziała pani sąsiadkę żywą?

- Niech pomyślę, tak wiele się zdarzyło. - Przytknęła palce do skroni. - Rozmawiałam z nią we wtorek po południu, wtedy powiedziała o tych ludziach, co przychodzą i wychodzą.

- I to był ostatni raz?

- Tak. Nie, chwileczkę. Ostatniego wieczoru. Około dziewiątej, kiedy wróciłam do domu po przesłuchaniu u was.

- Czy na pewno to była ona?

Zastanowiła się chwilę i skinęła głową.

- Tak. Zapaliło się światło na ganku i zobaczyłam ją w oknie przy drzwiach. Pomachałam jej, ale nie odpowiedziała.

- Dziękuję. - Stacy wskazała kciukiem Spencera. - Musimy porozmawiać. Niech pani tu zostanie, dobrze? Zaraz wrócę.

Gdy odeszli kilka kroków, Mira uświadomiła sobie nieprawdopodobieństwo całej tej sytuacji.

- Stacy?

Kobieta zerknęła na nią przez ramię.

- Słucham.

- Jak to się stało, że była pani tutaj akurat w chwili, kiedy pani potrzebowałam?

Uśmiechnęła się.

- Zastanawiałam się, kiedy pani o to spyta. Spencer polecił mi mieć panią na oku. Wyszło z korzyścią dla nas obu, prawda?

Mira zmarszczyła brwi.

- Nie rozumiem.

- Nie musiałam siedzieć przed telewizorem, a pani ma kogoś, kto potwierdzi jej wersję wydarzeń.

Stacy ją śledziła na polecenie Malone'a. Właśnie dlatego pozwolił jej wrócić do domu, pomyślała Mira. Jednak to rzeczywiście przyniosło jej korzyść, Stacy miała rację. Zadrżała i spojrzała w duże frontowe okno domu. Jej uwagę zwrócił odbity w nim wizerunek srebrzysto-niebieskiego jaguara wolno przesuwającego się ulicą. Doktor Jasper. Ulica była pełna policji i ambulansów, dla ruchu został tylko jeden pas. Wcześniej nie zauważyła jaguara, ale to nie znaczyło, że go tu nie było, że

nie zatrzymał się za policyjną furgonetką lub ambulansem.

Zbiegła ze schodów i przeciąwszy trawnik, stanęła przy krawężniku. Popatrzyła w jedną stronę, potem w drugą. Ani śladu srebrzysto-niebieskiego jaguara. Jeśli nawet tu stał, to zdążył odjechać.

Rozdział 49

środa, 17 sierpnia godz. 13.40

Przez uchylone drzwi Malone dostrzegł Bayle, wielkimi krokami zmierzającą ku domowi. Wyglądała na zirytowaną. Wpisała się do książki wejść i wbiegła na ganek. Skinęła głową Stacy, potem zwróciła się do niego.

- Słowo na osobności, partnerze.

Znaleźli zaciszny kąt, gdzie Bayle mogła się na niego rzucić.

- Jak to się stało, że dotarłeś tutaj dużo szybciej niż ja?!

- Może miałem zieloną falę?

- To raczej Stacy cię powiadomiła. Zadzwoiłeś do mnie dopiero wtedy, gdy byłeś w drodze.

- Mniej więcej tak.

Szczerłość Malone'a na chwilę zbiła ją z tropu.

- Co tutaj robi Stacy?

- Powiedziałem ci, że kazałem śledzić Gallier. Nie zapytałaś, kto to robi.

- Ty draniu - zniżyła głos. - W co grasz?

- W nic. Teraz masz problem ze Stacy?

Zaczerwieniła się po uszy.

- Nie mam problemu ze Stacy, tylko z tobą.

- Nie ty jedna. Nie musieliśmy odciągać nikogo od innych zadań, Stacy jest świetną policjantką,

a do tego zna Gallier. Poza tym stuprocentowo jej ufam.

- Zadbaj przede wszystkim o twoje interesy.

Zmrużył oczy.

- Tu nie chodzi o mnie ani o ciebie, Bayle. Na pierwszym miejscu stawiam dobro śledztwa i schwytanie przestępcy. Czy możesz powiedzieć to o sobie?

Oczy ją zdradziły. Próbowwała się maskować, ale jakiegokolwiek miała cele, były zbyt mocno ustalone, by potrafiła je w pełni ukryć. Co się, u diabła, z nią działo?

- Co tu mamy? - spytała sztywno.

Spencer wskazał w stronę salonu.

- Sama zobacz.

- Nazywała się Louise Latrobe - dodał po chwili, gdy stanęli obok Stacy przy ofierze. - Miała osiemdziesiąt dziewięć lat. Tak stanowi prawo jazdy, nawiasem mówiąc, wciąż ważne, wydane przez stan Luizjana. Kobieta była wdową i mieszkała samotnie.

Malone spróbował spojrzeć na ofiarę oczami Bayle, czyli tak, jakby zobaczył ją pierwszy raz. Leżała na podłodze między oknem a masywnym krzesłem. Była drobna i koścista. Ciało było lekko skręcone, jakby próbowała podeprzeć się przy upadku, Jedną ręką leżała na piersi, druga była wyciągnięta wzdłuż boku. Twarz zastygła w grymasie.

- Co to znaczy, do diabła? - spytała Bayle, wskazując wypisaną na czole cyfrę.

- No właśnie, pani detektyw - powiedział przedstawiciel koronera, który kończył badać zwłoki.

- Co o tym sądzisz, Ray?

- Nie ma śladów walki. Nie ma widocznych znaków na ciele, oczywiście jeśli nie brać pod uwagę cyfry cztery. Paznokcie wydają się czyste. Niewiele się dowiemy.

- Jak ją zabił?

- Nie jestem pewien, czy to zrobił.
 - Jak to? - włączył się Malone.
 - To mógł być zawał.
 - Zawał? - powtórzyła Bayle. - Na jakiej podstawie tak sądzisz?
 - Taką pozę widzimy u ofiar zawału serca. Ręka zaciśnięta na piersi. Nie próbowała odeprzeć napastnika.
 - Czyli zanim dostała nagle zawału - powiedziała zirytowanym tonem Bayle - postarała się o pomarańczową szminkę i namalowała sobie czwórkę na czole?
 - Nie sądzę - odparł Ray. - Nie twierdzę, że nie było tutaj mordercy, mówię tylko, że nie wydaje mi się, by ją tknął.
 - Co więc się stało?
 - Śmiertelnie ją przestraszył.
- Zapadła cisza. Przerwał ją Spencer.
- Gdzie jest szminka? - Kiedy nikt nie odpowiedział, skierował to pytanie do techników. - Czy ktoś zabezpieczył pomarańczową szminkę?
- Nikt się nie zgłosił.
- Lornetka potwierdza wersję Gallier - powiedział, zwracając się do Stacy i Bayle.
 - To znaczy? - spytała Bayle. - Nie dane mi było poznać.
- Stacy szybko wprowadziła ją w szczegóły i zakończyła, mówiąc:
- Jak widać, Latrobe była miejscowym szpiegiem.
 - Kupujesz powiastkę Gallier? Mnie się wydaje, że szpiegowanie sąsiadki to bardzo dobry motyw.
 - Zgadzam się, że to motyw. Nie sądzę jednak, by miał znaczenie dla Gallier.
 - Będę tutaj adwokatem diabła - oznajmiła Bayle. - Mamy do czynienia z czterema

morderstwami i wszystkie są powiązane z Gallier. Ona zdaje sobie sprawę z tego, że prędzej czy później przesłuchamy wścibską staruszkę.

- To brzmi dobrze - oceniła Stacy. - Tyle że jechałam za Gallier. Jej wersja doskonale pasuje do tego, co widziałam na własne oczy.

- Naprawdę? - Bayle zrobiła zdziwioną minę. - Gdzie byłaś, kiedy ona parkowała?

- Przy następnej przecznicy.

- Widząc z takiej odległości jej twarz, możesz powiedzieć, że nic z tego nie zostało zaplanowane ani wyćwiczone?

Stacy zmrużyła oczy.

- Oczywiście, że nie. Było tak, jak opisała. Skręciła we Frenchmen, kilka długości samochodu za zakrętem dała po hamulcach. Przez chwilę siedziała w stojącym samochodzie pośrodku ulicy. Potem zjechała do krawężnika i zaparkowała. Widziałam, jak biegnie przez trawnik do domu. Pukała, zaglądała przez okna, zaszła od tyłu, wróciła do frontowego wejścia. Wyglądała na zdeterminowaną, a później również wzburzoną.

- Wzburzoną? To ciekawe.

- Kiedy nielegalnie weszła do domu, ruszyłam za nią. Wybiegła półprzytomna z przerażenia.

- To mnie przekonuje - stwierdziła ironicznie Bayle. - Nigdy nie natknęłam się na sprawcę, który miałby zdolności aktorskie.

Stacy nie znosiła sarkazmu, więc Malone szybko wmieszał się do tej wymiany zdań.

- Załóżmy, że jest to robota tego samego sprawcy, co poprzednio. Trzem ofiarom towarzyszyło przesłanie. Pierwszej: „I powtórnie przyjdzie w chwale sędzić żywych i umarłych, a królestwu Jego nie będzie końca”, drugiej po prostu: „Dzień Sondu”, a trzeciej: „Wyrzucił siedem złych duchów”. Tu mamy jedynie liczbę cztery. Co ona nam mówi?

- Rozpoczęło się odliczanie - wyjaśniła Stacy.
- Odliczanie? Do dnia Sądu Ostatecznego?
- Nie. Do siedmiu złych duchów. Ojciec Girod był numerem pierwszym, Kaznodzieja drugim, Anton Gallier trzecim, Latrobe jest czwartym. Jeszcze trzy.

Rozdział 50

środa, 17 sierpnia godz. 16.10

Kiedy detektyw Malone pozwolił pani Gallier wrócić do domu, Stacy uparła się, że ją odprowadzi. Chociaż Mira zapewniała, że nie jest to konieczne, ten gest wydał jej się krzepiący. Gdy przepytowała ją detektyw Bayle, odniosła nieodparte wrażenie, że gdyby nie było na miejscu potwierdzającej jej wersję wydarzeń Stacy, to zamiast odejść wolno, zostałaby zakuta w kajdanki.

- Ma pani do kogo zadzwonić? - spytała ją Stacy, gdy wychodziły na ulicę.

Podczas gdy Mira czekała na ganku Louise, spadł typowy sierpniowy deszcz.

- Dam sobie radę.

Pragnęła zatelefonować do Connora, wydawało jej się jednak, że nie powinna. Czy chciała to uczynić, bo w przeszłości byli przyjaciółmi? Czy dlatego, że czuła się przy nim bezpieczna? A może dlatego, że wyznał jej miłość? Z zadumy wyrwał Mirę głos Stacy.

- Ma pani taką osobę?

- Tak, naturalnie.

- Kogo?

- Moją asystentkę Deni i przyjaciela Connora. Jeszcze nie zdecydowałam, kogo z nich wybrać.

- Nie ma pani rodziny?

- Nie, ale oni są dla mnie jak rodzina.

Wyszły na ulicę. Ambulans, samochód koronera i dwa wozy patrolowe odjechały. Zostały jeszcze furgonetka techników i kilka prywatnych samochodów należących do policjantów.

- Który samochód jest pani? - spytała Mira.

Stacy wskazała srebrną toyotę camry zaparkowaną naprzeciwko jej domu.

- Czemu pani pyta?

- Chcę wiedzieć, za czym się rozglądać w razie kłopotów.

Stacy uśmiechnęła się.

- Miejmy nadzieję, że nie będzie to potrzebne. Poza tym podejrzewam, że kiedy moja przełożona o tym usłyszy, znowu zacznę wypełniać dni oglądaniem telewizji.

- Wiem, jak to panią nudzi.

Doszły do podjazdu. Stacy wyciągnęła rękę z wizytówką.

- Wiem, że ma pani numer Spencera, ale dokładam jeszcze mój.

- Dziękuję. - Mira wzięła kartonik.

- Proszę myśleć o mnie jak o policjantce i zarazem przyjaciółce. Mówię poważnie.

Nola czekała przy drzwiach. Mira wypuściła ją, żeby załatwiła swoje sprawy, po czym zawołała ją z powrotem do domu. Suka przybiegła i natychmiast ulokowała się w kuchni. Mira powoli szła za nią. Zastanawiała się, czy jeszcze kiedykolwiek poczuje się całkiem bezpieczna. Nakarmiła Nolę i usiadła przy kuchennym stole.

Należało zrobić następny krok. Wyjaśnić jedną sprawę. Mira wzięła długopis i zapisała w notesie: Deni, Chris, Connor, doktor Jasper. Sięgnęła po komórkę i wybrała numer terapeutki. Odebrała natychmiast.

- Miro, gdzie jesteś?

Zamiast odpowiedzieć na pytanie, postawiła własne.

- Czy pani mnie szukała, doktor Jasper?
 - Tak. Umówiliśmy się na dzisiaj rano, przyjechałam wcześniej do gabinetu, ale się nie pokazałaś.
 - Czy pani wciąż jeździ srebrzysto-niebieskim jaguarem?
 - Typ Silver Cloud. Tak, ale...
 - Niedawno widziałam, jak pani przejeżdżała pod moim domem. Wcześniej Deni widziała panią pod firmą.
 - Jestem w gabinecie, Miro. Nie wychodziłam od czasu naszej umówionego spotkania dziś rano. Czy Deni mogła się pomylić? Czy i ją mógł zawieść wzrok? A może doktor Jasper kłamała?
 - Deni wydawało się, że w samochodzie jedzie a z panią Jeff.
 - Przepraszam, czy powiedziałaś „Jeff”?
 - Tak. Czy on z panią był?
 - Nie. On nie żyje.
 - Telefonował do mnie wczoraj wieczorem.
 - Słucham?! - spytała wyraźnie zaskoczona.
 - Telefonował Jeff. Powiedział, że wkrótce będzie w domu.
- Terapeutka długo milczała. Gdy wreszcie się odezwała, wypowiadała słowa cicho i kojąco, starannie kontrolowanym tonem, jakby usiłowała wpoić trochę rozsądku człowiekowi choremu na umyśle. Jej, Mirze Gallier.
- Żałuję, że to nie ja przejeżdżałam. Żałuję również, że to nie Jeff dzwonił i że nie było go ze mną w samochodzie. Przez cały dzień siedziałam w gabinecie, a Jeff nie żyje. Nie żyje - powtórzyła. - Bardzo mi przykro.
- Mira mocno zacisnęła dłoń na aparacie.

- Zobaczyłaś to, co chciałaś - ciągnęła terapeutka. - Wczoraj wieczorem usłyszałaś głos, który chciałaś usłyszeć.

- Próbowałam sobie przypomnieć, kto mi panią polecił.

- Nie pamiętam. To było lata temu.

- Ktoś, kto był na nabożeństwie żałobnym. Ktoś związany z Jeffem albo jego rodziną.

I nagle sobie przypomniała. Olśniło ją.

To nie był ani jej przyjaciel, ani Jeffa. To Charlotte, jedna z doskonale zakonserwowanych matron, które nigdy nie miały pojedynczego włosa nie na miejscu ani złamanego paznokcia. Podobnie jak doktor Jasper.

- Nawet trudno nam sobie wyobrazić, jak wielką władzę ma nad nami umysł - powiedziała terapeutka. - Prowadziłam pacjentkę, która narzuciła swemu ciału „ciążę”. Miała poranne nudności, obolałe piersi, rósł jej brzuch. Tak bardzo chciała zajść w ciążę, że do tego doprowadziła. Czy to znaczy, że w jej łonie rósł prawdziwy, żywy płód? Oczywiście nie.

- Dlaczego tak rozpaczliwie stara się pani mnie przekonać, że to wszystko jest w mojej głowie?

- Ponieważ to naprawdę jest w twojej głowie. Nie nazwałabym też mojego postępowania rozpaczliwym. Od początku zależało mi na poprawie twojego samopoczucia. Robiłaś wielkie postępy. Byłyśmy o krok od przerwania terapii. Obecnie twój stan psychiczny jest bardziej niestabilny niż wtedy, gdy zaczynałyśmy terapię.

- Po czyjej panie jest stronie, doktor Jasper?

- Jak możesz stawiać takie pytanie? Po twojej.

- Dlaczego nie powiedziała mi pani, że przyjaźniła się z Gallierami ani że zna Jeffa?

- Nie przyjaźnię się z Gallierami i nie znałam Jeffa. Charlotte i ja należałyśmy do kilku komitetów, ale to wszystko.

- Powinna była pani od razu mnie o tym uprzedzić, zważywszy na to, czemu mnie poddała.
 - Powinnam, gdybym uważała, że w jakikolwiek sposób będzie to kolidowało z moją zdolnością do prowadzenia twojej terapii - stwierdziła stanowczo.
 - Ufałam pani.
 - Wciąż możesz mi ufać. Daję ci słowo.
 - Muszę iść.
 - Bardzo boję się o ciebie. Jesteś w bardzo niebezpiecznym punkcie.
 - Sądzę, że niebezpieczeństwo może mi grozić z pani strony.
 - Miro - przekonywała ją przymilnym tonem - przecież wiesz, że to nieprawda. To fałsz, a do tego destruktywny.
 - Kończę rozmowę. Do widzenia, doktor Jasper.
 - Nie, poczekaj! Była tutaj policja. Zadawała mi pytania na twój temat.
 - Jakiego rodzaju pytania?
 - O twoją terapię i stan psychiczny. A także o twoje odczucia w związku z teściem.
- Mira zmartwiła.
- Co pani im powiedziała?
 - Oznajmiłam, że to, o czym rozmawiamy podczas spotkań terapeutycznych, jest objęte tajemnicą zawodową. Zadawali jednak również dużo pytań o Connora Scotta i łączące was stosunki. O to, czy go poznałam. Czy dużo o nim mówiłaś. Oni coś wiedzą. Nie wydaje mi się, żebyś dobrze robiła, ufając Scottowi.
- Mirze zjeżyły się włosy na karku.
- Ostrzega mnie pani przed Connorem? Przecież pani go nie zna.
 - Wiem, że to wszystko się zaczęło po jego powrocie do Nowego Orleanu. Wraz z przybyciem

Connora pojawiły się w twoim życiu te... zjawy Jeffa.

- Czy to pani, doktor Jasper?
- Czy ja co?
- Czy pani próbuje mnie zastraszyć? Czy w jakiś sposób odtworzyła pani głos Jeffa? A co z balsamem po goleniu? Czy wspomniałam przy pani, jakiego używał? Czy może powiedziała to pani Charlotte Gallier?

- Przestań! Przyjedź do mnie. Porozmawiamy.

- Do widzenia, doktor Jasper.

Mira się rozłączyła. Niemal natychmiast odezwała się komórka, lecz Mira przerwała połączenie. Chwilę później dotarł do niej esemes.

„Zależy mi na poprawie Twojego samopoczucia. Możesz mi zaufać”.

Po chwili doszła druga wiadomość. „Bądź ostrożna, Miro. Proszę”.

Mira wpatrywała się w te dwie wiadomości z mieszanymi uczuciami. A jeśli się pomyliła? Jeśli terapeutka jest osobą, której może ufać? Ułatwiła jej przetrwanie bardzo ciężkiego okresu. Jak się co do tego upewnić?

Należało zadzwonić do Charlotte.

Teściowa nie odebrała telefonu od Miry. Charlotte otaczali ludzie, którzy chronili ją przed intruzami: kamerdyner, gospodyni, sekretarz. Musiała chcieć porozmawiać z tym, kto telefonował, albo czegoś sobie od niego życzyć. Otóż to. Do Charlotte zadzwonił doktor Jasper.

Mira wciąż miała w książce telefonicznej domowy numer Gallierów. Wybrała *67, żeby ukryć swój numer, i zadzwoniła. Odebrał kamerdyner.

- Doktor Adele Jasper - przedstawiła się Mira. - Do Charlotte Gallier.

Chwilę później zgłosiła się Charlotte.

- Adele, moja droga, jak to miło, że dzwonicz.

Mira dowiedziała się już wszystkiego, co chciała. Przerwała połączenie i wcisnęła telefon do tylnej kieszeni spodni. Doktor Jasper i matka Jeffa są kimś więcej niż tylko znajomymi z tego czy innego komitetu.

Czy doktor Jasper próbowała ją zastraszyć? Tylko dlaczego akurat teraz? Po czterech latach terapii? Mężczyzna w samochodzie przypominał Jeffa. Zapach jego balsamu. Głos przez telefon...

Mira zaczęła krążyć po pokoju. To chyba nie miało sensu, uznała. Zatrzymała się i wbiła wzrok w sufit. Co powinna teraz zrobić? Do kogo się zwrócić?

Do Connora.

Chciała mu zaufać. Dlaczego więc sobie na to nie pozwolić? Wyznał jej miłość i zapewnił o swojej lojalności. Z drugiej strony, nazwał Jeffa kłamcą, a policja podejrzewała, że jest mordercą. Ojciec Girod. Kaznodzieja. Anton. Biedna pani Latrobe. Mira zadrzała, gdy obraz tej kobiety pojawił się przed jej oczami. Ten koszmarny grymas. Pomarańczowa czwórka na czole. Zupełnie jakby staruszka była tylko numerem, jednym z wielu.

Mira zadrzała. Czy to właśnie oznaczała cyfra? Czy będzie również piątka i szóstka? Czy na nią też czekał gotowy numer? Wcześniej nie sądziła, że morderstwa mają z nią cokolwiek wspólnego. A jednak miały!

Chwyciła torebkę i kluczyki, przyzwała Nolę i pospieszyła do samochodu.

Rozdział 51

środa, 17 sierpnia godz. 18.10

Kapitan O'Shay przeniosła wzrok z Malone'a na Stacy, potem na Bayle, a następnie jeszcze raz popatrzyła na wszystkich po kolei. Była wyraźnie niezadowolona.

- Mamy już cztery ofiary - powiedziała. - A wy każecie mi spodziewać się trzech następnych?
 - To tylko możliwość - powiedział Malone. - Jeśli nasza teoria jest słuszna.
 - Wyjaśnij to.
 - Sprawca zostawił nam wiadomość przy ciele Antona Galliera...
 - „Wyrzucił siedem złych duchów”.
 - Właśnie. Dzisiaj znaleźliśmy kolejną ofiarę. Miała na czole wypisaną cyfrę cztery.
 - I to znaczy waszym zdaniem...
 - Latrobe była złym duchem numer cztery Gallier był trzecim.
 - To rodzaj odliczania - wtrąciła Stacy - Siedem złych duchów, cztery już mamy, zostały trzy.
- Kapitan O'Shay zabębniła palcami po blacie biurka.
- To znaczyłoby, że ojciec Girod był pierwszym, a Kaznodzieja drugim. Jesteście pewni, że mamy do czynienia z jednym mordercą? Sposób działania jest inny.
- Spencer pokręcił głową.
- Niezupełnie, pani kapitan. Każde z tych morderstw było inne. Taka sama pozostaje metoda stosowana przez nieznanego sprawcę do komunikowania się z nami i...
 - I związek z Mirą Gallier - wtrąciła Bayle.
 - Dlaczego akurat ci ludzie zostali zabici? - spytała kapitan O'Shay. - Jeśli twoja teoria jest słuszna, to czym kieruje się zabójca? Jaka jest w tej krwawej historii rola Gallier?
 - Ktoś zabija tych ludzi dla niej? - podsunęła Stacy. - Anton Gallier był jej wrogiem, a wścibska sąsiadka zatruwała jej życie.
- Malone skinął głową.
- Może Connor Scott. Wszystko zaczęło się wtedy, gdy odnowił znajomość z Gallier. Jest w niej zakochany.

Kapitan O'Shay zmarszczyła czoło.

- Kto wobec tego następny? Kto będzie piąty?
 - Poszukajmy z kim Gallier ma jeszcze na pieńku - zaproponowała Stacy.
 - Wygląda mi na to, że my wszyscy z powodzeniem moglibyśmy się znaleźć na tej liście - zauważył ze śmiechem Malone. - Lepiej często oglądajmy się za siebie.
 - To nie jest śmieszne - sprzeciwiła się Stacy. - Jeszcze nie wydobrzałam po ostatnim starciu ze sprawcą.
 - Może nikogo więcej nie ma na tej liście?
- Malone spojrział z niedowierzaniem na Bayle.
- Na jakiej podstawie tak sądzisz?
 - Anton Gallier był zamierzonym celem. Wścibska sąsiadka coś zauważyła. Cała reszta jest zasłoną dymną dla morderstwa na jej teściu.
 - Jechałam za nią - zwróciła uwagę Stacy. - Jej wersja się potwierdza.
 - Wyrafinowana sztuczka.
 - Absurdalnie wyrafinowana. Nie żartuj, Karin. Przecież ona nie wiedziała, że jest śledzona.
 - Tylko pomyśl - broniła swojego Bayle. - Mira Gallier i Scott razem układają plan, a potem wprowadzają go w życie.
- Stacy pokręciła głową.
- Mnie się to nie widzi. W tej sprawie muszę poprzeć Spencera.
 - To jasne.
 - Co to miało znaczyć?
 - Doskonale wiesz. On jest twoim narzeczonym. Nie wystąpisz przeciwko niemu. Przynajmniej nie do czasu, gdy włoży ci obrączkę na palec.

- Dość tego, detektyw Bayle! - zareagowała ostro kapitan O'Shay.
- A co ona tu robi? Nie dość, że nie pracuje nad tą sprawą, to ma zwolnienie. - Bayle zwróciła się do przełożonej. - Oczywiście w tej sytuacji zwrócenie pani kapitan uwagi na ten szczegół prawdopodobnie nie doprowadzi do niczego dobrego.

- Jaką sytuację ma pani na myśli, Bayle?

- Wszystko w rodzinie, czyż nie?

Kwestionowanie etyczności postępowania kapitan O'Shay było ciosem poniżej pasa, uznał Malone.

- Lepiej niech pani wycofa te słowa, Bayle. Jeśli chce mnie pani oskarżyć o nepotyzm, powinna być pani gotowa do przedstawienia mocnych dowodów.

Bayle zaczerwieniła się.

- Proszę o kilka zdań na osobności, pani kapitan.

- To chyba dobry pomysł. Dajcie nam chwilę na rozmowę, detektywi.

Malone i Stacy wyszli z gabinetu i zamknęli za sobą drzwi. Spencer spojrział na narzeczoną.

- O co jej chodzi? Pracowałaś z nią kiedyś. Zawsze taka była?

- To nie jest Karin Bayle, z którą pracowałam. Tamta Karin jest zrównoważoną, solidną policjantką.

- Skąd się wzięło jej załamanie nerwowe?

- Właściwie nie wiem. Nie pracowałyśmy wtedy razem.

- A kto z nią pracował?

Pomyślała chwilę.

- Donna St Cloud. Kieruje teraz jednostkami śledczymi w pierwszym dystrykcie.

- Znasz ją?

- Niezbyt dobrze, ale dostatecznie, by zadać kilka pytań.

Otworzyły się drzwi. Stała w nich Bayle.

- Kapitan chce, żebyście oboje weszli.

Kapitan O'Shay stała przed swoim biurkiem z ramionami skrzyżowanymi na piersiach.

- Siadajcie.

Wykonali polecenie. Pani kapitan przeszła Spencera wzrokiem.

- Bayle wystąpiła przeciwko panu z poważnym oskarżeniem.

- To jakaś bzdura.

- Konflikt interesów Zaniedbanie obowiązków. Niewłaściwa ocena sytuacji.

Stacy parsknęła z niesmakiem. Kapitan O'Shay spojrzała na nią surowo.

- Ma pani coś do dodania, detektyw Killian?

- Tak, pani kapitan. To nie jakaś bzdura, tylko kompletna bzdura.

- Sprawdźmy. Malone, pan manipulował śledztwem, włączając do niego detektyw Killian. Jest pańską narzeczoną, a poza tym ma zwolnienie lekarskie. Według Bayle zrobił pan to, aby odsunąć ją od śledztwa. Dowiedział się pan o morderstwie Latrobe pierwszy i powiadomił swoją współpracownicę ze znacznym opóźnieniem. Przyjechała na miejsce zdarzenia dopiero po tym, jak przesłuchał pan świadka.

- To jest interpretacja Bayle, pani kapitan. Owszem, poprosiłem Stacy, żeby śledziła Gallier. Ta decyzja nie miała nic wspólnego z naszymi prywatnymi stosunkami, za to wszystko ze stosunkiem łączącym Stacy z Gallier. Czy ufam Stacy, że nie schrzani roboty? Zdecydowanie bardziej niż jakiemuś mundurowemu z minimalnym doświadczeniem, którego może zgodziłaby się pani przydzielić do Gallier.

- Właśnie, Malone. To ja bym przydzieliła. Ja dowodzę i decyduję, a nie pan.

- Tak jest, pani kapitan.
- Pańska niefrasobliwa arogancja postawiła mnie w wyjątkowo niezręcznej pozycji.
- Przepraszam, pani kapitan.
- A pani... - zwróciła się znów ku Stacy. - Czy uważa się pani za gotową do powrotu, detektyw Killian? Proszę przynieść mi pozytywną opinię lekarza i powitam panią z otwartymi ramionami. Do tego czasu funkcjonuje pani jako osoba chora. Czy to jasne?

- Całkowicie, pani kapitan.

Malone wstał.

- Z całym szacunkiem, pani kapitan, proszę o odsunięcie Bayle od tej sprawy. Ona realizuje własne cele i szczerze mówiąc, nie jestem pewien, czy ma moje wsparcie.

- To śmieszne, bo ona powiedziała to samo o panu.

- Jaka jest decyzja, pani kapitan?

- Posadźcie tyłek na krzesło, detektywie Malone. - Wskazała Stacy. - Pani dziękuję, detektyw Killian. To wszystko. Proszę przysłać tu z powrotem detektyw Bayle.

Chwilę później Bayle weszła do gabinetu. Malone zwrócił uwagę na to, że na niego nie spojrzała.

- Wy dwoje macie skończyć z małostkowymi, żalonymi fochami i pracować razem. Są już cztery ofiary, oczekuję więc, że będziecie współdziałać. Jeśli nie, zdejmę was z tej sprawy i posadzę oboje za biurkiem.

Bayle zerwała się z miejsca.

- Pani kapitan, z całym należnym szacunkiem...

- Buzia na kłódkę, pani detektyw. Moim priorytetem jest nie dopuścić do tego, żebyśmy mieli następną ofiarę. Proponuję, żebyście ponownie dostarczyli tutaj Scotta na przesłuchanie. Jeśli jeszcze tego nie zrobiliście, sporządźcie raport czasowy. Chcę wiedzieć, kiedy ostatnio ktoś widział

Louise Latrobe żywą i co Scott robił przez cały czas potem. I macie pracować razem, do diabła!

- Ale pani kapitan...
- To wszystko. Meldujcie o postępach.

Rozdział 52

środa, 17 sierpnia godz. 19.20

Tym razem Scott przyjechał z adwokatem, Phillipem Knightem. Malone znał go ze zdjęć w gazetach. Był wybitnym fachowcem w swoim zawodzie, jednym z najlepszych nowoorleańskich adwokatów specjalizujących się w sprawach kryminalnych. Bardzo inteligentny i doświadczony. Najwyraźniej Scott postanowił nie ryzykować. Zresztą, bogaci ludzie rzadko sobie na to pozwalali.

Zajęli miejsca w pokoju przesłuchań. Malone dobrze przyjrzał się Scottowi i z uznaniem stwierdził, że facet wydaje się kompletnie rozluźniony. Przedstawił się adwokatowi, po czym zwrócił się do Scotta.

- Dziękuję, że pan przyszedł. Czy kiedykolwiek słyszał pan o Louise Latrobe?
- Nie.
- Jest pan pewien?
- Tak.
- Pan i Mira Gallier jesteście dobrymi przyjaciółmi, prawda?

Scott skinął głową.

- Kiedy żył Jeff Gallier, spędzał pan dużo czasu w ich domu?

Znowu potwierdził.

- Czy poznał pan jakichś sąsiadów Gallierów?

Przez chwilę Scott wydawał się zastanawiać, potem pokręcił głową.

- Nie.
 - Czy Jeff lub Mira mówili o kimś z sąsiadów? Utrzymywali z nimi jakieś kontakty?
 - Niczego takiego nie pamiętam.
 - Czy nigdy nie wspominali sąsiadki, która sprawiała im kłopoty? Była wścibska?
- Wyraz twarzy Scotta nieznacznie się zmienił.
- Chwileczkę, coś takiego było... Sąsiadka ich szpiegowała. Stara kobieta, która zajmowała sąsiedni dom.
 - Zdziwiłoby pana, gdyby się dowiedział, że ta kobieta nazywała się Louise Latrobe?
 - Nie wzbudziłoby to u mnie żadnych uczuć dlatego, że jej nie znałem.
 - A gdybym powiedział panu, że została zamordowana?
- To wywołało reakcję zarówno u Scotta, jak i u jego adwokata.
- To nie ma nic wspólnego z moim klientem - zapewnił Phillip Knight. - Już powiedział, że nie znał tej kobiety.
 - Gdzie pan był w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, Scott?
 - W pobliżu.
 - Czy mógłby pan być dokładniejszy?
 - A pan?
 - Od czasu, kiedy opuścił pan komendę wczoraj wieczorem aż do teraz?
 - Pan pyta poważnie?! - oburzył się Knight. - Niemożliwe, żeby oczekiwał pan od mojego klienta złożenia szczegółowego sprawozdania minuta po minucie.
 - Właśnie tego oczekuję, panie Knight. Z naciskiem na najważniejsze zdarzenia.
- Adwokat nie ustępował.
- Jeśli jest ofiara...

- Jest.
 - Znacie również przybliżoną godzinę jej śmierci. Nie podoba mi się, że chce pan marnować nasz czas.
 - Czasem szacunkowa godzina śmierci nie wyjaśnia wszystkiego. Tę kobietę ostatnio widziano żywą mniej więcej o tej porze wczoraj wieczorem.
- Adwokat chciał się wdać w spór, ale Scott go powstrzymał.
- Wczoraj wyszedłem z przesłuchania i pojechałem do Miry Gallier.
 - Dlaczego?
 - Ponieważ jesteśmy przyjaciółmi. Poza tym chciałem, żeby poznała prawdę.
 - W jakiej sprawie?
 - Nie pański interes.
- Malone postanowił puścić tę arogancką uwagę mimo uszu.
- Jak długo pan tam był?
 - Niedługo. Może pół godziny.
 - Dokąd pojechał pan potem?
 - Do domu.
 - Mieszka pan wciąż u rodziców?
 - Mieszkałem. To była moja ostatnia noc w ich domu.
 - Która to była godzina?
 - Jedenasta, może wpół do dwunastej.
 - Czy ktoś to może potwierdzić?
 - Nie. Moi rodzice są w górach, w Karolinie Północnej. Jeżdżą tam w sierpniu. Służba miała wolne.

- A zapis z kamer ochrony? Widziałem, że rezydencja jest okablowana.

Wydawał się zaskoczony, ale nie przejął się szczególnie.

- Rzeczywiście jest. Może pan sprawdzić również zapisy kodu darmowego. Mój kod jest niepowtarzalny.

Malone zapisał coś w notesie.

- Co potem?

- Wypiłem piwo, może dwa i poszedłem do łóżka.

- O której godzinie dziś pan wstał?

- Wcześniej. O piątej albo trochę przed piątą.

- Rzeczywiście wcześniej jak na człowieka, który nie pracuje.

- Od czasu służby wojskowej nie sypiam już tak dobrze jak wcześniej.

- Przykro mi to słyszeć.

Scott wzruszył ramionami, Malone kontynuował:

- Wstał pan około piątej. Co potem?

- Wypiłem kawę. Wyszedłem, zanim zjawiła się służba.

- Dokąd?

Zawahał się i pierwszy raz wydał się zakłopotany.

- Do domu Miry Gallier.

To ciekawe. Sam przyznał, że był w pobliżu miejsca zbrodni dwukrotnie w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Adwokat nie wydawał się zadowolony.

- Która to była godzina? - spytał Malone.

- Dotarłem tam około szóstej.

- Chyba trochę wcześniej jak na wizytę towarzyską.

- Ona nie spała.
- Jaki był powód tak wczesnej wizyty?

Nieznacznie poruszył się na krześle.

- Osobisty.
- Przypadkiem był pan o kilka kroków od tego miejsca, gdzie dokonano morderstwa, i to nie raz, ale dwa razy w ciągu niewielu godzin.

Prawnik pochylił się i szepnął coś Scottowi do ucha. Ten skinął głową i znów spojrzał Malone'owi w oczy.

- Poprzedniego wieczoru zakończyliśmy rozmowę w złym miejscu. Chciałem to naprawić.
- Pokłóciliście się?
- Doszło do różnicy zdań.
- Na temat?
- Jej męża. Próbowałem jej powiedzieć, że nie był świętym. Popełniłem błąd.
- Nie był świętym. Co to znaczy?
- To sprawa moja i Miry.

Znów Malone puścił to mimo uszu.

- Jak długo był pan w jej domu?
- Najwyżej dwadzieścia minut.
- Wyszedł pan stamtąd i co dalej?
- Zacząłem przeprowadzkę do mojego nowego domu.
- Wynajętego?
- Nie. Niedawno zmarła moja cioteczna babka. Dom należał do niej, zostawiła mi go w spadku. Przeprowadzka zajęła mi cały dzień.

- Widział pan kogoś?

- Ludzi, których nająłem do pracy.

Malone spytał o nazwę firmy i zanotował odpowiedź.

- Czy to wszystko, detektywie? - spytał adwokat.

Malone przewrócił kilka stron w notatniku, udając, że zastanawia się nad odpowiedzią.

- Tymczasem tak - odparł, zamykając notatnik.

Wszyscy wstali.

- Nawiasem mówiąc, to Mira Gallier znalazła ciało - poinformował Malone.

Scott zeszywniał.

- Słucham?

- To ona znalazła ciało. Była wstrząśnięta.

Ta wiadomość zrobiła wrażenie na Scotcie, chociaż starał się to ukryć. Malone mógłby nawet mu współczuć, gdyby nie podejrzewał, że jest on draniem z morderczymi zapędami.

- Czy nie wydaje się panu dziwne, że morderstwa zdarzyły się po pańskim powrocie do Nowego Orleanu? I że wszystkie mają związek z pańską przyjaciółką Mirą?

- Nie myślałem o tym.

- Naprawdę? Trudno mi w to uwierzyć.

- Dlaczego miałbym o tym myśleć? Nie mam z tym nic wspólnego. To zbieg okoliczności i tyle.

- Nie wierzę w zbiegi okoliczności.

- To pański problem, prawda?

- Mira Gallier o tym myślała. - Malone urwał na chwilę, żeby jego ostatnie zdanie dobrze zabrzmiało. - I jej też wydaje się to dziwne.

Scott wzdrygnął się. Malone parł naprzód, chcąc zadać celny cios.

- Rozumiem, że ma pan klucz do domu Miry Gallier i zna pan jej kod alarmowy.
- Słucham?
- Był pan najlepszym przyjacielem Miry i Jeffa Gallierów. W zaufaniu powierzyli panu klucz i kod alarmowy.

Scott szybko starał się odzyskać stracony teren.

- To było wiele lat temu. Co to ma wspólnego z teraźniejszością?
- Właśnie co? - Malone zajął do nieistniejących notatek. - Widzę, że jest pan zakochany w swojej przyjaciółce Mirze Gallier.

Scott zbladł.

- Powiedziała to panu Mira?

Trafienie w dziesiątkę.

- Miłość jest jednym z najpotężniejszych motywów, jakie istnieją. Miłość, nienawiść, chciwość - święta trójca zbrodni.

- Dość tego, detektywie! - rzucił Knight. - Connor, idziemy.

- Odprowadzę was do windy - powiedział uprzejmie Malone.

Wyszli na korytarz. W drzwiach pokoju obserwatorów pojawiła się Bayle. Scott zauważył ją i przystanął. Patrzyli na siebie i choć przez te kilka sekund Malone nie widział twarzy Connora, to Bayle wyglądała jak sarna na szosie, złapana w światło samochodowych reflektorów.

Zaraz potem przybrała maskę chłodnej obojętności.

Malone zmarszczył czoło, przypominając sobie, jak pierwszy raz wraz z Bayle przesłuchiwali Scotta. Wyczuwał między nimi silne napięcie. Spytał potem o to Bayle. Co mu powiedziała? - usiłował sobie przypomnieć. Że go poznała przez faceta, z którym była. Romans smutno się skończył. To nie trzymało się kupy. Czy Bayle mogłaby być tak głęboko rozstrojona romansem,

żeby facet, którego kiedyś przypadkiem spotkała, budził u niej takie emocje? I ona u niego też? Może to nie z jakimś facetem miała romans, tylko właśnie ze Scottem? To wyjaśniałoby, dlaczego tak bardzo Bayle chce obciążyć winą Gallier. To znaczyłoby również, że jej udział w tej sprawie trudno nazwać obiektywnym.

Malone wrócił do pokoju przesłuchań. Myśli kłębiły mu się w głowie. Nie mógł iść ze swoimi podejrzeniami do przełożonej. Nie teraz kiedy kazała im z Bayle zapomnieć o nieporozumieniach i zgodnie współpracować. Potrzebował czegoś więcej niż podejrzenia, żeby zwrócić się do kapitan O'Shay.

Bayle i Percy już na niego czekali.

- Co sądzicie? - spytał.

Jego brat odezwał się pierwszy.

- Na moje wyczucie on pójdzie prosto do niej. Jeśli są w tym razem, to solidnie podkopaliśmy jego zaufanie.

- Bayle?

- To było błyskotliwe, by zasugerować mu, że ona udzieliła właśnie tej osobistej informacji, którą on ukrył.

- Zauważyliście, że on ani razu nie spytał, gdzie znaleziono ciało ani jak ta kobieta umarła? - Malone nie odrywał wzroku od Bayle. - Podoba mi się, że przyznał się do obecności w pobliżu miejsca zdarzenia. To pomaga.

- Moim zdaniem to potwierdza jego wersję wydarzeń - stwierdziła Bayle.

Malone pochylił głowę.

- Możliwe. Kiedy powiedziałem mu, że Mira odkryła ciało, wyglądał tak, jakby dostał cios w żołądek. Nie spodziewał się tego.

- I nie spodobało mu się to - dodał Percy - Uznał, że to dla niej niedobrze. Widocznie wcześniej trafiłaś w sedno, Bayle. Zamierzonym celem był teść. Scott zrobił to dla kobiety, którą kocha.

Przez twarz Bayle przemknął cień. Odchrząknęła.

- Co robimy dalej?

- Oprzyjmy się na raporcie patologa. Chcę też mieć zapisy z kamer i systemu alarmowego w rezydencji Scotta.

- Ja się tym zajmę - zaproponował Percy. - Dam znać, jak tylko będę coś miał.

Brat zostawił ich samych i Malone zwrócił się do Bayle.

- Jesteś milcząca.

- Naprawdę?

- Nie masz żadnych pomysłów?

- Chciałabym jeszcze raz przejrzeć zapis przesłuchania, a potem skontaktuję się z firmą od przeprowadzek.

Malone zatrzymał ją, gdy zbierała się do wyjścia.

- Jeśli chodzi o to, co było wcześniej... Czy możemy to puścić w niepamięć?

- Nie wiem. Możemy?

- Chcę spróbować. - Wyciągnął do niej rękę. - Razem?

Zawahała się, ale ujęła jego dłoń.

- Razem.

Rozdział 53

środa, 17 sierpnia godz. 20.40

Mira nie zastała Connora. Kilka minut czekała przed domem jego rodziców, ale zmarzły jej nogi,

więc odjechała. Zatelefonowała na jego numer komórkowy, ale nie uzyskała połączenia, więc zrezygnowała, nie zostawiając wiadomości. Nie wiedziała, co mogłaby mu powiedzieć. Nie mogła przecież poprosić, żeby przedstawił dowód na to, że jest godny zaufania. Zresztą, jak miałby taki dowód wyglądać?

Dokąd teraz pojechać? Nie do domu. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że znajdzie się w tym wielkim wnętrzu sama z myślami i wspomnieniami tego, co tak niedawno zdarzyło się zaledwie o trawnik dalej.

Jechała więc przed siebie bez żadnego ustalonego celu. Nola siedziała na miejscu obok kierowcy, przyciskając nos do uchylonej szyby. Jałowość tej sytuacji działała na Mirę uspokajająco. Konieczność skupienia uwagi na drodze i na prostej czynności prowadzenia samochodu pomagała jej odsunąć od siebie przerażający obraz pani Latrobe.

Zorientowała się, że jest przed dawną pracownią. Nie była tu od bardzo dawna, ostatnio zajrzała kilka miesięcy po huraganie. Zaparkowała samochód po drugiej stronie ulicy, opuściła szybę i wlepiła wzrok w znajome miejsce, przypominając sobie, jak wyglądało, kiedy przyjechała tu pierwszy raz po ustąpieniu powodzi.

Zobaczyła wtedy futurystyczny krajobraz miasta po wojnie nuklearnej. Wszystko poszarzało od zaschniętego, popękanego błota. Obłeśne drzewa, krzaki i trawniki, zrujnowane budowle, które kiedyś były domami. I całkowity brak dźwięków. Ani ćwierkania ptaków, ani głosów bawiących się dzieci.

Nie było życia. Powoli, lecz konsekwentnie cały rejon odbudowywano. Zniszczenia były tak olbrzymie, że stawianie tu na nowo domów wydawało jej się monumentalnym aktem odwagi i wiary.

Podczas gdy siedziała zapatrzona w dom, wyszła z niego kobieta niosąc worek ze śmieciami.

Zauważyła Mirę i zerknęła na nią z zaciekawieniem, potem obeszła budynek, wyrzuciła śmiecie i wróciła do drzwi. Na ganku zatrzymała się i spojrzała pytająco na Mirę.

To już nie było jej miejsce ani jej życie.

Wyrzuć śmiecie, Miro. Pora zamknąć przeszłość. Trzeba ruszyć naprzód.

Prawda o tym wybuchła z potężną siłą, obalając wzniesione przez nią mury obronne, rozbijając warstwy smutku, żalu i poczucia winy, które krępowały jej ruchy. Śmiecie. Trzeba je wynieść. Zostawić przeszłość.

Chciała znowu cieszyć się życiem, ze wszystkimi jego zawiłościami i nieporządkiem. Mieć codzienne obowiązki, przyjaciół, miłość. Przecież mogła znowu pokochać i być kochana.

Connor... Zaryzykuj, Miro. Zbudź się znowu do życia.

Ta myśl ją zaskoczyła. Śmieciami było wszystko, co ją zatrzymywało: dobre wspomnienia i złe, przeszłość, Jeff. Przyszedł czas, by to zostawić. Należało iść naprzód.

Teraz jechała już z określonym celem. Przemierzyła Uptown ku Riverbend, skręciła w Carrollton i dojechała do Oak Street. Wjechała na parking przy obecnej siedzibie firmy. Spojrzała na budynek z niemalą satysfakcją. Tu czuła się dobrze. Tu teraz było jej miejsce.

Wysiadła z samochodu.

- Chodź, Nola - powiedziała, przypinając suce smycz do obroży.

Doszły wokół budynku do frontowego wejścia. Wszystko było porządnie zamknięte, tak jak powinno. Weszła do środka i wyłączyła system alarmowy. Nola pierwszy raz była w firmie, ale chociaż podniecały ją nowe zapachy, zdawała się rozumieć, że nie należy tutaj szaleć.

Mira poruszyła przesuwne drzwi i weszła do pracowni. Czekał na nią witraż Marii Magdaleny. Święta spoglądała na świat już na zawsze przejęta cierpieniem. Ona jeszcze niedawno była bardzo podobna do świętej. Pograżona w ciągłym żalu. Odgradzona od świata i życia murem, który sama

wzniosiła. Jeszcze niedawno, ale nie teraz. Roześmiała się. Poczuli się młoda i wolna. Wróciła do życia, mimo że otaczały ją krew i śmierć.

Nagle Nola warknęła. A potem zabrzmiał inny dźwięk. Puk, puk, puk.

Mira zmartwiała. Nola ponownie zawarczała.

Puk, puk, puk...

Popatrzyła na Nolę. Uwaga suki zdawała się skupiać na bocznym wejściu i oknach w głębi budynku. Coś poruszało się na zewnątrz. W gardle Miry rodził się krzyk. I wtedy zobaczyła, co to jest. A właściwie kto. Chris. To on stukał w okno. Szybko otworzyła drzwi. Wszedł chwiejnym krokiem, miał głęboko rozcięte ramię.

- Mój Boże, Chris, co się stało?

- Poślizgnąłem się przy pracy.

- Przy pracy? A wiesz, która godzina?

- Mam oświetlenie. Chciałem popracować wieczorem, bo jest chłodniej. Przytrafiła mi się chwila nieuwagi.

- Jesteś przemęczony! Obejrzę, co ci się stało.

Zaprowadziła go do kuchni. Z racji swojej pracy znała się na ranach ciętych. Wiedziała, jak należy je opatrywać i kiedy wymagają interwencji specjalisty. Oczyszczyła Chrisowi ranę, starając się robić to jak najdelikatniej. Wiedziała, że te zabiegi muszą boleć. Jakby dla potwierdzenia tego Chris się wzdrygnął.

- Piecze.

- Nie wątpię. Przepraszam. - Przyjrzała się dokładnie. - Rozcięcie nie jest takie głębokie, jak mi się zdawało na początku.

- To dobrze.

- Wybieraj, Chris. Moim zdaniem obejdiesz się bez szwów, ale gdybyś...
- Nie chcę szwów. Bandaż wystarczy.
- Proszę bardzo. - Zebrała wszystko, co było potrzebne do założenia opatrunku. - Nie pracuj już dzisiaj, dobrze? Poza tym śmiertelnie mnie przestraszyłeś. Masz szczęście, że Nola nie pożarła cię żywcem.

Uśmiechnął się potulnie.

- Rzeczywiście. A więc na dziś koniec pracy. Co tu robisz tak późno?

- Sama nie wiem. Po prostu przyjechałam.

Zaczęła odcinać kawałki plastra. Chris milczał, więc zerknęła na niego.

- Nie silę się na tajemniczość. Po prostu sama nie wiem. Może chciałam zobaczyć Marię Magdalенę? - Wskazała witraż. - Ona czasem pomaga mi się skupić.

- A może...

- Nie chciałam siedzieć w domu.

- Dlaczego?

Nałożyła na gazę maść z antybiotykiem i ostrożnie przyłożyła prostokąt do rany.

- Zamordowano moją sąsiadkę. Ja ją znalazłam.

- Wielki Boże, Miro! To straszne. - Dotknął jej ręki. - Nic ci nie jest?

- Już nie. - Przez chwilę chciała podzielić się z Chrisem poczuciem nowo odzyskanej wolności, uznała jednak, że tego nie robi. - Gotowe - powiedziała, kończąc mocować bandaż plastrem. - Opatrunek ma być suchy i czysty.

- Dobrze, doktor Gallier - odparł z uśmiechem.

Odwzajemniła uśmiech.

- Możesz iść. Problem z głowy.

Popatrzył na nią, jak pakuje zestaw do pierwszej pomocy, i zawahał się. Spojrzała na niego.

- Mnie nic nie jest. Nie musisz tu siedzieć. Wiem, że jesteś zmęczony.
- Ale mógłbym, gdybyś mnie potrzebowała.
- To bardzo miłe, ale naprawdę czuję się dobrze.
- Co będziesz robić?
- Spędzę trochę czasu z Madzią, potem pojadę do domu. Kiedyś muszę tam wrócić, prawda?
- Pewnie tak.

Odniosła apteczkę do składziku. Gdy wróciła, Chris wciąż był.

- Możesz już iść. Naprawdę.

Nie wydawał się szczęśliwy z tego powodu, ale skinął głową.

- Do zobaczenia rano?
- Tak, na razie.

Gdy odchodził, zatrzymała go.

- Chris? - Popatrzył na nią. - Byłeś u Deni we wtorek wieczorem, kiedy tam przyszedłem?
- We wtorek wieczorem? - Pokręcił głową. - Nawet nie wiedziałem, że byłaś u Deni.
- Nocowałam u niej. Myślałam, że ci powiedziała.
- Nie. A dlaczego sądziłaś, że tam jestem?
- W środku nocy zdawało mi się, że słyszę twój głos. To pewnie był telewizor.
- Pewnie tak. Deni czasem zostawia włączony.
- U was wszystko w porządku?

Zawahał się.

- Tak, wszystko dobrze.
- Nie wydajesz się przekonany.

- Czasem... ech, mniejsza o to.
- Powiedz mi.
- Czasem wydaje mi się, że w ogóle jej nie znam. Tak jakby nagle była... zupełnie innym człowiekiem.

Ta uwaga zmroziła Mirę. Może dlatego, że dowiedziała się czegoś podobnego o doktor Jasper. Zbliżone odczucia miała również w kontaktach z wszystkimi innymi ludźmi, którzy przewijali się przez jej życie.

Patrzył na nią dziwnie, a ona zastanawiała się, co właściwie można wyczytać z jej twarzy. Odchrząknęła.

- Kobiety bywają kapryśne. Może to nic więcej.
- Może. - Zamilkł. - Słuchaj, robi się późno, a ja nie czuję się dobrze z myślą, że mam cię tu zostawić samą. To, co się dzieje, nie jest normalne.
- Mam Nolę.
- Mimo wszystko pozwól, że odprowadzę cię do samochodu. Jeśli jeszcze nie chcesz jechać, poczekam w kuchni albo gdziekolwiek.

Mira spojrzała na witraż Marii Magdaleny i uświadomiła sobie, że wszystko, co chciała poskładać w myślach, siedząc tutaj, jest na swoim miejscu.

- Masz rację, Chris. Jest późno. Będę ci wdzięczna, jeśli odprowadzisz mnie do samochodu.

Rozdział 54

środa, 17 sierpnia godz. 21.50

Zastała Connora siedzącego na schodku przed drzwiami jej domu. Wstał na jej widok. Nola podbiegła do niego w podskokach. Pochylił się, podrapał ją za uszami i poklepał po boku.

- Cześć. Dobrze się sprawujesz?

Suka wpadła w zachwyty, zaczęła obiegać go w kółko, wreszcie przewróciła się na grzbiet. Connor roześmiał się z jej szaleństwem i pogłaskał ją po brzuchu.

Mira zbliżała się powoli, dając sobie czas na zebranie myśli. Piłka była po jej stronie siatki. Chciała ją odegrać, ale zupełnie nie wiedziała jak. Kiedy stanęła obok Connora, wyprostował się i spojrzeli sobie w oczy. Omal nie pękło jej serce, gdy przekonała się, jaki jest udręczony.

- Co się stało?

- Usłyszałem o twojej sąsiadce. Bardzo mi przykro.

Wziął ją w ramiona i przytrzymał. Tuliła się do niego, choć nie miała pewności, czy może mu zaufać. Bardzo tego pragnęła. Gdyby w tym było coś złego, nie towarzyszyłoby jej poczucie, że postępuje słusznie.

- Policja znów mnie przesłuchiwała. Detektyw Malone poinformował mnie, że twoim zdaniem... Miro, nie mam nic wspólnego z Morderstwami. Proszę, powiedz, że mi wierzysz. Zależy mi na tym.

Poszła za głosem instynktu. Zdecydowała, że nie będzie dawać posłuchu wątpliwościom.

- Wierzę ci. Może źle robię, ale potrzebuję cię i chcę być z tobą.

Connor ujął w dłonie twarz Miry.

- Dzięki Bogu. Podczas przesłuchania odniosłem wrażenie, że...

Przytknęła mu palce do warg.

- Nie rozmawiajmy o tym. Ani o detektywie Malone, ani o morderstwach. Po prostu bądźmy ze sobą.

Chwyciła go za rękę i wprowadziła do domu. W holu wspięła się na palce i musnęła jego wargi. Nie powstrzymał jej, więc pogłębiła pocałunek, zarzucając mu ręce na szyję. Przez chwilę Connor stał nieruchomo, zaraz jednak ożył, objął Mirę i nie przerywając pocałunku, poderwał ją z podłogi.

Oplotła go nogami w pasie, a on zaniósł ją do sypialni.

Opadli na łóżko. Mira przejęła inicjatywę, niecierpliwie rozebrała Connora. Minęło sześć lat, odkąd ostatnio była z mężczyzną. Choć wydawało się to niemożliwe, miała poczucie, że przez ten czas czekała właśnie na Connora. Błyskawicznie pozbyła się ubrania. Poddając się sile pożądania, połączyli się gwałtownie. Po chwili Mira krzyknęła, przepelniona wszechogarniającą rozkoszą. Connor dołączył do niej, wykrzykując jej imię.

Wtulili się w siebie. Mira wdychała zapach Connora. Oszałamiający. Podniecający.

Odchrząknął.

- Miro?

Oparła się na łokciu, by spojrzeć mu w oczy.

- Tak?

- Podobało mi się, i to bardzo. - Uśmiechnął się szeroko.

Roześmiała się zadowolona.

- Tyle czasu...

- Wieczność.

Mira pochyliła się i pocałowała Connora.

- Co chcesz robić teraz?

Latami czekał na pierwszy raz, ale zaledwie dziesięć minut na drugi. Tym razem nie spieszył się, wydłużając rozkosz ich obojga. Potem Mira leżała w jego ramionach senna i odprężona. A także cudownie, niedorzecznie szczęśliwa.

Przesuwając dłoń po jego plecach, zatrzymała ją na podłużnej nierówności poniżej łopatki. Zbadała ją palcami i podążyła tym śladem wzdłuż boku na drugą stronę ciała, niemal aż po brzuch.

Connor znieruchomiał. Dawniej Mira wiele razy widziała go bez koszuli, ale to było coś nowego.

- Co to? - spytała.
- Pamiątka po dobrej zabawie w Afganistanie.
- Co się stało?

Przekręcił się na plecy i wbił wzrok w sufit. Mira oparła się na łokciu, żeby widzieć jego twarz.

- Zrozumiem, jeśli nie jesteś gotów, by o tym opowiadać.
- Byliśmy na pieszym patrolu w prowincji Helmand. Mina-pułapka wybuchła pośrodku mojego plutonu. - Pochwycił jej spojrzenie. - Taka jest wojna: giną ludzie.

- Nie umiem sobie tego wyobrazić.

- Na pewno Katrina poczyniła spustoszenie. Przynajmniej jednak wiedziałaś, z której strony nadchodzi huragan, i jak wygląda nieprzyjaciel. Tam nieprzyjaciele byli przemieszani z cywilami. Skąd mieliśmy wiedzieć... - Connor zamilkł i podjął po dłuższej chwili: - Szliśmy tą cholerną bitą drogą. Widzę w polu przed nami młodego chłopaka i jego dziadka. Jones zauważył przysypaną ziemią minę...

- Przy drodze?

- Tak. Odwrócił się, żeby nas ostrzec, a tu łup! I już go nie było. Ktoś musiał uruchomić detonator, żeby mina wybuchła. Kto? Ten dziadek? Dzieciak? Ktoś schowany wśród drzew? Nie wiem. Gdy dym opadł, Jones i ja leżeliśmy w rowie. Słyszałem, jak Orazio wzywa helikopter, żeby po nas przyleciał.

- Co stało się z Jonesem?

- Nie przeżył.

Mira wzięła go za rękę, splotła z nim palce.

- Przykro mi.

- Trudno, zdarza się.

- Cieszę się, że tu jesteś.
- Ja też. Miałem szczęście.

Aż do tego momentu Mira nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo szczęście jej sprzyjało. Pierwszy raz w życiu patrzyła w przyszłość z nadzieją, jak na coś oczekiwanego. Zaburczało jej w brzuchu i Connor wybuchnął śmiechem. Popatrzył na nią rozbawiony.

- Głodna?
- Nawet bardzo. A ty?
- Owszem, też.

Wyskoczył z łóżka i pomógł jej wstać. Ubrali się i poszli do kuchni. Poprosiła Connora, żeby wybrał wino, a sama zajrzała do lodówki.

- Czerwone czy białe? - zawołał.
- Żartujesz?
- Tak myślałem. - Odszedł od szafki, niosąc czerwone. - Odpowiada ci sonoma coast pinot noir z dwutysięcznego siódmego roku?
- Jak najbardziej. Proponuję omlety.
- Jeśli będzie w nich ser, to wspaniale.

Nola, która dźwięk otwieranych drzwi lodówki potrafiła usłyszeć nawet z bardzo daleka, przytruchtała do kuchni. Dostała więc jeść. Mira z Connorem wspólnie dobierali i rozdrabniali składniki, popijając przy tym wino. Nie rozmawiali o poważnych sprawach, jedynie o ulubionych potrawach. W końcu Mira oczyściła blat i nakryła dla dwojga.

Omlety wyszły doskonale, lekkie i puszyste, a na brzegach chrupkie. Mira spałaszowała swój w okamgnieniu, szybciej niż Connor, i omal nie wylizała talerza. Uśmiechnął się na ten widok.

- Chyba trzeba było zrobić więcej.

- Też bym dała radę.

Odniosła talerz do zlewu i wróciła po drugi. Connor zajrzał do notatnika, do którego wcześniej Mira wpisała kilka imion i nazwisk.

- Co to jest? - spytał, podnosząc ku niej wzrok.

- Nic.

Zmarszczył czoło.

- Nie takie nic. Figuruje tu moje imię, a obok Deni i Chrisa. Są też dane doktor Jasper.

- Dzisiaj rano skorzystałam z sugestii policji, jak dojść prawdy. Postanowiłam zakwestionować to, co oczywiste, i zacząć od nowa.

- Czyja to była sugestia? Detektywa Malone'a czy detektyw Bayle?

Zaskoczyła ją zjadłość w jego głosie.

- Detektyw Killian. Umieściłam na tej liście tych, którym ufałam.

- Zaniepokoiło cię, że dłużej nie możesz im ufać.

- To nie tak.

- A jak? Powiedziałaś, że mi ufasz, że mi wierzysz. Dlaczego więc moje nazwisko się tu znajduje?

- Ponieważ próbowałam zrobić to, co zasugerowała mi policjantka.

Pokręcił głową.

- Albo się komuś ufa, albo nie, Miro. To jest tak samo jak z wiarą. Albo wierzysz, albo nie.

- Wcześniej domagałeś się, abym podjęła decyzję. Zrobiłam to. Poszłam za głosem instynktu.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że odrzucasz wszelkie wątpliwości i idziesz za...

- Wspaniale. - Ze złością rzucił notatnik na blat. - Czy nie o to zwykle oskarża się mężczyzn?

- Ale ja poszłam za głosem serca, ty głupku!

- Spytaj, czy możesz mi zaufać.

Uniosła podbródek.

- Czy mogę ci zaufać?

- Bezgranicznie.

Najwidoczniej cień wątpliwości odmalował się na twarzy Miry, bo Connor zaklął.

- Cholera! Nie mogę w to uwierzyć!

Zbliżyła się do niego o krok z wyciągniętą ręką.

- Jesteś nieuczciwy.

- Nieuczciwy? Miro, ja cię kocham. Otworzyłem przed tobą serce.

- Sześć lat temu nie ufałeś mi dostatecznie, żeby powiedzieć prawdę.

- To co innego. Byłaś żoną mojego najlepszego przyjaciela.

- My też podobno byliśmy przyjaciółmi. Jak można kogoś kochać, skoro nie ufa mu się na tyle, by być wobec niego szczerym?

- Chroniłem cię.

- Akurat - odparła sarkastycznie. - Chroniłeś siebie.

- Chcesz prawdy?

- Oczywiście.

Stali twarzą twarz, tocząc pojedynek na spojrzenia. Connor zacisnął dłonie w pięści, Mira pochyliła się ku niemu w niemym wyzwaniu.

- Wróćmy do twojej listy. Dlaczego nie ma na niej Jeffa?

- Jesteś śmieszny.

- Jego imię też powinno być na liście. Oszukiwał cię.

Musiła się przestyszeć. Connor nie mógł tego powiedzieć.

- Jeff cię zdradzał.

Wstrzymała oddech i cofnęła się o krok. Czuła się tak, jakby ją uderzył.

- Kłamiesz.

- Dłużej nie mogłem uczestniczyć w oszustwie. I to mu powiedziałem.

Pokręciła głową.

- Nie wierzę ci.

- Pomyśl, Miro. Ile razy zastanawiałaś się wieczorem, dlaczego Jeffa jeszcze nie ma? Ile razy szukałaś go, telefonując do mnie albo do Crescent City Club?

Przypomniała sobie. Początkowo nie zdarzało się to często. Potem niemal stale. Za każdym razem Jeff potrafił racjonalnie wytłumaczyć swoją nieobecność w domu.

- Chodził gdzieś z tobą - odparła. - Z partnerami w interesach albo z Antonem i jego kolesiami.

- Nie. Spotykał się z kobietami.

- Nie chcę tego słyszeć - szepnęła. - Proszę, przestań.

- Musisz to usłyszeć. - Chwyił ją za rękę. - Przez ostatnie sześć lat uczyniłaś z Jeffa świętego, a ze swojego małżeństwa idyllę. - Zniżył głos. - Nie mogłem ci powiedzieć. Nie mogłem też w milczeniu się temu przyglądać.

Oparła mu głowę na piersi. Była zbyt wyczerpana, by płakać. Ledwie stała na nogach. Co za ironia losu, że to jedno, w co niezbitnie wierzyła, okazało się kłamstwem.

- Powinienem był powiedzieć ci wcześniej. Chciałem to zrobić. Zaczynałem mnóstwo razy jeszcze przed wyjazdem i już po powrocie. Nigdy jednak nie potrafiłem się na to zdobyć.

Spojrzała mu w twarz.

- Myślę, że powinieneś iść.

- Miro...
- Nie chodzi o ciebie. Po prostu... muszę trochę pobyć sama.
- Ta policjantka miała rację, doradzając ci, żebyś świeżym okiem spojrzała na całą tę historię. - Z wyrazem zdecydowania na twarzy bacznie jej się przyjrzał. - Wszystko jest teraz na stole.
- Co masz na myśli?
- Uważam, że morderstwa mają coś wspólnego z Jeffem. Zamierzam odkryć co.

Rozdział 55

czwartek, 18 sierpnia godz. 0.01

Ogarniała go rozpacz. Wątpliwości drążyły go niczym krople nieustannie kapiące nocą z nieszczęlnego kranu. A jeśli się pomylił? Jeśli źle zrozumiał Ojca. Jeśli to wcale nie był jego czas? Jeśli ona wcale nie jest mu przeznaczona?

Ta myśl go poraziła. Opadł na kolana, tak jak należało. Musiał błagać o łaskę i przebaczenie.

Spuścił powieki. Zobaczył w wyobraźni obraz ostatniego upadłego złego ducha. Miała oczy jak spodki i była przerażona. Wiedziała, kto do niej przyszedł. I wiedziała, do czego jest zdolny. Miał już taką moc, że zabił ją samą swoją obecnością.

Dlaczego więc Maria nie mogła go zobaczyć? Potrafił wyplenić złe duchy, powalał je samym spojrzeniem, a mimo to ukochana nie umiała go rozpoznać.

Co gorsza, zwracała się ku innym. Jak prostytutka. Jak tania dziwka.

Gardłowym okrzykiem przerwał ciszę. Uniósł ramiona ku niebu.

- Dlaczego ona wciąż nie może przejrzeć na oczy? Wypełniałem Twoje polecenia, byłem dobrym i wiernym sługą. Proszę tylko o to jedno.

Targnęła nim złość, kiedy Ojciec nie odpowiedział.

- Nigdy jej nie lubiłeś! To wiem. Ale żeby odwracać się ode mnie w takiej chwili? - Zaciśnął pięści w gniewie, choć w głębi wstydził się tego uczucia i drogi, którą go prowadziło. - Gdybyś tylko mógł ją zobaczyć moimi oczami!

Gniew go opuścił, znów poczuł się bezsilny.

- Powiedz mi, co zrobić - szepnął. - Pomóż mi.

„Dlaczego rozpaczasz? Jesteś Wybrańcem”.

Głos brzmiały w głowie. Jego Ojciec.

- Wybacz mi, Ojczy, gniew i zwątpienie - błagał przez łzy. - Jestem nieczysty. Maria nie poznaje mnie, bo zgrzeszyłem.

„Przyciąganie ziemskiego świata jest silne. To nie Maria odwraca się od ciebie. To Zły ją od ciebie odsuwa. Twoja misja jeszcze się nie skończyła”.

Znieruchomiał, serce waliło mu jak młotem.

- Czyż nie wymierzyłem kary czterem złym duchom, które chciały ją skrzywdzić? Które chciały rozdzielić mnie z Marią? Czyż nie oznajmiłem głosem Pisma Świętego, co dla niej uczyniłem? Dlaczego ona nie chce przejrzeć na oczy?!

„Jest siedem Złych Duchów, Synu”. Dlaczego teraz miałyby być inaczej niż kiedyś w Betanii? Ona wciąż jest w ich mocy”.

- Tak - powiedział, kiwając głową. - Muszę wypędzić je wszystkie.

„Do tego czasu ona pozostanie we władzy Złego. Tylko ty możesz ją ocalić”.

Tylko on mógł ją ocalić. Stanie się tak, jak miało się stać. Drżąc, uniósł twarz ku niebu.

- Dziękuję ci, Ojczy. Jestem twoim wielkim dłużnikiem i na zawsze sługą.

Rozdział 56

czwartek, 18 sierpnia godz. 7.40

Malone miał nadzieję, że kofeina postawi go na nogi. Pracował do późna. Pojechał do domu, przespał się kilka godzin i wziął prysznic, po czym bladym świtem wrócił do komendy. Czuł się fatalnie, a był gotów się założyć, że wygląda jeszcze gorzej.

Oparł się o stół w sali odpraw i przesunął spojrzeniem po wiszącej na tablicy mapie centralnej części miasta z kolorowymi szpilkami, znaczącymi miejsca znalezienia poszczególnych ofiar. Obok znajdował się wykaz ze zdjęciami zamordowanych i danymi dotyczącymi daty i przyczyny ich śmierci.

Co przegapił? Zaklął pod nosem i przeczesał dłonią włosy. Cztery ofiary zamordowane na cztery różne sposoby, niepowiązane ze sobą, jeśli nie liczyć biblijnych cytatów i znajomości z Mirą Gallier.

Mniej więcej setny raz, odkąd zakończył przesłuchanie Connora Scotta, zaczął od nowa rozważać historię morderstw. Ojciec Girod. Śmierć wskutek uderzenia tępym narzędziem naznaczonym odciskami linii papilarnych. Brak świadków zbrodni. Kaznodzieja, Gardło podejrzięte kawałkiem szkła, starannie wytartym. Żadnych świadków. Anton Gallier. Śmierć od ran postrzałowych w klatce piersiowej. Broń nieodnaleziona. Odciski linii papilarnych zdjęte z kubków z kawą i papierowej torby, takie same jak pozostawione na narzędziu użytym w kościele Sióstr Miłosierdzia. Louise Latrobe: przyczyna śmierci niewyjaśniona. Laboratorium miało dostarczyć wyniki badania szminki użytej do napisania cyfry cztery na czole ofiary.

- Cześć, partnerze.

Zerknął przez ramię na Bayle. Wyglądała jak upiór.

- Cześć.

- Długo tu jesteś?

- Kilka godzin. Szukam odpowiedzi.

- Znalazłeś jakieś?
- Chciałbym.
- Piłeś już kawę? - Wyciągnęła przed siebie kubek. - Jeśli nie, przynoszę propozycję zawarcia rozejmu.

Spojrzał na kubek z udawaną podejrzliwością.

- Skąd mam wiedzieć, że nie jest zatruta?
- Prostu musisz mi zaufać.

Wziął do ręki kubek i upił łyk.

- Ja ci ufam, Malone - oświadczyła Bayle.

Skinął głową i oboje odwrócili się do tablicy Bayle odezwała się pierwsza.

- A jeśli włamania i inne zdarzenia z życia Miry Gallier nie mają związku z morderstwami?

Zerknął na nią zaskoczony.

- To wyraźny zwrot w stosunku do tego, co ustaliliśmy.
- Zdaję sobie sprawę, że ona jest zamieszana w tę sprawę, ale nie jestem pewna, czy ma cokolwiek wspólnego z zabójstwami.

Malone zmarszczył brwi i zdezorientowany uważnie przyjrzał się Bayle.

- Co zmieniło twój punkt widzenia?

Pochwyciła jego wzrok.

- Informacja Stacy o tym, co widziała.
- Wczoraj wydawałaś się nieugięta.
- Toteż raz czy dwa wytknięto mi upór.

Malone nie do końca uwierzył w odmianę Bayle.

- A te dziwaczne zdarzenia w jej życiu? - spytał.

- Wymysły zestresowanej kobiety albo jej własne inscenizacje, mające ściągnąć na nią uwagę, czyli również skutek zaburzonej równowagi.

- To całkiem możliwe. Nie mamy twardych dowodów, że istotnie doszło do włamań.

- Właśnie. - Bayle wskazała tablicę. - Sprawca próbuje komunikować się z nami za pomocą pozostawianych przesłań. Najwidoczniej dla niego bardzo ważne.

Malone skinął głową.

- Chce, żebyśmy to wiedzieli.

- I to tak bardzo, że jest gotów zaryzykować zdemaskowanie. Pozostawianie wiadomości na miejscu zdarzenia dodatkowo go naraża. To przecież kwestia planowania i czasu.

Malone stanął przed fotografiami pomazanych witraży.

- „I powtórnie przyjdzie w chwale sądzić żywych i umarłych, a królestwu Jego nie będzie końca”. To pierwsza wiadomość. Co nasz nieznany sprawca w ten sposób nam przekazuje i dlaczego?

- Ponieważ w to wierzy.

- Fanatyk religijny?

- Może - odparła Bayle.

- Umieszczenie napisów na witrażach w kościele Sióstr Miłosierdzia to nie był jedynie akt wandalizmu. Chodziło o coś więcej.

- Kogo dotyczy ta wiadomość?

- Jezusa Chrystusa, Syna Bożego.

- Czyżby nasz sprawca sądził, że to koniec świata? Przypomina nam, co będzie potem.

- „Dzień Sądu” - powiedział Malone.

- Tak się składa, że to akurat nasza następna „wiadomość”.

Malone zerknął na fotografię, poszczególne elementy zaczęły składać w całość.

- Sprawca nie zapowiada, co będzie potem. Mówi nam, co nadeszło.

- Nie pojmuję.

Popatrzył na Bayle podekscytowany.

- To on przyszedł sędzić żywych i umarłych.

- Ten człowiek ma kompleks Chrystusa?

- Tak. Zastanów się. „Dzień Sądu” jest w kolejnym przesłaniu. On mówi nam, że to się dzieje.

Już się zaczęło.

Wydęła wargi zamyślona.

- Dlaczego wobec tego „Wyrzucił siedem złych duchów”? Dlaczego nie kontynuuje tego, co zaczął od Kaznodziei?

- Nie wiem. - Malone przesunął wzrokiem po tablicy, szukając odpowiedzi. - O ile pamiętam z lekcji religii, Jezus, przebywając na ziemi, dokonał kilku cudów. Obejmowały one również wyrzucanie złych duchów.

- To prawda - przyznała. - Siedem jest w Biblii magiczną cyfrą: siedem pieczęci, siedem grzechów śmiertelnych, siódmego dnia Bóg odpoczywał.

- Ale wzmianka o siedmiu złych duchach występuje tylko raz.

- W odniesieniu do Marii Magdaleny.

- Może jesteśmy zbyt dosłowni. Zakładamy, że nasz morderca to wie. Zakładamy, że dobrze zna Biblię. - Malone zaczął krążyć po sali. - Wiele lekcji religii przespałem, z innych się urwałem, a mimo to słyszałem o wyrzucaniu złych duchów. Nie wiedziałem, że miało to coś wspólnego z Marią Magdaleną. Może on też tego nie wie?

Skinęła głową.

- Okej, wejdźmy do głowy naszemu sprawcy. On uważa się za powtórne wcielenie Chrystusa i

przyszedł sędzić „żywych i umarłych”. Wyrzuca złe duchy, czyli drani.

- To działa - zgodził się. - Mam tylko jedną wątpliwość.
- Mira Gallier?
- Ciepło. Chodzi o to, że ona restauruje witraż Marii Magdaleny. Może to nie ona jest kluczem, tylko witraż?

Była to jedna z chwil olśnienia, które wnoszą wysiłek policjanta z poziomu mozolnego analizowania najdrobniejszego śladu na poziom pracy twórczej. Niektóre przebłyski Malone'a okazywały się potem ślepą uliczką albo jawnym nonsensem, ale to one czyniły grę z przestępcą ekscytującą.

- Wróćmy do pierwszego miejsca zdarzenia, do kościoła Sióstr Miłosierdzia. Dlaczego sprawca wybrał ten kościół?

- Czuje się tam swojsko - odparła Bayle. - Spędził w nim dużo czasu.
- Ponieważ to jest jego kościół. Czy dysponujemy listą parafian?
- Niekompletną. Skupialiśmy się na ludziach, którzy mogli mieć pretensje do kościoła, ojca Giroda lub szkoły.
- Zdobądźmy taką listę.
- Będzie długa.
- Ale my mamy krótką listę podejrzanych.
- Jak to sobie wyobrażasz? - spytała, marszcząc czoło.
- Wszystkie morderstwa mają związek z Mirą Gallier. Sprawdźmy, czy ktoś z tamtej parafii również jest z nią powiązany - zaproponował Malone.
- Mogę tym się zająć - oznajmiła Bayle. - A ty?
- Będę analizował sprawę pod kątem Marii Magdaleny. Sprawdźę, skąd pochodzi witraż i jak to

się stało, że trafił do pracowni Miry Gallier.

- Dobry pomysł. - Skierowała się do drzwi. - Będę cię informować.

Zadzwoiła komórka Malone'a. Na wyświetlaczu zobaczył numer Stacy.

- Cześć, mała. Co tam?

- Mam informację, której szukałeś. Rozmawiałam z Donna St Cloud. Pracowała w parze z Bayle od dwutysięcznego trzeciego do dwutysięcznego szóstego roku. Donna twierdzi, że Bayle miała romans. To było na poważnie, całkiem straciła głowę.

- Co się stało?

- Nic dobrego. Któregoś dnia Bayle przyszła kompletnie rozbita. Zwierzyła się, że to koniec, facet ją zostawił.

- Jak się nazywał?

- Bayle nie wyjawiała, ale St Cloud wiedziała, że to ktoś ważny. Był bogaty i należał do nowoorleańskiej elity.

Connor Scott, pomyślał Malone.

- Według St Cloud zaczęła mieć humory i pracować nierówno. Donnie ulżyło, kiedy Bayle dostała awans do wydziału śledczego, nie zdziwiło jej, gdy usłyszała o jej nerwowym załamaniu.

- Awans był uzasadniony. Bayle na początku kariery zyskała spore uznanie, a podczas Katriny wykazała się niezaprzeczalnym bohaterstwem.

Malone przypomniał sobie historie o jej wyczynach, które graniczyły z rzucaniem wyzwania śmierci. Bayle zupełnie nie myślała o własnym bezpieczeństwie. Z perspektywy stało się oczywiste, skąd u niej taka postawa. Przechodziła kryzys i nie dbała o to, czy przeżyje.

- Nikt nie zauważył, jak niewiele jej brakuje, żeby pęknąć - powiedział.

- To mnie nie dziwi. Tu był przecież koniec świata.

- Jak to się stało, że później się załamała?
 - Mógłby to ocenić terapeuta, ja mogę tylko zgadywać. Po huraganie była bohaterką. Stała się twarzą nowoorleańskiej policji. Udzielała wywiadów telewizji i magazynom, odbierała wyróżnienia organizacji społecznych.
 - Sprzątanie po katastrofie też skupiało uwagę.
 - Załamała się dopiero wtedy, gdy życie wróciło do normy.
- Malone skinął głową.
- Jasne. Mnie interesuje jedno: czy człowiekiem, w którym się kochała i z którym romansowała, był Connor Scott. Jeśli tak, to jej zaangażowanie w śledztwo jest stronicze.
 - Powiedziałeś mi, że Bayle jest uprzedzona wobec Gallier - przypomniała Stacy. - Oskarżyła cię o nabieranie się na jej pozę „biednej, bezbronnej ofiary”.
 - Mniej więcej.
 - Gdyby chodziło o Scotta, takie uwagi wydają się zrozumiałe.
 - Ponieważ Scott kocha Gallier, i to od lat. Bayle żywiłaby do niej piekielną nienawiść.
 - Co zamierzasz? - spytała Stacy.
 - Chciałbym to wiedzieć.
 - Posłuchaj dobrej rady, kochany. Bądź ostrożny, stąpasz po grząskim gruncie.

Rozdział 57

czwartek, 18 sierpnia godz. 9.20

Malone skorzystał z rady Stacy. Postanowił podążyć tropem informacji o witrażu Marii Magdaleny, a informacje dotyczące Bayle i jej romansu odsunąć tymczasem na bok. Była to bardzo skuteczna technika, którą często stosował. Dzięki niej podczas gdy zajmował się jakąś sprawą,

jego podświadomość miała okazję pracować nad inną.

Telefon do Gallier Glassworks wystarczył, by uzyskać potrzebne informacje. Nie zastał Miry Gallier, ale jej asystentka chętnie wprowadziła go w temat. Witraż pochodził z kościoła Matki Bożej Nieustających Strapiień w Chalmette, największym mieście parafii* St Bernard. Świątynia wraz ze swymi wspaniałymi witrażami została zniszczona przez huragan Katrina. Jedną z zakonnicek, siostra Sarah Elisabeth, żarliwie walczyła o jego odbudowę. To ona odszukała Gallier Glassworks i zwróciła się do Miry z prośbą o restaurację witraży.

** W Luizjanie, w odróżnieniu od niemal wszystkich stanów USA, jednostka administracyjna niższego rzędu nie nazywa się county (hrabstwo, okręg), lecz parish (parafia) (przyp. tłum.).*

Malone skontaktował się z siostrą, która zgodziła się z nim spotkać. Był właśnie w drodze. Z samochodu zatelefonował do Bayle.

- Mam nowiny - powiedział, gdy odebrała. - Jadę do Chalmette na spotkanie z siostrą Sarah Elisabeth, za której sprawą witraż Marii Magdaleny trafił do firmy Gallier.

- Ja też robię postępy - odrzekła. - Ojciec McLinn od Sióstr Miłosierdzia zgodził się udostępnić nam informację o parafianach.

- Jak długo na nią poczekamy?

- Dzisiaj do wieczora albo nawet do jutra. Tyle czasu potrzeba, by zebrać wszystkie dane. Jest to proste w odniesieniu do obecnych parafian, ale znalezienie skreślonych i nieaktywnych jest czasochłonne. Duża część dokumentów została zniszczona podczas huraganu.

- Jasne. Z ilu lat będą pochodzić dane?

- Z ostatnich dziesięciu. Wydawało mi się, że to rozsądny margines czasowy.

- W porządku.

Malone zadał sobie w duchu pytanie, czy podejrzenia co do motywów Bayle są uzasadnione. Teraz wydawała się bezstronna i konkretna. Nie było najmniejszych wątpliwości co do tego, że grają w jednej drużynie. Może trzeba z nią porozmawiać? Wydobyć problem na światło dzienne i pozbyć się go raz na zawsze. Nie teraz i nie przez telefon. Musi widzieć jej twarz, ocenić język ciała.

- Kiedy wrócisz do komendy?

- Przed tobą.

- Do zobaczenia.

Nie pamiętał, kiedy był ostatnio w parafii St Bernard. Tak zwana Da Parish graniczyła z południowo-wschodnim skrajem zdewastowanej przez żywioły nowoorleańskiej dzielnicy Lower Ninth Ward i zasłynęła z tego, że po huraganie Katrina nie nadawała się do zamieszkania w stu procentach. Na szczęście odbudowywano tu nowe domy co napawało nadzieją. W oddali wznosiły się kominy rafinerii Murphy.

Przydrożna strzałka wskazała skręt do kościoła Matki Bożej Nieustających Strapień. Okazał się mniejszy, niż Malone się spodziewał. Jeśli sędzić po krzątaniu dookoła, remont wciąż trwał. Na tablicy przed wejściem wypisano godziny mszy świętych.

Wyruszył na poszukiwanie kancelarii. Znalazł ją i przedstawił się siedzącej za biurkiem kobiecie. Uśmiechnęła się do niego i wstała.

- Pan przyjechał do siostry Sarah Elisabeth. Czekałam na pana. Proszę za mną.

Krótkim korytarzem zaprowadziła go do kuchni. Pracowało tu kilka kobiet, w powietrzu unosił się zapach pieczonego chleba.

- Siostro - powiedziała jego przewodniczka - przyszedł detektyw.

Kobieta, która go powitała, była drobna, miała pomarszczoną twarz i wielkie, wylupiaste oczy.

- Dziękuję, że zechciała mnie siostra przyjąć - powiedział Malone.

- To zupełnie oczywiste, niemądry chłopcze.

Zaskoczyło go brzmienie jej głosu: młodzieńcze i energicznie.

- Od dawna nikt nie nazwał mnie chłopcem - zauważył ze śmiechem Malone.

- Chodź, pokażę ci, gdzie nasza piękna dama będzie rezydować.

- Wasza piękna dama?

- Maria Magdalena.

Malone ruszył za zakonnica. Przystawała i zwracała uwagę na odnowione szczegóły. Opowiadała również o zniszczeniach, lecz w jej głosie nie zabrzmiała nuta pretensji ani żalu.

Podzielił się z siostrą Elizabeth swoją konstatacją.

- Bóg ma wszystko zaplanowane - odparła. - Kimże jestem, by to kwestionować?

Otworzyła jedno skrzydło podwójnych drzwi i znaleźli się w prezbiterium. Zatoczyła łuk ramieniem, pokazując zabite deskami okna.

- Wkrótce to pomieszczenie będzie rozświetlone wszystkimi kolorami.

Dostrzegł jej dłoń - drobną, powykręcaną i niewątpliwie artretyczną. Wiele razy widział spustoszenie siane przez tę chorobę. Zauważyła jego spojrzenie i uśmiechnęła się.

- Każdy ma swój krzyż do dźwigania. W tym, jak się z tego wywiązujemy, ujawnia się nasz charakter i wiara.

- Nie chciałem wywołać wrażenia, że się gapię. Moja babka też cierpiała na artretyzm. Dobrze wiem, jaka to uciążliwa dolegliwość.

- „Wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia” - zacytowała. - List do Filipian, ustęp czwarty, wers trzynasty. A jeśli czegoś nie mogę, Chrystus posyła anioła, żeby to za mnie zrobił.

- A jak było z witrażem Marii Magdaleny? Czy Bóg posłał anioła do tego zadania?

- Pan wie, że tak. To Mira Gallier.

Przeszła do nawy, przyklękła przed tabernakulum i usiadła w jednej z ław po drugiej stronie. Malone poszedł za jej przykładem.

- Nie wie pan jednak, detektywie, jak to się stało, że nasze drogi się skrzyżowały. To był cud.

Jej oddanie wydawało się Malone'owi urzekające. Poprosił więc, by wszystko mu opowiedziała.

- Widzę, że nie wierzy pan w cuda, detektywie.

- Czy to aż takie oczywiste?

- Opowiem panu moją historię, sam pan zdecyduje. Z pewnością wie pan, że Katrina wszystko tutaj zabrała. Nie tylko kościół, lecz również ludzi. Jednym słowem, wspólnotę. Zalała nas woda i w dodatku ropa z rafinerii Murphy.

Jeden ze zbiorników rafinerii rozszczelnił się i wylała się z niego ropa, ponad milion galonów, przypomniał sobie Malone. Wszystko w promieniu trzech kilometrów zostało nią skażone.

- Czas mijał, parafian nie było. Nawet ojciec Clementine musiał odejść. Nasza piękna dama leżała w kawałkach, zabrudzona ropą, pokryta pleśnią. Minął rok, potem drugi. Modliłam się codziennie, detektywie, o cud. O sposób na uratowanie naszego kościoła i naprawienie witraży. Któregoś dnia, gdy modliłam się na dworze, podmuch wiatru przywiał stronę z „Times-Picayune”. Zatrzymała się na moich nogach. Pochyliłam się i tam zobaczyłam mojego anioła.

- Mirę Gallier?

- Tak. - Przeżegnała się i mówiła dalej: - Zamieszczono artykuł o jej pracy nad restauracją witraży w mieście. Od razu wiedziałam, że Bóg mi ją zesłał.

- To rzeczywiście niezwykła historia.

- Nie historia - poprawiła z uśmiechem Malone'a - cud.

Żałował, że nie potrafi w to uwierzyć, iż nie jest w stanie przyjąć idei siły najwyższej, czyniącej dobro i cuda. Wyjawił to siostrze Elisabeth.

Położyła zdeformowaną dłoń na jego ręce.

- Tylko jedno dzieli wierzącego od niewierzącego.
- Co takiego, siostro?
- Przecież pan wie: to wiara.

Chciał jej powiedzieć, że trudno zachować niezłomną wiarę w dobro w obliczu bezlitosnego, wszechobecnego zła. Spytał jednak tylko:

- Siostro, czy ktoś pośredniczył w zleceniu restauracji witrażu Marii Magdaleny Mirze Gallier?

Pokręciła głową.

- Byłam tylko ja i Wszchemogący.
- A czy ktoś wykazywał szczególne zainteresowanie tą pracą?
- Przykro mi, ale nie.
- Jak odbywał się transport?
- Ona sama wszystko załatwiła.
- Przytoczę kilka nazwisk. Jeśli zna siostra kogoś z tych ludzi albo jeśli ktoś z nich ma związek z witrażem, proszę mi o tym powiedzieć.

Zaczął od Connora, po czym wymienił Deni Watts.

- Ja znam - powiedziała siostra. - Wszystko tutaj mierzyła. Rozmawiałam z nią przez telefon nie dalej jak w zeszłym tygodniu.

- O czym?
- O tym, kiedy możemy się spodziewać montażu.
- Czy podała pani datę?

Zakonnica pokręciła głową.

- Powiedziała, że Mira chce poczekać, aż skończy się pora huraganów.

Następnie Malone wymienił Chrisa Johnsa, doktor Adele Jasper i Antona Galliera.

- Przykro mi, ale nikogo z nich nie znam.

- Czy siostra słyszała kiedyś o ulicznym ewangeliście zwanym Kaznodzieją?

Gdy zaprzeczyła, wspomniał o Louise Latrobe, a potem, ku własnemu zaskoczeniu, o Karin Bayle.

- Jak pan powiedział? - spytała.

- Karin Bayle.

- Brzmi znajomo, ale... nie. Bardzo mi przykro.

- Czy siostra jest pewna?

- Tak mi się zdaje.

Podał jej listę z nazwiskami i jedną ze swoich wizytówek.

- Proszę to zachować. Gdyby coś się siostrze przypomniało, proszę dać mi znać.

Rozdział 58

czwartek, 18 sierpnia południe

Malone poszedł do pomieszczeń zajmowanych w budynku komendy przez jego wydział. Został jedynie Bayle. Pozostali wybrali się na lunch albo wykonywali wyznaczone zadania.

- Cześć, partnerze - powiedział. - Dostaliśmy już listę z kościoła Sióstr Miłosierdzia?

- Jeszcze nie.

- Co tu masz?

Przekręciła papiery żeby mógł je obejrzeć.

- Raport koronera w sprawie Latrobe. Śmierć z powodów naturalnych. Zawał serca.
 - Naprawdę?
 - Naprawdę. Zresztą, Hollister postawił taką tezę od razu na miejscu zdarzenia. Sekcja wykazała, że to nie był jej pierwszy zawał.
 - Czyli nasz sprawca śmiertelnie ją przestraszył.
 - Albo zastał ją martwą, narysował na czole czwórkę i wyszedł.
 - Może. - Zaczął przeglądać raport. - Nie ma innych śladów na ciele ani żadnych uszkodzeń.
 - Dla nas oznacza to kompletny brak punktu zaczepienia.
 - Laboratorium wie coś na temat szminki?
- Bayle podsunęła mu inny raport.
- Estee Lauder, odcień koralowy, wycofana z produkcji. Technicy znaleźli na górze jeszcze trzy sztuki, wszystkie fabrycznie nowe, nieużywane.
- Malone zmarszczył czoło.
- Jak to możliwe?
 - Ofiara dowiaduje się od sprzedawczyni, że ulubiona szminka przestanie być produkowana. Kupuje więc cały zapas. My, kobiety, robimy to często.
 - Ciekaw jestem, czy Stacy też tak postępuje.
 - Spytaj. Stawiałabym, że tak. - Bayle rozparła się na krześle. - Jak ci poszło w Chalmette?
 - Interesująca wizyta. Byłaś kiedyś w kościele Matki Bożej Nieustających Strapień albo może spotkałaś siostrę Sarah Elisabeth? - spytał, bacznie się przyglądając Bayle.
- Nawet nie mrugnęła.
- Nigdy. A dlaczego pytasz?
 - Siostra jest bardzo sympatyczna. Warto się tam wybrać choćby po to, by ją poznać.

- Usłyszałeś od niej coś, co może nam się przydać?

- Nie.

- Czy może być mordercą?

Malone mimo woli parsknął śmiechem.

- Może wyjaśnisz, co cię tak śmieszy - spytała wyraźnie poirytowana Bayle.

- Przepraszam. Szkoda, że cię tam nie było. Siostra musiałaby poprosić Kaznodzieję, by ukląkł, żeby dosięgnąć mu do gardła. Poza tym ma mniej więcej tysiąc lat.

Bayle zmarszczyła czoło.

- Mam pytanie, Malone. Dzwoniła do mnie niedawno Donna St Cloud. Powiedziała, że wypytywała o mnie Stacy. Wiesz coś na ten temat?

Tego się nie spodziewałam, nie pozwoliłam jednak zbić się z pantaląku.

- Owszem.

- Co jest, Malone? O co chodzi?

- Miałem kilka pytań.

- Mogłeś mi je postawić.

- Naprawdę? Postawię je teraz. Dlaczego przeszłaś załamanie?

- Zespół stresu pourazowego związany z Katriną.

- A nie miało to nic wspólnego z bogatym facetem?

Nieznacznie spuściła wzrok.

- Nie powinno cię to obchodzić, nawet gdyby tak było.

- Jeśli wpłynęło na twoje postępowanie w tej sprawie, to mnie obchodzi.

- Nie wpłynęło.

- Czy miałaś romans ze Scottem Connorem? Czy właśnie on jest facetem, który złamał ci serce?

Kiedy pierwszy raz widziałem was razem, zauważyłem, jak na siebie zareagowaliście.

- Co za bezczelność! - Bayle zerwała się i chciała wyminąć Malone'a.

Chwycił ją za ramię.

- Czy dlatego nie mogłaś się odczepić od Miry Gallier jako głównej podejrzanej? Bo on już wtedy był w niej zakochany i nadal ją kocha?

- Puść mnie.

- Odpowiedz mi.

- Nie! Jesteś zadowolony? Nie romansowałam ze Scottem. Masz rację, rozpracowałeś mnie. Zerwanie mi dołożyło, a Katrina dokończyła dzieła.

- Jak on się nazywał?

- Nie twój pieprzony interes.

- Jak się nazywał?

- James Sterling - odparła, wrywając ramię z jego uścisku. - Możesz sprawdzić. Jestem pewna, że bardzo chętnie z tobą pogada. Przepraszam, idę na lunch.

Wyminęła go, ale w drodze do drzwi przystanęła.

- Piękne zaufanie, Malone. Doceniam to. Gdy tylko skończymy tę sprawę, poproszę o zmianę partnera.

Rozdział 59

czwartek, 18 sierpnia godz. 14.05

Malone przyznał sam przed sobą, że źle rozegrał całą sprawę z Bayle, zbierając informacje za jej plecami. Przy okazji wyszło na jaw, co jest najważniejsze we współpracy: szczerść i zaufanie. Niezbite przeświadczenie, że nawet jeśli cały świat odwróci się do ciebie plecami, partner wciąż

będzie z tobą. Prawdę mówiąc, rozmyślał Malone, Bayle zniosła to całkiem dobrze. Na jej miejscu wpadłby w szal. Nie czekałby do zakończenia śledztwa na zerwanie więzi służbowej. Nie, do diabła! Zażądałby odsunięcia jej od sprawy w trybie natychmiastowym i przydzielenie mu od razu innego partnera.

Czas uderzyć w pokorny ton, Malone. Należą jej się przeprosiny.

Bayle nie wróciła z lunchu. Siedząc przy biurku, wybrał numer jej komórki. W zasadzie nie spodziewał się, że odbierze połączenie, więc nie zaskoczyło go, gdy zgłosiła się poczta głosowa.

- Okej - powiedział. - Jestem dupkiem, przyznaję. Przepraszam, oddzwon.

O dziwo, właśnie gdy skończył nagrywać wiadomość, zabrzączał telefon stojący na jego biurku.

- Malone, słucham.

- Detektyw Spencer Malone? - spytał kobiecy głos.

- Tak. W czym mogę pomóc?

- Jestem doktor Adele Jasper, terapeutka Miry Gallier. Czy moglibyśmy się spotkać?

Natychmiast chwycił za notes i pióro.

- W jakiej sprawie?

- Sądzę, że pan wie.

- Pomogłoby, gdyby podała pani jakiś konkret.

- Nieważne, to była pomyłka.

- Kiedy? - spytał szybko. - Mogę spotkać się nawet zaraz.

- Nie, mam umówioną wizytę o wpół do trzeciej, nowy pacjent. Może za kwadrans czwarta?

Potwierdził, a terapeutka podała mu adres.

Rozdział 60

czwartek, 18 sierpnia godz. 15.35

Malone zatrzymał samochód pod podanym adresem w Uptown na Soniat Street, niedaleko St Charles Avenue. Była to urokliwa, ocieniona drzewami posiadłość, nieprzesadnie wystawna, lecz solidna. Doktor Adele Jasper prowadziła praktykę w stojącym za rezydencją tradycyjnym nowoorleańskim domu, którego amfiladowy układ kojarzył się z wagonem kolejowym.

Czekał na niego Percy, Bayle nie było. Malone zmełł w ustach przekleństwo. Wcześniej zadzwonił do niej jeszcze raz, żeby zostawić informację o spotkaniu z Adele Jasper. Był pewien, że Bayle się stawi. Mogła się na niego wściekać, ale dała mu przecież jasno do zrozumienia, że śledztwa nie odpuszcza. Zerknął na zegarek. Niewykluczone, że jest w drodze. Podszedł do brata.

- Gdzie twoja współpracownica? - spytał Percy.

- Może do nas jedzie. Nie jestem pewien.

Percy zrobił zdziwioną minę.

- Co znowu?

- Pokłóciliśmy się. Zakwestionowałem jej uczciwość i działałem za jej plecami. Jest zła jak cholera.

Percy dostatecznie dobrze znał brata, żeby nie komentować sytuacji.

- Powinniśmy poczekać?

Malone ponownie zerknął na zegarek i pokręcił głową.

- Jest bystra. Znajdzie nas.

Ruszyli ścieżką kończącą się wejściem do domu-wagonu. Gdy weszli do poczekalni, odezwał się brzęczyk. Doktor Jasper wyposażyła poczekalnię w eleganckie, wygodne meble w kojących, stonowanych kolorach. Było tu kilka krzeseł, stolik ze stertą modnych magazynów, niewielkie biurko z krzesłem i aparat telefoniczny. Na zamkniętych drzwiach w głębi pomieszczenia wisiała

tabliczka: „Nie przeszkadza. Trwa sesji”.

- Nie ma recepcjonistki - zauważył Percy. - Otwarte drzwi. Dość ryzykowne rozwiązanie.

Spencer omiół wzrokiem poczekalnię. Wskazał kamerę zamontowaną w kącie i skierowaną ku drzwiom.

- Nie takie znowu ryzykowne. Założę się, że druga jest przed wejściem.

Podszedł do magazynów „Southern Living”, „Metropolitan Home”, „Vogue”. Przynależność klienteli doktor Jasper do zamożnej części społeczeństwa była oczywista. Wśród pism nie leżał ani „Field & Stream”, ani „Sports Illustrated”.

Malone jeszcze raz sprawdził godzinę: za dziesięć czwarta.

- Powiedziała mi, że ma pacjenta o wpół do trzeciej.

- I co z tego?

- Sesja trwa zwykle godzinę, prawda?

- Może jej pacjent się spóźnił?

Spencer przesunął wzrok ku zamkniętym drzwiom, potem spojrzął na kamerę.

- Coś tu nie gra. Ona przecież wie, że przyszliśmy. Jeśli sesja trwa o tyle dłużej...

- Dałaby nam znać.

Podeszli do drzwi z wyciągniętą bronią. Spencer zapukał.

- Doktor Jasper? Tu detektyw Malone.

Nie odpowiedziała. Spróbował poruszyć klamką, a Percy go ubezpieczał. Drzwi się otworzyły. Wnętrze imponowało wielkimi oknami, cyprysową klepką i wysokim stropem. Przyjemne miejsce do pracy, z którego już nie skorzysta doktor Adele Jasper.

Rozdział 61

czwartek, 18 sierpnia godz. 16.10

Jasper próbowała się bronić. Malone potoczył wzrokiem po miejscu zdarzenia. Połamane meble, porozbijane gadzety, plama krwi na ścianie, stłuczone szkło oprawionego plakatu Crescent City Classic. Terapeutka leżała wyciągnięta przed biurkiem z palcami ułożonymi niczym szpony i zakrwawioną twarzą. Na jej czole widniała gruba, czarna cyfra pięć.

Przekazana przez Malone'a wiadomość o kolejnej ofierze ściągnęła ludzi z dowództwa, więc technicy przyjechali w rekordowym tempie. Na miejscu zdarzenia byli już Ray Hollister i jego fotograf. Brakowało jedynie Bayle, o którą po chwili spytała kapitan O'Shay.

- Chce pan powiedzieć, detektywie, że jego współpracownica zaginęła podczas akcji?
 - Coś w tym rodzaju.
 - Lepiej niech pan będzie bardziej konkretny. Straciłam poczucie humoru.
 - Jej telefon komórkowy nie odpowiada. Dzwoniłem trzy razy.
 - Kiedy ostatnio pan ją widział?
 - Około południa. Przydarzyła nam się różnica zdań.
 - Proszę to wytłumaczyć.
 - Zakwestionowałem jej uczciwość w prowadzonym przez nas śledztwie. Wściekła się.
 - Rozumiem, że to jest wersja skrócona. - Nie było to pytanie, kapitan O'Shay nie czekała na odpowiedź. - A pańska ostatnia wiadomość dla Bayle?
 - Po znalezieniu ciała Jasper.
 - Do diabła, Malone, nie ma pan kontaktu ze współpracownicą od czterech godzin, a ja słyszę o tym dopiero teraz?
 - Do tej pory sądziłem, że liże rany.
- Tak bliską furii kapitan O'Shay Malone widział zaledwie kilka razy.

- Czekam na pełną wersję wydarzeń, detektywie, a teraz do roboty i niech się pan nie opieprza!
- Cieszę się, że padło na ciebie, a nie na mnie - mruknął Percy.
- Nie ma co żartować.

Fotografowie skończyli pracę i Ray Hollister wziął się do oględzin ciała. Wydawał się naburmuszony.

- Dzień dobry, detektywi - powiedział, nie podnosząc wzroku. - Chyba lubią was kłopoty.
- Powiedz nam lepiej coś, czego nie wiemy.
- Przypuszczałem, że detektywi Malone wiedzą wszystko. - Hollister zbadał dłonie Jasper. - Mamy tu skarb, chłopcy. Musiała parę razy dosięgnąć sprawcy. Za paznokciami jest krew i tkanka.
- To pomoże nam wyeliminować podejrzanych - powiedział Malone. - Jak umarła?
- Jeszcze nie wiem. - Posługując się skalpelem, Hollister badał ranę na prawym policzku. - Odłamki szkła powbijane w skórę.

Malone przeniósł wzrok na oprawiony plakat, potem na Percy'ego.

- Czy sprawca rozbił jej to na twarzy, czy sama na to upadła?
- Tak czy inaczej szkło z tego cuda mogło załatwić sprawę - odparł Hollister.
- Zabiło ją? - spytał Percy.
- Obezwładniło na dostatecznie długo, żeby napastnik zacisnął jej rękę na gardle. - Wskazał szyję. - Siniaki. Kość gnykowa złamana, wybroczyny w oczach i na wargach.
- Udusił ją? - Malone pokręcił głową. - Dla urozmaicenia?
- Jak długo ona nie żyje? - spytał Percy.
- Niedługo. Najwyżej od kilku godzin.

Malone spojrział na zegarek.

- Rozmawiałem z nią o drugiej. Przyjechaliśmy mniej więcej za dwadzieścia czwarta i okazało

się, że nie żyje. We wcześniejszej rozmowie telefonicznej powiedziała mi, że o wpół do trzeciej przyjdzie nowy pacjent.

- Ciekawe, czy przyszedł albo przyszła - odezwał się Percy.
- I czy to jest nasz sprawca.
- Co z systemem monitorującym? - spytał Percy.
- Działa tylko na żywo - odpowiedział jeden z techników. - Nie rejestruje.

Malone skinął głową.

- W wykazie wizyt znajdziemy nazwisko. Nowi pacjenci to zwykle również papierkowa robota.

Zostawili Hollistera przy pracy i przeszli do pokoju biurowego, ostatniego w amfiladzie. Drzwi zastali otwarte, a książka z rejestrem wizyt leżała otwarta na biurku. Brakowało ostatniej strony.

- Fantastycznie. - Malone przeglądał terminarz. - Popatrz na to. We wtorki i w czwartki przyjmowała ostatniego pacjenta o wpół do trzeciej. - Postukał w kartkę z harmonogramem poprzedniego czwartku i cofnął się o tydzień. - O piątej chodziła do Simply Fit ćwiczyć pilates.

- Jeśli zabójcą był ostatni pacjent, to musiał wiedzieć, że sesje trwają godzinę - zauważył Percy - Oraz że doktor Jasper pracowała sama, bez recepcjonistki.

- Miał ją tylko dla siebie przez godzinę. To mnóstwo czasu, żeby zabić i uciec.
- Zorientowała się w zamiarach napastnika.
- Ciekaw jestem, czy morderca dostrzegł, że reguły gry się zmieniły. Jeśli tak, to zaczniesz się spieszyć.

Percy przytaknął.

- Ryzykuje bardziej niż wcześniej. Jest skoncentrowany na dokończeniu „pracy”, zanim zostanie złapany.

Popatrzyli po sobie. Spencer nie wątpił, że jego brat myśli dokładnie o tym samym, co on.

- „Wyrzucił siedem złych duchów”.
- Z pięcioma sprawą zakończona, dwa zostały.
- Sukinsyn - mruknął Percy. - Musimy go dorwać. Zadzwoił telefon stojący na biurku Jasper. Malone spojrział na aparat, a potem na swojego brata.
 - Co powiedziałaś?
 - Że musimy go dorwać.
 - Myślę, że jesteśmy o krok bliżej - powiedział z uśmiechem Spencer.
- Wskazał na notes leżący przy telefonie. Na kartce widniało zapisane drukowanymi literami nazwisko Connora Scotta.

Rozdział 62

czwartek, 18 sierpnia godz. 17.20

Stał nagi przed lustrem w łazience, para na szklanej tafli zniekształcała odbicie. Wytarł powierzchnię, ale zniekształcenie pozostało. Kim jest ten człowiek? - zastanawiał się. Ten, który ma krew na rękach. Krew owiec.

Nie tak miało być. I on nie tym miał zostać.

Cofnął się od tego demaskującego odbicia. Ściana uniemożliwiła mu następny krok do tyłu, więc oparł się o nią i osunął na wilgotne płytki posadzki. Usiadł z podkurczonymi kolanami. Serce wyrywało mu się z piersi, bolała go głowa.

Spuścił wzrok i przesunął nim po ramionach, po głębokich zadrapaniach, z których znów zaczęła sączyć się krew. Broniła się, rozorała mu paznokciami skórę na ramionach, zadawała na oślep ciosy, kopała. Płakała i błagała, wzywała święte imię Ojca.

Nie rozumiał tego. Inni gaśli tak łatwo.

Przeszył go dreszcz. Mocno zacisnął powieki, chcąc odciąć się od tego wspomnienia.

Na jego miejsce przyszło inne. Miał wtedy osiem lat. Jego matka i babka kłóciły się, stojąc u szczytu schodów. Matka trzymała go za jedno ramię, babka za drugie.

- Masz urojenia! - krzyczała matka. - Chcesz doprowadzić go do obłądu, żeby tak samo jak ty był szalony! To mój syn, zabieram go od ciebie!

Ich walizki czekały przy drzwiach. Babka puściła jego ramię. Pobiegł poczekać przy walizkach, tak jak kazała mu matka.

- Nie byłam dziewicą, matko! Miałam mężczyznę. On mnie nie kochał i odszedł. Mój chłopiec nie urodził się w małżeństwie. Musisz się z tym pogodzić.

Wycie wściekłości babki wypełniło mu głowę. Widział matkę, która runęła naprzód i spadała, objając się o schody, póki nie rozległ się makabryczny trzask czaszki, pękającej w zderzeniu z posadzką.

„Chcesz przywieść go do obłądu, żeby tak samo jak ty był... szalony... szalony... szalony”.

- Nie zniosę tego! - krzyknął, zatykając uszy. - Ojczy, gdzie jesteście? Zatrzymaj to, proszę!

Ale Ojciec nie zareagował. Szpula wspomnień rozwijała się dalej. Babka kazała mu pomóc w wyciąganiu ciała na podwórze za domem, a potem w kopaniu coraz głębszego dołu.

- Pchaj! - komenderowała. - Mocniej!

Ciało jego matki głucho plasnęło o dno wykopu.

- Zatrzymaj to! - krzyknął.

I wreszcie Ojciec do niego zstąpił.

„Babka zrobiła to, co musiała. Twoja matka nie wierzyła. Ani w twoją misję, ani w twoją boskość”.

- Kochałem ją.

„Chciała cię zabrać”.

Tak było. Babka nie mogła do tego dopuścić i powstrzymała ją w jedyny sposób, jaki знаła. Spojrzał ku górze.

- Gdzie byłeś dzisiaj, kiedy ona się broniła? Inne duchy uległy tak szybko, ale ten...

„Czy nie wiesz, że Zły jest potężny? Że będzie walczyć, tak jak umie, stosując wszystkie swoje sztuczki? Nie łudź się, Synu. On ma naprawdę wielką moc!”.

- Ale ona wzywała Twojego imienia, wołała o ochronę i pomoc. Jakbym to ja był Złym.

„To są właśnie sztuczki węża. Dokończ swoją misję. Wyrzuć ostatnie złe duchy. Kiedy Maria zostanie oczyszczona i stanie u twojego boku, odzyskasz spokój”.

Spokój, pomyślał. Bardzo tęsknił za spokojem. A teraz miał go na wyciągnięcie ręki. Jeszcze dwa złe duchy, tylko tyle zostało mu do zrobienia.

Rozdział 63

czwartek, 18 sierpnia godz. 17.55

Mira otworzyła oczy. Potrzebowała dłuższej chwili, aby zorientować się gdzie jest. Leżała na sofie w pokoju ogrodowym. Z wysiłkiem usiadła, kończyny miała ciężkie, a umysł zamulony. Czuła się tak, jakby odsypiała wielką popijawę, tyle że przecież nie wypła nawet kieliszka wina.

Po wyjściu Connora rozmyślała o swoim małżeństwie i próbowała się pogodzić z tym, co usłyszała od Connora na temat Jeffa. A przede wszystkim z tym, że to, co uważała za urzeczywistnioną baśń, okazało się oszustwem.

Przypomniła sobie, że niekiedy zastanawiała się, gdzie jest Jeff i dlaczego tak późno wraca do domu. Nigdy jednak nie przyszło jej do głowy, że jest z inną kobietą. Nie była podejrzliwa, więc nie wypytywała Jeffa ani go nie sprawdzała.

Okłamał ją, i to nieraz. Miał niejednego romans.

Kto jeszcze o tym wiedział? Jego rodzina? Prawdopodobnie tak. Nic dziwnego, że jej nie szanowali, a potem oskarżyli o zabicie męża. Zapewne przypuszczali, że jednak wykryła oszustwa Jeffa albo on poprosił o rozwód, i wtedy zabiła go w ataku gniewu i zazdrości.

A może jedna z tych kobiet stała się kimś więcej niż tylko kochanką i Jeff zamierzał do niej odejść? Zamknęła oczy, przejęta jednocześnie gniewem i bólem. Dała Jeffowi wszystko, włożyła w ich małżeństwo ciało i duszę. A on? Rzucił jej nędzny kasek.

Co dalej? - zadała sobie w duchu pytanie. Nie mogła rozmówić się z Jeffem, nakrzyczeć na niego ani spoliczkować. Nie mogła nawet rozwieść się z tym draniem. Jedyne, co jej pozostało, to żyć jakby nigdy nic. Zresztą, trzeba było zdecydować się na to już dawno. Chciała, żeby Connor wybaczył jej wszystkie wątpliwości i dał jeszcze jedną szansę.

Z kuchni dobiegło ją brzęczenie komórki. Miała nadzieję, że to właśnie Connor dzwoni. Gdy znalazła telefon na blacie, przekonała się, że na darmo się łudziła. Mimo to odebrała.

- Cześć, Miro - powitała ją Deni. - Chcę tylko sprawdzić, co u ciebie. Jak się czujesz?
- Żyję i nawet wstałam. Która godzina?
- Po szóstej.
- Wieczorem? - Mira zerknęła przez ramię na zegar wbudowany w kuchenkę mikrofalową. Rzeczywiście, minęła już szósta. - Przespałam cały dzień. Nie mogę w to uwierzyć. Przykro mi, że się martwiłaś.
- Nie szkodzi. Cieszę się, że u ciebie wszystko w porządku.
- Działo się dzisiaj coś, o czym powinnam wiedzieć?
- Chris powiedział mi, że byłaś w firmie wczoraj wieczorem i zabandażowałaś mu ramię.
- Tak. Co z nim? Rozcięcie było paskudne.

- Znasz facetów Im mniej rabanu, tym lepiej. Chciał z miejsca wrócić do pracy, piłować i przybijać, jakby nic się nie stało, ale rana znowu zaczęła krwawić.

- Pojechał do domu?

- Wysłałam go do Redi-Med, żeby założyli mu szwy. Przed tym też się bronił.

Mira zmieniła temat.

- Czy może dzwoniła dzisiaj albo zaglądała do nas doktor Jasper?

- Nie, ale znowu telefonował Lance Arnold.

Mira zapisała w pamięci, żeby skontaktować się z adwokatem.

- Dzięki. Jutro przyjadę wcześniej.

- Poczekaj. Chciałam ci jeszcze coś powiedzieć. Wieczorem, kiedy przysłaś do mnie, skłamałam, że jestem sama.

Mira wiedziała to przez cały czas, choć starała sobie wmówić, że jest inaczej.

- Proszę, nie bądź na mnie zła - ciągnęła Deni. - Skłamałam, ponieważ to nie był Chris. Czułam się zażenowana i wyszło bardzo niezręcznie.

- Kiedy wczoraj go pytałam, co z wami, powiedział, że wszystko w porządku.

Milczenie Deni było wymowne. Mira pomyślała o swoim niewiernym mężu.

- Nie wolno oszukiwać. Przecież jesteś ponad to, Deni.

- Wiem. - W jej głosie pojawiła się żałosna nuta. - Naprawdę bardzo lubię Chrisa. Jest świetnym facetem i nawet brałam pod uwagę wspólną przyszłość, tyle że...

- Co takiego?

- On jest dziwny.

- Jak to?

- Po pierwsze, nosi pierścień czystości...

- Opowiadał mi o tym.
- Po drugie, nie chce iść na żadną imprezę, a ja lubię się bawić. Zresztą, tak poznałam Billa. Chris był zbyt zmęczony, żeby dokądkolwiek się wybrać, więc poszłam sama i jedno wynikło z drugiego.

Mira zastanawiała się, czy tak samo zaczęły się zdrady Jeffa. Przez znużenie i przypadek? Czyżby go nie zaspokajała? A może to w nim był defekt?

- Chris jest porządnym facetem. Jeśli chcesz z nim być, to mu to powiedz. Bądź z nim szczerą.
- On mówi, że cię zna.
- Kto mnie zna?
- Bill. Przez Jeffa. Byli przyjaciółmi.
- Co to za facet?
- Barman. Poznaliśmy się w Daiquiris.

Czy Jeff kiedykolwiek wspominał przy niej o kumplu barmanie? Raczej nie. Najwyraźniej o wielu jego znajomych i sprawach nic nie wiedziała.

- Czy rozmawiałaś z nim o mnie?
- Tylko trochę - odparła obronnym tonem Deni. - Trudno nie mówić o tym, co się ostatnio dzieje.

- Opowiedziałaś mu o Jeffie? I moim przekonaniu, że on żyje?
- Nie wiedziałam, że mam tego nie robić.
- Twierdziłaś, że jesteś sama.
- Ale on tam był i musiałam mu coś powiedzieć.

Obcy człowiek, który twierdzi, że znał ją i Jeffa. Wiedział o niej wszystko: gdzie jest, co robi i czuje. Tę wiedzę czerpał od Deni. Czy to może być morderca?

- Kiedy go poznałaś?
- Nie wiem dokładnie, kilka tygodni temu.
- To ważne, Deni. Kiedy?
- Tego samego dnia, kiedy napadł cię Kaznodzieja.

To on, uznała Mira. To musiał być on.

- Jak brzmi jego nazwisko?
- Dlaczego to takie ważne...
- Bo ważne, do diabła! Nazwisko?

Deni zawahała się.

- Bill Smith.
- To pospolite nazwisko. Jak możesz być pewna, że on naprawdę tak się nazywa?

- Przecież sam mi powiedział! Miro, dlaczego zachowujesz się w ten sposób?

- Zostali zabici ludzie. Wiesz, że już czworo? Ostatnio moja sąsiadka. W dodatku ja ją znalazłam.

To było koszmarnie. Morderca napisał jej na czole cyfrę cztery.

- Bill nie jest mordercą. Musisz mi zaufać. - Zabrzmiało to tak, jakby Deni płakała. - Powiedział, że cię lubi i...

- Wczoraj wieczorem bałaś się o mnie, pamiętasz? A teraz ślepo ufasz komuś, kogo nawet nie znasz.

- Znam go! To właśnie próbuję ci powiedzieć, ale nie chcesz mnie słuchać!
- A jeśli ten gość chce napisać kolejną cyfrę również na moim czole?
- Tracisz rozum. Czy na pewno niczego nie wzięłaś?
- Proszę cię - nie ustawała Mira. - Nie rozmawiaj z tym facetem i nie wpuszczaj go do domu, dopóki nie zadzwonię. Obiecuj mi to.

- Żałuję, że cię okłamałam. Jestem przerażona tym, co się dzieje, ale to nie ma nic wspólnego ze mną i Billem. Odpocznij, ja muszę iść.

- Poczekaj, nie...

W tym momencie Deni się rozłączyła.

Mira natychmiast wybrała jej numer. Deni nie odebrała, więc nie było sensu zostawiać wiadomości. Zatelefonowała więc do detektywa Malone'a.

- Malone, słucham.

- Detektywie! - zawołała przez łyzy. - Chyba wiem, kto jest mordercą.

- Pomału, pani Gallier.

- Znam mordercę. Sądzę, że to mężczyzna, z którym potajemnie spotyka się Deni. Powiedział jej, że mnie zna, że znał Jeffa... Ona paple mu o wszystkim... Boję się o nią.

- Niech mi pani opowie wszystko po kolei - zażądał Malone. - Proszę niczego nie opuszczać.

- Zadzwoń do mnie Deni - powiedziała Mira najspokojniej, jak potrafiła. - Wyznała mi, że tej nocy, kiedy u niej spałam, był tam mężczyzna. Nazywa się Bill Smith.

- Bill Smith - powtórzył Malone. - Pani go zna?

- Nie, chociaż on twierdzi, że zna mnie i że znał Jeffa. - Jej głos uciekł w nieco wyższy rejestr, chociaż starała się nad nim panować. - Okazało się, że on poznał ją tego samego dnia, kiedy napadł mnie Kaznodzieja. Opowiadała mu o wszystkich wydarzeniach.

- Czy on jej groził?

- Nie. Deni uważa, że mocno przesadzam, jednak wydaje mi się to bardzo podejrzane... Jeśli mam rację i on rzeczywiście jest mordercą, a ona powie mu o moich podejrzeniach, to on ją zabije.

- Nie wyciągajmy pochopnych wniosków. Wymieniła pani nazwisko Smith. Czy jeszcze coś pani

o nim wie?

- Jest barmanem.
 - Gdzie?
 - Deni powiedziała, że w Daiquiris, ale nie wiem, w którym, i nie mam pojęcia, czy tam pracował, kiedy się poznali.
 - Sprawdzę. Gdzie pani jest?
 - W domu.
 - Z psem?
 - Oczywiście... Jeśli chce pan, żebym bała się nieco mniej, to ta metoda nie działa.
 - Niech pani nie rusza się z domu. Przyślę policjanta, który dotrzyma jej towarzystwa.
 - Policjanta?
- Przez chwilę była zupełnie zdezorientowana, zaraz jednak zrozumiała i oblała się zimnym potem.
- Coś się stało?
 - Popołniono następne morderstwo.
 - Kto? - zdołała wyjąkać.
 - Doktor Adele Jasper. Przykro mi.

Rozdział 64

czwartek, 18 sierpnia godz. 19.10

Mira była ogromnie przygnębiona myślą, że gdyby Louise Latrobe i Adele Jasper jej nie znały, pozostałyby przy życiu. Do niedawna z tego samego powodu dręczyły ją wyrzuty sumienia z powodu śmierci Jeffa, którego namówiła do pozostania w Nowym Orelanie. Czy powinna obdzwonić wszystkich znajomych i ostrzec ich, że są w niebezpieczeństwie? Zatelefonować do

Connora i Chrisa, do pozostałych sąsiadów i do Sama z Coroner Bar? Za najpilniejsze uznała przekazanie ostrzeżenia Deni.

Przed oczami wciąż miała obraz Louise Latrobe, pośmiertną maskę staruszki z wypisaną na czole cyfrą cztery. Zacisnęła powieki, jakby to pomogło odsunąć przerażające wyobrażenie. Nie wolno pozwolić, żeby to samo stało się z Deni.

Popatrzyła na bliźniak, w którym mieszkała przyjaciółka, na jej czerwonego garbusa zaparkowanego na podjeździe. Wysiadła z samochodu i gdy szybkim krokiem zmierzała do drzwi wejściowych, rozważała, jak spróbuje przekonać Deni, aby nie spotykała się z Billem dopóty, dopóki policja go nie przesłucha. Dotarła na niewielki ganek i stanęła jak wryta. Drzwi wejściowe były uchylone. Mirze przebiegł po plecach zimny dreszcz.

Powiedziała sobie, że powinna wrócić do samochodu i zadzwonić Malone'a albo pod 911, po czym zaczekać na policję. A jeśli Deni potrzebowała pomocy właśnie teraz, a nie za dziesięć minut? Pchnęła skrzydło drzwi i zaglądając do środka, zawołała:

- Deni! To ja, Mira!

Nikt jej nie odpowiedział.

Uprzytomniła sobie, że wczoraj znalazła się w podobnej sytuacji. Stała na ganku pani Latrobe, uchyliła drzwi i zawołała, nie przeczuwając, co zastanie w domu. Mdlilo ją ze zdenerwowania. Nie zniosłaby, gdyby znalazła przyjaciółkę martwą. Powoli weszła do środka.

- Deni! Wszystko w porządku?

Cisza. Nikt nie zareagował. Rozejrzała się po pokoju, ale nie zauważyła niczego podejrzanego. Widok był zwyczajny, znajomy. Wokół piętrzyły się sterty gazet i magazynów. Na podłodze walały się puste puszki po napojach, butelki po wodzie, pufy i poduszki oraz z tuzin par butów. Do stojących w kącie sztalug był przypięty piękny, wykonany węglem rysunek anioła, a na stoliku

obok leżały szkice, kredki i farby. W podobnym otoczeniu Deni pracowała w firmie.

Brak przewróconych mebli i śladów walki nie do końca ją uspokoił. U pani Latrobe też niczego takiego nie zauważyła. Nadal przestraszona, Mira cicho przeszła do kuchni i zajrzała do środka. Odetchnęła z ulgą - wszystko było po staremu.

- Kim pani jest, do diabła?

Mężczyzna, stojący za progiem, był olbrzymi, a jeśli sędzić po jego minie, wojowniczo nastawiony. Cofnęła się o krok, a z jej ust wydobył się przeraźliwy krzyk, który odbił się echem o ściany kuchni. Mężczyzna bezradnie rozłożył ręce.

- Nie chciałem pani przestraszyć, proszę tego więcej nie robić.

Mira gorączkowo rozejrzała się po mieszkaniu, szukając czegoś, co mogłaby użyć jako broń. Najbliżej miała do stojącego na kuchence czajnika. Zreflektowała się, że nawet wypełniony wodą nie wyrządziłby szczególnej krzywdy temu gigantowi.

- Kim pan jest? - zdołała zapytać. - Billem?

- Nie. Jestem sąsiadem Deni. Randy.

Randy od sterydów skojarzyła z ulgą Mira. Poznałaby go, gdyby nie była taka wystraszona.

- Zaraz, już się spotkaliśmy. Pani jest szefową Deni.

- I przyjaciółką. Mira Gallier. Co pan tutaj robi, Randy?

- Zauważyłem, jak pani się zakrada, i postanowiłem sprawdzić, co się dzieje. - Zmarszczył czoło.

- Właśnie, gdzie jest Deni?

- Miałam nadzieję, że tutaj.

Podrapał się po głowie.

- Jeszcze niedawno była. Słyszałem, jak się z kimś kłóciła.

- Z kim?

- Nie wiem. - Wzruszył ramionami.
- O co poszło?
- W zasadzie nie zrozumiałem, słyszałem tylko dużo słów na „ka” i „pe”. On nazwał ją kłamczuchą.

- On? Czy na pewno kłóciła się z mężczyzną?

Randy zamyślił się.

- Tak założyłem. Ona spotykała się z dwoma różnymi facetami.

- Czy jeden z nich nazywa się Bill Smith?

- Nie wiem. Nie przedstawiła mnie. Po prostu widziałem, że się kręcą.

- Jak wyglądali?

- Jeden ma jasne włosy z rudawym odcieniem, długie i raczej kudłate. Wygląda niechlujnie.

- Co pan rozumie pod słowem „niechlujnie”?

- Wie pani, tak jak ubierają się młodzi. Workowate krótkie spodnie, bawełniane koszulki, klapki.

Ten opis pasował do Chrisa.

- A ten drugi?

- Naprawdę super wyglądał. Krótkie włosy. Starszy.

- Ile może mieć lat?

- Widziałem go tylko przelotnie. Chyba po trzydziestce.

- Zauważył pan, jakim samochodem jeździ?

- Niestety nie.

Nagle Mira poczuła się bezradna. Łzy napłynęły jej do oczu.

- Dobrze się pani czuje?

- Nieszczególnie. Obawiam się, że Deni wpadła w tarapaty. Boję się... - Coraz trudniej było jej

zapanować nad łamiącym się głosem. - Mężczyzna z krótkimi włosami może zrobić jej krzywdę.

Randy się zaniepokoił.

- A sprawdzała pani resztę mieszkania?

Pokręciła głową.

- Pewnie powinnam, prawda?

- Możemy to zrobić razem, jeśli pani sobie życzy.

Przytaknęła, więc obeszli pozostałą część domu. Deni nie było podobnie jak śladów włamania czy napaści. Jeśli sędzić po stercie ubrań i wilgotnym ręczniku wiszącym w łazience, Deni wzięła prysznic i się przebrała.

- Nie sądzę, żeby czuła się swobodnie, gdyby nas tu zastała, a zwłaszcza mnie - powiedział Randy, odwracając oczy od porzrzuconych ubrań.

Mira skinęła głową, ale nie ruszyła się.

- Gdzie ona może być?

- Prawdopodobnie poszła na spotkanie. Wieczorami prawie nigdy nie ma jej w domu.

- Dlaczego drzwi były otwarte?

- Może w pośpiechu ich nie domknęła.

- Zapomniała zamknąć na zamek?

- Jeśli są takie jak moje, to przed wyjściem zamyka się je od wewnątrz. Potem wystarczy zatrzaskać.

Wrócili do kuchni.

- Proszę spojrzeć, zostawiła komórkę. - Randy sięgnął po leżący na blacie kuchennym telefon.

Mira nie знаła drugiej osoby, która byłaby bardziej niż Deni przywiązana do swojego telefonu. Służył jej do różnych celów: wysyłała maile, odwiedzała portale społecznościowe, bawiła się grami,

sprawdzała prognozę pogody i wiadomości. Mira nigdy nie widziała Deni bez telefonu komórkowego.

Randy musiał zauważyć niepokój malujący się na jej twarzy.

- Po prostu zapomniała.

Mira bardzo chciała w to uwierzyć, lecz nie mogła. Jeszcze raz rozejrzała się po kuchni. Przy kuchence mikrofalowej stało puste pudełko po jakimś daniu Lean Cuisine. Podeszła i otworzyła drzwiczki. Wewnątrz stał nietknięty gotowy posiłek.

- Wydaje mi się, że ona wyszła z jednym z tych facetów - odezwał się Randy - Szkoda, że nie może pani do niej zadzwonić i spytać.

Zadzwoń i spytaj - oczywiście.

- Można prosić o telefon Deni?

- Jasne.

Schowała komórkę do kieszeni spodni.

- Jak dawno temu podsłuchał pan kłótnię?

- W telewizji nadawali Va banque. Pewnie jakieś czterdzieści minut temu, a może godzinę.

Czterdzieści do sześćdziesięciu minut. Czyli wkrótce po tym, jak rozmawiały. Mira nie wiedziała, co to oznacza ani czy jest to ważne, ale była zadowolona, że zdobyła tę informację.

- Chyba ma pan rację, Randy. Nie powinniśmy kręcić się po mieszkaniu Deni.

Podziękowała mu za pomoc i pospieszyła do samochodu. Zapaliła silnik, włączyła klimatyzację na najniższą możliwą temperaturę i wyciągnęła z kieszeni komórkę asystentki. Szybko weszła do historii połączeń. Deni dzwoniła do niej, ona do Deni, potem dzwonił ktoś z numeru, którego Mira nie знаła, potem Chris, potem jeszcze dwa razy ten ktoś z pierwszego numeru.

Wyjęła swój telefon i zadzwoniła do Chrisa. Odpowiedział natychmiast.

- Cześć, Miro. Co słysząc?
 - Szukam Deni. Nie ma jej z tobą?
 - Nie. Nie rozmawiałem z nią od jakiejś godziny.
 - O której ostatnio?
 - Nie wiem. Mogę sprawdzić w telefonie, jeśli ci na tym zależy. Zadzwoń do niej z pytaniem, czy nie miałaby ochoty wybrać się na pizzę, ale odparła, że nie jest w odpowiednim nastroju. Bardziej prawdopodobne, że miała inne plany, pomyślała Mira.
 - Wszystko w porządku? - spytał.
 - Dostałam złą wiadomość. Doktor Jasper została zamordował. Usłyszała jego głośny wdech. - A teraz martwię się...
- Urwała. Nie mogła przez telefon powiedzieć mu o Billu Smisie.
- Gdzie jesteś? - spytała.
 - W New York Pizza. Właśnie odbieram zamówienie. Pobudziłem kubki smakowe wizją pizzy i nie mogłem się od tej myśli uwolnić. Sama wiesz, jak to jest.
 - Owszem.
- Może Chris jej pomoże? Może wie, dokąd lubi chodzić Deni? - zastanawiała się Mira. Musiała porozmawiać z nim twarzą w twarz, aby się o tym przekonać.
- Jaką pizzę kupujesz?
 - Dużą, wegetariańską. A co?
 - Podzielisz się ze mną? Spotkalibyśmy się w firmie.
- Spodobał mu się ten pomysł. Uzgodnili, że oboje tam przyjadą, i Mira przerwała połączenie. Na tym jednak nie zamierzała zakończyć. Wzięła telefon Deni i wybrała nieznany numer. Po kilku dzwonek odezwała się nagrana wiadomość: „Abonent, do którego dzwonisz, ma

nieskonfigurowaną pocztę głosową. Przepraszamy". Rzuciła telefon na siedzenie samochodu. Postanowiła, że później zatelefonuje do Billa Smitha.

Rozdział 65

czwartek, 18 sierpnia godz. 20.05

Mira podjechała na parking i zajęła miejsce obok stojącej tam furgonetki Chrisa. Pospieszyła do wejścia od frontu. Spodziewała się, że Chris będzie na nią czekał na ganku, ale go nie zastała. Okazało się, że drzwi są zamknięte. Jak to możliwe? Otworzyła je i weszła do środka. Poczła zapach pizzy.

- Chris! - zawołała. - Jestem tutaj.

Przesuwne drzwi do pracowni były na wpół otwarte. Wylewało się z nich światło, które rozjaśniało mrok w sklepie.

- Chris? - powtórzyła i ruszyła ku światłu.

Pojawił się na progu. Wydawał się wzburzony. Znieruchomiała.

- Co się stało? - spytała,

Zasunął za sobą drzwi. Światło i tak wydostawało się przez szpary starej konstrukcji.

- Nie wchodź tam.

- Mój Boże. - Mira przycisnęła dłoń do ust. - Czy to... Deni?

- Deni? - Wydał się zmieszany. - Nie, witraż Marii Magdaleny. Już po nim.

- Jak to po nim? Coś się stało?

Pokręcił głową.

- Nie ma go tutaj. Przeszukałem całą pracownię. Poza tym żadnego witrażu nie brakuje.

- Może Deni zapakowała go do transportu?

- Nie sędzę. Po co miałyby to robić, skoro nie wyznaczyłaś terminu montażu?

- Chcę to zobaczyć.

Zawahał się, ale odstąpił na bok. Mira przystanąła na moment, aby się zebrać w sobie, a potem odsunęła drzwi.

Nic jednak nie mogło przygotować jej na widok pustego miejsca po witrażu Marii Magdaleny.

- Drżysz - powiedział cicho Chris. - Nic ci nie będzie?

- Kto mógł go zabrać? Czego chciał... Nagle zrozumiała. „Wyrzucił siedem złych duchów”. Maria Magdalena.

- Wiem, kto go ma!

- Kto?

- Morderca dnia Sądu Ostatecznego.

- Miro, muszę ci coś powiedzieć.

Słyszając poważny ton Chrisa, spojrzała na niego z uwagą.

- Kiedy upewniłem się, że witraż znikł, wyszedłem popytać okolicznych sąsiadów, czy czegoś nie zauważyli. Carol, która mieszka naprzeciwko, powiedziała, że widziała wcześniej Deni. Była z jakimś mężczyzną. Wynieśli duży przedmiot i zapakowali do samochodu.

Mira starała się nadać sens temu, co usłyszała.

- Czy Carol była pewna, że to Deni?

- Absolutnie.

- O której godzinie to się działo?

- Powiedziała, że około siódmej.

Mira cofnęła się myślą do tego czasu. O której Deni dzwoniła? Około szóstej.

- Czy Carol rozpoznała mężczyznę? - spytała.

- Nie, ale... jej zdaniem wyglądał jak wojskowy.
- Wojskowy? - Wlepiała w niego wzrok. - Był w mundurze?
- Nie, tylko... Był ostrzyżony na zapałkę i miał jasne włosy.
- Wiem, co sugerujesz, ale to nie mógł być on.
- Z kim więc była? Boję się o nią. Ona nie skrzywdziłaby ani ciebie, ani nikogo innego. Dobrowolnie nie zabrałaby witraża. Connor jakoś ją omamił, przekonał, żeby wpuściła go do firmy i wtedy...

- Ten mężczyzna nazwa się Bill Smith. - Mira ujęła Chrisa za rękę. - Deni spotyka się z kim innym. On właśnie tak się nazywa. Przykro mi. Odkryłam to niedawno.

Przez chwilę Chris wpatrywał się z Mirą, po czym powiedział:

- Niemożliwe. Widujemy się codziennie i prawie każdego wieczoru. Wszystko jest w porządku.

- Przykro mi - powtórzyła, ściskając jego palce.

- Jak długo... - Odchrząknął. - Jak długo to trwa?

- Kilka tygodni. Od dnia, kiedy napadł mnie Kaznodzieja.

Usiłował jakoś dojść do ładu z tą wiadomością.

- Tego samego dnia pojawił się twój przyjaciel Connor.

- Deni powiedziała mi, że ten facet nazywa się Bill Smith. Jest barmanem, którego poznała, gdy poszła się zabawić.

Mira przypomniała sobie, że asystentka zapewniała ją, że tej nocy, gdy ją zaprosiła do siebie, nikogo innego nie było w mieszkaniu. Skłamała wcześniej, więc dlaczego nie miałyby zrobić tego jeszcze raz? Mira przycisnęła palce do czoła. Connor i Deni? Razem? Spiskujący przeciwko niej? To nie miało sensu.

Opuściła rękę i spojrzała Chrisowi w oczy.

- To nie był Connor. Jeśli Deni pomogła ukraść witraż, to jedynie dlatego, że została zmuszona.
- Co robimy?
- Dobrze pytanie. Problem w tym, że nie bardzo wiem.
- Zadzwońmy na policję - podsunął. - Najlepiej do detektywa Malone'a. On będzie wiedział, co robić.
- Dobrze, jednak najpierw zastanówmy się, dlaczego morderca miałby ukraść witraż Marii Magdaleny.

Po budynku przesunęły się dwa snopy światła z samochodowych reflektorów. Oboje odwrócili się w tamtym kierunku.

- Miro, nie chcę cię straszyć, ale jeśli ten facet zabija ludzi z twojego otoczenia, to może nie powinnaś tu przebywać.

Na zewnątrz rozległ się trzask drzwiczek samochodu. Było już za późno, żeby zgasić światło oraz upewnić się, czy frontowe drzwi są zamknięte na zamek. Chris chwycił przestraszoną Mirę za rękę i pociągnął ku wysokim stojakom umieszczonym w kącie pracowni. Między dwoma stojakami a ścianą była nisza, w której mogli się ukryć.

Chris wślizgnął się pierwszy i przywarł do ściany. Mira wsunęła się za nim. Stali w mroku przyciśnięci do siebie. Rozległo się pukanie do drzwi od frontu, potem ktoś zaczął sprawdzać, czy są zamknięte. Mira mocno zacisnęła wargi, żeby nie wyrwał jej się krzyk. Chwilę potem przybysz zaczął sprawdzać boczne wejście. Promień światła zatańczył po podłodze, ścianach i suficie. Mirze ze strachu zrobiło się słabo.

Jeszcze długo po tym, jak człowiek, który próbował dostać się do środka, zrezygnował z dalszych prób, oboje stali nieruchomo. Wreszcie Chris puścił jej rękę i szepnął:

- Zostań tutaj. Upewnię się, czy odjechał.

Skinęła głową.

- Uważaj na siebie.

Po cichu wymknął się na dwór. Mira zaczęła liczyć w myślach, przy każdej liczbie wyobrażając sobie, gdzie w tej chwili jest Chris. Przy „dziewięćdziesiąt osiem” pojawił się u wejścia do ich kryjówki.

- Droga wolna - oznajmił i wyciągnął do niej rękę. Ujęła ją i wy dostała się z otworu.

- Sprawdziłeś parking?

- Tak. Stoją nasze samochody, i to wszystko. Myślę, że powinniśmy stąd zniknąć.

Była tego samego zdania.

- Tylko dokąd pojedziemy?

- Znam pewne miejsce - powiedział. - Nawet Deni o nim nie wie. Będziemy tam bezpieczni.

Rozdział 66

czwartek, 18 sierpnia godz. 20.10

Malone siedział za biurkiem, zmartwiony tym, że sytuacja pogarsza się z każdą chwilą. Patrol wysłany do Miry Gallier nie zastał jej w domu. Nie było też jej samochodu. Wysłał więc inny patrol do firmy, lecz jeszcze nie wrócił. Próbował telefonować do pani Gallier, ale nie odbierała. Co gorsza, Scott wyslizgnął im się z rąk. Malone obawiał się, że były wojskowy zwietrzył pismo nosem i znalazł sobie kryjówkę. Jeśli to on był poszukiwanym przez nich zbrodniarzem, to zdawał sobie sprawę z tego, że zabijając doktor Jasper, pozostawił ślady. Gabinet terapeutki stanowił istną kopalnię dowodów materialnych, takich jak historia połączeń telefonicznych, DNA, odciski, a nawet imię utrwalone charakterem pisma ofiary.

Świadom tego morderca powinien albo uciec, albo skupić się na dokończeniu tego, co zaczął, a

to oznaczałoby śmierć dwóch kolejnych osób, w tym prawdopodobnie Miry Gallier.

Bayle wciąż się nie pojawiła. Natomiast do Malone'a zajrzał Percy.

- Czekaj na nas pani kapitan.

Spencer podniósł się zza biurka. Podzielał odczucia brata, który wyglądał na mocno sfrustrowanego.

Kapitan O'Shay ruchem ręki zaprosiła ich do gabinetu.

- Są wiadomości od Bayle? - spytała. Gdy Malone pokręcił głową, zmeła w ustach przekleństwo.

- Co, do cholery, zaszło między wami, detektywie? Długą wersję proszę.

- Nic takiego, co uważalibyśmy... Wiem, że Bayle miała romans, który źle się skończył i przyspieszył jej załamanie nerwowe. Spytałem, czy człowiekiem, z którym się spotykała, był Connor Scott, i dałem jej do zrozumienia, że współpracując śledztwo, nie jest obiektywna w takim stopniu, w jakim powinna.

- Connor Scott? Dlaczego wyciągnąłeś taki wniosek?

- Od początku obserwowałem między nimi silną niechęć. Bayle wykazywała nieuzasadnione uprzedzenia wobec Gallier. Jej była współpracownica powiedziała Stacy, że ten facet należał do nowoorleańskiej elity. Teraz, gdy o tym mówię, wydaje mi się to naciągane, ale wtedy brzmiało przekonująco.

- Jak zareagowała Bayle?

- Powiedziała, że moje wymysły są gównem, podobnie jak ja sam. Uznałem jej racje, więc zatelefonowałem, a ponieważ nie odebrała, nagrałem przeprosiny na pocztę głosową. Nie oddzwoniła.

- A teraz znikł również Scott.

- Tak, pani kapitan.

Powiodła wzrokiem po obu detektywach i zatrzymała go na Spencerze.

- Dopuszcza pan możliwość, że Bayle i Scott mogli działać razem?
- Moim zdaniem nie, ponieważ zareagowali na siebie z widoczną niechęcią - odparł Malone.
- W takim razie Bayle ma kłopot. Powinna poprosić mnie o zmianę partnera. Ta Bayle, którą znam, nie uciekłaby przed obowiązkami.
- Chyba że miałem rację.
- Albo że przeżyła kolejne załamanie - włączył się Percy.
- To jeszcze nie wszystko, pani kapitan - powiedział Spencer. - Pojawił się nowy trop. - Szybko przekazał wszystko, co wie na temat Billa Smitha.

Kiedy skończył, kapitan O'Shay zmrużyła oczy.

- Co pan o tym sądzi?
- Wchodząc w zbiórkę z kimś z otoczenia Gallier, morderca mógłby być na bieżąco ze śledztwem, mógłby też mieć ciągły dopływ informacji o działaniach i stanie psychicznym Gallier. Za pośrednictwem Deni Watts miałyby dodatkowo dostęp do kluczy i kodów alarmowych zarówno do domu, jak i do siedziby firmy.
- Tyle że to nie na nazwisko Smitha natknęliśmy się u doktor Jasper - wtrącił Percy - Chociaż on mógł wiedzieć, że Connor Scott jest głównym podejrzanym, i posłużyć się jego nazwiskiem podczas umawiania wizyty u doktor Jasper.
- Kazałem Gallier siedzieć w domu i wysłałem patrol, żeby miał na nią oko. Ona jednak wolała uciec.

Kapitan O'Shay zmarszczyła czoło.

- Domyślcie się, dokąd mogła uciec?
- Ja postawiłbym na dom Deni Watts. Przypuszczam, że chciała ją ostrzec przed Billem

Smithem. Jeśli nie tam, to prawdopodobnie dom Scotta albo jej firma.

- Zaczniemy od domu Watts. Wyślijcie patrol. Chcę wiedzieć wszystko o Billu Smisie: kim jest, gdzie pracuje, czy jest notowany. Sprowadźcie go tutaj na przesłuchanie. Dowiedzcie się, gdzie i z kim przebywa Watts. Jeśli ma rodzinę, przesłuchajcie ją. Zdaje się, że miała innego chłopaka...

- Chris Johns - podsunął Malone. - Cieśla, złota rączka. Pracuje u Gallier.

- Porozmawiajmy z nim. Jeśli Watts go rzuciła, to będzie coś wiedział i na pewno chętnie nam pomoże. Włączcie do sprawy Jacksona i Phillipsa. Jeśli ktoś nazywa się Bill Smith, to zebranie o nim informacji będzie żmudne.

Detektywi wstali i ruszyli do boksu Spencera.

- To mnie wykańcza - powiedział. - Czego nie widzę?

- Zapewne tego samego, co i ja - odrzekł Percy.

Spencer uświadomił sobie, że stoją przed boksem Bayle. Zerknął na jej biurko i coś mu zamajaczyło w pamięci.

- Wszystko w porządku? - dobiegł go głos brata.

Wtedy sobie przypomniał. Zastał Bayle płaczącą. Próbowwała to ukryć, chowając coś do szuflady. Wszedł do boksu i stanął za biurkiem.

- Co ty robisz?

- Coś, czego mogę pożądować.

Otworzył górną szufladę i zaczął sprawdzać zawartość. Nic niezwykłego. Formularze, notes, rachunek za przejazd mostem nad Missisipi i kilka batoników.

- Braciszku, co robisz?! To obciach.

Nie odpowiedział, chociaż uznał, że Percy ma rację. Przeszukał dolną szufladę. Znow nic. Wyprostował się i potulnie spojrzął na brata.

- Czuję się jak idiota. Zmywajmy się stąd, zanim ktoś...

Urwał, jego wzrok przyciągnęła bowiem smuga pomarańczowego koloru przysłonięta teczką. Ohydny odcień, który poznałby wszędzie. To, czego szukał, znajdowało się dokładnie przed jego oczami. Percy spojrział w to samo miejsce.

- Jasny piorun! - powiedział.

- Masz rękawiczki? - spytał Spencer.

Percy podał mu parę rękawiczek. Spencer włożył je i ostrożnie wyciągnął kawałek papieru. Na czystej kartce figurowało wypisane drukowanymi literami słowo: WIEM. Tuż obok znajdował się śmieszek narysowany jaskrawo pomarańczową szminką.

Rozdział 67

czwartek, 18 sierpnia godz. 21.15

Malone tkwił przed niedużym domem Bayle w Bayou St John, dzielnicy, której charakter nadawała leniwa odnoga rzeczna, ciągnąca się wzdłuż zachodniej granicy terenu. Nie mógł się doczekać nakazu, żeby wreszcie wziąć się do roboty.

Porównali śmieszki z witrażem w kościele Sióstr Miłosierdzia z figurującym na kartce znalezionej u Bayle. Kółka z wrysowanym uśmiechem, zaznaczonymi oczkami i charakterystycznym zawijaszem u szczytu znaku były niemal identyczne.

Usiłował sobie przypomnieć, kto widział pomazane witraże. Śledczy, którzy pracowali na miejscu zdarzenia. Sanitariusze i technicy. Kilka osób zatrudnionych w kościele. Mira Gallier i osoby, które pomagały jej w doprowadzeniu witraży do poprzedniego stanu. Deni Watts, Chris Johns. I morderca. Jaka była rola Bayle? Czy to ona napisała wiadomość, tylko nigdy jej nie dostarczyła? A może była odbiorcą? Co wiedział autor tej notatki? Zagadki się mnożyły.

Za jego plecami zatrzymał się wóz patrolowy, a za nim jeszcze jeden samochód, prawdopodobnie technika mającego otworzyć dom. Wyważanie drzwi kopniakiem było ostatecznością, do której uciekano się w braku innych możliwości. Dwaj umundurowani funkcjonariusze wysiedli z samochodu, jeden trzymał w ręce nakaz przeszukania.

Policjant podał dokument Spencerowi, który szybko go obejrzał, aby upewnić się, że wymieniono w nim wszystko, co trzeba, w taki sposób, by jak najmniej ograniczać zakres poszukiwań: zdjęcia, dziennik, listy, maile, pistolet kalibru .45, szminka w odcieniu koralowym, rachunki ze sklepów, czarny marker z grubą końcówką.

Malone skinął głową.

- Do roboty.

Podeszli do frontowych drzwi. Technik uporał się z zamkiem w ciągu kilku sekund. Umundurowani funkcjonariusze zapalili latarki, skierowali je w głąb mrocznego wnętrza i odsunęli się na bok, robiąc miejsce Spencerowi.

Zapalił światło w holu. Nikt nie odezwał się słowem. Towarzyszyło im poczucie, że robią coś niestosownego. Bayle była ich człowiekiem, odznaczoną policjantką, bohaterką z czasów Kariny, a oni zamierzali przeszukać jej dom, grzebać w rzeczach, jakby była dla nich obca.

- Gdzie mamy zacząć, detektywie? - spytał funkcjonariusz, który wręczył mu nakaz.

- Tutaj. - Malone wskazał pokój dzienny - Potem kuchnia. Ja pójdę do sypialni. Przeczytaliście listę przedmiotów, których szukacie?

Rozdzielili się. W drodze do sypialni Malone włożył rękawiczki. Znalazłszy się w sypialni, włączył górne oświetlenie i omiół wzrokiem wnętrze. Wyglądało zaskakująco kobieco. Przycmione kolory, poduszki na łóżku zdobione koralikami i frędzlami.

Podszedł do nocnej szafki. Stało na niej samotne zdjęcie w ramce. Podniósł je, by się przyjrzeć.

Wyglądało tak, jakby zrobiono je w barze, było niedoświetlone i niewyraźne. Mężczyzną towarzyszącym Bayle nie był Connor Scott, ale jego rysy wydały się Spencerowi znajome. Przystojny, krótko ostrzyżony, uśmiechnięty.

Malone zmarszczył czoło. Skąd zna tego człowieka?

Jeszcze przez chwilę wpatrywał się w fotografię, po czym zajął się innymi rzeczami z szafki. Krem nawilżający, ładowarka, flakonik tylenolu, powieść w popularnym wydaniu.

Do pokoju wszedł Percy. Spencer zerknął przez ramię na brata.

- Popatrz na faceta z tego zdjęcia i powiedz, czy go poznajesz.

Percy wziął ramkę do ręki i przeciągle gwizdnął.

- Jasny piorun, dobrze znam tego gościa.

Malone pochwyił zdumione spojrzenie brata.

- Tak? A kto to jest?

- Jeff Gallier.

Rozdział 68

czwartek, 18 sierpnia godz. 21.40

Mira przekonała Chrisa, żeby podjechał pod jej dom. Był zdenerwowany i chciał jak najszybciej dotrzeć w bezpieczne miejsce, ale nalegała bardzo stanowczo. W domu zabawiła dłużej, niż sądziła. Musiała nakarmić i wypuścić Nolę oraz spakować rzeczy. Gdy była gotowa, zorientowała się, że zostawiła telefon komórkowy. Chris czekał na ganku. Nola towarzyszyła mu, merdając ogonem. Mira pojawiła się w drzwiach i spytała:

- Czy zauważyłeś coś podejrzanego?

- Nie.

- To dobrze. Potrzebuję jeszcze minutę. Zostawiłam w pokoju telefon komórkowy. O, właśnie się odezwał. Zaraz wrócę.

Chris złapał Mirę za rękę.

- Nie odbieraj. Jedźmy.

Odtrąciła jego rękę.

- To zajmie chwilę. Poza tym może dzwonić detektyw Malone z nowymi informacjami.

Rzeczywiście to był detektyw, o czym przekonała się, gdy odebrała telefon.

- Pani Gallier, czy wszystko w porządku?

- Tak - odparła zdyszana. - Musiałam dobiec do telefonu, ale to wszystko.

- Gdzie pani jest?

- W domu.

Sprawa się rozwija. Zaraz wyślę do pani patrol. Proszę tym razem na niego poczekać.

Serce podeszło jej do gardła.

- Czy chodzi o Deni? Czy z nią wszystko w porządku?

- Pyta pani o swoją asystentkę? O ile wiem, czuje się dobrze. Tym razem mam dobrą wiadomość. Jesteśmy coraz bliżej ujęcia mordercy.

- Dzięki Bogu! Czy to Bill Smith, z którym spotykała się Deni?

- To nie Bill Smith i w ogóle nikt, z kim spotykała się Deni.

- Czy pan jest pewny, detektywie? Nie zastałam jej w domu. Zostawiła jednak telefon komórkowy, a jej sąsiad słyszał kłótnię, która miała miejsce przed moim przyjazdem.

- Założę się, że to była kłótnia z chłopakiem, z którym potem wyszła, a o telefonie po prostu zapomniała.

- A co z witrażem Marii Magdaleny? Ktoś go ukradł.

- Słucham?!

- Witraż znikł. Odkrył to Chris. Rozmawiał na ten temat z sąsiadką mieszkającą naprzeciwko firmy. Powiedziała mu, że około siódmej widziała Deni z jakimś mężczyzną, ładujących do samochodu coś, co wyglądało jak zapakowany witraż.

- Sprawdzimy, ale jeśli nawet zabrała witraż, nie ma to związku z morderstwami.

- Skąd pan wie? Może on ją zabił? Może...

- Miro - przerwał jej. - Muszę już iść. Patrol jest w drodze. Niech pani nie rusza się z domu. Posterunkowi nazywają się James i Fosse. Proszę nie ufać nikomu innemu, nawet detektyw Bayle. Rozumie pani? - Rozłączył się.

Po rozmowie z detektywem Mira była zdezorientowana. Co miała oznaczać ta ostatnia uwaga o detektyw Bayle?

- Z kim rozmawiałaś? - spytał z za jej pleców Chris.

- Z detektywem Malone. Przyjedzie dwóch posterunkowych i zabierze mnie w bezpieczne miejsce. Zdaje się, że policja ustaliła, kto jest mordercą.

- Przecież mówiłem ci, że znam bezpieczne miejsce, w którym możemy razem się ukryć. - Zabrzmiało to tak, jakby Chris był urażony.

Mira włożyła telefon do kieszeni.

- Nie zostawię cię, wezmę cię z... - Urwała.

Chris krwawił. Krew zaplamiła mu rękaw i ściekała z mankietu.

- Jesteś ranny! - Chwyliła za ścierkę. - Co się stało?

Zanim zdążyła dokończyć, Chris przycisnął ją twarzą do lodówki. Następnie wykręcił jej ramiona i skrępował nadgarstki. Potrzebowała chwili, by dokonać racjonalnej oceny sytuacji i spróbować oporu. Jednak gdy usiłowała się wyrwać, Chris chwycił ją za kark. Syknęła z bólu.

- Przestań, Mario! Nie chcę cię skrzywdzić.

- Puść mnie. Odbiło ci? Proszę...

Gdzie się podziała Nola? - zastanawiała się. Dlaczego nie przybiegła jej na pomoc? Nagle usłyszała jej szczekanie i drapanie w drzwi.

- Opętały cię złe duchy. Dokończę mojego dzieła i będziemy razem.

Mira zaczęła krzyczeć, przeraźliwe dźwięki wydobywały jej się z gardła jeden za drugim. Nola szczekała jak dzika, warczała i rzucała się na drzwi.

Jedynym ostrzeżeniem przed tym, co nastąpiło, było nagłe szarpnięcie za kark. Mira z całej siły wyrznęła czołem o drzwi lodówki. Ugięły się pod nią kolana. Osunęła się na podłogę i skuliła z bólu.

- Już prawie po wszystkim, Mario. Będziemy zawsze razem.

Chris wyciągnął jej z kieszeni telefon, rzucił go na podłogę i rozgniół obcasem roboczego buta. Instynkt podpowiadał jej, by próbować ucieczki. Zaczęła pełznąć z nadzieją, że policja jest blisko, że ktoś usłyszy jej krzyki albo szaleńcze szczekanie Noli.

Zatrzymał ją, stawiając jej stopę na plecach.

- Nic z tego, moja droga. Nie mamy czasu.

Usłyszała trzask materiału i chwilę potem zrozumiała, że to odgłos dartej ścierki, tej samej, którą chciała zatamować mu krwawienie. Ścierka zacisnęła jej się na ustach, a Chris mocno ją zawiązał. Mira poczuła smak krwi i zaczęła płakać. Na widok jej łez Chris sposepniał. Pomyślała, że ją uwolni. Zaraz jednak rysy znowu mu stężały.

- Złe duchy - powiedział cicho, obwiązując drugim kawałkiem ścierki jej kostki. - Uwolnię cię od nich, obiecuję.

Przerzucił ją sobie przez ramię i ruszył do furgonetki. Wcześniej celowo pogasili światła na

podjeździe i ganku, żeby morderca nie zauważył ich obecności. Mira usłyszała syrenę radiowozu. Niestety, do furgonetki mieli tylko kilka kroków. Drzwiczki szoferki po stronie pasażera były otwarte, silnik pracował. Nie było szans, żeby policja zdążyła na czas.

W ostatniej, desperackiej próbie oporu szarpnęła ciałem z nadzieją, że Chris straci równowagę. On jednak tylko mocniej przycisnął ją ramieniem. Omal nie pękły jej żebra. Wrzucił ją do szoferki i zatrzęsął drzwiczki. Chwilę później odjechali. Mira uświadomiła sobie, że nikt tego nie zobaczy. Najbliższa sąsiadka nie żyła, zabita przez tego samego potwora, który teraz miał ją w swojej mocy.

Rozdział 69

czwartek, 18 sierpnia godz. 22.00

Malone nie mógł uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał. Mocniej przycisnął telefon do ucha.

- Gallier nie ma?! Jak to nie ma?!
- Samochód stoi przed domem, pies zaraz ochrypie od szczekania, wszystkie światła są zgaszone i nikt nie otwiera drzwi.

- Przedstawiliście się?

- Tak, detektywie. Nawet ćwoczyłem siłę głosu. Co mamy zrobić?

Musiło stać się coś złego, uznał Malone.

- Poczekajcie chwilę.

Strzelił palcami, by zwrócić uwagę Percy'ego.

- Zatelefonuj na komórkę Gallier. Nie otwiera drzwi.

Percy wykonał polecenie.

- Od razu włączyła się poczta głosowa - poinformował.

Zaniepokojony Malone zwrócił się do czekającego na instrukcje posterunkowego.

- Przeszukajcie teren wokół domu. Zwracajcie uwagę na wszystko, co wydaje się podejrzane, i meldujcie.

Policjant oddzwonił niemal natychmiast, Malone nie zdążył schować aparatu do futerału.

- Detektywie, znaleźliśmy ślady wyglądające na krew. Są na schodach przed wejściem i na framudze drzwi. Mamy wejść do środka?

- Tak, do diabła! Wysyłam posiłki i już jadę.

Zanim Malone i Percy dotarli na miejsce zdarzenia, przyjechały tam trzy wozy patrolowe, a Fosse i James przeszukiwali dom.

- Gallier nie ma - poinformował posterunkowy Fosse. - Wygląda na to, że została uprowadzona siłą.

Malone poszedł za nim do kuchni. Krew była na podłodze i na drzwiach lodówki. Znaleźli też zakrwawioną, podartą ścierkę i niesprawnego iPhone'a. Bez wątpienia własność Miry Gallier. Detektyw miał ochotę krzyknąć z bezsilności, ale musiał na sobą zapanować.

- Technicy są w drodze - powiedział Percy. - Posterunkowi zaczęli wypytywać sąsiadów. Jeśli ktokolwiek coś widział lub słyszał, zaraz będziemy o tym wiedzieć.

Odezwała się komórka Malone'a. Dzwoniła kapitan O'Shay.

- Gdzie jesteś? - spytała.

- W domu Miry Gallier. Nie ma jej tutaj, są za to ślady krwi.

- Udało się zlokalizować detektyw Bayle.

- Gdzie jest?

- W śródmieściu w hotelu InterContinental.

- Percy i ja już jedziemy. Za pozwoleniem, chciałbym przesłuchać ją jako pierwszy.

- Przykro mi, Spencer, ale to nie będzie możliwe.

- Dlaczego nie? - spytał, choć przypuszczał, że odpowiedź bardzo mu się nie spodoba.
- Nie żyje. Wygląda na to, że popełniła samobójstwo.

Rozdział 70

czwartek, 18 sierpnia godz. 22.55

Spencer i Percy przemierzali ekskluzywny hol hotelu InterContinental świadomi zaniepokojonych spojrzeń personelu. Dyrektor pospieszył ku nim, prowadząc mężczyznę, który musiał być szefem hotelowej ochrony.

- Witam, detektywi - powiedział półgłosem. - Dziękuję, że panowie tak szybko przyjechali. Mamy nadzieję, że uda się to załatwić dyskretnie, zanim goście zorientują się w sytuacji. To jest mój szef ochrony, Hector Tabor. Zaprowadzi panów na dwunaste piętro, do pokoju o numerze tysiąc dwieście dwanaście. Wymogiem polityki naszego hotelu jest, aby członek hotelowego personelu przez cały czas towarzyszył stróżom prawa.

Malone skinął głową i ruszył za Taborem w kierunku windy. Jadąc na górę, starał się zapanować nad gonitwą myśli. Musiał się skoncentrować na miejscu zdarzenia, a nie roztrząsać swoje stosunki z Bayle. Podejść do tego bez uprzedzeń, Spencer, nakazał sobie w duchu.

Drzwi windy otworzyły się z cichym sykiem. Pokój 1212 znajdował się przed nimi po prawej stronie. Malone nie musiał niczego odliczać ani sprawdzać numerów na drzwiach. Wystarczyło, że spostrzegł stojącego na straży funkcjonariusza policji.

Westchnął. Percy, znajdujący się obok niego, wydał podobny odgłos. Policjant spojrzał w ich stronę i skinął im głową. Joey Petron, sympatyczny facet i solidny policjant.

- Jesteśmy pierwsi? - spytał Malone.
- Tak. Technicy są w drodze. Skontaktowałem się z biurem koronera. Pani kapitan również

została powiadomiona.

Spencer wpisał siebie i Percy'ego do książki wejść.

- Jeszcze coś powinniśmy wiedzieć?

Policjant pokręcił głową.

- Cholerny wstyd - powiedział. - Podle się z tym czuję.

Nie ty jeden, pomyślał Spencer. Razem z Percym wszedł do środka, Tabor za nimi. Przez elegancko urządzonego salon dostali się do sypialni. Bayle zastrzeliła się z broni służbowej. Wcelowała w prawą skroń.

Przystanął w nogach łóżka. Starał się głęboko oddychać, walcząc z falą mdłości. W pewnym sensie był nawet zadowolony z tej chwili słabości. Dowodziła ona, że wciąż był zdolny źle się poczuć na widok koleżanki w tym stanie. Zadał sobie w duchu pytanie, czy brat przeżywa coś podobnego. Ukradkowe spojrzenie przekonało go, że tak.

- Na dole powiedzieli mi, że wprowadziła się dziś po południu, około pierwszej trzydzieści - powiedział Percy - Wynajęła apartament na jedną dobę.

- Czy wychodziła z pokoju?

- Tego nie wiedzieli, ale obiecali nam udostępnić zapis kamery z windy.

Malone zerknął na stojący przy łóżku stolik na kółkach. Zamówiła szampana i truskawki w czekoladzie. Kieliszek był tylko jeden. Spencer zwrócił na to uwagę Percy'emu, który skinął głową i wyjął notes.

- Potwierdzą to jeszcze u obsługi.

- Czy wiemy, o której złożyła zamówienie?

- O trzeciej - powiedział Tabor. - Dostarczono je dwadzieścia pięć minut później.

Malone podążył za wzrokiem Tabora. Chociaż szef ochrony stał w drzwiach sypialni, spojrzenie

miał utkwione w jednym punkcie ściany naprzeciwko łóżka. Malone'owi od razu nasunęły się dwie myśli. Bayle podjęła decyzję wkrótce po ich kłótni, a poza tym nie mogła zabić doktor Jasper ani uprowadzić Gallier.

Znów spojrzał na Bayle. Wzięła prysznic. Włosy wciąż miała zawinięte w turban z ręcznika, który zsunął się nieco, gdy głowa, odrzucona impetem wystrzału, uderzyła o obite aksamitem wezgłowie. Bayle miała na sobie miękki biały hotelowy szlafrok, który, podobnie jak ręcznik, był przesiąknięty krwią i zbryzgany kawałkami mózgu. W podobnym stanie było wezgłowie.

W dłoni Bayle wciąż trzymała pistolet. Spencer podszedł, by dokładniej to obejrzeć.

- Ślady prochu na dłoni - powiedział. - Bez wątpienia sama pociągnęła za spust.

Na komodzie leżały równo ułożone odznaka i legitymacja policyjna, klucze i portfel. Obok znajdował się niewielki, oprawny w skórę notes.

- Nie ma tu listu - powiedział Percy. - Rozejrzę się dookoła.

Spencer włożył rękawiczki i podszedł do komody. Przekonał się, że notes jest dziennikiem, więc zaczął go przeglądać.

Wpisy zaczynały się w lutym 2004 roku, a kończyły we wrześniu 2006 roku. Bayle spotykała się z Jeffem Gallierem. Początkowo nie wiedziała, że jest żonaty, a ponieważ zakochała się po uszy, gdy wreszcie jej o tym powiedział, uwierzyła w starą jak świat historię, że to małżeństwo istnieje już tylko formalnie. Z lektury Malone dowiedział się, że Bayle broniła się przed sytuacją, w której jest „tą drugą”, i kilka razy próbowała zerwać, zawsze jednak Gallier odwodził ją od tego zamiaru.

Przyszło mu do głowy, że chyba powinien być dumny ze swojej podejrzliwości, z kwestionowania motywów Bayle, czuł jednak tylko zażenowanie. Był wściekły na Jeffa Galliera, bo to właśnie przez dupków tego rodzaju mężczyźni mają złą opinię. Jeszcze bardziej był wściekły na Bayle za to, że pozwoliła sobą manipulować.

W miarę jak czytał, stopniowo nabierał pewności w dwóch kwestiach: Bayle obsesyjnie kochała Jeffa Galliera i równie obsesyjnie nienawidziła jego żony. Przeszedł do zapisków z tygodni po huraganie. Były krótkie i sporadyczne. Pierwsze wyrażały niepokój o kochanka i opisywały gorączkowe starania Bayle, by się z nim skontaktować. Z następnych przebijała coraz silniejsza świadomość, że Gallier zaginął i przypuszczalnie nie żyje. Bayle uważała, że Jeff przyznał się żonie do romansu, a Mira w ataku zazdrości zabiła go i wykorzystała chaos podczas huraganu, by ukryć zbrodnię.

Przy następnym wpisie Malone zatrzymał się zaskoczony. Bayle udała się ze swoimi podejrzeniami do Antona Galliera. To ona podburzyła go do rozpoczęcia kampanii przeciwko synowej. Ostatni wpis sprzed lat nie oznaczał całkowitego końca.

- Znalazłem list, Percy - powiedział Spencer. - Był w dzienniku.

- Matko Boska!

To był głos kapitan O'Shay. Spencer zerknął przez ramię. Wydawała się wstrząśnięta.

- Nie powinnaś była przychodzić - powiedział.

Nieźłomie spojrzała mu w oczy.

- Niech pan się odsunie, detektywie. Byłam jej przełożoną, więc muszę tu być.

Malone uświadomił sobie swój błąd.

- Oczywiście, pani kapitan. Zachowałem się niewłaściwie.

- Znalazł pan list?

Skinął głową i wskazał na dziennik z ostatnim wpisem.

- Właśnie w tej chwili. Jeszcze go nie przeczytałem.

Kapitan O'Shay podeszła do niego, Percy również dołączył i wszyscy troje skupili wzrok na liście.

Do tego, kto znajdzie ten list pierwszy - stawiam na Malone'a, ale jeśli nie, dajcie mu to, proszę.

Jesteś cholernie bystrym sukinsynem, wiesz? Przejrzałeś moje szwindle natychmiast i za to cię szanuję. Nie myśl ani przez chwilę, że przyłożyłeś do tego rękę, to wszystko dotyczyło tylko mnie. Koniec pieśni. Poddalam się. Żal i wściekłość. Nienawiść. Różne gry - to pewnie samo życie. Po prostu mam tego gówna potąd.

Chciałam tylko poprzestawiać Mirze Gallier w głowie. Stąd balsam po goleniu i telefon - tu się pochwalę, bo moim zdaniem błyskotliwie wykorzystałam zachowaną wiadomość z poczty głosowej. Chciałam Gallier ukarać, doprowadzić ją do szaleństwa tak samo, jak mnie doprowadzono do szaleństwa. Pragnęłam, żeby tęskniła za nim tak, jak ja tęskniłam. W końcu jednak wygląda na to, że ona wróciła do życia, a mnie to się nie udało. A przecież ona wciąż mieszka w jego domu... Czasem wyobrażałam sobie, że ja... że my dwoje spotykamy się tam i... Wiesz co, prawda? Pieprzyć to.

Cześć, partnerze

Jednocześnie skończyli czytać i podnieśli głowy. Nikt się nie odezwał ani słowem. Spencer pomyślał, że Bayle wyjawiała wszystko. To była wielka strata. Świetna policjantka. Bohaterka. Nie sposób było znaleźć w tym sensu.

Przyjechali technicy. Weszli do pokoju bez rabanu, jaki zwykle podnosili. Spencer, Percy i kapitan O'Shay ustąpili im miejsca. Gdy znaleźli się na korytarzu, kapitan O'Shay przerwała milczenie.

- Zostawcie to w tym pokoju, detektywi. Musimy złapać sprawcę, który zabił już pięcioro ludzi i,

jak przypuszczamy, chce zabić jeszcze dwoje. Jaki będzie nasz następny krok?

Zanim Spencer zdążył odpowiedzieć, zabręczała jego komórka.

- Detektywie, mówi siostra Sarah Elisabeth z kościoła Matki Bożej Nieustających Strapień.
- Siostra? - spytał zdziwiony, zerkając na zegarek. - Czy wszystko w porządku?
- Już późno, wiem, ale modliłam się i przemówił do mnie Pan.
- Słucham, siostro?
- Miałam zadzwonić, jeśli przypomnę sobie kogoś z listy którą mi pan zostawił. Pan Bóg musiał mnie szturchnąć. Wiem, że rzeczywiście znam jednego z tych ludzi.
- Przykro mi, że popędzam, siostro, ale czas mnie goni. Kto to?
- Christopher - odpowiedziała. - Chris Johns. Nie skojarzyłam od razu, bo dla mnie był Christopherem. To życzliwy, uczynny młody człowiek. Nazwałam go świętym Krzysztofem. Montował wszystkie ławy w prezbiterium.

Chris Johns.

Malone był skłonny uwierzyć w cud.

Muszę iść, siostro, ale bardzo dziękuję. Siostra nawet nie wyobraża sobie, jak bardzo nam pomogła.

Rozdział 71

piątek, 19 sierpnia godz. 1.40

Najpierw Mira poczuła przeszywający ból zlokalizowany z tyłu głowy i gdzieś za gałkami ocznymi. Jęknęła i spróbowała przekręcić się na bok. Ciało odmawiało jednak współpracy, kończyny jej ciążyły, jakby były z ołowiu, dłonie i stopy zdrętwiały. Uprzytomniła sobie, że nogi ma związane w kostkach, ręce skrępowane za plecami. Przynajmniej nie dusił jej knebel.

Ogarnięta paniką, zaczęła się szarpać, żeby rozluźnić więzy. Po kilku minutach zaniechała tych wysiłków, bo każdy ruch wywoływał nieznośny ból głowy, ramion i pleców. Łzy strumieniem płynęły jej po policzkach.

Chris był mordercą dnia Sądu Ostatecznego, i to on przywiózł ją tutaj, gdziekolwiek teraz się znajdowała. Opanuj się, nakazała sobie w myśli, głęboko oddychaj. Nie trać resztek sił.

Musiała jakoś się ratować. Wątle pasma księżycowego światła, widoczne wokół zaciemnionych okien, ledwie rozświetlały panujący mrok. W powietrzu unosił się stęchły zapach staroci, kurzu i zgnilizny. Drapało ją od tego w gardle i nosie.

- Obudziłaś się.

- Chris? - Odwróciła głowę w kierunku, skąd dochodził głos. - Nie widzę cię.

- Podejść bliżej.

Usłyszała ciche kroki. Zobaczyła go dopiero wtedy, gdyomal na nią nie stąpnął. Znała tę twarz, ale nie mogła jej poznać. Było to zdumiewające doznanie, surrealistyczne i przerażające.

Kim jest ten człowiek?

- Proszę, rozwiąż mnie.

- Nie mogę - powiedział głosem przepojonym emocją. - Przepraszam.

- To mnie boli, Chris. Zdrętwiały mi ręce i nogi. Proszę, rozwiąż mnie. Nie ucieknę, obiecuję.

- Powiedział mi, żebym ci nie ufał z powodu złych duchów.

- Kto ci to powiedział? - spytała. - To nieprawda! Proszę, uwierz mi.

- Ojczy, co powinienem uczynić? - Urwał, jakby nasłuchiwał. - Ona obiecuje, że nie ucieknie.

Znów nastąpiła pauza, potem na jego twarzy odmalował się żal.

- Przepraszam - powtórzył. - Jeszcze na to za wcześnie.

- Co przez to rozumiesz? - Szarpnęła ramionami. - Rozwiąż mnie, Chris. Proszę.

- Nie czyn' tego trudniejszym, niż ju' jest, Mario. Nie mogę.
 - Dlaczego tak mnie nazywasz?
 - To się niedługo skończy. Wtedy będziemy razem.
- Nie załamuj się, powiedziała sobie Mira. Dowiedz się, czego chce, i daj mu to.
- Nadgarstki i nogi w kostkach bardzo mnie bolą - szepnęła. - Możesz mi zaufać. Ja ci ufam.
 - Kim jesteś? - spytał.
- To pytanie ją zaskoczyło.
- Przecież wiesz, kim jestem. Znasz mnie.
 - Ja tak - powiedział cicho, kucając obok niej. Wyciągnął rękę i pogłaskał ją palcami po policzku.
- Ale to ważne, żebyś mi powiedziała.
- Wzdragala się przed jego dotykiem, ale jakoś udało jej się tego nie okazać.
- Jestem twoją przyjaciółką, Mirą Gallier.
- Rysy mu stężały, raptownie cofnął rękę i wstał.
- Potrzebujesz snu.
 - Nie. - Głos jej się załamał i przeszedł w szloch. - Proszę, Chris.
 - To nie twoja wina. To sprawka Złego. Dopóki nie uda się wypędzić złych duchów, nie zrozumiesz, kim naprawdę jesteś.
- Z tymi słowami odwrócił się i zostawił Mirę samą.

Rozdział 72

piątek, 19 sierpnia godz. 6.05

Brzask sączył się do pomieszczenia przez szpary w zasłoniętych czarnym papierem oknach. Co pewien czas robiło się na moment jaśniej, gdy za oknem błyskało, Mira mogła więc obejrzeć swoje

więzienie. Nie należało wykluczać, że było to miejsce, w którym spędza ostatnie minuty lub godziny swojego życia.

Mocno zacisnęła powieki, broniąc się przed tą myślą. Nie wolno jej się poddać. Inaczej nie mogłaby wykrzesać z siebie siły niezbędnej do ucieczki.

Wyjątkowo jaskrawa błyskawica rozświetliła wnętrze. Okazało się, że okna są dwa. Stare, z masywnymi ramami. Profilowane podobnie, jak w wielu innych nowoorleańskich domach. Skierowała spojrzenie ku odległemu stropowi. Pośrodku widniał duży medalion. Pomieszczenie było w ruinie: tynk popękany, zacieki, pleśń. Czy stąd się brał przykry zapach? Z wilgoci, zapleśniałego tynku?

Po wyjściu Chrisa czuwała, jeśli nie liczyć kilku minut, gdy sen zmorzył ją wbrew jej woli. Spędziła te długie nocne godziny na walce z paniką. Zastanawiała się także, jak ocalić życie. Uznała, że bez zgody Chrisa nie uda się jej uciec. Trzeba więc zacząć od zdobycia jego zaufania. Tylko jak?

Doszła do wniosku, że błagania nie odniosą skutku. Przyjmowanie punktu widzenia zdrowego człowieka niczemu nie służyło. Musiała spotkać się z nim w jego świecie, w tym miejscu, gdzie wszystkie te rojenia składały się w jakiś sens. Przypomnij sobie, Miro. Rozpracuj to.

Nazwał ją Marią i nie czuł się dobrze z tym, że nie może jej wierzyć. Chciał ją wypuścić, ale nie mógł, bo zabronił mu tego ojciec. Jego Ojciec w niebie, skoro Chris uważał się za Chrystusa, który powrócił, aby sędzić żywych i umarłych. To dlatego wypisał kawałek wyznania wiary na witrażach w kościele Sióstr Miłosierdzia i z tego powodu pozostawił przy ciele Kaznodziei słowa „Dzień Sądu”. Z tego wynikało, że ona jest Marią Magdaleną, jego oddaną służką i prawdziwą miłością. Dlatego nazwał ją tym imieniem.

Na tę myśl strach chwycił ją za gardło. Co powiedział? Obwinił złe duchy o to, że przeszkadzają

jej zrozumieć, kim jest naprawdę. Dlatego musiał je wszystkie wypędzić. Złe duchy, uświadomiła sobie Mira, to ludzie obecni w jej życiu. Teść. Sąsiadka. Terapeutka. A Deni? Connor? Panika wróciła ze wzmożoną siłą. A jeśli on już ich zabił?

Nie było sposobu dowiedzieć się tego inaczej niż z ust samego Chrisa. Miro, powiedziała sobie, skup się na tym, żeby jak najszybciej stąd się wydostać. Daj mu to, czego chce. To musi poskutkować. Nie wolno jej popełnić błędu. Drugiej szansy nie będzie.

Trzasnęła zasuwka, zaskrzypiały otwierane drzwi. Czas na przedstawienie, Miro. Nie zepsuj tego. Zamknęła oczy, udając, że śpi. Słyszała, że Chris przechodzi przez pokój i stawia coś na podłodze przy łóżku.

Jedzenie, uświadomiła sobie, gdy rozszedł się zapach bekonu i jajek.

- Mario - powiedział Chris - to ja. Nie śpisz?

Otworzyła oczy. Jego widok podziałał na nią odpychająco. Mimo to zdobyła się na powitalny uśmiech.

- Przyniosłem ci śniadanie.

- Jesteś dla mnie dobry.

- Bo cię kocham. Wiem, kim naprawdę jesteś.

- Ja też już wiem. I wiem, kim ty jesteś. - Zrobiła pauzę. - Mój zbawicielu.

Sprawiał takie wrażenie, jakby jej nie usłyszał.

- Jesteś głodna, Miro?

- Nie Miro. Mario. Tak, jestem głodna.

Pomógł jej usiąść. Gdy jej dotknął, poczuła, że drżą mu dłonie.

- Która godzina?

- Prawie wpół do siódmej.

Policja już na pewno wie, że znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Przecież detektyw Malone wysłał patrol. Policjanci musieli wejść do jej domu, zobaczyć krew w kuchni i zmiądzony telefon komórkowy na podłodze.

- Rozwiąż mi ręce do jedzenia. Nie ucieknę.
- Przykro mi, Mario. Nie mogę tego zrobić.
- Jestem bardzo głodna.
- Sam cię nakarmię.

Pozwoliła mu na to, choć przy każdym kęsie kosztowało ją wiele wysiłku, by powstrzymać odruch wymiotny. Gdy zjadła, otarł jej usta serwetką, potem pochylił się i pocałował ją. Z ogromnym trudem powstrzymała się, żeby nie krzyknąć z odrazy. Zamknęła oczy i pomyślała o Connorze.

Gdy Chris się odsunął, popatrzyła na niego z nadzieją, że odczyta w jej wzroku uwielbienie.

- Spytaj mnie, kim jestem - szepnęła. - Teraz już wiem.
- Kim jesteś?
- Twoją oddaną uczennicą - powiedziała, licząc na to, że ten niejasny początek pozwoli jej ocenić jego reakcję. Przecież jeśli się myliła, czego nie należało wykluczać, mogła nieostrożnym słowem zniweczyć szansę na odzyskanie wolności. - Kobieta, która zawdzięcza ci życie. Kocham cię
- powiedziała, dziwiąc się, że przeszło jej to przez usta.

Wydawał się nieprzekonany.

- Nie poznajesz mnie? Jestem Marią. Twoją Magdaleną. To ja obmyłam łzami twoje stopy, wycierałam je włosami i namaściłam olejkami. Patrzyłam, jak umierasz, dzieląc z tobą każdą chwilę cierpienia, czułam się tak, jakby serce wrywano mi z piersi.

Miała poczucie, że wypowiadając te słowa dopuszcza się bluźnierstwa. Łzy potoczyły jej się po

policzkach.

- Ale oto jesteś. Z krwi i kości. Wróciłeś do mnie - zakończyła.
- Mario - wyszeptał drżącym głosem Chris. - Tak długo na ciebie czekałem. Tak bardzo długo. -
Położył jej głowę na kolanach. - Czułem się taki samotny.

- Już nie musisz, ukochany. Jestem z tobą. Nie będziesz więcej cierpieć samotności.

Zapłakał rozdzierająco jak dziecko, wciąż wtulony w jej kolana.

Nie mogła pozwolić sobie na to, by zacząć się o niego martwić. Musiała zrobić wszystko co w jej mocy, by uciec, nawet gdyby musiała go zabić. Szeptała do niego słowa pocieszenia, a jednocześnie gorączkowo myślała co dalej. Nie chciała naciskać zbyt mocno, zarazem jednak obawiała się, że zachowuje się zbyt ulegle. Czy powinna poprosić, żeby ją rozwiązał? Powiedzieć mu, że chce go przytulić? Dać mu prawdziwe pocieszenie?

Podniósł głowę i spojrzał na nią. Widząc wyraz jego oczu, Mira znów się przeraziła.

- Mam niespodziankę dla ciebie - powiedział.

Lęk ją sparaliżował. Próbowwała coś powiedzieć, ale nie była w stanie.

- Zależy mi na tym, żebyś kogoś poznała.

Chciała powiedzieć „nie”, wytłumaczyć, że nie czuje się gotowa. Protestował przeciwko temu każdy nerw w jej ciele.

- Kogo? - wybąkała. - Kogo mam poznać?

Nie odpowiedział. Postawił ją w pionie. Zupełnie nie czuła nóg, więc natychmiast zaczęła się przewracać. Podtrzymał ją, a potem wziął na ręce i poniósł, jakby była jagnięciem do złożenia na ołtarzu.

Jagnięciem ofiarnym.

Mira rozplakała się. Nie chciała umrzeć. Po tylu dniach, miesiącach, latach, gdy nie tylko

pragnęła śmierci, lecz również przywoływała ją, obserwowała jej nadejście, teraz nagle modliła się, by żyć.

- Nie płacz, najdroższa Mario. Wkrótce będzie po wszystkim. Nikt już nas nie rozdzieli.

Rozdział 73

piątek, 19 sierpnia godz. 7.10

Mira stała pośrodku niedużej staroświeckiej łazienki. Chris zostawił ją w tym miejscu, aby „przygotowała się”, choć nie chciał wyjaśnić do czego. Zdjął jej więzy z kostek i nadgarstków, po czym zostawił wszystko, czego mogła potrzebować: szczoteczkę i pastę do zębów, ręcznik, myjkę, mydło, papier toaletowy i grzebień. A do tego również płócienną koszulkę i bawełniane majteczki, żeby mogła zmienić bieliznę.

Zapowiedział jej, że ma pół godziny, następnie zamknął za sobą drzwi i zostawił ją samą.

Pół godziny do czego?

Chyba setny raz omiotła wzrokiem pomieszczenie. Umywalka. Wanna na nóżkach z pazurami. Jedno okienko z falistą szybą, zamalowane i zamknięte. Nie było drogi ucieczki. Jednak wciąż żyła, i to było najważniejsze. Dawało jej nadzieję, przekonywało, że jest dla niej szansa.

Świadoma upływającego czasu załatwiła potrzeby fizjologiczne, rozebrała się i z przykrym poczuciem, że jest całkowicie bezbronna, szybko wymyła ciało myjką. Wytarła się i przebrała w świeżą bieliznę. Miała ochotę rzucić Chrisowi wyzwanie, z powrotem wkładając własne ubranie, ale wolała nie robić niczego, co mogłoby go rozdrażnić.

Najważniejsze dla niej było teraz, żeby nie wypaść z roli. Im bardziej jej ufa, tym mniej będzie się pilnował. Być uległą. Uosabiać ślepe oddanie. Powtarzała sobie, że potrafi się na to zdobyć. Umywszy zęby i wyszczotkowawszy włosy, zamknęła wieko sedesu i usiadła. Ile minut minęło?

Wydawało jej się, że więcej niż trzydzieści. A jeśli Chris nie wróci? Co wtedy?

Pokręciła głową, jakby próbując przepłoszyć tę myśl. Doszła do wniosku, że oczekiwanie jest psychiczną torturą, metodą utrzymywania jej w niepewności, pobudzającą do najstraszniejszych domysłów. Oto jeszcze jeden sposób na to, by pokazać, kto tu ma władzę.

Nagle usłyszała cichy, rozpaczliwy płacz. Skąd dochodził ten dźwięk? Zza ściany przy sedesie? Wstała i wcisnąwszy się za sedes, przyłożyła ucho do ściany. Płakała kobieta. Mira delikatnie stuknęła trzy razy. Płacz się urwał, a w odpowiedzi rozległo się puk, puk, puk.

- Dzień dobry - powiedziała.

Puk, puk, puk.

Kto to był? Inny więzień? Inna Maria Magdalena? Mocniej przytknęła ucho do ściany.

- Potrzebujesz pomocy?

Puk, puk, puk.

Usłyszała Chrisa, który włożył klucz do zamka.

- Pst, wraca.

Z powrotem usiadła na sedesie i w tej samej chwili otworzyły się drzwi. Chris wszedł z marsową miną.

- Co robiłaś?

- Czekałam na ciebie.

- Słyszałem, że mówisz.

- Modliłam się. Znosiłam dziękczynienie.

Twarz mu pojaśniała.

- Pięknie wyglądasz, Mario.

- Dziękuję, Rabbi*.

**W Biblii Tysiąclecia Maria Magdalena zwraca się do Chrystusa „Rabbuni”. W innych miejscach występuje też „Rabbi” (przyp. tłum.).*

W czasach Jezusa wyrażający szacunek tytuł Rabbi odnosił się do nauczycieli religijnych. W Nowym Testamencie apostołowie często zwracają się w ten sposób do Jezusa. Miała nadzieję, że Chris o tym wie i że przekona go to jeszcze bardziej do jej szczerości. Wyraz rozanielenia na jego twarzy dowodził, że sztuczka się opłaciła.

Chris wyciągnął przed siebie rękę z papierową torbą.

- Coś ci przyniosłem.

Sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego z siebie. Zerknęła na torbę, a potem znowu na niego. W środku mogło być wszystko. Pistolet albo nóż. Szminka do wymalowania numeru na jej czole. Sznur do ponownego skrępowania jej kostek i nadgarstków.

- Myliła się co do ciebie.

- Kto?

- Babka.

Podszedł do niej. Przesunął palcami po jej policzku, potem opuścił rękę.

- Zajrzyj do torby, Mario.

Zawahała się, więc powtórzył swoje życzenie, podsuwając jej torbę. Tym razem wzięła ją i zerknęła do środka. Włosy. Z piskiem upuściła torbę.

- Co jest nie tak?

Podniósł torbę i wyjął na wierzch jej zawartość.

Ujrzała perukę. Miedzianorudą perukę z długimi, falistymi włosami.

- Nie powinnaś była ścinać włosów.

- Nie - przyznała machinalnie.

- Dlaczego to zrobiłaś?
- Nie wiem.
- Złe duchy - powiedział krótko.
- Złe duchy - powtórzyła, nie wiedząc, jak inaczej mogłaby odpowiedzieć.

Przymierzył jej perukę, wygładził dłońmi długie kosmyki i odsunął się, żeby na nią spojrzeć. W tej samej chwili wyraz jego twarzy się zmienił, a oddech stał się szybszy i płytszy.

Podniecał się. Chciała zerwać perukę z głowy, ale przeszkodził jej, chwytając ją za rękę.

- Dlaczego mam ją nosić? - spytała. - Przecież wiesz, kim jestem.
- Ale ona nie będzie wiedzieć.
- Kto?
- Moja babka. Chodź.

Mira ujęła jego wyciągniętą rękę, ciepłą i wilgotną. Wiedziała, że jej dłoń jest lodowata. Chris wyprowadził ją na korytarz. Schody były blisko; mogłaby się wyrwać i uciec. Gdyby zdołała dostać się do sieni i otworzyć frontowe drzwi, zawołałaby o pomoc. Ktoś musiałby ją usłyszeć. Miała jednak tylko jedną szansę. Powtarzała sobie, że należy wczekać na właściwą chwilę. Ona na pewno nadejdzie.

Jakby czytając w jej myślach, Chris mocniej zacisnął palce.

- Będzie dobrze, Mario. Nie bój się.

Stał przed innymi drzwiami. Druga klatka schodowa, jeszcze z czasów, gdy istniały kwatery dla służby. Pchnięciem dał jej znak, by szła do góry, a sam podążał tak blisko za nią, że czuła na karku jego lepki oddech. Z każdym krokiem powietrze stawało się gorętsze, bardziej duszne. Co było tam na górze?

Dwie pary drzwi. Chris zatrzymał się przed jednymi i lekko zapukał.

- Babko, to ja. - Uchylił drzwi. - Przyprowadziłem do ciebie Marię.

Nie czekając na odpowiedź, wprowadził ją do środka. Przyćmione światło sączyło się przez zapleśniałe draperie. Mira została z tyłu, częściowo ukryta za Chrisem.

- Popatrz na nas, babko. - Postać na łóżku ani drgnęła. Chris przechylił głowę, jakby słuchał odpowiedzi, a potem powiedział: - Daj jej szansę, to się przekonasz.

Do kogo on mówi? Mira wyjrzała zza jego pleców. W pokoju byli tylko oni i postać na łóżku.

- Nie bądź taka! - krzyknął. - Nie jest kurwą! - Chwytał Mirę za ramię i wyciągnął ją przed siebie.

- Moja Maria wróciła. Popatrz na nią! Wróciła!

Teraz Mira wyraźnie zobaczyła łóżko. Spojrzała jeszcze raz i krzyk wezbrał jej w płucach. Nie wierzyła własnym oczom. Trup. Zupełnie jak rekwizyt z filmu albo z lunaparku. Właściwie sam szkielet z resztkami rozkładającego się ciała, mięśni czy może ścięgien. Czyżby to był żart? Na pewno nie. Mira dobrze to wiedziała. Zamknęła oczy, żeby nie patrzeć na ten makabryczny widok.

Chris pociągnął ją w stronę łóżka, chociaż broniła się i chwytiała go za ramiona. Nie zwracał na to uwagi, jakby był pogrążony w transie. Popatrzył na Mirę wzrokiem pozbawionym wyrazu.

- Moja matka była Marią, ale nie wierzyła. Bóg musiał ją porazić.

- Co ty mówisz? - zdołała wybąkać, świadoma, że jeszcze chwila i jej szansa będzie bezpowrotnie stracona.

- Babka wszystko mi powiedziała. To ona nauczyła mnie, że głos, który słyszę w głowie, należy do mojego Ojca. Że jest dobry. Że powinienem go słuchać.

- Nie chcę tutaj być - powiedziała. - Proszę.

- Uklęknij przy łóżku i weź ją za rękę.

- Nie. - Mira pokręciła głową. - Nie mogę. Proszę, nie zmuszaj mnie.

Zaczął ją zachęcać, ale nagle gwałtownie odwrócił się w stronę łóżka.

- To niczego nie dowodzi! - krzyknął. - Postaw się w jej sytuacji!

Mira wyrwała się i pobiegła do drzwi. Złapał ją, zanim zdążyła je otworzyć. Zaciśnął ramiona na jej talii i pociągnął ją do tyłu.

- Mario, nie ma powodu uciekać. Jestem tutaj, nie pozwolę jej cię skrzywdzić.

Wpadła w panikę. Wszelkie plany manipulowania Chrisem wzięły w łeb.

- Ona nie żyje, Chris! Dlaczego tego nie widzisz?

- Nie, kochanie. Ona jest tylko stara i bardzo chora. Ale takie jest życie. Nie sposób przed tym uciec.

- Nie! Ona nie żyje! A ty potrzebujesz pomocy.

- Mówisz od rzeczy. Chodź, uklęknij przy niej.

Jego uścisk był jak imadło. Broniła się, prosiła, błagała. Mimo jej wysiłków doszli do łóżka. Zmusił ją, by opadła na kolana, niemal usiadłszy jej na ramionach.

- Nie mogę tego zrobić - szlochała. - Proszę, nie zmuszaj mnie...

Chwycił ją za nadgarstek, wpijając jej w ciało palce niczym szpony.

- Ujmij jej rękę, Mario. Pocałuj ją. Okaż babce szacunek, na jaki zasługuje.

- Nie!

Wkładając w to całą swoją siłę, odepchnęła go i zerwała się na nogi. Chris upadł na łóżko, częściowo przykrywając ciało. Głowa trupa oderwała się i spadła na podłogę. Krzyknął głośno, furia wykrzywiła mu twarz.

- Popatrz, co zrobiłaś! Ona teraz nigdy ci nie wybaczy. Nigdy!

- Przepraszam. - Powoli się cofała. - Nie chciałam.

Przerażona, lecz jednocześnie zafascynowana przyglądała się, jak Chris ostrożnie podnosi gnijącą czaszkę i ostrożnie umieszcza ją z powrotem na poduszce, po czym wygładza resztki włosów,

szeptając przy tym słowa przeprosin i uwielbienia.

Kiedy skończył, spojrzał na nią. Dopiero wtedy zrozumiała, jaka jest głupia. Powinna była wykorzystać tę chwilę na ucieczkę.

- To nie twoja wina, Mario. To ja zawiniłem.

Cofnęła się o krok, a on postąpił krok naprzód.

- Tak bardzo chciałem, żeby to była prawda, że zanadto się pospieszyłem. To nie twoja wina - powtórzył.

Wyciągnął z kieszeni marynarki nylonową linkę.

- Złe duchy wciąż mają cię w swojej władzy. Muszę najpierw wszystkie wyrzucić.

„Wyrzucił siedem złych duchów”.

Pokręciła głową.

- Nie ma żadnych złych duchów. Jesteś chory, Chris. Potrzebujesz pomocy...

- Zostały już tylko dwa. Te, których władza nad tobą jest największa.

- Chris, musisz mnie wysłuchać. Jestem Mira Gallier, twoja szefowa i przyjaciółka. Nie żadna Maria Magdalena. - Cofnęła się o kolejny krok i jeszcze jeden. - Ty jesteś Chris Johns i potrzebujesz pomocy. Dopilnuję, żebyś ją otrzymał. Postaram się...

Odwróciła się i chwyciła za klamkę. Rzucił się za nią i niemal wbił ją w płytę drzwi. Na chwilę odebrało jej dech.

- Nie chciałem cię skrzywdzić, Mario. Mam nadzieję, że to wiesz.

Pchnął ją na podłogę. Poczowała piekielny ból, gwiazdy zawirowały jej przed oczami, a potem zatoneły i zostało czarne, puste niebo.

Rozdział 74

piątek, 19 sierpnia godz. 8.40

Ocknęła się z bolesnym pulsowaniem w głowie. Nieznośnie bolała ją szczęka, a w ustach czuła smak krwi. Z jękiem próbowała się przekręcić na plecy, okazało się jednak, że nie jest w stanie. Uchyliła powieki.

- Miro, dzięki Bogu... To ja, Deni.

Deni? Mira zamrugnęła oczami, kontury przedmiotów stały się wyraźniejsze. Jej przyjaciółka klęczała obok. Płakała.

- Gdzie jestem?

- To Chris, Miro. To on... nie Bill... - Głos jej się łamał. - Przyszedł do mnie do domu... chwycił mnie i... On wierzy, że jesteś Marią Magdaleną.

Wszystko do niej raptownie wróciło. Trup w innym pokoju i dziwnie pozbawione wyrazu spojrzenie Chrisa. I to, że pchnął ją na ziemię.

- Sam uważa się za Jezusa Chrystusa.

- Tak - szepnęła Deni. - Ma witraż Marii Magdaleny. Powiedział mi o tym.

Oczywiście, uświadomiła sobie Mira. Cała ta historia o sąsiadce, która widziała Deni i jakiegoś mężczyznę, gdy zabierali witraż, została sfabrykowana, aby rzucić podejrzenia na Deni i Connora. A ona, niemądra i naiwna, dała się na to nabrać.

Deni spojrzała na nią przez łzy, jakby czytała jej z twarzy.

- Myślałam, że on jest dobrym człowiekiem. To moja wina, że tu siedzimy.

- Nie, ja też w to wierzyłam.

Mira dokonała szybkiej oceny sytuacji. Ręce miała skrępowane, ale nogi wolne. Z pomocą Deni pewnie mogłaby usiąść.

- Pomóż mi się podnieść.

- Mam skrępowane ręce.
- Spróbuj nogami.
- Nie chcę zrobić ci krzywdy.
- Popatrz na mnie. Czy coś jeszcze może mi zaszkodzić?
- Dobrze, spróbuję. Powiedz, co mam robić.
- Podłóż mi stopy pod biodra. Na „trzy” pchaj do góry.

Po kilku próbach Mira leżała na plecach. Podobną techniką Deni pomogła jej osiągnąć pozycję siedzącą. Ból fizyczny był trudny do zniesienia, ale psychicznie Mira poczuła się o niebo lepiej.

- Ciekawa jestem, do czego mu ten witraż.
- Trudno powiedzieć. On jest kompletnie pomyłony.
- Trzeba się stąd wydostać. - Mira rozejrzała się po pomieszczeniu pozbawionym okna. - Musimy uciec.

- Może detektyw Malone nam pomoże.
- Zapewne tak, ale mamy bardzo mało czasu. Może nie zdążyć.
- Nic nie da się zrobić - powiedziała z płaczem Deni.
- Nie wolno się poddawać! - zaproponowała ostro Mira. - Wydostaniemy się stąd. Co Chris ci powiedział?

- Uważa, że jestem złym duchem. To on jest mordercą.
- Tak.
- Zamierza zabić mnie i Connora, i to na twoich oczach.

Mirze zrobiło się słabo, ale zdołała wziąć się w garść.

- Czy zdradził, kiedy chce to zrobić, albo...

Usłyszały, że Chris podszedł do drzwi. Po chwili wszedł do środka. W ręku trzymał skrzynkę z

narzędziami, którą postawił na podłodze przy wejściu.

- Przebudziłaś się, Mario - powiedział. - Tak bardzo się cieszę.

Mirze zaschło w ustach. Nie mogła oderwać wzroku od skrzynki.

- Nie dzięki tobie.

Zignorował te słowa i otworzył skrzynkę. Wyjął z niej parę skórzanych rękawic roboczych i włożył je z anielskim uśmiechem.

- Co robisz?

Nie odpowiedział, tylko wyjął ze skrzynki jakiś przedmiot i stanął przed Mirą.

- Poznajesz? - spytał.

Zrozumiała, do czego potrzebował rękawic. Wyciągnął przed siebie podłużny odłamek szkła z nierówną krawędzią. To nie był przypadkowy kawałek, lecz fragment witraża Marii Magdaleny. Górna część twarzy świętej, z oczami. Pracowała wiele dni nad tymi oczami, starając się odtworzyć bijące z nich żal i tęsknotę.

- Wiesz, że tak - powiedziała.

- Witraż miał nad tobą nienaturalną władzę. Wyzwoliłem cię od niej. - Uśmiechnął się, bardzo z siebie zadowolony. - Przygotowałem dla ciebie niespodziankę.

- Jeszcze jedną? - odparła z ironią, uświadomiwszy sobie, że tylko ona jej została. - Dużo masz tych niespodzianek, co?

- Przemawiają przez ciebie złe duchy.

- Nie, Chris. To ja. Nie ma złych duchów.

- Nieprawda, są jeszcze dwa. - Spojrzał ku Deni. - Ona i Connor.

Mira panowała nad sobą z najwyższym trudem. Wolałaby przeklinać, kopnąć Chrisa, napluć mu w twarz, byle tylko dotrzeć do resztek jego zdrowego rozsądku. Wiedziała jednak, że to na nic.

Wszystko, co nie pasowało do jego świata, tylko wzmacniało urojenia.

- Dlaczego kościół Sióstr Miłosierdzia? - spytała, starając się rozluźnić więzy krępujące nadgarstki wykręconych do tyłu rąk. - Czy dlatego, że restaurowałam w nim witraże?

Popatrzył na nią dziwnie.

- Dlatego, że przedstawiały życie Chrystusa. Moje pierwsze życie. I jeszcze dlatego, że właśnie tam wszystko się zaczęło. To była parafia mojej matki, gdzie zostałem poczęty, a potem ochrzczony przez ojca Giroda.

- I mimo to go zabiłeś?

- Zrozumiałem, że on też jest złym duchem. Gdyby nim nie był, poznałby mnie i powitał z radością.

Deni zaczęła płakać. Mira bardzo chciała ją pocieszyć, ale musiała skupić całą uwagę na Chrisie.

- A Kaznodzieja?

- Znalazłem go i oddałem ci krzyżyk. - Chris pokręcił głową. - Kaznodzieja był fałszywym prorokiem i drugim złym duchem. - Przykucnął i przekrzywiając głowę, zaczął się jej przyglądać. - Sądziłem, że mi podziękujesz.

- Jak dostałeś się do mojego domu?

- Zabrałem ci klucz, kiedy byłaś zajęta w pracowni. Poszedłem do warsztatu i kazałem dorobić. Zajęło mi to niecałe pół godziny.

Piekły ją nadgarstki, z których starła skórę, walcząc z więzami. Wydawało jej się, że zdołała trochę rozciągnąć węzeł.

- A co z kodem do alarmu?

- Dostałem go od Deni.

- Przepraszam, Miro - szepnęła.

- Nie nazywaj jej tak! - krzyknął Chris, odwracając się do Deni. - Jej imię brzmi Maria.
- Puść ją - powiedziała łagodnie Mira. - Proszę cię.
- Nie mogę tego zrobić, Mario, Przykro mi. Później mi podziękujesz.
- Nie zrobię tego. Znienawidzę cię na zawsze.
- A teraz niespodzianka dla ciebie.

Wyszedł z pokoju i chwilę potem wrócił, ciągnąc coś ciężkiego. Nagle spostrzegła, że to nie coś, lecz ktoś.

- Connor! - krzyknęła.

Był nieruchomy, twarz miał opuchniętą i posiniaczoną, z głowy i z boku sączyła mu się krew.

- Coś ty mu zrobił?!

Chris nie odpowiedział. Uniósł wzrok w górę.

- Ty jesteś Ojcem, a ja Synem, i wszystko, co robię, w Twoim imieniu robię. Bądź wola Twoja teraz i na wieki.

- To kłamstwo! - krzyknęła Mira, mozolnie próbując przysunąć się do Connora. - To nie jest wola Boża. Gdybyś naprawdę był Chrystusem, nie zabiłbyś tylu ludzi. On przemawiał głosem miłości i pokoju, nie zniszczenia. Ten głos w twojej głowie kłamie!

Chris na chwilę znieruchomiał. Mira pomyślała z odrobiną nadziei, że może uda jej się dotrzeć do niego właśnie za pośrednictwem tej historii, którą w swoim przekonaniu tak dobrze znał.

- To on jest złym duchem, a nie Deni i Connor.

Chris wciąż trzymał w jednej ręce odłamek szkła.

- Mylisz się. Te oczy... Ojciec mi obiecał... Zbawię cię...

- Głos w twojej głowie jest złym duchem!

Mira zdołała się przesunąć tak blisko Connora, że gdyby miała wolne ręce, mogłaby go dotknąć.

Wciąż gorączkowo walczyła z więzami. Krew spływała jej po dłoniach.

- Pamiętasz węża w rajskim ogrodzie? Pamiętasz, jak oszukał Ewę? A kuszenie na pustyni? Zły posługuje się słowami Boga... Ten głos jest diabłem, okłamuje cię!

Chris zamrugał powiekami, wymamrotał coś niezrozumiałego i cofnął się o krok.

- Jesteś pewny, Ojczy? Ale te oczy, ona miała...

Wpatrywał się w Mirę. Odłamek szkła wysunął mu się z palców.

- Mówi mi, żebym zrobił to inaczej, szybko. Mam wziąć pistolet. Ten, z którego zabiłem trzeciego złego ducha.

- Chris, posłuchaj mnie! Ten głos...

- Nie.

Szybko podszedł do skrzynki i zaczął w niej szperać.

- Gdybyś był Chrystusem, nadstawiłbyś drugi policzek - nie ustępowała Mira. - Pamiętasz, kiedy żołnierze przyszli cię pojmać i Piotr dobył przeciwko nim miecza? Co wtedy powiedziałeś?

Spojrzał na nią. Cały drżał.

- Wszyscy, którzy za miecz chwytają, od miecza giną.

- Wiesz, co to znaczy. To, co robisz, nie jest dziełem Bożym.

Chris wykrzywił twarz, jakby przeszył go silny ból. Zgiął się, upadł na kolana i uniósł twarz ku górze.

- Złe duchy... mają mnie w swej mocy, Ojczy, to boli... Pomóż mi!

Connor jęknął w pierwszym przebłysku świadomości. Mira zerknęła na niego, po czym znów skupiła uwagę na Chrisie.

- Mówię prawdę. Wiesz o tym!

Zastłonił sobie uszy rękami.

- Pomóż mi, Ojcze! Powiedz mi, co... pistolet... tak... skończyć szybko.
Connor znowu jęknął. Otworzył oczy i popatrzył na Mirę.
Chris wstał, ściskając w dłoni broń, ale twarz miał pozbawioną wyrazu, oczy rozbiegane.
- Popatrz na mnie! - zawołała Mira najgłośniejszym głosem, aby ściągnąć na siebie jego uwagę.
- Zostałeś zwiedziony. Wszystkie te zabójstwa są złe, są grzechem...
- Nie! - wykrzyknął.
Zorientowała się jednak, że ta odpowiedź nie jest skierowana do niej. Nadal rozmawiał z głosem w swojej głowie.
- To jest Maria! Moja Magdalena. Posłałeś ją, aby stała u mego boku. Powiedziałeś, że to ona.
Co? - Potrząsnął głową. - Boga Wszechmogącego nie można nabrać. Jest wszechwiedzący i wszechmocny!
Mira z coraz większym zapamiętaniem walczyła z więzami. Krew spływała jej po dłoniach, ból w nadgarstkach niemal ją obezwładniał.
- Którego wybrałeś... Wierzyłem... - Zwrócił się ku Connorowi. - Kłamca i zły duch...
- Nie! - krzyknęła. - Nie krzywdź go, proszę! Kocham go.
Chris zdawał się jej nie słyszeć. Był pochłonięty rozmową dostępną tylko dla niego.
- Matka... miała rację... wszystko to kłamstwo...
Jego ciałem wstrząsnął dreszcz, łzy płynęły mu po policzkach.
Mira wreszcie zdołała uwolnić ręce. Zobaczyła jednak, że za późno.
Chris uniósł pistolet.
Odwrócił go ku sobie i strzelił.

Epilog

sobota, 7 kwietnia 2012 roku, godz. 15.00

- Ogłaszam, że jesteście mężem i żoną. Pan młody może teraz pocałować swoją oblubienicę. Spencer pochylił się do Stacy. Nie było to przelotne cmoknięcie, lecz długi, namiętny pocałunek, pieczętujący przysięgę. Mira mocniej zacisnęła palce na dłoni Connora. Popatrzył na nią z miłością w oczach.

Z ulgą pomyślała, że wyszli cało ze śmiertelnej pułapki, zastawionej na nich przez Chrisa. Wyszło na jaw, że jego matka została zamordowana. Szczątki znaleziono pochowane na podwórzu razem z resztkami walizki. Według długoletnich parafian Sióstr Miłosierdzia ostatni raz widziano Mary Johns żywą w szkole, z której odbierała Chrisa. Mówiła, że przeprowadzają się do Teksasu.

Ci sami parafianie pamiętali babkę Chrisa jako zdiwaczałą kobietę, która nie chciała uwierzyć w to, że jej jedyna córka ma nieślubne dziecko, i twierdziła, że wnuk narodził się w wyniku niepokalanego poczęcia. Ponieważ nikt jej nie chciał wierzyć, wystąpiła z Kościoła.

Nic dziwnego, że losy Chrisa potoczyły się takim torem, doszła do wniosku Mira. Widział, jak babka zabiła jego matkę, a potem dzień w dzień dostawał swoją dawkę szaleństwa. Biegły antropolog ustalił, że babka nie żyła już od dłuższego czasu i za przyczynę śmierci uznał morderstwo. Prawdopodobnie została uduszona.

Co zaszło? - zastanawiała się Mira. Czy Chris któregoś dnia nie wytrzymał udręki i ją zabił? Potem zaś, nie mogąc pogodzić się z rzeczywistością, przywrócił jej „życie”?

Przyszło jej do głowy, że nie powinna wspominać koszmaru podczas ślubu dwojga ludzi, z którymi połączyła ją przyjaźń. Z drugiej strony, gdyby nie dramatyczne wydarzenia, nie byłoby jej tutaj i nie zdołałaby odzyskać równowagi emocjonalnej. Mogłaby nawet skończyć podobnie jak Karin Bayle, która ugrzęzła w przeszłości tak mocno, że odrzuciła przyszłość. Jej przyszłością był Connor. Mocno zacisnęła dłoń na jego rękę. Nie przypuszczała, że może być tak szczęśliwa i pełna

wewnętrznego spokoju.

Uśmiechnięci nowożeńcy ruszyli nawą do kościelnych drzwi. Mira podążyła za nimi wraz z Connorem.